

N E I L

G

A

T

M

A

IN



gazette
 1890
 BADZ

NEIL GAIMAN

NIGDZIEBĄDŹ

Tłumaczyła: Paulina Braiter

FACET W CZERNI

Richard Oliver Mayhew, bohater „Nigdziebądź”, jest w tarapatkach. Przyszły na niego, prawdę powiedziawszy, takie kłopoty i takie terminy, że aż zaczął pisać - w pamięci - pamiętnik. Zaczął tak:

Drogi pamiętniku. W piątek miałem pracę, narzeczoną, dom i sensowne życie, o ile w ogóle życie może mieć sens. Potem znalazłem na chodniku ranną, krwawiącą dziewczynę i próbowałem zostać dobrym Samarytaninem. Teraz nie mam narzeczonej, domu ani pracy i wędruję sto metrów pod ulicami Londynu z perspektywą życia krótszego niż jętka o skłonnościach samobójczych.

Ha, nic dodać, nic ująć. Wszystko to była prawda. Richard Mayhew szedł właśnie z narzeczoną na kolacje do ekskluzywnej restauracji „Ma Maison Italiano”, gdy zobaczył na chodniku dziewczynę w kałuży krwi. Wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew kardynalnym regułom życia w wielkim mieście, nie bacząc na protesty narzeczonej Richard podniósł zranioną i zaniósł ją do swego mieszkania. Ha, powinien był Richard Mayhew więcej uwagi poświęcić tajemniczej staruszce, która przed wyjazdem do Londynu wywróżyła mu kłopoty. Ale wróżby i przepowiednie bywają pokrętne, bogowie drwią sobie z ludzi za ich pomocą, doświadczył tego choćby Filip Macedoński, któremu wyrocznia nakazała strzec się wozu. Filipa zamachowiec zamordował mieczem, na klindze którego wygrawerowano wóz. Richardowi staruszka wywróżyła, że jego kłopoty zaczną się od drzwi. I zaleciła strzec się drzwi.

Chłaśnięta nożem dziewczyna, którą Richard zabrał do mieszkania, nosi imię Door. Drzwi.

Rana dziewczyny goi się zadziwiająco szybko, zadziwiająco szybko zaczynają też mnożyć się kłopoty i dziwne ewenementy. Pojawiają się wrogowie dziewczyny, ewidentnie ci, którym zawdzięcza cięcie nożem - straszliwa demoniczna para, panowie Croup i Vandemar. Ci, choć wyglądają na Świadków Jehowy, nimi nie są. Nie są chyba nawet ludźmi. A są sadystycznymi mordercami. Tarapaty Richarda Mayhew nabierają coraz realniejszego wymiaru, a za całość jego skóry nie dałby złamanego pensa największy nawet hazardzista.

Pojawiają się też sprzymierzeńcy dziewczyny, bulwersujący Richarda nie mniej niż Croup i Vandemar, albowiem są nimi, kolejno: szczur (tak właśnie!) Pan Długogon, zagadkowy i zblazowany Markiz de Carabas (kłania się „Kot w butach” Perraulta!) i Stary Bailey, noszący kostium z pierza i mieszkający na dachu wieżowca w obsranym przez

gołębie namiocie.

A potem dziewczyna znika. Ale tarapaty Richarda znikać ani myślą - ba, mnożą się w zastraszającym tempie. Nie zdradzę rozwoju akcji - ale już nazajutrz po tych dziwnych wydarzeniach Richard Mayhew pisać będzie ów zacytowany na wstępie mentalny dzienniczek. Bo wkrótce nie będzie miał ani narzeczonej, ani domu, ani pracy, ani normalnego życia. Wkrótce wędrował będzie sto metrów pod ulicami Londynu z perspektywą życia krótszego niż jętką o skłonnościach samobójczych. Zaplątany w zbrodnię i wendetę, w towarzystwie Drzwi - sorry, Lady Drzwi, Markiza de Carabas i Łowczym, profesja ochroniarz.

Albowiem - nie zdradzając za dużo z akcji - Richard Mayhew nie jest już w tak dobrze mu znanym Londynie Na Górze. Jest w Londynie Na Dole - miejscu, którego istnienia nie podejrzewał. Którego istnienia nie podejrzewa nikt z żyjących „na górze” normalnych londyńczyków. Miejscu, w którym szczury wysługują się ludźmi. W którym Knight's Bridge staje się Night's Bridge, a ciemność pochłania na nim i zabija nieostrożnych. W którym w Shepherd's Bush można spotkać Pasterzy -ale lepiej ich nie spotykać. W którym na stacji metra linii District istnieje, co prawda, jak i „na górze”, stacja Earl's Court,

ale rezyduje na niej ze swym dworem faktyczny Hrabia. A na tej samej linii, na stacji Blackfriars, faktycznie witają przybysza braciszkowie w czarnych habitach. A tak w ogóle, w metrze Londynu Na Dole pod żadnym - powtarzam - żadnym pozorem nie należy zbliżać się do krawędzi peronu...

I należy bardzo uważać na panów Croupa i Vandemara. Bo ci, jak się okazuje, zawsze są w pobliżu. Jak hieny, nigdy nie porzucają krwawego tropu. Jak hieny, wycieńczają ofiary uporem pościgu.

Neil Richard Gaiman ma 41 lat, urodził się w roku 1960 w Anglii, w Portchester w hrabstwie Hampshire, pod znakiem Skorpiona. Edukował się w Ardingly College i Whitgift School. Od wczesnych lat 80-tych pracował jako dziennikarz, wolny strzelec dla różnych brytyjskich gazet. Przygodę z fantastyką rozpoczął w roku 1984, debiutując na łamach „Imagine” opowiadaniem „Featherquest”. Krótco później, w 1985, zredagował do spółki z Kimem Newmanem „Ghastly Beyond Belief, prześmiewczą antologię literackich wpadek i niezamierzonych efektów komicznych brytyjskiego pulp-horroru. Antologia uznawana jest za niezwykle ciekawą, a współpracujący z Gaimanem Kim Newman lepiej pewnie znany jest polskiemu miłośnikowi fantastyki jako Jack Yeovil, pod tym bowiem pseudonimem popełnił trochę fantasy osadzonej w świecie gier „Warhammer”.

Następnym krokiem Neila Gaimana w fantastycznej branży była napisana w 1988 „Don't Panic: The Official Hitchhiker's Guide to the Galaxy Companion”, książka non fiction, nawiązująca do osoby i twórczości Douglasa Adamsa, zwłaszcza do kultowego cyklu o wozach autostopem przez galaktykę.

Potem wziął się Gaiman za tzw. graphic novels — książki i albumy będące wynikiem współpracy pisarzy i grafików. Encyklopedie i poświęcone SF opracowania fachowe definiują graphic novel jako, cytując, self-contained narrative in comicbook form, czyli w wolnym tłumaczeniu: samoistna narracja w postaci komiksu. Definicja iście bardziej skomplikowana

niż rzecz sama. Mówmy zatem „powieść graficzna” i umówmy się, że wszyscy wiemy, o co chodzi.

Pierwszą taką powieścią dorobku w Neila Gaimana była „Violent Cases” (1987), napisana w kooperacji z grafikiem Davidem McKeanem, artystą znanym w środowisku SF, autorem okładek m.in. do książek Jonathana Carrola, Stephena Kinga, Garry’ego Kilwortha, Kima Newmana i K.W. Jetera. Współpraca pisarza i grafika rozwijała się - wydali wspólnie powieści graficzne „Black Orchid” (1991), horror „Signal to Noise” (1992) i dziecięcą fantazy „The Day I Swapped My Dad for Two Goldfish” (1997). W opracowaniu jest następna, „The Wolves in the Walls”, przy czym, o ile wiem, podobieństwo do H.P. Lovecrafta („Rats in the Walls”) nie jest całkiem przypadkowe.

Dave McKean projektował również okładki do książek Gaimana - do omawianej tu „Neverwhere”, a także do „Angels & Visitations: A Miscellany”, zbioru wydanych w 1993 opowiadań i wierszy, nominowanych do World Fantasy Award.

Znany - i to szeroko - jest też Gaiman jako autor tekstu kultowej, wydawanej przez EC Comics serii „Sandman”, popełnionej pospołu z rysownikiem Charlesem Yessem. „Sandman” zdobył wielką popularność, i to nie tylko wśród fanów komiksu - sam Norman Mailer nazwał serię „komiksem godnym intelektualistów”. Zespół Metallica nagrał zainspirowaną „Sandmanem” piosenkę i teledysk. Jeden z epizodów „Sandmana”, „A Mid-summer Night’s Dream”, został w 1991 nagrodzony World Fantasy Award w kategorii „najlepsze opowiadanie” - był to jedyny w historii tej nagrody przypadek, by nagrodzono komiks. Inny „Sandman”, „The Dream Hunters”, zdobył w roku 2000 nagrodę im. Brama Stokera i był nominowany do Hugo. Cykl jest obecnie kontynuowany jako seria „The Dreaming”.

Powstała - i liczy się do dorobku Gaimana - specjalna antologia poświęconych Sandmanowi opowiadań - „The Sandman: Book of Dreams” (1996). Zredagowali ją sam Gaiman i Edward E. Kramer, okładkę wykonał Dave McKean, opowiadania napisali m. in. Gene Wolfe, George Alec Effinger, Barbara Hambly, Tad Williams, Lisa Goldstein, Will Shetterly i Delia Sherman.

We współpracy z Charlesem Yessem powstała w roku 1995 kolejna powieść graficzna Gaimana - obsypany nominacją do nagród zbiór „Snow, Glass, Apples” (w rozszerzonej wersji znany jako „Smoke and Mirrors”). Także „normalna” książka Gaimana, „Stardust”, o której będzie jeszcze mowa, została wydana w dwóch wersjach - zwykłej, tekstowej i graficznej - z ilustracjami Vessa właśnie.

Neil Gaiman nie boi się pracy redaktorskiej - jest współautorem kilku bardzo ciekawych antologii: „Temps” (1991, wspólnie z Alexem Stewartem), „Villains!” (1992, z Mary Gentle) oraz „The Weerde: Book I i Book H” (1992 i 1993, z Mary Gentle, Alexem Stewartem i Różem Kavenym).

Warto też wiedzieć, że jest Gaiman autorem angielskiego scenariusza fabularnej anime „Księżniczka Mononoke”. I jednego z odcinków kultowego serialu SF „Babylon 5”, zatytułowanego „Day of the Dead”.

Jako powieściopisarz Neil Gaiman zadebiutował w roku 1990, choć i wówczas nie dowierzał sobie chyba jeszcze na tyle, by samotnie wypłynąć na przestwór oceanu. Znowu pracował w teamie - nie z byle kim, a z samym Terry Pratchettem, wspólnie z którym napisał przezabawną fantazy „Good Omens: The Nice and Accurate Prophecies of Agnes Nutter, Witch” (1990, w Polsce jako „Dobry omen”).

W wywiadach Gaiman twierdzi, że pomysł i początek książki był jego, przyznaje jednak, że w rezultacie na konto Pratchetta przypadła grubo ponad połowa tekstu. Pratchett

bardzo zaimponował Gaimanowi tempem pracy i pisarskim temperamentem. Wieść niesie, że do przeniesienia „Dobrego omenu” na ekran przymierza się sam Terry Gilliam.

Dopiero sześć lat po „Dobrym omenie” stał się Neil powieściopisarzem pełnego kalibru i w pełni upierzonym - po wydaniu „Nigdziebądź”, książki, którą masz właśnie w rękę, Szanowny Czytelniku. Ciekawą jest rzeczą, że „Nigdziebądź” powstała jako tzw. upowieściowienie - angielskie słowo *nove-lisation* pasuje mi stokroć bardziej i dużo lepiej oddaje sens — wyprodukowanego przez BBC sześcioodcinkowego serialu telewizyjnego. Nie grzeszy jednak „Nigdziebądź”, stwierdzam

nie bez satysfakcji, typowym grzechem *novelisations*, których autorzy nader często ograniczają się do mechanicznego wtykania didaskaliów pomiędzy kwestie filmowego dialogu, wskutek czego otrzymujemy coś w rodzaju rozbudowanego scenopisu. Nie ma tego w „Nigdziebądź”. Serialu nie widziałem, ale nie sądzę, by miał szansę spodobać mi się bardziej, niż książka.

Stwierdzenie, że „Nigdziebądź” należy do gatunku fantasy, kłopotów nie nastęrcza i wątpliwości nie nasuwa. Dość trudno jest natomiast jednoznacznie przyporządkować powieść do jednego z istniejących siedmiu subgatunków gatunku. Najbardziej klasycznym zabiegiem byłoby umieszczenie jej w podgatunku, który ja nazywani umownie „Jednorożce w ogrodzie”, nawiązując do tytułu znanego opowiadania Jamesa Thurbera. Taki właśnie, jak owo opowiadanie, jest subgatunek - najbardziej dziwne, magiczne, absolutnie niezwykle i niecodzienne wydarzenia zdarzają się w nim nagle w naszym zwykłym, codziennym życiu. Znany ład zostaje zakłócony, znany porządek zburzony. W rzeczywistości nagle zaczyna dziać się fantastyczność - będąca, jak powiedział kiedyś Roger Callois, wyłomem w ustalonym porządku, nagłą erupcją niedozwolonego, niedopuszczalnego i nielegalnego w naszym codziennym, uładowym, pozornie niezmiennym — i legalnym — ładzie. Takie są właśnie sztandarowe pozycje subgatunku: „Kraina Chichów” Jonathana Carrolla, „Na tropach jednorożca” Mike’a Resnicka, „Małe, duże” Johna Crowleya, „Las Mythago” Roberta Holdstocka, „Ostatnia odżywka” Tima Powersa. Czy wreszcie „Jakiś potwór tu nadchodzi” Raya Bradbury’ego, od którego również mógłbym pożyczyć nazwę dla subgatunku (pożyczoną zresztą od Szekspira).

By the pricking of my thumbs, Something wicked this way comes. („Makbet”)

Dość cienka jest linia, oddzielająca ten typ fantasy od horroru, opowieści grozy, w której do naszego uładowego świata wdziera się coś dziwnego — a straszego zarazem. Jakiś potwór tu nadchodzi... Ba, nadchodzą dwa potwory. Panowie Croup i Vandemar.

Bardzo bliski jest też „Nigdziebądź” innego subgatunku, który przyjęło się nazywać *urban fantasy*. Mianem takim określamy utwory utrzymane w poetyce pikarejsko-wielkomięjskich ballad, takie fantastyczne *West Side Story*, w której magia i fantazja wkraczają do betonowo-asfaltowej dżungli miast. Do czołowych pozycji *urban fantasy* należą — że wymienię tylko kilka: „Winter’s Tale” Marka Helprina, „Data ważności” Tima Powersa, wiele tytułów Charlesa de Linta, „AgVar” Stevena Brusty, „War for the Oaks” Emmy Buli, „Steel Rose” Kary Dalkey, cykl „Sorcery Hall” Suzy McKee Charnas.

* * *

Neil Gaiman zawsze ubiera się na czarno, wszystko, co nosi, od T-shirtu po płaszcz, zawsze jest czarne. Prawie zawsze nosi ciemne okulary. Uwielbia koty. Jest od szesnastu lat żonaty z Mary McGrath, ma z nią troje dzieci: syna i dwie córki. Brytyjczyk porzucił Brytanię — od 1992 roku mieszka i pracuje w Stanach, w Minneapolis w stanie Minnesota.

Przyznaje się do młodzieńczej fascynacji amerykańską Nową Falą SF z lat siedemdziesiątych - twórczością Samuela R. Delany'ego, Mariana Ellisona, Rogera Zelaznego. Przeczytawszy o tym w którymś z wywiadów, poczułem jakieś dziwne ciepło w okolicy sercowej - w tym czasie tymiż autorami i ja się fascynowałem. Nie tai też Gaiman wielkiego wpływu, jaki na jego pisarstwo wywarła „Alicja w Krainie Czarów”, „Narnia” C.S. Lewisa i tacy klasycy jak Lord Dunsany, James Branch Cabell i Hope Mirrlees. Mnie zaś, dodam, kilka zdań — perełek i fraz — klejnotów z „Nigdziebądź” zachwycało na tyle, by do mistrzów Gaimana bez wahania dopisać Raymonda Chandlera. Wydana w roku 1998 „Stardust”, druga samodzielna powieść Neila Gaimana (która być może będzie również wydana w niniejszej serii) miała nominację do nagrody „Locusa” i zdobyła Mythopoeic Fantasy Award - wyróżnienie przyznawane fantastyce nawiązującej do mitów, legend i baśni. Nie zdążyłem jeszcze przeczytać najnowszej książki Gaimana, wydanej w styczniu 2001 „The Last Temptation”, czekam na zapowiedzianą na czerwiec „American Gods”. Ale już wiem, że Neil Richard Gaiman to jeden z kamieni milowych fantasy, kanon, który poznać trzeba. Szczerze do poznawania Szanownych Czytelników nakłaniam — zapewniając zarazem, że przebiega ono wyjątkowo sympatycznie. Co tu dużo gadać - ten facet w czerni da się lubić.

Andrzej Sapkowski

Nigdziebądź nie powstałoby, gdyby nie Lenny Henry. Książkę tę zatem dedykuję właśnie jemu i Poily McDonald: dwojgu położnych, zupełnie do siebie niepodobnych prócz jednego szczegółu - niewiarygodnego wzrostu.

Dedykuję ją też Clive'owi Brillowi i Beverly Gibson, ludziom normalniejszej postury.

Nigdy nie byłem w St John's Wood. Nie śmiałem. Lękałbym się niezliczonych nocnych świerków i tego, że nagle natknę się na krwistoczerwony puchar i usłyszę bicie orlich skrzydeł.

G.K. Chesterton, „Napoleon z Notting Hill”

PROLOG

W wieczór przed wyjazdem do Londynu Richard Mayhew fatalnie się bawił.

Z początku bawił się całkiem nieźle. Z przyjemnością czytał pożegnalne karty i odbierał uściski od kilkunastu atrakcyjnych młodych dam; z radością słuchał ostrzeżeń o pułapkach i niebezpieczeństwach Londynu oraz przyjął prezent w postaci białej parasolki z mapą metra, na którą zrzucili się kumple; wypił ze smakiem kilka pierwszych szklanek piwa, potem jednak z każdą kolejną szklanką bawił się zdecydowanie gorzej, aż w końcu odkrył, że siedzi dygocząc na chodniku przed pubem, porównując w duchu

pozytywne i negatywne aspekty zwrócenia kolacji, i bawi się wręcz fatalnie.

W pubie przyjaciele nadal świętowali jego zbliżający się wyjazd z entuzjazmem, który według Richarda powoli zaczynał stawać się złowrogi.

Richard zacisnął dłoń na złożonej parasolce, zastanawiając się, czy przeprowadzka do Londynu to naprawdę dobry pomysł.

- Lepiej uważaj, złociutki - powiedział ktoś trzeszczącym starczym głosem. - Zgarną cię, zanim zdążysz mrugnąć. Albo i przymkną, jak nic. - Z kanciastej, brudnej twarzy spojrzano na niego dwoje bystrych oczu. - Wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję - odparł Richard. Brudna twarz złagodniała.

- Masz, biedaku - rzekła kobieta, wciskając mu pięćdziesięciopensówkę. - Jak długo jesteś na ulicy?

- Nie jestem bezdomny - wyjaśnił zawstydzony Richard, usiłując oddać staruszcze monetę. - Proszę, niech pani weźmie pieniądze. Nic mi nie jest. Wyszedłem tylko odetchnąć świeżym powietrzem. Jutro jadę do Londynu — wyjaśnił.

Przyjrzała mu się podejrzliwie, po czym odebrała pieniążek, który zniknął gdzieś pod warstwami ubrania i chust.

- Byłam w Londynie. Wyszłam tam za męża, ale kiepsko trafiłam. Mama zawsze powtarzała, że męża trzeba wybierać wśród swoich, ale ja byłam młoda i piękna, choć teraz trudno uwierzyć, i poszłam za głosem serca.

- Z pewnością - rzekł Richard. Powoli opuszczało go niezłomne przekonanie, że zaraz zwymiotuje.

-I żeby chociaż coś mi z tego przyszło. Byłam bezdomna, więc wiem, jak to jest - oznajmiła stara kobieta. - Dlatego do ciebie podeszłam. Co będziesz robił w Londynie?

- Mam tam pracę - rzekł z dumą.

- W czym?

- W ubezpieczeniach.

- Ja byłam tancerką - powiedziała stara kobieta i zaczęła dreptać chwiejnie po chodniku, nucąc fałszywie pod nosem. W końcu zakolysała się z boku na bok jak przystający bąk i znieruchomiała, patrząc na Richarda.

- Daj mi rękę, a przepowiem ci przyszłość. Posłuchał.

Ujęła jego dłoń i zamrugła kilka razy niczym sowa, która połknęła mysz i odkryła, że kąsek był nieświeży.

- Czeka cię długa podróż... - zaczęła.

- Do Londynu - domyślił się Richard.

- Nie tylko do Londynu... - urwała. - Nie do Londynu, jaki znam. Zaczęło padać.

- Przykro mi - oznajmiła stara kobieta. - Wszystko zaczyna się od drzwi.

- Drzwi?

Przytaknęła. Deszcz padał coraz mocniej.

- Na twoim miejscu uważałabym na drzwi. Richard wstał, chwiejąc się na nogach.

- Dobrze - rzekł niepewny, jak powinno się traktować podobne informacje. - Będę uważał. Dziękuję.

Otworzyły się drzwi pubu. Na ulice wypłynęła fala światła i dźwięku.

- Richard, jesteś tam?

- Tak, nic mi nie jest. Za moment wracam.

Stara kobieta odchodziła już w głąb ulicy kolebiącym się krokiem.

Richard poczuł, że musi coś dla niej zrobić. Ale nie mógł po prostu dać jej pieniędzy. Pobiegł za nią.

- Proszę - rzekł. Zaczął zmagać się z parasolką, próbując znaleźć otwierający ją przycisk. Nagle rozległ się szcęk i nad ich głowami rozkwitła mapa metra.

Stara kobieta wzięła parasolkę.

- Masz dobre serce. Czasami to wystarczy, by bezpiecznie doprowadzić cię do celu. - Potrząsnęła głową. - Ale najczęściej nie.

Nagły powiew wiatru próbował wyrwać jej podarunek. Chwyliła mocniej parasolkę i odeszła w deszcz i noc. Biała plama, pokryta nazwami stacji: Earl's Court, Marble Arch, Black-friars, White City, Victoria, Angel, Oxford Circus...

Richard odkrył, że zastanawia się z pijacką ciekawością, czy na Oxford Circus naprawdę był kiedyś cyrk, prawdziwy cyrk, pełen kłownów, pięknych kobiet i groźnych zwierząt.

Drzwi pubu znowu się otwarły, wypuszczając strumień hałasu, zupełnie jakby ktoś w środku mocno podkreślił głośność.

- Richard, ty fiucie, to twoje pieprzone przyjęcie! Ominie cię cała zabawa. Wrócił do pubu, w oszołomieniu zapominając o mdłościach.

- Wyglądasz jak przyklepiony szczur - powiedział ktoś z tłumu.

- Nigdy nie widziałeś przyklepionego szczura - odparł Richard.

Ktoś inny wręczył mu dużą whisky.

- Masz, łyknij. Wiesz, że w Londynie nie dostaniesz prawdziwej szkockiej.

- Na pewno dostanę - westchnął Richard. Z włosów ściekała mu woda, kapiąc wprost do drinka. - W Londynie mają wszystko.

Opróżnił szklanekę, potem kolejną, a potem wieczór rozpląnął mu się przed oczami i rozpadł na kawałki. Później pamiętał już tylko wrażenie, że opuszcza poukładaną, sensowną przystań, zmierzając ku czemuś wielkiemu, staremu i niebezpiecznemu. Pamiętał też, że nad ranem wymiotował bez końca do pełnego deszczówki rynsztoka, a gdzieś w deszczu oddalała się od niego biała postać przypominająca małego, okrągłego żuka.

Następnego ranka wsiadł do pociągu. Matka dała mu na drogę kawałek ciasta i termos z herbatą, i Richard Mayhew pojechał do Londynu. Czuł się koszmarnie.

DRUGI PROLOG

Czteryście lat wcześniej

Była połowa XVI wieku. W Toskanii padał deszcz - zimny, złośliwy deszcz, który okrywa świat szarym całunem.

Z małego klasztoru na wzgórzu ku porannemu niebu uniosła się smuga czarnego dymu.

Na zboczach siedzieli dwaj mężczyźni. Czekali, kiedy budynek zacznie płonąć.

- To, panie Vandemar - rzekł niższy, wskazując tłustą ręką smużkę dymu - będzie piękne całopalenie, gdy tylko całe się spali. Choć bezlitosna wierność prawdzie zmusza mnie do przyznania, iż wątpię, by któryś z mieszkańców w pełni je docenił.

- Bo wszyscy nie żyją, panie Croup? - spytał jego towarzysz. Jadł właśnie coś, co wyglądało, jakby kiedyś było szczeniakiem; odcinał nożem duże kawałki truchła i wkładał je sobie do ust.

-Ponieważ, jak słusznie zauważyłeś, mój słodki druhu, wszyscy nie żyją. Oto jak można rozróżnić tych dwóch mężczyzn: po pierwsze, gdy stoją, pan Vandemar jest o dwie i pół głowy wyższy od pana Croupa. Po drugie, pan Croup ma oczy barwy wyblakłej błękitnej porcelany, a oczy pana Vandemara są brązowe. Po trzecie, pan Vandemar ozdobił swą prawą dłoń pierścieniami własnoręcznie zrobionymi z czaszek czterech wielkich kruków, pan Croup zaś nie nosi żadnej biżuterii. Po czwarte, pan Croup lubi słowa, a pan Vandemar jest zawsze głodny. Klasztor z łoskotem stanął w ogniu. Zaczęło się całopalenie.

- Nie lubię słodczy - oznajmił pan Vandemar. - Dziwnie smakują.

Ktoś krzyknął. Potem rozległ się trzask, gdy dach runął do środka. Płomienie wystrzeliły wyżej.

- Ktoś nie był martwy - zauważył pan Croup.

- Teraz już jest - odparł pan Vandemar, zjadając kolejny kawałek surowego szczeniaka. Znalazł swój obiad martwy w rowie, gdy wychodzili z klasztoru. Lubił szesnasty wiek. - Co teraz? - spytał.

Pan Croup uśmiechnął się szeroko, ukazując zęby, które wyglądały jak wypadek na cmentarzu.

- Jakieś czterysta lat naprzód — rzekł. — Londyn Pod. Pan Vandemar przetrwał wiadomość, żując kawałek szczeniaka. W końcu spytał:

— Będziemy zabijać ludzi?

— O tak — rzekł pan Croup. - Myślę, że mogę to zagwarantować.

ROZDZIAŁ 1

Uciekała już od czterech dni, rozpaczliwie umykając w głąb chaotycznych korytarzy i tuneli. Była głodna i wyczerpana. Z coraz większym trudem otwierała każde kolejne drzwi.

Teraz znalazła sobie kryjówkę: małą kamienną norę pod światem. Była tu bezpieczna; taką przynajmniej miała nadzieję. W końcu zasnęła.

Pan Croup wynajął Rossa na ostatnim Ruchomym Targu, który urządzono w opactwie Westminster.

- Myśl o nim jak o kanarku - rzekł do pana Vandemara.

- Śpiewa? — spytał pan Vandemar.

- Wątpię. Naprawdę szczerze wątpię. Nie, mój miły przyjacielu, mówiłem w przenośni. Chodziło mi o ptaki, które zabiera się do kopalni.

Vandemar skinął głową.

Pan Ross zupełnie nie przypominał kanarka: był rosły - niemal tak rosły jak pan Vandemar - i brudny. Mało mówił, choć nie omieszkał wspomnieć, że lubi zabijać i że jest w tym dobry. Słowa te bardzo rozbawiły pana Croupa i pana Vandemara, tak jak Dżyngis-chana mogłyby rozbawić popisy młodego Mongoła, który niedawno splądrował swą pierwszą wieś albo spalił jurcję. Ross był kanarkiem, nawet o tym nie wiedząc. Toteż

szedł pierwszy w poplamionej koszulce i sztywnych od brudu dżinsach, a Croup i Vandemar maszerowali za nim, ubrani w eleganckie czarne garnitury.

Szmer w ciemności. W dłoni pana Vandemara błysnął nóż. A potem nie tkwił już w jego ręce, lecz kołysał się lekko dziesięć metrów dalej.

Pan Vandemar podszedł i podniósł nóż. Na ostrzu tkwił szczur; zamykał i otwierał bezradnie pyszczek, gdy umykało z niego życie. Pan Vandemar dwoma palcami zmiążdżył mu czaszkę.

- Oto gryzoń, który nikogo już nie ugryzie - rzekł pan Croup. Zaśmiał się z własnego dowcipu. Pan Vandemar milczał.

- Szczur. Gryzoń. Rozumiesz?

Pan Vandemar zsunął truchło z ostrza i zaczął z namysłem ruszać szczękami.

Pan Croup wytrącił mu martwego szczura z ręki.

- Przestań — rzekł.

Jego towarzysz z nadąsaną miną schował nóż.

- Uśmiechnij się — syknął zachęcająco pan Croup. - Będzie jeszcze wiele szczurów. A teraz ruszajmy. Tyle rzeczy do zrobienia. Tylu ludzi do zniszczenia.

Trzy lata w Londynie nie odmieniły Richarda, choć zmieniły sposób, w jaki postrzegał to miasto.

Gdy przybył tu po raz pierwszy, uznał, że Londyn jest dziwny, olbrzymi, całkowicie niezrozumiały. Tylko mapa metra nadawała mu choćby pozór porządku.

Stopniowo zaczął pojmować, że mapa ta stanowi jedynie podręczną fikcję, która ułatwia życie, lecz w żaden sposób nie odpowiada rzeczywistości; zupełnie jak członkostwo w partii politycznej, pomyślał kiedyś z dumą. Potem jednak, gdy spróbował wyjaśnić podobieństwo łączące mapę metra i partię grupie oszołomionych nieznanomych na przyjęciu, zdecydował, że w przyszłości będzie się trzymał z dala od polityki.

Z czasem odkrył, że coraz bardziej przyjmuje Londyn za coś oczywistego. Wkrótce zaczął się szczyć tym, że nie odwiedził żadnej atrakcji turystycznej (poza londyńską Tower; jego ciotka Maude przyjechała do miasta na weekend i Richard niechętnie towarzyszył jej w zwiedzaniu).

Jessica zmieniła to wszystko. Nagle, miast rozsądnie spędzać weekendy, zaczął bywać z nią w miejscach takich jak Galeria Narodowa i Tate, gdzie przekonał się na własnej skórze, że od zbyt długich wędrówek po galeriach okropnie bolą nogi, po jakimś czasie wielkie dzieła sztuki całego świata zlewają się w jedno, a żaden normalny człowiek nie zdoła uwierzyć, ile beczelne kafejki muzealne potrafią policzyć sobie za ciastko i filiżankę herbaty.

- Oto twoja herbata i ekierka - rzekł. - Taniej byłoby kupić jednego Tintoretto.

- Nie przesadzaj - odparła radośnie Jessica. - A zresztą, w Tate nie ma żadnych Tintorettów.

- Trzeba było zjeść jeszcze ciasto z wiśniami — mruknął Richard. - Wtedy mogliby sobie pozwolić na kolejnego van Gogha.

- Nie - poprawiła go Jessica. - Nie mogliby.

Richard spotkał Jessicę dwa lata wcześniej we Francji podczas weekendowego wypadu

do Paryża. Natknął się na nią w Luwrze, gdy próbował odszukać grupkę przyjaciół, którzy zorganizowali wycieczkę. Cofając się, wpadł na Jessicę, podziwiającą właśnie niezwykle wielki i historyczny brylant. Próbował przeproszać ją po francusku, poddał się, przeszedł na angielski, a potem usiłował przeprosić po francusku za to, że przeprosza po angielsku, wówczas jednak zorientował się, że Jessica jest tak angielska, jak tylko być można. W ramach rekompensaty kupił jej kosztowną francuską kanapkę i strasznie drogi musujący sok jabłkowy. I tak się to zaczęło.

Potem już nigdy nie zdołał przekonać Jessiki, że nie jest typem człowieka, który odwiedza galerie.

Richard czuł nabożny podziw wobec Jessiki, która była piękna, często nawet dowcipna i z pewnością czekała ją wielka przyszłość. Jessica natomiast dostrzegła w nim ogromny potencjał, który, właściwie pokierowany przez odpowiednią kobietę, uczyni z niego idealnego kandydata na męża.

Gdyby tylko nieco bardziej skoncentrował się na ważnych sprawach, mruzczała do siebie i kupowała mu książki, takie jak: „Ubiór znaczy sukces” oraz „125 nawyków, które wiodą na szczyt”, książki uczące, jak kierować biznesem niczym kampanią wojskową. Richard zawsze jej dziękował i zawsze zamierzał kiedyś je przeczytać. Kupowała mu też ubrania, które uważała za odpowiednie - i nosił je posłusznie. A kiedyś, gdy uznała, że nadszedł czas, oznajmiła, iż powinni kupić pierścioneńkę zaręczynową.

- Czemu się z nią spotykasz? — spytał osiemnaście miesięcy później Garry z działu projektów. - Jest przerażająca. Richard potrząsnął głową.

- Kiedy ją bliżej poznać, okazuje się urocza.

Garry odstawił na miejsce jednego z trolli z biurka Richarda.

- Dziwie się, że pozwala ci się nimi bawić.

- Nigdy nie poruszała tego tematu.

W istocie poruszała go, i to nieraz. Jednakże zdołała przekonać samą siebie, że zbiór trolli Richarda to oznaka pewnej uroczej ekscentryczności, porównywalna do kolekcji aniołów pana Stocktona. Właśnie organizowała wystawę aniołów pana Stocktona i doszła do wniosku, że wielcy ludzie zawsze coś zbierają. Tak naprawdę Richard nie kolekcjonował trolli. Zamiast tego, usiłując na próżno nadać nieco osobisty ton swemu miejscu pracy, rozmieścił w strategicznych miejscach plastikowe figurki. Ustawił też na biurku zdjęcie Jessiki. Dziś tkwiła na nim przyklepiona żółta kartka.

Było to piątkowe popołudnie. Richard zauważył kiedyś, że wydarzenia to tchórze. Nie lubią występować pojedynczo, lecz zbierają się w stada i atakują wszystkie naraz.

Weźmy choćby ten szczególny piątek.

Był to, jak podkreśliła Jessica co najmniej dziesięć razy w ciągu ostatniego miesiąca, najważniejszy dzień jego życia. Oczywiście, nie najważniejszy dzień jej życia. Ten nadejdzie dopiero w przyszłości, gdy — Richard nie wątpił w to ani przez chwilę — ludzie obwołają ją premierem, królową czy nawet Bogiem. Lecz bez wątpienia w jego życiu był to dzień najważniejszy. Szkoda zatem, że mimo karteczki, którą Richard przykleił sobie na lodówce, i drugiej, zostawionej na zdjęciu Jessiki w biurze, zapomniał o nim całkowicie i na śmierć.

Był jeszcze raport Wandswortha, spóźniony i zaprzątający go prawie bez reszty. Richard sprawdził kolejny rząd liczb. Nagle zauważył, że strona siedemnasta zniknęła, i przygotował się do kolejnego wydruku. Po następnej stronie wiedział już, że gdyby tylko

dano mu spokój... gdyby jakimś cudem telefon nie zadzwonił... Zadzwonił. Richard pstryknięciem włączył głośnik.

- Halo? Richard? Dyrektor chce wiedzieć, kiedy dostanie raport.

Richard zerknął na zegarek.

- Za pięć minut, Sylvio. Jest już prawie gotowy. Muszę tylko dołączyć prognozę zysków i strat.

- Dzięki, Dick. Zaraz po niego przyjdę.

Sylvia, jak sama lubiła mówić, była osobistą asystentką dyrektora. Otaczała ją aura bezlitosnej sprawności.

Richard wyłączył głośnik. Telefon natychmiast zadzwonił ponownie.

- Richardzie - przemówił głosem Jessiki. - Tu Jessica. Nie zapomniałeś, prawda?

- Zapomniałem? - Próbował przypomnieć sobie, o czym mógł zapomnieć. Spojrzał na zdjęcie Jessiki w poszukiwaniu natchnienia i znalazł je w aż nadto wyraźnej postaci małej żółtej karteczki przyklepionej do jej czoła.

- Richardzie, podnieś słuchawkę. Posłuchał, jednocześnie czytając notatkę.

- Przepraszam, Jess. Nie zapomniałem. Siódma wieczór w Ma Maison Italiano. Spotkamy się na miejscu?

- Jessica, Richard, nie Jess. - Na moment urwała. - Po ostatnim razie, raczej nie. Potrafiłbyś zabłądzić nawet we własnym ogródku.

Richard miał właśnie zauważyć, że każdemu mogłaby pomylić się Galeria Narodowa z Narodową Galerią Portretu, i że to nie ona spędziła cały dzień stojąc na deszczu (co zresztą w jego opinii było równie zabawne jak nieskończone wędrówki po obu galeriach), zmienił jednak zdanie.

- Przyjdę do ciebie - oznajmiła Jessica. - Pójdziemy tam razem.

- Dobrze, Jess... przepraszam, Jessico.

- Potwierdziłeś naszą rezerwację, prawda, Richardzie?

- Tak - skłamał nader przekonująco. Drugi telefon na jego biurku rozdzwonił się przeraźliwie. - Jessico, posłuchaj, musze...

- To dobrze — odparła Jessica i przerwała połączenie.

Największą sumę pieniędzy, jaką Richard wydał w życiu, przeznaczył na pierścionek zaręczynowy dla Jessiki osiemnaście miesięcy wcześniej.

Odebrał drugi telefon.

- Cześć, Dick - rzekł Garry. - To ja, Garry. Garry siedział kilka biurek dalej. Pomachał do Richarda znad lśniącego, wolnego od trolli blatu.

- Wciąż jesteśmy umówieni na drinka? Mówiłeś, że obgadamy projekt Mersthama.

- Rozłącz się, do cholery. Jasne, że jesteśmy.

Richard odłożył słuchawkę. Na dole karteczki dostrzegł numer telefonu. Napisał ją sam kilka tygodni wcześniej. I zrobił tę rezerwację. Był tego niemal pewien. Ale jej nie potwierdził. Zamierzał, lecz ciągle miał coś na głowie, a wiedział, że zostało mnóstwo czasu. Wydarzenia atakują stadnie...

Sylvia stała obok niego.

- Dick? Raport Wandswortha?

- Już prawie gotów, Sylvio. Zaczekaj momencik, dobrze? Skończył wystukiwać numer. Westchnął z ulgą, gdy ktoś odpowiedział.

- Ma Maison. Czym mogę służyć?

- Tylko jednym - odparł Richard. - Stolikiem dla trzech osób na dziś wieczór. Chyba go zamówiłem. Jeśli tak, potwierdzam rezerwację. Jeśli nie, chciałbym go zamówić. Proszę. Nie. Nie mieli ani śladu rezerwacji na nazwisko Mayhew. Ani Stockton. Ani Bartram - nazwisko Jessiki. A co do zamówienia stolika...

Najgorsze nie były same słowa, lecz ton, jakim przekazano mu informację. Stolik na dziś wieczór powinien być zostać zarezerwowany wiele lat wcześniej, może nawet przez rodziców Richarda. Stolik na dziś wieczór był po prostu niemożliwy. Gdyby nagle w drzwiach zjawił się papież, premier albo prezydent Francji i nie miał potwierdzonej rezerwacji, wylądowałby na ulicy.

- Ale tu chodzi o szefa mojej narzeczonej. Wiem, że powinienem był zadzwonić wcześniej. Jest nas tylko troje, czy nie można by...

Jego rozmówca odwiesił słuchawkę.

- Richard — wtrąciła Sylvia. - Dyrektor czeka.

- Jak sądzisz - spytał Richard - czy daliby mi stolik, gdybym zadzwonił i zaproponował im dodatkowe pieniądze?

W jej śnie byli wszyscy razem, w domu. Jej rodzice, brat, siostra. Stali w sali balowej. Wszyscy tacy bladzi, tacy poważni. Porcja, matka, dotknęła jej policzka i powiedziała, że jest w niebezpieczeństwie. W swym śnie Drzwi zaśmiała się i odparła, że wie. Matka potrząsnęła głową. Nie, nie. Była w niebezpieczeństwie teraz. W tej chwili.

Otwarła oczy. Drzwi uchylały się powoli, cichutko. Wstrzymała oddech.

Ciche kroki na kamieniu.

Może mnie nie zauważy, może sobie pójdzie, pomyślała. A potem, z rozpaczą: Jestem głodna.

Kroki umilkły. Wiedziała, że jest dobrze ukryta pod stosem szmat i starych gazet. Może intruz nie ma złych zamiarów, myślała. Czyż nie słyszy bicia mego serca? A potem kroki zbliżyły się i wiedziała, co musi zrobić. Przerazało ją to.

Czyjaś ręka odgarnęła pokrywające ją śmieci i Drzwi spojrzała wprost w tępą twarz, która zmarszczyła się w złowieszczym uśmiechu. Przekręciła się i szarpnęła gwałtownie. Nóż wycelowany w pierś trafił ją ramię.

Do tej chwili nie przypuszczała, że zdołałaby to zrobić. Nie sądziła, że miałyby dość odwagi, była dość przerażona, zdesperowana, by się ośmielić. Teraz jednak wyciągnęła rękę ku jego piersi i otworzyła...

Poczuła coś ciepłego, mokrego i śliskiego. Skuliła się i wygramoliła spod mężczyzny, po czym potykając się wypadła z pomieszczenia.

Zatrzymała się dopiero w tunelu, niskim i wąskim. Oparta o ścianę szlochała, chwytając oddech.

Zużyła resztkę sił. Nie zostało jej nic. Czowała narastający ból w ramieniu. Nóż! - pomyślała. Ale była bezpieczna.

— No, no - usłyszała głos dobiegający z ciemności po jej prawej stronie. — Przeżyła spotkanie z panem Rossem. A niech mnie, panie Vandemar. - Ton głosu był równie śliski, jak brązowy śluz pod palcami.

— A niech i mnie, panie Croup - odparł beznamiętny głos po lewej stronie.

W ciemności zapłonęło migotliwe światełko.

— Mimo to — oczy pana Croupa błyszczą w mroku pod ziemią - spotkania z nami nie przeżyje.

Drzwi rąbnęła go mocno kolanem w krocze. Poczula, jak coś ustępuje pod kolanem, i zaczęła biec, zaciskając prawą dłoń na ramieniu.

Uciekła.

- Dick?

Richard machnięciem ręki odgonił intruza. Znów kierował swoim życiem. Jeszcze tylko chwila... Garry powtórzył jego imię:

— Dick? Jest wpół do siódmej.

- Co?

Papiery, długopisy, arkusze kalkulacyjne i trolle wylądowały w aktówce Richarda. Zatrzasnął ją i rzucił się biegiem do wyjścia, po drodze naciągając płaszcz. Garry biegł obok niego.

— To co, idziemy na drinka?

- Drinka?

— Mieliśmy wyskoczyć dzisiaj razem, obgadać projekt Mersthama, pamiętasz?

To było dzisiaj? Richard zatrzymał się na moment. Gdyby bałaganiarstwo stało się kiedykolwiek sportem olimpijskim, mógłby reprezentować w nim Anglię.

— Garry, przepraszam. Zawaliłem sprawę. Muszę dziś spotkać się Jessicą. Zabieramy jej szefa na kolację.

- Pana Stocktona? Z firmy Stockton? Tego Stocktona? Richard przytaknął.

Zbiegali po schodach.

- Na pewno będziesz się dobrze bawił - rzekł Garry. - A co słyhać u potwora z Czarnej Laguny?

- Tak naprawdę Jessica pochodzi z Ilford, Garry, i wciąż pozostaje światłem i miłością mojego życia. Dzięki, że spytałeś. -Znaleźli się w holu i Richard śmignął wprost ku automatycznym drzwiom, które widowiskowo się nie rozsunęły.

- Jest już po szóstej, panie Mayhew — przypomniał Figgis, strażnik budynku. - Musi się pan podpisać.

- Jeszcze tylko tego mi trzeba - rzekł Richard do nikogo w szczególności. — Jeszcze tylko tego.

Pan Figgis pachniał syropem od kaszlu i słyszał ze swej encyklopedycznej kolekcji miękkiej pornografii. Strzegł drzwi z oddaniem graniczącym z szaleństwem, bo nigdy nie doszedł do siebie po wieczorze, kiedy z całego pietra zniknęły komputery wraz z dwiema palmami w donicach i dywanem dyrektora Axminstera.

- Czyli dziś z drinka nici?

- Przepraszam, Garry. Może być w poniedziałek?

- Jasne. W poniedziałek. Nie ma sprawy. Do zobaczenia.

Pan Figgis zbadał uważnie podpis i przekonawszy się naocznie, że Richard nie wynosi komputery, palm w donicach ani dywanów, nacisnął przycisk pod biurkiem. Drzwi się rozsunęły.

- Drzwi — rzekł Richard.

Podziemny korytarz rozgałęział się i dzielił. Na oślep wybierała drogę, śmigając tunelem, biegnąc, potykając się i wymachując rękami.

Gdzieś za nią maszerowali pan Croup i pan Vandemar, spokojni i radośni, jakby zwiedzali właśnie wystawę w Pałacu Kryształowym.

Gdy dochodzili do rozstajów, pan Croup klękał, znajdował najbliższą kroplę krwi i znów ruszali jej śladem.

Byli niczym hieny, ścigające ofiarę, póki nie pada z wyczerpania. Mogli poczekać. Mieli mnóstwo czasu.

Dla odmiany Richardowi dopisało szczęście. Złapał taksówkę. Szczególnie entuzjastyczny kierowca zawiózł go do domu niezwykle trasą, biegnącą ulicami, istnienia których Richard wcześniej nie zauważył. Wskoczył z taksówki, pozostawiając napiwek i aktówkę, zdołał jeszcze zatrzymać wóz, odzyskał walizczkę, wbiegł po schodach i wpadł do mieszkania.

Już w korytarzu ściągnął z siebie ubranie; aktówka zawirowała w powietrzu i wylądowała na sofie. Starannie położył klucze na stoliku po to, by o nich nie zapomnieć.

Potem wpadł do sypialni.

Zadzwieczał dzwonek.

Richard, w trzech czwartych odziany już w swój najlepszy garnitur, rzucił się do domofonu,

- Richard? Tu Jessica. Mam nadzieję, że jesteś gotów.

- Ach, tak. Zaraz będę.

W biegu naciągnął płaszcz, zatrząskując za sobą drzwi.

Jessica czekała na niego przed schodami. Taki miała zwyczaj. Nie lubiła mieszkania Richarda; czuła się w nim niezręcznie i dziwnie kobieco. Zawsze istniała szansa, że w dowolnym miejscu natknie się na sztukę męskiej bielizny, nie mówiąc już o wędrujących bryłkach zeschniętej pasty do zębów na umywalce. Nie, z całą pewnością nie było to mieszkanie w jej stylu.

Jessica była bardzo piękna, tak piękna, że Richard od czasu do czasu wpatrywał się w nią ze zdumieniem, myśląc: Jakim cudem związała się ze mną?

A kiedy się kochali - nieodmiennie w mieszkaniu Jessiki na Barbicanie, w mosiężnym łóżku Jessiki między sztywnymi, białymi, lnianymi prześcieradłami (rodzice Jessiki wychowali ją w przekonaniu, że kołdry są dekadencjonalne) - po akcji w ciemności obejmowała go bardzo mocno, jej długie brązowe loki opadały mu na pierś i szeptała, jak bardzo go kocha. A on odpowiadał, że także ją kocha i pragnie z nią być, i oboje wierzyli, że to prawda.

— Na mój honor, panie Vandemar. Ona zwalnia.

- Zwalnia, panie Croup.

- Pewnie traci mnóstwo krwi, panie V.

- Śliczniej krwi, panie C. Śliczniej, mokrej krwi.

- Już niedługo.

Szczek: dźwięk otwieranego sprężynowego noża, pusty, mroczny i samotny.

- Richardzie, co robisz? - spytała Jessica.

- Nic, Jessico.

- Nie zapomniałeś chyba kluczy, prawda?

- Nie, Jessico.

Richard przestał się poklepywać i wsunął ręce głęboko w kieszenie płaszcza.

- Kiedy dziś wieczór poznasz pana Stocktona - zaczęła Jessica - powinieneś docenić, że to nie tylko bardzo ważny człowiek, ale uosobienie wielkiej korporacji.

- Nie mogę się już doczekać - westchnął Richard.

- Co mówisz, Richardzie?

- Nie mogę się już doczekać — powtórzył z entuzjazmem,

- Chodź szybciej. - Jessica zaczęła zdradzać oznaki czegoś, co u kobiety mniejszego ducha można by opisać jako zdenerwowanie. - Nie możemy się spóźnić.

- Nie, Jess.

- Nie nazywaj mnie tak, Richardzie. Nie znoszę zdrobnień. Są takie protekcyjne.

- Może kilka groszy?

Mężczyzna siedział w drzwiach z ręcznie wypisaną kartką na piersi, oznajmującą światu, że jest głodny i bezdomny. Richard nie potrzebował żadnego znaku, by w to uwierzyć. Sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu monety.

- Richardzie, nie mamy czasu - upomniała go Jessica, która wspierała organizacje charytatywne i etycznie inwestowała pieniądze. — Chcę, żebyś wywarł dobre wrażenie jako mój narzeczony. To istotne, by przyszły małżonek wywarł dobre wrażenie. - Nagle zmarszczyła twarz w uśmiechu. Objęła go na moment. — Och, Richardzie, Kocham cię. Wiesz o tym, prawda?

A Richard przytaknął. I rzeczywiście wiedział. Jessica zerknęła na zegarek i przyspieszyła kroku. Richard dyskretnie rzucił funtową monetę w stronę mężczyzny w drzwiach, który pochwyił ją ręcznie brudną dłonią.

- Nie miałeś problemów z rezerwacją, prawda? - spytała Jessica.

A Richard, który nie potrafił dobrze kłamać w bezpośredniej rozmowie, odparł:

- Hmm...

Źle wybrała. Korytarz zamykała gładka ściana. W zwykłych okolicznościach nie stanowiłoby to problemu, ale była taka zmęczona, taka głodna. Tak bardzo cierpiała... Oddychała gwałtownie, dławiąc się i szlochając. Jej lewe ramię było zimne. Ręka zupełnie zdrętwiała.

- Na mą czarną duszę, panie Vandemar, czy widzi pan to co ja? - Głos był miękki, bliski. Musieli podejść do niej bliżej, niż przypuszczała. — Moje maleńkie oczy dostrzegają coś, co...

- Za chwilę zginie, panie Croup - dokończył głos nad jej głową.

- Nasz zleceniodawca będzie zachwycony.

A ona sięgnęła daleko w głąb swej duszy, czerpiąc z bólu, strachu, cierpienia. Była zmęczona, wypalona, całkowicie bezradna. Nie miała dokąd pójść. Brakowało jej czasu i sił.

Choćby były to ostatnie drzwi, które otworzę... - modliła się w duchu do Świątyni i Łuku. Gdzieś... gdzie będzie... bezpiecznie. A potem pomyślała: Ktoś.

I spróbowała otworzyć drzwi.

Gdy pochłonęła ją ciemność, usłyszała głos pana Croupa dobiegający z bardzo daleka.

- Do licha!

Jessica nie przyjęła tego dobrze.

— Naprawdę musiałeś obiecać im dodatkowe pięćdziesiąt funtów za nasz stolik? Jesteś

idiotą, Richardzie.

- Zgubili moją rezerwację. I powiedzieli, że wszystkie stoły są zajęte.

- Pewnie posadzą nas koło kuchni - westchnęła. - Albo obok drzwi. Mówiłeś im, że to dla pana Stocktona?

- Tak.

Znów westchnęła.

W ścianie tuż przed nimi otwarły się drzwi. Wyszła z nich jakaś postać. Przez długą, straszliwą chwilę stała chwiejnie, a potem runęła na beton.

Richard zadrżał.

- Kiedy będziesz rozmawiał z panem Stocktonem, pamiętaj, żeby mu nie przerywać ani się z nim nie spierać. Nie lubi, gdy ktoś się z nim spiera. Jeśli zażartuje, śmieje się. Gdybyś miał wątpliwości, czy to był żart, spójrz na mnie, a ja... postukam palcem w stół. Dotarli do człowieka na chodniku. Jessica przekroczyła go. Richard się zawahał.

- Jessico?

- Masz rację. Może uznać, że się nudzę. Kiedy zażartuje, podrapię się w ucho.

- Jessico!

- Co?

- Spójrz - wskazał chodnik. Spoczywająca tam osoba leżała twarzą do ziemi, spowita w wielowarstwowy strój. Jessica chwyciła go pod rękę i pociągnęła ku sobie.

- Jeśli zaczniesz zwracać na nich uwagę, Richardzie, wejdą ci na głowę. Oni wszyscy mają domy. Kiedy się prześpi, z pewnością nic jej nie będzie.

Jej? Richard przyjrzał się uważnie. Rzeczywiście, to była dziewczyna.

- Uprzedziłam pana Stocktona, że... - ciągnęła Jessica. Richard przyklęknął. - Richardzie, co ty robisz?

- Nie jest pijana - rzekł - tylko ranna. - Spojrzał na swe palce. - Krwawi.

Jessica popatrzyła na niego, zdenerwowana i zaskoczona.

- Spóźniliśmy się - powiedziała z naciskiem.

- Jest ranna.

Jessica obejrzała się na dziewczynę na chodniku. Priorytety. Richardowi stanowczo brakowało priorytetów.

Twarz dziewczyny pokrywała warstwa brudu. Jej ubranie było mokre od krwi.

- Richardzie, spóźniliśmy się.

- Ona jest ranna - odparł z prostotą. Jego twarz przybrała wyraz, którego Jessica jeszcze na niej nie widziała.

- Richardzie! - rzuciła ostrzegawczo, potem jednak ustąpiła odrobinę, proponując kompromis. - Zadzwoń po karetkę. Tylko szybko.

Oczy dziewczyny otwarły się, białe i okrągłe w ciemnej od krwi i kurzu twarzy.

- Proszę, nie do szpitala. Znajdą mnie. Zabierz mnie w bezpieczne miejsce. Proszę. - Jej głos był bardzo słaby.

- Ty krwawisz - rzekł Richard. Obejrzał się, by sprawdzić, skąd przyszła. Ściana jednak była ceglana, lity mur.

- Pomóż mi — szepnęła. Powieki jej opadły.

- Kiedy zadzwonisz na pogotowie, nie podawaj nazwiska. Może musiałbyś złożyć zeznanie albo coś takiego. A nie chcę, by nasz wieczór zakończył się katastrofą...

Richardzie, co ty robisz?

Richard podniósł dziewczynę. Była zaskakująco lekka.

- Zabieram ją do siebie, Jess. Nie mogę jej tu zostawić. Powiedz panu Stocktonowi, że jest mi naprawdę bardzo przykro, ale zdarzyło się coś niespodziewanego. Z pewnością to zrozumie.

- Richardzie Oliverze Mayhew - powiedziała zimno Jessica. - Natychmiast połóż tę młodą osobę i podejdź tutaj, bo jeśli nie, zrywam nasze zaręczyny. Ostrzegam!

Richard poczuł ciepłą, lepką krew przesiąkającą przez koszulę. Czasami nic się nie da zrobić.

Odszedł.

Jessica stała na chodniku patrząc, jak Richard rujnuje jej wielki wieczór. Pod powiekami zapiekły ją łzy. Po chwili zniknął jej z oczu i wtedy, dopiero wtedy zakląła głośno i wyraźnie, i z całych sił cisnęła torebką o ziemię, dość mocno, by po betonie rozsypały się szminka, telefon komórkowy, kalendarz i kilka tamponów.

A potem, ponieważ nic innego nie mogła zrobić, pozbierała wszystko, włożyła do torebki i ruszyła do restauracji, by zaczekać na pana Stocktona.

Sącząc białe wino, próbowała obmyślić wiarygodny powód, dla którego narzeczony nie mógł jej towarzyszyć. Rozpaczliwie zastanawiała się, czy nie mogłaby po prostu powiedzieć, że Richard zmarł.

- To była bardzo nagła śmierć - mruknęła pod nosem.

Przez całą drogę Richard ani na moment nie zatrzymał się, by pomyśleć. Zupełnie jakby coś nim kierowało. Gdzieś w głębi umysłu ktoś - zwykły, rozsądny Richard Mayhew - mówił mu, jak idiotycznie się zachował. Powinien był wezwać policję albo karetkę, niebezpiecznie jest ruszać rannego, bardzo poważnie obraził Jessicę, będzie musiał spać dziś na kanapie, zniszczy sobie najlepszy garnitur, dziewczyna okropnie śmierdzi... Mechanicznie stawiał kroki. Cierpły mu ramiona, bolały plecy, a on, ignorując spojrzenia przechodniów, szedł naprzód. Wreszcie znalazł się przy wejściu na klatkę schodową. Potykając się, wszedł na górę, stanął przed swymi drzwiami - i w tym momencie uświadomił sobie, że zostawił klucze w środku na stoliku...

Dziewczyna wyciągnęła brudną dłoń ku drzwiom, które otwarły się lekko.

Nigdy nie sądziłem, iż ucieszy mnie fakt, że zamek nie zaskoczył, pomyślał Richard, wnosząc ją do środka. Nogą zamknął za sobą drzwi i położył dziewczynę na łóżku.

Przód jego koszuli był mokry od krwi.

Nieznajoma sprawiała wrażenie półprzytomnej. Jej powieki trzepotały.

Zdjął z niej skórzaną kurtkę. Na lewym ramieniu miała głęboką ranę. Richard aż syknął na jej widok.

- Posłuchaj, muszę wezwać lekarza - rzekł cicho. - Słyszysz mnie?

Otworzyła oczy - okrągłe, przerażone.

- Proszę, nie. Nic mi nie będzie. Nie jest aż tak źle, jak się zdaje. Potrzeba mi tylko snu.

Żadnych lekarzy.

- Ale twoje ramię, twoja ręka...

- Nic mi nie będzie. Jutro. Proszę. - Jej głos opadł do szeptu.

- No dobrze, jeśli tego chcesz. - Powoli wracał mu rozsądek. - Posłuchaj, mógłbym spytać...

Dziewczyna spała.

Na palcach wyszedł z sypialni, zamykając za sobą drzwi. Potem usiadł na kanapie przed

telewizorem, zastanawiając się, co właściwie zrobił.

ROZDZIAŁ 2

Był gdzieś głęboko pod ziemią, może w tunelu czy kanale. Słabe, migotliwe światło nie rozpraszało ciemności; przeciwnie, podkreślało ją.

Nie był sam. Obok niego szli inni ludzie.

Teraz biegł kanałem, rozbryzgując wokół błoto. Krople wody spadały powoli, krystalicznie czyste w mroku.

Skręcił za róg. To już na niego czekało.

Było wielkie. Wypełniało sobą cały kanał. Opuszczony masywny łeb, ciało i oddech, parujące w zimnym powietrzu. Dzik! - pomyślał z początku, a potem uświadomił sobie, że to bzdura; żaden dzik nie mógłby być taki wielki. To coś było rozmiaru byka, tygrysa, samochodu.

Patrzyło na niego. Przez sto lat tkwiło nieruchomo, podczas gdy on unosił włócznię.

A potem zaatakowało. Cisnął włócznią, lecz się spóźnił. Bestia rozdarła mu bok ostrymi jak brzytwa szablami. Czuł, jak życie umyka z niego w błoto, i zrozumiał, że runął twarzą w wodę, która błyskawicznie nabrała szkarłatnej barwy od strug dławiącej krwi...

Próbował krzyknąć, obudzić się, ale jedynie wciągnął w płuca błoto, krew i wodę. Czuł tylko ból...

- Zły sen? - spytała dziewczyna.

Richard usiadł gwałtownie na kanapie, gorączkowo chwytając powietrze. Mimo zaciągniętych zasłon wiedział, że jest już rano. Pomacał wokół siebie w poszukiwaniu pilota, który wbił mu się gdzieś w okolice krzyża, i wyłączył telewizor.

- Tak - odparł. - W pewnym sensie.

Starł ręką śpiochy zaklejające mu oczy i uważnie przyjrzał się samemu sobie. Z ulgą dostrzegł, że przed zaśnięciem zdjął buty i marynarkę. Przód jego koszuli pokrywało błoto i zaschnięta krew.

Bezdomna dziewczyna nie odpowiedziała. Wyglądała okropnie — chuda i blada pod warstwą brudu i brązowej, zakrzepłej krwi. Miała na sobie osobliwy zestaw ubrań, włożonych jedno na drugie; dziwnych strojów, brudnych aksamitów, zabłoconych koronek, dziur, przez które wyglądały kolejne warstwy i style.

Richard pomyślał, że wygląda, jakby dokonała nocnego najazdu na Dział Historii Mody w Muzeum Wiktorii i Alberta, i włożyła na siebie wszystko, co udało się jej ukraść.

Zawsze nienawidził ludzi, którzy mówią rzeczy oczywiste, tych, którzy podchodzą do człowieka i informują o czymś, co z pewnością sam zdążył już zauważyć: „Ale pada” albo „Od pańskiej torby właśnie odpadło dno i całe zakupy wylądowały w kałuży”, czy nawet: „Oj, założę się, że to boli”.

- A zatem wstałaś - rzekł, nienawidząc samego siebie.

- Czyja to baronia? - spytała dziewczyna. - Czyje lenno?

- Słucham?

Rozejrzała się podejrzliwie.

- Gdzie ja jestem?

- Mieszkanie numer cztery, Newton Mansions, Little Camden Street...

Urwał. Nieznajoma rozsunała zasłony i zafascynowana wyglądała przez okno, choć

przecież rozciągający się w dole widok był zupełnie zwyczajny: samochody i autobusy, niewielkie skupisko sklepów - kiosk z gazetami, piekarnia, apteka i sklep alkoholowy.

- Jestem w Londynie Nad - rzekła. Nad czym? - pomyślał Richard.

- Tak, jesteś w Londynie - odparł. - Mam wrażenie, że wczoraj wieczorem byłeś w szoku. Paskudna rana. - Odczekał chwilę z nadzieją, że dziewczyna coś powie, wyjaśni, ona jednak zerknęła tylko na niego i powróciła do obserwowania autobusów i sklepów. - Ja... no, znalazłem cię na chodniku. Wokół było mnóstwo krwi.

- Nie przejmuj się - odparła z powagą. - W większości nie była moja. Puściła zasłony. Potem obejrzała ranę na ramieniu.

- Będziemy musieli coś z tym zrobić - oznajmiła. — Pomożesz mi? Richard zaczynał czuć się nieco zagubiony.

- Niezbyt dobrze znam się na pierwszej pomocy.

- Jeśli jesteś naprawdę bojaźliwy - rzekła - przytrzymasz mi tylko bandaż i zawiążesz końce, których nie dosięgnę. Masz chyba bandaż, prawda?

Richard przytaknął.

- O tak - rzekł. - W apteczce, pod umywalką.

A potem poszedł do sypialni i przebrał się, rozważając, czy płamy z koszuli (najlepszej koszuli, którą kupiła mu, o Boże, Jessica; ale się wścieknie!) kiedykolwiek zejść.

Zakrwawiona woda z czymś mu się kojarzyła - z jakimś snem, który nawiedził go kiedyś; lecz zupełnie nie mógł sobie przypomnieć, o co w nim chodziło.

Wyciągnął zatyczkę i ponownie napełnił umywalkę czystą wodą, do której dodał hojną porcję dettolu. Ostra, antyseptyczna woń wydała mu się czymś niezwykle trzeźwym i normalnym. Oto lek na osobliwość sytuacji i jego gościa. Dziewczyna nachyliła się i Richard obmył ciepłą wodą jej ramię i rękę.

W rzeczywistości nie był wcale taki bojaźliwy, jak sądził. Owszem, okazywał zdumiewającą słabość na widok krwi w telewizji. Dobry film o zombie, czy nawet dosłowny dokument medyczny wystarczył, by skulony zaszył się w kącie, zasłaniając rękami oczy i mamrocząc pod nosem: „Powiedz mi, kiedy to się skończy”. Jeśli jednak chodziło o prawdziwą krew, prawdziwy ból, bez wahania zaczynał działać.

Oczyścili ranę - znacznie mniej poważną, niż Richard pamiętał - i zabandażowali. W trakcie całego procesu dziewczyna bardzo starała się nie okazywać bólu. Richard odkrył, że zastanawia się, ile lat ma nieznajoma, jak wygląda pod tym brudem, czemu mieszka na ulicy i...

- Jak się nazywasz? - spytała.

- Richard. Richard Mayhew. Dick.

Skinęła głową, jakby uczyła się tego na pamięć.

- Richardrichardmayhewdick - powtórzyła.

Zadzwieczał dzwonek.

Richard rozejrzał się po kompletnie zabałaganionej łazience. Spojrzał na dziewczynę. Jak wyglądałoby to w oczach normalnego obserwatora z zewnątrz, takiego jak na przykład...

- O Boże! — jęknął, przypominając sobie najgorsze. - Założę się, że to Jess. Ona mnie zabije! - Samokontrola, samokontrola! - Zaczekaj tutaj - rzekł do dziewczyny.

Zamknął za sobą drzwi łazienki i pobiegł do wejścia.

Odetchnął głośno, czując przejmującą ulgę. To nie była Jessica, tylko - właściwie kto? Mormoni, świadkowie Jehowy, policja? Nie potrafił powiedzieć. W każdym razie było ich

dwóch.

Mieli na sobie czarne garnitury — lekko wyświecone, lekko podniszczone. Nawet Richard, kompletny dyslektyk w języku mody, odniósł wrażenie, że jest coś nie tak z ich krojem. Podobne garnitury mógłby uszyć dwieście lat temu krawiec, który znał nowoczesny strój z opisu, lecz nigdy nie oglądał go na własne oczy. Linie były nie takie, akcenty źle rozmieszczone.

Lis i wilk, pomyślał Richard. Zdumiało go to skojarzenie.

Mężczyzna z przodu, lis, był niższy od niego. Miał oklapłe, przetłuszczone włosy i bladą cerę. Gdy Richard otworzył drzwi, tamten uśmiechnął się szeroko, ułamek sekundy za późno.

- Dzień dobry waszmości - rzekł - w ten piękny, radosny poranek.

- Ach tak. Witam - odparł Richard.

- Prowadzimy poszukiwania natury osobistej i bardzo delikatnej. Czy moglibyśmy wejść do środka?

- To nie najlepszy moment - rzekł Richard. - Pracujecie w policji? - spytał.

Drugi z przybyszów, wilk, wysoki, stojący o krok za przyjacielem i przyciskający do piersi plik kserograficznych odbitek, jak dotąd milczał; po prostu czekał, potężny, beznamiętny. Teraz zaśmiał się krótko, cicho i paskudnie. W jego śmiechu było coś niezdrowego.

- Niestety - odparł niższy - nie możemy poszczycić się podobnymi koneksjami. W kartach, które Pani Fortuna rozdała memu bratu i mnie, zabrakło powołania do służby w ochronie porządku, choć niewątpliwie byłaby bardzo zajmująca. Nie, jesteśmy tylko zwykłymi obywatelami. Proszę pozwolić, że się przedstawię. Jestem pan Croup, a ten dzentelmen to mój brat, pan Vandemar.

Zupełnie nie wyglądali na braci. Nie przypominali nikogo, kogo Richard kiedykolwiek spotkał.

- Pański brat? — spytał Richard - Czy nie powinien nosić tego samego nazwiska?

- Jestem pod wrażeniem. Co za umysł, panie Vandemar. Powiedzieć, że sprawny i bystry, to za mało. Niektórzy z nas mają tak ostry dowcip — nieznajomy nachylił się bliżej Richarda i wspiął na palce ku jego twarzy - że mogą się skaleczyć.

Richard cofnął się o krok.

- Możemy wejść? — spytał pan Croup.

- Czego chcecie?

Pan Croup westchnął w sposób, który najwyraźniej miał zabrzmieć żałośnie.

- Szukamy naszej siostry - wyjaśnił. - To niesforne dziecko, uparte i kapryśne. O mało nie złamała serca naszej biednej, owdowiałej matce.

- Uciekła - wtrącił łagodnie pan Vandemar. Wcisnął w dłoń Richarda odbitkę ksero. — Jest trochę... dziwna - dodał zataczając na czole kółko gestem wskazującym, że dziewczyna to kompletna wariatka.

Richard spojrział na ulotkę.

Napisano na niej:

WIDZIELIŚCIE TĘ DZIEWCZYNY?

Poniżej znajdowało się szare, niewyraźne zdjęcie przedstawiające porządniejszą, czystą, długowłosą wersję młodej damy, którą zostawił w łazience.

Pod spodem widniał napis:

ODPOWIADA NA IMIĘ DEE. GRYZIE i KOPIE. UCIEKŁA.
ZAWIADOMCIE NAS, JEŚLI JĄ SPOTKACIE.
CHCEMY JĄ ODNALEŹĆ. NAGRODA.

Jeszcze niżej numer telefonu.

Ponownie spojrzął na zdjęcie. Niewątpliwie widniała na nim dziewczyna z łazienki.

- Nie - rzekł. - Obawiam się, że jej nie widziałem. Przykro mi.

Pan Vandemar jednak nie słuchał. Uniósł głowę i zaczął węszyć w powietrzu jak ktoś, kto poczuł nagle dziwny, nieprzyjemny zapach. Richard wyciągnął rękę, aby oddać mu ulotkę, lecz rosły mężczyzna jedynie przepchnął się obok niego i wmaszerował do mieszkania, niczym wilk ścigający zdobycz.

Richard pobiegł za nim.

- Co pan wyprawia?! Proszę przestać! Wynoś się stąd! Nie możesz tam wejść...

Pan Vandemar kierował się wprost do łazienki.

Richard miał nadzieję, że dziewczyna - Dee? - zachowała dość rozsądku, by zamknąć drzwi. Ale nie. Pchnięte przez pana Vandemara otwarły się szeroko. Mężczyzna wszedł do środka, a Richard podążył za nim. Czuł się jak mały, niezgrabny psiak oszczekujący listonosza

Łazienka nie była duża. Mieściła się w niej wanna, klozet, umywalka, kilka butelek szamponu, kostka mydła i ręcznik. Gdy Richard wyszedł z niej kilka minut wcześniej, łazienka kryła też w sobie brudną, zakrwawioną dziewczynę, poplamioną krwią umywalkę i otwartą apteczkę. Teraz świeciła czystością.

Dziewczyna w żaden sposób nie mogła się w niej ukryć.

Pan Vandemar wyszedł z łazienki, otworzył drzwi sypialni, wmaszerował do środka, rozejrzał się.

- Nie wiem, co pan sobie wyobraża — rzekł Richard - ale jeśli obydwaj natychmiast nie opuścicie mojego mieszkania, wezwę policję.

Wówczas pan Vandemar, który badał właśnie salon, odwrócił się i Richard nagle uświadomił sobie, że okropnie się boi, zupełnie jak mały piesek, który odkrył właśnie, że osoba, którą wziął za listonosza, jest w istocie olbrzymim, pożerającym psy przybyszem z innej planety, prosto z filmu z rodzaju tych, które Jessica uważała za niewarte jej czasu.

Zaciekawił się przelotnie, czy pan Vandemar należy do ludzi, którym mówi się „Nie rób mi krzywdy!”, i jeśli tak, czy słowa te na cokolwiek się zdadzą.

Wówczas odezwał się lisi pan Croup:

- Oczywiście. Co pana naszło, panie Vandemar? Założę się, że to rozpacz po ucieczce naszej drogiej, kochanej siostry zamąciła mu w głowie. Proszę przeprosić tego pana, panie Vandemar.

Pan Vandemar skłonił głowę i namyślał się przez moment.

- Zdawało mi się, że muszę skorzystać z toalety — rzekł. -Nie musiałem. Przepraszam. Pan Croup ruszył w stronę wyjścia.

-No proszę. Mam nadzieję, że wybaczy pan memu bratu brak obycia. Ręczę, że to troska o naszą biedną owdowiałą matkę i siostrę, która w tej chwili zapewne błąka się po ulicach Londynu bez opieki, tak go poruszyła. W sumie jednak dobrze mieć go u swego boku. Czy nie tak, mój rosły druhu? - Przekroczyli już próg i znaleźli się na klatce schodowej. Pan Vandemar milczał. Zupełnie nie wygłądał na oszalałego z rozpacz.

Croup odwrócił się do Richarda i posłał mu kolejny lisi uśmiech.

- Zawiadomi nas pan, jeśli ją zobaczy - rzekł.
- Do widzenia - odparł Richard. Zamknął drzwi i przekręcił zamek. A potem, po raz pierwszy, odkąd wprowadził się do tego mieszkania, zaciągnął łańcuch.
- Nie jestem gruby — powiedział pan Vandemar.
Pan Croup, który na pierwszą wzmiankę o policji przeciął linię telefoniczną Richarda i teraz zastanawiał się, czy wybrał właściwy kabel, bo dwudziestowieczna technika nie była jego specjalnością, wziął ulotkę.
— Wcale tak nie twierdziłem — odparł. - Napluj.
Pan Vandemar zebrał w ustach nieco śliny i splunął wprost na tył ulotki. Pan Croup przycisnął ją mocno do ściany obok drzwi Richarda. Przywarła tam na dobre.
WIDZIELIŚCIE TĘ DZIEWCZYNE? - pytała.
- Powiedziałeś „rosły druh”. To znaczy gruby.
- „Rosły” znaczy też silny, solidny, potężny, pełen wigoru, odważny, śmiały i pomysłowy — odparł pan Croup. — Wierzysz mu?
Ruszyli w dół. po schodach.
- Wierzę, akurat - powiedział pan Vandemar. - Czuję jej zapach.

Richard odczekał, póki nie usłyszał trzaśnięcia drzwi klatki schodowej kilka pięter niżej. Właśnie ruszył w stronę łazienki, gdy wytrącił go z równowagi dźwięczący przeraźliwie dzwonek telefonu. Popędził do przedpokoju i podniósł słuchawkę.
- Halo? Halo!
Ze słuchawki nie dobiegł żaden dźwięk. Zamiast tego rozległo się szcęknięcie i w głośniku sekretarki na stoliku zabrzmiał głos Jessiki.
- Richardzie, mówi Jessica. Żałuję, że nie ma cię w domu, bo byłaby to nasza ostatnia rozmowa i bardzo chciałam powiedzieć ci to bezpośrednio.
Uświadomił sobie, że telefon nie działa. Wychodzący ze słuchawki przewód kończył się dwadzieścia centymetrów niżej, starannie odcięty. Mimo wszystko zaczął krzyczeć do mikrofonu, powtarzając słowa takie jak: „Jessica”, „jestem tutaj” i „proszę, nie rozłączaj się”.
- Narobiłeś mi wczoraj okropnego wstydu, Richardzie — ciągnęła dalej Jessica. — Jeśli o mnie chodzi, nasz związek jest skończony. Nie zamierzam zwracać ci pierścionka ani w ogóle się z tobą spotykać. Mam nadzieję, że ty i twoja zraniona ptaszyna zgnijecie w piekle. Żegnam!
- Jessica!- krzyknął Richard w płonnej nadziei, że jeśli zrobi to dostatecznie głośno, zdoła jakoś przeniknąć w głąb sieci telekomunikacyjnej.
Taśma przestała się obracać. Rozległo się kolejne szcęknięcie i mała czerwona lampka sekretarki zamrugała.
- Złe wieści? - spytała dziewczyna.
Stała tuż za nim w ciasnej kuchni. Jej ramię okrywał bandaż. Wyciągała torebki herbaty i wkładała je do kubków. Woda już wrzała.
- Tak - odparł Richard. - Bardzo złe. - Podszedł do niej, podał jej ulotkę WIDZIELIŚCIE TĘ DZIEWCZYNE? -To ty, prawda?
- To zdjęcie mnie przedstawia, owszem.

-I nazywasz się... Dee? Potrząsnęła głową.

- Nazywam się Drzwi, Richardrichardmayhewdicku. Mleko, cukier? W tym momencie Richard czuł się już kompletnie zgubiony.

- Richardzie, po prostu Richardzie - rzekł. - Bez cukru. - Potem dodał. - Słuchaj, jeśli to nie jest osobiste pytanie, możesz mi powiedzieć, co ci się stało?

Drzwi naląła do kubków wrzątku.

- Nie chcesz tego wiedzieć - odparła z prostotą.

- Cóż, przykro mi, że...

- Nie, Richardzie. Naprawdę nie chcesz tego wiedzieć. Nie wyszłoby ci to na dobre. I tak zrobiłeś więcej, niż powinienś.

Wyjęła torebki i podała mu kubek herbaty. Odbierając go od niej uświadomił sobie, że wciąż ścisną w dłoni słuchawkę.

- No cóż, wiesz... nie mogłem cię tak po prostu zostawić.

- Mogłeś - odparła. - Ale nie zrobiłeś tego.

Przywarła do ściany i zerknęła przez okno. Richard także wyjrzał na zewnątrz. Po drugiej stronie ulicy pan Croup i pan Vandemar wychodzili właśnie ze sklepu z gazetami. Ulotka WIDZIELIŚCIE TĘ DZIEWCZYNE? wisiała na honorowym miejscu na wystawie.

- To naprawdę twoi bracia? — spytał.

- Nie żartuj, proszę — odparła beznamyślnie Drzwi. Richard pociągnął łyk herbaty, udając, że wszystko jest najzupełniej normalne.

- Gdzie właściwie byłaś... no wiesz, przed chwilą?

- Byłam tutaj - odparła. - Posłuchaj, ponieważ ci dwaj się tu kręcą, będziemy musieli przesłać wiadomość... - zawiesiła głos - komuś, kto może mi pomóc. Nie odważę się stąd wyjść.

- Nie znasz jakiegoś bezpiecznego miejsca? Kogoś, do kogo moglibyśmy zatelefonować?

Drzwi wyjęła mu z ręki słuchawkę z dyndającym kawałkiem obciętego kabla i potrząsnęła głową.

- Moi przyjaciele nie mają telefonów - rzekła. Położyła słuchawkę na widelki i zostawiła ją tam, samotną, bezużyteczną. Nagle uśmiechnęła się przewrotnie.

- Okruszki!

- Słucham? - spytał Richard.

Dziewczyna otworzyła okienko na tyłach sypialni, wychodzące na mały skrawek dachu i rynnę, i rozsypała wokół okruszki. Aby dosięgnąć okna, musiała stanąć na łóżku Richarda.

- Ale ja nie rozumiem - zaprotestował Richard.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się. - A teraz ciii...

Nagle rozległ się trzepot skrzydeł. Towarzyszył mu fioletowo-szaro-zielony rozbłysk światła na piórach gołębia. Ptak zaczął dziobać okruszki. Drzwi wyciągnęła rękę i podniosła go. Spojrzał na nią ciekawie, ale nie protestował.

Usiedli na łóżku. Drzwi oddała Richardowi gołębia. Sama przymocowała mu do nóżki wiadomość, używając do tego jaskrawobłękitnej gumki, która wcześniej opasywała plik starych rachunków za prąd.

Richard bez entuzjazmu przyjął ptaka.

- Nie pojmuję, jaki w tym sens - narzekał. — To przecież nie jest gołąb pocztowy, tylko zwykły londyński, z tych, co to srają na lorda Nelsona.

-Zgadza się - odparła Drzwi. Policzek miała zadrapany, a włosy splątane; splątane, lecz nie skołtunione. Delikatnie odebrała ptaka i spojrzała mu prosto w oczy. Gołąb przekrzywił głowę, wpatrując się w nią uważnie.

- W porządku - rzekła, po czym wydała z siebie odgłos przypominający gruchanie gołębia. - W porządku, Crrrrprlrr. Masz znaleźć markiza de Carabas, zrozumiałaś?

Gołąb zagruchał coś w odpowiedzi.

- Świetnie. To ważne, więc lepiej...

Ptak przerwał jej niecierpliwym gruchaniem.

- Przepraszam - rzekła Drzwi. - Oczywiście, to jasne, wiesz, co robisz.

Wypuściła ptaka przez okno. Richard z rozbawieniem oglądał całą tę scenę.

- Wiesz, przez chwilę miałem wrażenie, że on cię rozumie - rzekł, gdy gołąb wzbił się w niebo i zniknął pośród dachów kamienic.

- To ci dopiero - odparła Drzwi. - A teraz czekamy.

Podeszła do stojącego w kącie sypialni regału, znalazła egzemplarz „Mansfield Parku”, o którego istnieniu Richard nie miał wcześniej pojęcia, i zniknęła w salonie.

Richard poszedł za nią. Dziewczyna usiadła na kanapie i otworzyła książkę.

- To zdrobienie od Dee? - spytał.

- Co?

- Twoje imię.

- Nie.

- Jak je wymawiasz?

- Drzwi. Jak coś, przez co się przechodzi.

- Ach tak. - Czuł, że musi powiedzieć coś jeszcze, więc rzekł: - Co to w ogóle za imię?

Spojrzała na niego swymi różnobarwnymi oczami.

- Moje imię.

Potem wróciła do lektury Jane Austen. Richard znalazł pilota i włączył telewizor. Zmienił kanał. Zmienił ponownie. Westchnął. Przeskoczył na następny.

- No to na co czekamy?

Drzwi przewróciła kartkę. Nie uniosła wzroku.

- Na odpowiedź.

- Jaka odpowiedź? Wzruszyła ramionami.

- Ach tak. Jasne.

Nagle dostrzegł, że teraz, po usunięciu większości brudu i krwi, jej skóra jest bardzo blada. Zastanawiał się, czy bladość tę spowodowała choroba, czy utrata krwi. A może po prostu dziewczyna nieczęsto wychodziła na dwór? Może siedziała w więzieniu? Choć na to była chyba za młoda. Może wyższy z mężczyzn mówił prawdę, twierdząc, że jest wariatką...

- Posłuchaj, kiedy zjawili się tu ci ludzie...

- Ludzie? - Błysk różnobarwnych oczu.

- Croup i no, Vanderbilt.

- Vandemar. - Zastanawiała się przez chwile, po czym przytaknęła. - Owszem, chyba można nazwać ich ludźmi. Mają po dwie nogi, dwie ręce i po jednej głowie.

Richard nie dał się zbić z tropu.

- Wiec wtedy, kiedy się tu zjawili, gdzie byłaś? Polizała palec i odwróciła stronę.

- Tutaj.

- Ale... - Umilkł, bo zabrakło mu słów. Nie mogła ukryć się nigdzie w mieszkaniu. Ale przecież z niego nie wyszła. Ale...

W tym momencie rozległ się szelest. Pomiedzy stosami kaset wideo pod telewizorem poruszyło się coś ciemnego.

- Jezu! - jęknął Richard, z całej siły ciskając pilotem, który z hukiem uderzył w kasety. Coś ciemnego zniknęło.

- Richardzie! — warknęła Drzwi.

- Już dobrze - wyjaśnił. — To chyba był szczur czy coś takiego.

Spojrzała na niego gniewnie.

- Oczywiście, że to był szczur. Teraz go przestraszyłeś. Biedactwo. Rozejrzała się po pokoju, po czym zaświstała przez zęby.

- Halo! - zawołała. Uklękła na podłodze, porzucając „Mansfield Park”. - Halo?

Z wściekłą miną obejrzała się przez ramię.

-Jeśli zrobiłeś mu krzywdę... - zaczęła groźnie, ale zaraz znacznie łagodniejszym tonem zwróciła się do pokoju: - Przepraszam, to idiota. Halo?

- Nie jestem idiotą! - zaprotestował Richard.

- Ciii... Halo?

Spod kanapy wyjrzało dwoje małych czarnych oczu. Za nimi wynurzyła się reszta głowy, podejrzliwie kołyszącej się na boki. Zwierzę było zdecydowanie zbyt duże jak na mysz.

- Witaj! - pozdrowiła je ciepło Drzwi. - Nic ci nie jest?

Wyciągnęła rękę. Zwierzątko wbiegło jej na ramię i tam przycupnęło. Drzwi pogładziła je palcem. Było ciemnobrązowe, miało długi różowy ogon. Do jego boku przymocowano coś, co wyglądało jak złożony skrawek papieru.

- To szczur! - powiedział Richard, uznawszy, że są takie chwile w życiu człowieka, kiedy może wspomnieć o rzeczach oczywistych.

- Oczywiście. Nie przeprosisz go?

- Co?

- Przepróż.

Może niedokładnie coś usłyszał. Może to on zaczął wariować.

- Szczura?

Drzwi milczała znacząco.

- Przepraszam.— rzekł Richard z godnością, zwracając się do zwierzęcia -jeśli cię przestraszyłem. Szczur zerknął na Drzwi.

- Nie, on naprawdę tak myśli - powiedziała. — To nie tylko słowa. Co dla mnie masz?

Obmacała bok szczura i oderwała od niego wielokrotnie złożony kawałek brązowego papieru, przytrzymywany czymś, co Richardowi dziwnie przypominało jaskrawoniebieską gumkę.

Dziewczyna rozłożyła obszarpany kawałek papieru pakowego pokryty czarnym, pajęczym pismem.

Szybko przebiegła je wzrokiem.

- Dziękuję - rzekła do szczura. - Jestem wdzięczna za to, co zrobiłeś.

Zwierzątko zbiegło na kanapę. Przez moment gniewnie patrzyło na Richarda, po czym

zniknęło wśród cieni.

Dziewczyna zwana Drzwi podała liścik Richardowi.

- Proszę - powiedziała. - Przeczytaj to.

Było późne popołudnie, a że zbliżała się jesień, w centrum Londynu zapadał już zmrok. Richard pojechał metrem na Tottenham Court Road i szedł teraz na zachód Oxford Street, trzymając w dłoni kawałek papieru.

- To wiadomość - powiedziała, podając mu go - od markiza de Carabas. Richard był pewien, że słyszał już kiedyś to nazwisko.

- Świetnie — rzekł. - Zabrakło mu kartek pocztowych?

- Tak jest szybciej.

Minął światła sklepu Yirgin, sklepik sprzedający pamiątkowe czapki policyjne i małe czerwone londyńskie autobusy, a także bar oferujący kawałki pizzy. Potem skręcił w prawo...

- Musisz kierować się zapisanymi tu wskazówkami. Postaraj się, by nikt cię nie śledził. — Potem westchnęła i dodała: — Naprawdę nie powinnam tak bardzo cię angażować.

- Jeśli to zrobię... czy szybciej stąd odejdziesz?

- Tak.

Był teraz na Hanway Street, wąskiej, ciemnej uliczce, pełnej mrocznych sklepów z płytami i zamkniętych restauracji. Jedyne światło dopływało z zamkniętych alkoholowych klubów na piętrach kamienic. Szedł naprzód.

„...Skręć w prawo w Hanway Street, w lewo w Hanway Place, potem znów w prawo w pasaż Orme. Zatrzymaj się przy pierwszej latarni”. Jesteś pewna, że nie ma tu błędu?

-Tak.

Richard nie pamiętał pasażu Orme, choć był już wcześniej na Hanway Place. W jednej z tutejszych suterren mieściła się hinduska restauracja, którą lubił odwiedzać Garry z pracy. Richard zapamiętał, że Hanway Place jest ślepym zaułkiem.

Mandeer: to właśnie ta restauracja. Minął jej wejście, stopnie wiodące zachęcająco w dół, a potem skręcił w lewo...

Mylił się. Rzeczywiście był tam pasaż Orme. Dostrzegł nawet tabliczkę.

PASAŻ ORME W1

Nic dziwnego, że wcześniej go nie zauważył; była to zaledwie alejka między domami, oświetlona mrugającą latarnią gazową. Niewiele się już takich widuje, pomyślał Richard i uniósł do światła swe instrukcje, odczytując niewyraźne pismo.

“Potem odwróć się trzykroć, opacznie”.

- Opacznie to znaczy w kierunku przeciwnym do mchu wskazówek zegara, Richardzie. Obrócił się trzy razy. Czuł się strasznie głupio.

- Czemu właściwie muszę robić to wszystko, by spotkać się z twoim przyjacielem? To przecież bzdury.

- To nie są bzdury. Naprawdę. Zrób mi tę przyjemność. Dobrze?

I uśmiechnęła się do niego.

Przestał się obracać. Przeszedł alejką do jej końca. Nic. Metalowy kubek na śmieci, a obok niego coś, co przypominało kupę szmat.

- Halo! - zawołał Richard. - Jest tu kto? Jestem przyjacielem Drzwi. Halo!

Nie. Nikogo tu nie było.

Richard poczuł dziwną ulgę. Teraz mógł wrócić do domu i wyjaśnić dziewczynie, że nic

się nie stało. Potem zadzwoni do Odpowiednich Władz, które Wszystko Załatwią.

Zmiał papier w ciasną kulkę i cisnął go w stronę kosza.

Coś, co Richard wziął za stos szmat, jednym płynnym ruchem uniosło się, urosło i wstało. W ciemnej twarzy płonęły białka oczu. Czyjaś dłoń pochwyciła w powietrzu zgniecioną kartkę.

- To chyba moja własność - rzekł markiz de Carabas.

Miał na sobie obszerny prochowiec, wysokie czarne buty i obszarpane ubranie. Przez moment uśmiechnął się, błyskając białymi zębami, jakby usłyszał dobry żart. Skłonił się Richardowi i rzekł:

- De Carabas, do usług. A ty jesteś...

- Umm - odparł Richard. - Eee. Umm.

- Jesteś Richard Mayhew, młody człowiek, który uratował naszą ranną Drzwi. Jak ona się czuje?

- Nooo, hmmm, już w porządku. Ramię wciąż ma...

- Jej szybka rekonwalescencja z pewnością zaskoczy nas wszystkich. W jej rodzinie wszyscy niezwykle szybko odzyskiwali siły. Zdumiewające, że ktoś zdołał ich jednak zabić.

Mężczyzna, nazywający siebie markizem de Carabas, krążył niespokojnie po alejce. Cały czas był w ruchu.

- Ktoś zabił rodzinę Drzwi? - spytał Richard.

- Nie zajdziemy daleko, jeśli będziesz powtarzał wszystko, co ci powiem, prawda? - Markiz stał teraz przed Richardem. - Usiądź - polecił.

Richard rozejrzał się wokół w poszukiwaniu czegoś, na czym mógłby przysiąc. Markiz położył mu rękę na ramieniu i jednym pchnięciem posłał na bruk.

- Ona wie, że nie jestem tani. Co dokładnie mi proponuje?

- Słucham?

- Jaka jest stawka? Przysłała cię tu, żebyś ze mną negocjował, młody człowieku. Nie jestem tani i nigdy nie robię niczego za darmo.

Richard wzruszył ramionami, jeśli w ogóle można wzruszyć ramionami leżąc na wznak na ziemi.

- Kazała ci powtórzyć, że chce, abys zabrał ją do domu -gdziekolwiek on jest - i znalazł jej ochroniarza.

Nawet gdy markiz zatrzymał się, jego oczy wciąż się poruszały, w górę, w dół, wokół, jakby czegoś szukał, o czymś myślał, dodawał, odejmował, oceniał.

Richard zastanowił się przelotnie, czy jego rozmówca nie jest przypadkiem szalony.

- I proponuje mi...?

- No cóż. Nic.

Markiz dmuchnął na paznokcie i wytarł je o klapę płaszcza. Potem odwrócił się.

- Jej propozycja to... nic? - W jego głosie zabrzmiała uraza. Richard dzwignął się na nogi.

- Nie wspominała o pieniądzach. Powiedziała tylko, że będzie ci winna przysługę. W ciemności błysnęły oczy.

- Jaką dokładnie przysługę?

- Ogromną - odparł Richard. - Powiedziała, że będzie ci winna ogromną przysługę.

De Carabas uśmiechnął się szeroko niczym tygrys, który dostrzegł samotne, zbląkane dziecko. Potem odwrócił się do Richarda.

- A ty zostawiłeś ją samą? - spytał. - Choć w pobliżu krążą Croup i Vandemar? To na co czekamy?

Ukląkł i wyjął z kieszeni mały metalowy przedmiot. Wsunął go w pokrywę wjazdu u wylotu alejki i przekręcił. Pokrywa uniosła się lekko. Markiz schował metalowy przedmiot i z drugiej kieszeni wyjął coś, co przypominało nieco długi fajerwerk albo flarę.

Przesunął po niej dłonią. Jeden koniec rozbłysnął szkarłatnym płomieniem.

- Mogę o coś spytać? - rzekł Richard.

- Z całą pewnością nie - odparł markiz. - Nie będziesz o nic pytał. Nie usłyszysz żadnych odpowiedzi. Nie zejdziesz ze ścieżki. Nie będziesz nawet myślał o tym, co się z tobą dzieje. Zrozumiałeś?

- Ale...

- I najważniejsze: żadnych ale. Dama jest w opresji. Musimy ją zdeopresjować - oznajmił markiz. - Liczy się czas. Chodź.

Richard poszedł, zsuwając się po metalowej drabince na ścianie pod włazem. Czuł się tak bardzo zagubiony, że nawet stado przewodników nie wyprowadziłoby go na znany teren.

Zastanawiał się, gdzie właściwie są. Otoczenie nie przypominało kanału. Może to tunel do konserwacji kabli telefonicznych albo trasa małego pociągu, albo... coś jeszcze? Uświadomił sobie nagle, że niewiele wie o tym, co dzieje się pod jego stopami.

Szedł nerwowo naprzód w obawie, że wpadnie w jakąś dziurę, potknie się w ciemności i złamie nogę. De Carabas nonszalancko maszerował przodem. Wyraźnie go nie obchodziło, czy Richard mu towarzyszy, czy nie.

Czerwony płomień rzucał wielkie cienie na ścianę tunelu.

Richard podbiegł, by dotrzymać markizowi kroku.

- Zobaczmy — powiedział de Carabas. — Muszę dostarczyć ją na targ. Następny wypada za dwa dni, jeśli dobrze pamiętam. A oczywiście moja pamięć jest doskonała. Mogę ją ukryć do tego czasu.

- Targ? - spytał Richard.

- Ruchomy Targ. Ale ty nie chcesz o tym wiedzieć. Żadnych pytań. Richard rozejrzał się wokół.

- Zamierzałem właśnie spytać, gdzie teraz jesteśmy. Pewnie nie zechcesz mi odpowiedzieć? Markiz uśmiechnął się szeroko.

- Doskonale - rzekł. - I tak masz dość kłopotów.

-I to jakich! - westchnął Richard. - Narzeczona mnie rzuciła, pewnie będę sobie musiał kupić nowy telefon...

- Na Łuk i Świątynie! Telefon to najmniejsze z twoich zmartwień.

Carabas położył flarę na ziemi, gdzie nadal z sykiem rozbłyskiwała czerwonym ogniem, i zaczął wspinać się po metalowych szczeblach w ścianie.

Richard po chwili wahania podążył w jego ślady.

Szczeble były zimne i zardzewiałe. Czuł, jak szorstka rdza odpada pod palcami. Jej odłamki wlatywały mu do oczu i ust. Szkarłatne światło w dole raz jeszcze zamigotało i zgasło. Otoczyła ich absolutna ciemność.

- To co, wracamy do Drzwi?

- W końcu tak. Ale najpierw muszę coś zorganizować. Ubezpieczenie. Kiedy wyjdziemy na światło, nie patrz w dół.

- Czemu nie? - spytał Richard.

A potem światło uderzyło go w twarz. I spojrzął w dół.

Był jasny dzień. (Jak to możliwe? - spytał cichy głos wewnątrz jego głowy. Kiedy skrzył w alejkę, niemal zapadła już noc, a minęła najwyższej godzina). Richard tkwił na metalowej drabinie wiodącej w górę wielkiego budynku (ale przecież kilka sekund temu wspinał się po tej samej drabinie i znajdował się pod ziemią, prawda?), a pod sobą widział...

Londyn.

Małe samochody, autobusy i taksówki, małe budynki, drzewa, miniaturowe ciężarówki, maciupeńkich ludzi. Wszystko to wirowało mu przed oczami.

Można powiedzieć, że Richard niezbyt dobrze radził sobie z wysokościami, ale nie daje to pełnego obrazu sytuacji. Równie dobrze można by opisać planetę Jowisz jako większą od kaczki. Owszem, to prawda, lecz z pewnością nie cała prawda.

Nienawidzi! przepaści i wieżowców. Gdzieś w głębi jego duszy krył się strach, że pewnego dnia podejdzie do skraju urwiska i się nie zatrzyma.

Richard zamarł. Kurczowo zacisnął dłonie na szczeblach. Oczy bolały go gdzieś w głębi czaszki. Zaczął oddychać, zbyt głęboko, za szybko.

- Ktoś - rzekł rozbawiony głos nad jego głową - nie słuchał ostrzeżeń.

- Ja... - Richardowi gardło odmówiło współpracy. Przełknął ślinę, nawilżając je nieco. — Nie mogę się ruszyć. — Czuł, jak na jego dłonie występuje warstewka potu. A jeśli zacznie pocić się tak mocno, że ręce zsuną się ze szczebli i spadnie w otchłań?

- Oczywiście, że możesz. Jeśli nie, zostaniesz tutaj, będziesz wisiał na ścianie, póki nie zdrętwieją ci ręce, nogi nie ugną się i nie polecisz sto metrów w dół na spotkanie śmierci. Richard uniósł głowę, spoglądając na markiza. Carabas patrzył na niego z uśmiechem. Gdy dostrzegł, że Richard go obserwuje, oburącz wypuścił szczeble i pokiwał mu palcami.

Sam ten widok wystarczył, by Richardowi zakręciło się w głowie.

- Sukinsyn — mruknął pod nosem. Puścił prawą rękę i uniósł ją o dwadzieścia centymetrów, póki nie natknęła się na kolejny szczebel. Następnie przesunął prawą nogę.

Potem zrobił to samo lewą ręką.

Po dłuższej chwili znalazł się na skraju płaskiego dachu. Wgramolił się nań i runął bez sił.

Kątem oka dostrzegł markiza maszerującego po dachu, coraz dalej i dalej. Ukrył twarz w dłoniach. Pod sobą czuł błogosławione, twarde podłoże. Serce waliło mu w piersi.

- Nie jesteś tu mile widziany, de Carabas - powiedział niski, zrzędlawy głos. - Wynoś się! Idź stąd!

- Stary Bailey. - Richard wyraźnie usłyszał odpowiedź de Carabasa. - Wyglądasz bardzo krzepko.

A potem rozległo się szuranie posuwistych kroków. Ktoś łagodnie dźgnął go palcem między żebra.

- Wszystko z tobą w porządku, chłopcze? Mam właśnie zupę na ogniu. Chcesz się poczęstować? Rosół z gawrona.

Richard otworzył oczy.

- Nie, dziękuje - rzekł.

Najpierw ujrzał pióra. Nie był pewien, czy to płaszcz, peleryna, czy może co innego. Lecz niezależnie od rodzaju przyodziewku, pokrywały go pióra. Na górze, spomiędzy nich, wyglądała twarz, łagodna i pomarszczona. Ciało, w miejscach gdzie nie pokrywały go pióra, okręcone było ciasno sznurami. Richard przypomniał sobie nagle przedstawienie „Robinsona Crusoe”, na które zabrano go w dzieciństwie: to mógłby być Robinson Crusoe, gdyby wylądował na dachu zamiast na bezludnej wyspie.

- Nazywają mnie Stary Bailey, chłopcze - oznajmił Robinson Crusoe. Zaczął macać ręką w poszukiwaniu okularów wiszących na sznurku wokół szyi. Znalazł je, nałożył i uważnie przyjrzał się Richardowi. - Nie poznaję cię. Jakiej baronii złożyłeś hołd? Jak się nazywasz?

Richard usiadł powoli. Po drugiej stronie dachu dostrzegł coś, co wyglądało jak namiot. Stary brązowy namiot, połatany i pokryty białymi plamami ptasich odchodów.

- Nic nie mów! - rzucił markiz de Carabas. - Ani słowa. - Odwrócił się do Starego Bailey.

- Ludzie, którzy wtykają nieproszeni nosy w nie swoje sprawy, czasami - głośno pstryknął palcami tuż przed twarzą starca, który aż podskoczył - je tracą. Do rzeczy. Od dwudziestu lat jesteś mi winien przysługę. Dużą przysługę. Właśnie po nią przyszedłem. Stary człowiek zamrugął.

- Byłem głupcem - rzekł cicho.

- Nie ma to jak stary głupiec - zgodził się markiz. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął srebrne puzderko, większe niż tabakiera, mniejsze niż papierosnica i znacznie bardziej ozdobne. - Wiesz, co to jest?

- Niestety tak.

- Przechowasz to dla mnie.

- Nie chcę.

- Nie masz wyboru - uciął markiz. Tracił Richarda kwadratowym noskiem buta. — Dobra — rzekł. — Lepiej już ruszajmy. Nieprawdaż?

Pomaszerował przez dach. Richard podążył jego śladem, trzymając się jak najdalej od krawędzi. Markiz otworzył klapę i znaleźli się na kiepsko oświetlonej spiralnej klatce schodowej.

- Kim był ten człowiek?

Ich kroki odbijały się echem w półmroku.

- W ogóle nie słuchasz, co do ciebie mówię, prawda? I tak masz już problemy. Wszystko co robisz, wszystko co mówisz, co słyszysz, tylko pogarsza sprawę. Lepiej módl się, byś nie przekroczył granicy.

Richard pochylił głowę.

- Przepraszam — rzekł. - Wiem, że to osobiste pytanie, ale czy jesteś może chory na umyśle?

- Możliwe, choć dość nieprawdopodobne. Czemu pytasz?

- No cóż - odparł Richard. — Jeden z nas musi być.

Było kompletnie ciemno. Richard zachwiał się lekko, gdy dotarł do końca schodów i spróbował zejść ze stopnia, którego nie było.

- Uwaga na głowę! - rzucił markiz, otwierając drzwi. Richard uderzył o coś czołem i wyszedł, osłaniając oczy przed rażącym światłem.

Potarł czoło, potem przetarł oczy. Drzwi, którymi właśnie wyszli, należały do szafy na szczytce na jego własnej klatce schodowej.

Markiz oglądał ulotkę WIDZIELIŚCIE TĘ DZIEWCZYNE? przyklejoną obok drzwi Richarda.

- Nie najlepsze zdjęcie — zauważył.

A potem Richard otworzył frontowe drzwi i znalazł się w domu. Z olbrzymią ulgą przekonał się, że za oknami znów panuje noc.

- Richardzie! - wykrzyknęła Drzwi. - Udało ci się!

Umyła się podczas jego nieobecności. Z jej twarzy i rąk zniknęła ciemna warstwa. Wielowarstwowy strój wyglądał, jakby postarała się usunąć z niego większość brudu i krwi. Richard zastanawiał się, ile mogła mieć lat. Piętnaście? Szesnaście? Więcej? Wciąż nie potrafił określić.

Włożyła skórzaną kurtkę, którą miała na sobie, gdy ją znalazł — obszerne brązowe okrycie, przypominające starą kurtkę lotniczą; wydawała się w niej jeszcze drobniejsza i bardziej bezbronna.

- Owszem - odparł.

Markiz de Carabas ukląkł na jedno kolano i schylił głowę.

- Pani - rzekł.

Dziewczyna wzdrygnęła się lekko.

- Och, wstań, Carabas. Cieszę, że przyszedłeś. Wyprostował się zgrabnym, płynnym ruchem.

- Rozumiem — powiedział - że użyto tu słów: „przysługa”, „olbrzymia” i „winna”.

- Później. — Drzwi podeszła do Richarda i ujęła jego dłonie. - Richardzie, dziękuję. Jestem naprawdę wdzięczna za to, co zrobiłeś. Zmieniłam pościel w łóżku. Chciałabym móc ci się jakoś odwdziaczyć.

- Odchodzisz? Przytaknęła.

- Teraz będę już bezpieczna. Mniej więcej. Taką mam nadzieję. Przez jakiś czas.

- Dokąd pójdziesz?

Uśmiechnęła się łagodnie i potrząsnęła głową.

- Mm-mm. Znikam z twojego życia. Byłeś cudowny. Wspięła się na palce i ucałowała go w policzek.

- Gdybym kiedykolwiek chciał się z tobą skontaktować...

- Nie możesz. Nigdy. I... - urwała - posłuchaj, bardzo mi przykro. Rozumiesz?

Richard, zakłopotany, spuścił wzrok ku czubkom butów.

- Nie ma powodu - odparł i dodał z powątpiewaniem: - Było fajnie.

Potem uniósł wzrok. W mieszkaniu nie było już nikogo.

ROZDZIAŁ 3

W niedzielę rano Richard wyjął z szuflady na dnie szafy telefon w kształcie Batmobilu, który dostał kilka lat wcześniej na Gwiazdkę od ciotki Maude, i wetknął kabel do

gniazdka.

Próbował zadzwonić do Jessiki. Bez powodzenia. Jej sekretarka była wyłączona, podobnie komórka. Przypuszczał, że Jessica pojechała na wieś do rodziców. Oboje rodzice Richarda już nie żyli. Ojciec zmarł nagle, gdy Richard był małym chłopcem, na atak serca. Od tego czasu matka umierała, bardzo powoli, a kiedy Richard wyprowadził się, po prostu zgasła. Sześć miesięcy po wyjeździe do Londynu wrócił do Szkocji wagonem sypialnym i spędził dwa dni w szpitalu, siedząc przy jej łóżku. Czasami go poznawała. Innym razem nazywała imieniem ojca.

Richard siadł na kanapie i pogrążył się w myślach. Wydarzenia ostatnich dwóch dni z każdą chwilą zdawały mu się mniej rzeczywiste, mniej prawdopodobne. Prawdziwa była jedynie wiadomość pozostawiona przez Jessicę na sekretarce. Odtwarzał ją raz po raz całą niedzielę, w nadziei że w końcu jej złość ustąpi, że usłyszy ciepło w jej głosie. Nigdy mu się to nie udało.

Miał ochotę wyjść i kupić niedzielną gazetę, ale zrezygnował. Wszystkie niedzielne gazety, które nie należały do Ruperta Murdocha, były własnością Arnolda Stocktona, szefa Jessiki, karykatury człowieka o wielkich osiągnięciach i jeszcze większej liczbie podbródków. Jego gazety opowiadały tylko o nim, podobnie jak wszystkie inne.

Richard zrobił sobie długą gorącą kąpiel i stos kanapek, a także kilka kubków herbaty. Trochę oglądał telewizję, tworząc w głowie kolejne, starannie przemyślane wersje rozmowy z Jessicą.

Pod koniec każdej wymyślonej rozmowy kochali się gniewnie, szaleńczo, namiętnie, ze łzami, a potem wszystko znów było dobrze.

W poniedziałek rano nie zadzwonił budzik. Richard wypadł na ulice za dziesięć dziewiąta, wymachując aktówką i rozglądając się rozpaczliwie w nadziei, że dostrzeże taksówkę. Nagle westchnął z ulgą, bo na drodze pojawił się duży czarny samochód ze świecącym żółtym napisem TAXI. Jechał wprost w jego stronę. Richard machnął ręką.

Taksówka lekko przepłynęła obok, całkowicie go ignorując. Skręciła za róg i zniknęła.

Następna taksówka. Następny żółty zapraszający znak. Tym razem Richard wyszedł na ulicę, by ją zatrzymać. Samochód wyminął go i nie zwalniając pojechał dalej.

Richard zaczął kląć pod nosem.

A potem ruszył biegiem w stronę najbliższej stacji metra.

Wyciągnął z kieszeni garść monet, dźgnął palcem przycisk obok napisu „Charing Cross” i wrzucił drobne do maszyny.

Monety kolejno przeleciały prosto przez wnętrza automatu i wylądowały z chrzęstem na tacy na dole. Ani śladu biletu.

Spróbował z następnym automatem, i jeszcze jednym.

Gdy podszedł do kasy, by się poskarżyć i jednak kupić bilet, sprzedawca rozmawiał właśnie przez telefon i mimo - a może z powodu - nawoływań Richarda i desperackiego stukania w pleksiglasową przegrodę, ani na moment nie przerwał konwersacji.

- Pieprzyć to! - oznajmił głośno Richard i przeskoczył barierkę.

Nikt go nie zatrzymał.

Nikogo to nie obchodziło.

Zdyszany i spocony zbiegł ruchomymi schodami i wpadł na zatłoczony peron dokładnie w chwili wjazdu pociągu.

W dzieciństwie Richarda dręczyły koszmary senne, w których po prostu nie istniał. Nieważne, jak głośno się zachowywał i co robił - nikt go nie dostrzegał.

Teraz czuł się podobnie. Ludzie przepychali się obok niego; porwał go tłum, rzucając w tę i nazad, z falą wysiadających i wsiadających.

Richard nie ustępował. Sam także zaczął się przepychać. W końcu niemal udało mu się wsiąść - jedna ręka znalazła się wewnątrz wagonu. W tym momencie drzwi syknęły i zaczęły się zamykać. Gwałtownie cofnął rękę, lecz drzwi przytrzasnęły mu rękaw.

Zaczął walić w nie pięścią i krzyżeć, spodziewając się, że maszynista przynajmniej uchyli drzwi i uwolni mu rękaw. Jednak pociąg ruszył. Richard musiał biec wzdłuż peronu, potykając się, coraz szybciej i szybciej.

W rozpaczy upuścił aktówkę i desperacko szarpnął rękaw wolną dłonią.

Materiał pękł i Richard upadł na peron, ocierając dłoń o kamienną płytę i rozdierając spodnie na kolanie.

Nieco chwiejnie dźwignął się z ziemi, po czym cofnął się i podniósł aktówkę.

Spojrzał na rozdarty rękaw, otartą dłoń i pęknięte spodnie.

A potem ruszył schodami i opuścił stację metra. Przy wyjściu nikt nie spytał go o bilet.

- Przepraszam za spóźnienie - rzekł Richard, nie zwracając się do nikogo szczególnego.

Na ściennym zegarze w biurze było wpół do jedenastej. Rzucił aktówkę na krzesło i otarł chusteczką spoconą twarz.

- Nie uwierzylibyście, jak wyglądał mój dzisiejszy poranek -ciągnął dalej. - To był koszmar.

Spojrzał na blat. Czegoś na nim brakowało. Czy też, ściśle mówiąc, wszystkiego na nim brakowało.

- Gdzie moje rzeczy? - spytał nieco głośniejszym głosem, zwracając się do wszystkich i do nikogo. — Gdzie moje telefony, gdzie moje trolle?

Zajrzał do szuflad. Też były puste. Nie został w nich nawet papierek po batonie Mars ani pogięty spinacz, świadczący o tym, że Richard kiedykolwiek tu był.

Sylvia zbliżyła się ku niemu, pogrążona w rozmowie z dwoma roslymi mężczyznami. Richard podszedł do niej.

- Sylvio, co się tu dzieje?

-Przepraszam - powiedziała uprzejmie Sylvia. Wskazała biurko roslym mężczyznom, którzy ujęli je z obu końców i wynieśli z pokoju

- Moje biurko! Dokąd je zabierają? Sylvia patrzyła na niego pytająco.

-Pan jest...?

Co się dzieje, do cholery? - pomyślał Richard.

- Richard - rzekł sarkastycznie. - Richard Mayhew.

- Miło mi - rzuciła Sylvia, a potem jej wzrok ześliznął się po Richardzie niczym woda spływająca z natłuszczonej kaczki. -Nie, nie, nie tam! - krzyknęła do wynoszących biurko tragarzy i pobiegła za nimi.

Richard odprowadził ją wzrokiem. Potem ruszył do biurka Garry'ego.

- Garry, co się dzieje? To jakiś dowcip? Garry rozejrzał się, jakby coś usłyszał. Potrząsnął głową. Podniósł słuchawkę i zaczął wybierać numer.

Richard rąbnął dłonią w widelki, rozłączając go.

- Posłuchaj, to nie jest śmieszne. Nie wiem, w co wszyscy dziś grają. - Garry uniósł wzrok. Richard mówił dalej: - Jeśli mnie zwolnili, po prostu mi powiedz. Ale to

udawanie, że nie istnieję...

Wtedy Garry się uśmiechnął.

- Witam — rzekł. - Jestem Garry Perunu. Czym mogę służyć?

- Niczym - odparł chłodno Richard i opuścił biuro, zostawiając w nim aktówkę.

Biuro Richarda mieściło się na trzecim piętrze wielkiego, starego, pełnego przeciągów budynku tuż przy Strandzie.

Do miejsca pracy Jessiki w połowie wysokości dużego, lustrzanego wieżowca w City miał piętnaście minut spacerkiem.

Pomaszerował w tamtą stronę.

Po dziesięciu minutach dotarł do budynku Stocktona. Minął umundurowanych strażników, wszedł do windy i pojechał na górę.

Wnętrze windy wyłożono lustrami. Jadąc przyglądał się samemu sobie. Miał rozwiązany i przekrzywiony krawat, płaszcz podarty, spodnie pęknięte, włosy potargane i mokre od potu... Boże, wyglądał okropnie.

Rozległ się dźwięk fletu i drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Piętro budynku Stocktona, na którym pracowała Jessica, urządzono w stylu kosztownej, ostentacyjnej skromności.

Obok windy siedziała recepcjonistka, spokojna, elegancka istota, która wyglądała tak, jakby pod względem dochodów była Richarda na głowę. Czytała „Cosmopolitan”. Kiedy podszedł, nie uniosła wzroku.

- Muszę widzieć się z Jessica Bartram - oznajmił Richard. — To ważne. Muszę z nią porozmawiać.

Recepcjonistka kompletnie go zignorowała.

Ruszył korytarzem do drzwi Jessiki. Otworzył je i wszedł do środka. Jessica stała przed trzema dużymi plakatami anonsującymi „Anioły nad Anglią - wystawę wędrówną”. Na każdym z nich widniał inny wizerunek anioła. Kiedy Richard wszedł, odwróciła się i powitała go ciepłym uśmiechem.

- Jessica! Dzięki Bogu. Posłuchaj, chyba zaczynam wariować. Zaczęło się, kiedy dziś rano nie mogłem złapać taksówki. A potem w biurze i w metrze, i... - Pokazał jej rozszarpany rękaw. - Zupełnie jakbym stał się nikiem.

Jessica dalej uśmiechała się zachęcająco.

- Słuchaj - powiedział. - Przykro mi z powodu tamtego wieczoru. Nie tego, co zrobiłem, ale tego, że cię zdenerwowałem i... Naprawdę mi przykro. To wariactwo. Nie mam pojęcia, co robić.

Jessica skinęła głową, wciąż z tym samym uśmiechem.

- Pomyśli pan, że jestem nieznośna, ale mam okropną pamięć do twarzy. Jedną chwilkę. Zaraz sobie przypomnę.

W tym momencie Richard wiedział już, że to dzieje się naprawdę. Że szaleństwo, które go dotknęło, jest jak najbardziej rzeczywiste.

- Nic nie szkodzi - rzekł. - Naprawdę.

I wyszedł, za drzwi i na korytarz. Był już prawie przy windzie, gdy zawołała jego imię.

- Richard!

Odwrócił się. A jednak to był dowcip. Jakaś złośliwa zemsta; coś, co potrafił sobie wytłumaczyć.

- Richard... Maybury? - dodała z dumą, że przypomniała sobie aż tyle.

- Mayhew - poprawił Richard wsiadając do windy. Drzwi odśpiewały smutny, wysoki

trel, zamykając się za jego plecami.

Wrócił do mieszkania zdenerwowany, oszołomiony i wściekły. Po drodze próbował łapać taksówki, bez zbytnej nadziei, że któraś się zatrzyma. I rzeczywiście, żadna nie przystanęła.

Bolały go nogi, piekły oczy. Wiedział, że wkrótce się obudzi i zacznie się prawdziwy poniedziałek - rozsądny, przyzwoity, uczciwy poniedziałek.

Napełnił wannę gorącą wodą, cisnął ubranie na łóżko i wrócił do łazienki. Niemal przysypiał w wannie, gdy usłyszał zgrzyt klucza w zamku, dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi i miękki męski głos.

- Oczywiście, państwu pokazuję je jako pierwszym, ale mam długą listę osób zainteresowanych tym mieszkaniem.

- Nie jest tak duże, jak sobie wyobrażałam z opisu — oznajmiła jakaś kobieta.

- Jest ekonomiczne, owszem, lecz uważam to raczej za zaletę. Richard nie zadał sobie trudu zamykania drzwi łazienki. Ostatecznie był jedyną osobą w mieszkaniu. Dobiegł go drugi szorstki męski głos:

- Mówił pan, że mieszkanie jest nie umeblowane. Według mnie wygląda na cholernie umeblowane.

- Poprzedni lokator musiał zostawić część swoich sprzętów. Dziwne, nie wspominali o tym.

Richard wstał. Potem, ponieważ był nagi, a obcy ludzie mogli w każdej chwili wejść do środka, ponownie usiadł i zaczął rozpaczliwie rozglądać się w poszukiwaniu ręcznika.

- Spójrz, George - zagadnęła kobieta w holu. - Ktoś zostawił na krześle ręcznik.

Richard rozważył i odrzucił kilka ręcznikowych substytutów: gąbkę, na wpół opróżnioną butelkę szamponu i małą żółtą gumową kaczkę.

- Jak wygląda łazienka? - spytała kobieta.

Richard złapał ręczniczek do twarzy i zakrył nim krocze. Potem stanął zwrócony plecami do ściany i nastawił się na przeżycie chwili poniżającego wstydu.

Ktoś popchnął drzwi. Do środka weszła trójka ludzi: młody człowiek w płaszczu z wielbłądziej wełny i para w średnim wieku. Richard zastanawiał się, czy są równie zakłopotani jak on.

- Trochę mała - zauważyła kobieta.

- Ekonomiczna - poprawił gładko wielbłądzi płaszcz. - Łatwo się w niej sprząta.

Kobieta przesunęła palcem po krawędzi umywalki i zmarszczyła nos.

- Chyba widzieliśmy już wszystko - rzekł mężczyzna w średnim wieku. Wyszli z łazienki.

- Rzeczywiście, mogłoby być wygodne — oznajmiła kobieta. Ktoś odpowiedział jej cicho.

Richard wyszedł z wanny i podkradł się do drzwi. Dostrzegł ręcznik na krześle w przedpokoju. Wychylił się i chwycił go.

- Bierzemy je - oznajmiła kobieta.

- Naprawdę? - spytał płaszcz z wielbłądziej wełny.

- Dokładnie tego potrzebujemy - wyjaśniła. - Kiedy je urządzimy, będzie naprawdę przytulne. Możecie je przygotować na środę?

- Oczywiście. Jutro usuniemy stąd wszystkie śmieci. To żaden problem.

Richard, zmarznięty, ociekający wodą i owinięty w ręcznik, posłał im gniewne spojrzenie.

- To nie śmieci. To moje rzeczy!

- A zatem zgłosimy się po klucze do pańskiego biura.

- Przepraszam - wtrącił Richard - ja tu mieszkam. Po drodze do wyjścia przecisnęli się obok niego.

- Miło się z państwem rozmawiało — rzekł wielbłądzi płaszcz.

- Czy... czy ktokolwiek z was mnie słyszy? To moje mieszkanie. Ja tu mieszkam.

- Zechce pan przesłać faksem umowę do mojego biura - powiedział starszy mężczyzna, a potem drzwi zatrzasnęły się za nimi i Richard został sam w przedpokoju niegdyś swojego mieszkania. Zadrżał z zimna. Wokół panowała cisza.

- To nie dzieje się naprawdę - oznajmił Richard, zwracając się do świata w chwili buntu przeciw temu, co mówiły mu zmysły.

Batmobil zadzwonił przenikliwie. Jego reflektory rozbłysły. Richard ostrożnie podniósł słuchawkę.

-Halo?

Z głośnika dobiegł syk i szum, jakby rozmówca znajdował się bardzo daleko. Głos po drugiej stronie brzmiał obco.

- Pan Mayhew? Pan Richard Mayhew?

- Tak - odparł Richard, a potem dodał z radością: - Pan mnie słyszy? Dzięki Bogu! Kto mówi?

- Mój współnik i ja spotkaliśmy się z panem w sobotę, panie Mayhew. Pytaliśmy pana o miejsce pobytu pewnej młodej damy. Pamięta pan? - Ton głosu był paskudny, śliski, lisi.

- A, tak. To pan.

- Panie Mayhew, mówił pan, że Drzwi u pana nie ma. Mamy powody przypuszczać, że bardziej niż odrobinę minął się pan z prawdą.

- No cóż, pan twierdził, że jesteście jej braćmi.

- Wszyscy ludzie są braćmi, panie Mayhew.

- Już jej tu nie ma. I nie wiem, gdzie jest.

- Jesteśmy tego świadomi, panie Mayhew. Doskonale zdajemy sobie sprawę z obu tych faktów. Jeśli mam być przejmująco szczerzy, panie Mayhew - a z pewnością chciałby pan, abym mówił szczerze, prawda? — na pańskim miejscu nie przejmowałbym się już naszą młodą damą. Jej dni są policzone i ich policzenie nie wymaga nawet liczby dwucyfrowej.

- Czemu właściwie do mnie dzwonicie?

- Panie Mayhew - powiedział przyjaźnie pan Croup. - Wie pan, jak smakuje pańska wątroba? Richard milczał.

- Bo pan Vandemar przyrzekł mi, że nim poderżnie pańskie mamę, chude gardziołko, osobiście wytnie ją panu i wepchnie do tego gardła. Wygląda więc na to, że się pan przekona, nieprawdaż?

- Dzwonię na policję. Nie możecie tak mi grozić.

- Panie Mayhew, może pan dzwonić, do kogo dusza zapagnie, ale nie chciałbym, by pan sądził, że mu grozimy. Ani ja, ani pan Vandemar nie grozimy, prawda, panie Vandemar?

- Nie? To co, do diabła, robicie?

- Składamy obietnicę - rzekł pan Croup pośród szumów, syków i ech. -I wiemy, gdzie pan mieszka.

Połączenie zostało przerwane.

Richard zaciskał palce na słuchawce, wpatrując się w telefon oszołomiony. Potem trzy razy puknął w dziewiątkę.

- Tu centrala alarmowa. Słucham. O co chodzi?

- Może mnie pani przełączyć na policję? Pewien człowiek właśnie groził, że mnie zabije.

Nie sądzę, by żartował.

Chwila ciszy. Miał nadzieję, że telefonistka właśnie go przełącza, gdy głos odezwał się ponownie:

- Tu centrala alarmowa. Halo, jest tam ktoś? Halo!

Wtedy Richard odłożył słuchawkę, wrócił do sypialni i ubrał się, bo był nagi, zmarznięty i przerażony, i nie pozostało mu nic innego do zrobienia.

Wyciągnął spod łóżka czarną sportową torbę. Ułożył w niej skarpety, bieliznę, kilka koszulek, paszport, portfel.

Miał na sobie dzinsy, adidas, gruby sweter.

Przypomniał sobie ton, jakim pożegnała się z nim dziewczyna imieniem Drzwi. Jak zawiesiła głos, jak powiedziała, że jej przykro...

- Ty wiedziałaś - rzekł, zwracając się do pustego mieszkania. - Wiedziałaś, że to się stanie.

Przeszedł do kuchni, wyjął z misy kilka owoców i wetknął je do torby. Następnie zapiął zamek i wymaszerował na pogrążoną w mroku ulicę.

Bankomat ze szczękiem połknął kartę. PROSZĘ WPROWADZIĆ NUMER PIN - pojawiło się na ekranie. Richard wystukał kod.

Ekran pociemniał. Potem pojawił się napis: PROSZĘ CZEKAĆ. Pusty ekran. Gdzieś w głębi maszyny coś warknęło i chrupnęło.

TA KARTA JEST NIEWAŻNA. PROSZĘ SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z CENTRUM

OBSŁUGI. Rozległ się zgrzyt i karta wysunęła się ze szczeliny.

- Masz pan parę groszy? - ktoś cienkim głosem spytał za jego plecami. Richard podał nieznanemu kartę.

- Proszę - rzekł. - Niech ją pan zatrzyma. Jest na niej półtora tysiąca funtów, jeśli zdoła się pan do nich dostać.

Wysoki i chudy mężczyzna o twarzy porośniętej potarganą brodą i poczerniałych dłoniach bezdomnego wziął kartę, obejrzał ją, obrócił w palcach.

- Dzięki - rzekł beznamyślnie. - Jeszcze sześćdziesiąt pensów i będę mógł kupić sobie kawę. Oddał Richardowi kartę. Richard podniósł torbę. Nagle odwrócił się gwałtownie.

- Chwileczkę! Pan mnie widzi?

- Moim oczom nic nie dolega.

- Proszę posłuchać, słyszał pan kiedyś o miejscu zwanym Ruchomym Targiem? Muszę się tam dostać. Pewna dziewczyna imieniem Drzwi...

Mężczyzna cofnął się nerwowo.

- Naprawdę potrzebuję pomocy - ciągnął Richard. - Proszę. Nieznajomy przyglądał mu się bez słowa. Richard westchnął.

- Rozumiem - rzekł. - Przepraszam, że pana niepokoiłem. - Odwrócił się i mocno ściskając oburącz uchwyt torby, by powstrzymać drżenie rąk, ruszył w kierunku High Street.

- Hej! - syknął mężczyzna.

Richard obejrzał się. Bezdomy kiwał na niego ręką.

- Chodź tu, człowieku. Szybko!

Mężczyzna zbiegł po stopniach pod ścianą - zaspanych śmieciami schodach, w rodzaju tych, które prowadzą do suterenu.

Richard potykając się ruszył za nim. Na dole ujrzał drzwi. Mężczyzna pchnął je, zaczekał, aż Richard przejdzie, i starannie zamknął za nimi.

Pograżyli się w ciemności.

Cichy zgrzyt. Syk zapalanej zapalki. Nieznajomy przytknął ją do knota starej kolejowej lampy, który zajął się, dając nieco mniej światła niż wcześniej zapalka. Razem ruszyli w ciemność.

Wokół nich pachniało wilgocią, starymi cegłami, pleśnią i mrokiem.

- Gdzie jesteśmy? - szepnął Richard.

Przewodnik uciszył go gestem.

Dotarli do kolejnych osadzonych w murze drzwi.

Mężczyzna zastukał w nie rytmicznie. Nastąpiła chwila ciszy.

Drzwi się otworzyły.

Przez moment Richarda oślepiło nagłe światło. Znalazł się w wielkim sklepionym pomieszczeniu, podziemnej sali pełnej dymu i migotliwego blasku rzucanego przez niewielkie ogniska, wokół których tłoczyły się cieniste postaci, piekąc na roznach małe zwierzęta. Między płomieniami śmigali ludzie. Wszystko to skojarzyło mu się z piekłem, czy raczej z wyobrażeniem piekła, które stworzył sobie jako nastolatek. Zakasłał, bo dym drapał go w gardło.

Setka oczu zwróciła się ku niemu. Setka wrogich, nieruchomych oczu.

Jakiś mężczyzna zbliżył się ku nim. Miał długie włosy, rzadką brodę, a obdarte ubranie obszył futrem - rudym, białym i czarnym futrem, zupełnie jak u kota trikolora. Był wysoki, lecz garbił się, splatając ręce na piersi.

- Co? O co chodzi? Co to ma być? - spytał przewodnika Richarda. - Kogo nam przyprowadziłeś, Iliastrze? Mów, mów, mów.

Iliaster?- zdziwił się Richard.

- On jest z Góry - odparł przewodnik. - Pytał o panią Drzwi i o Ruchomy Targ. Przyprowadziłem go do ciebie, Mości Szczuromówco. Pomyślałem, że będziesz wiedział, co z nim zrobić.

Teraz otaczała ich już spora gromada ludzi w futrach. Kobiety i mężczyźni, a nawet kilkoro dzieci. Wszyscy poruszali się tak samo: krótkie, pospieszne śmignięcia, a po nich chwile bezruchu.

Mości Szczuromówca sięgnął pod obszyte futrem szmaty i wyciągnął paskudny odłamek szkła, długi na jakieś dwadzieścia centymetrów. Jeden jego koniec okręcono kiepsko wyprawioną skórą, tworząc zaimprovizowany uchwyt.

Szklane ostrze rozbłysło w blasku ognia.

Mości Szczuromówca przytknął je do gardła Richarda.

- O tak. Tak, tak, tak - rzekł piskliwie. - Dokładnie wiem, co z nim zrobić.

ROZDZIAŁ 4

Pan Croup i pan Vandemar urządzili się wygodnie w piwnicy wiktoriańskiego szpitala,

zamkniętego dziesięć lat wcześniej z powodu cięć w budżecie służby zdrowia.

Przedsiębiorcy budowlani, którzy ogłosili zamiar przekształcenia szpitala w niezwykle luksusowy, nie mający sobie równych blok mieszkalny, zniknęli z horyzontu, gdy tylko ośrodek zamknięto, toteż stał tak długie lata, szary, pusty i niechciany, z zabitymi deskami oknami i drzwiami zamkniętymi na kłódki. Dach przegnił i do pustych pomieszczeń wlewał się deszcz, niosąc ze sobą wilgoć i rozkład.

Szpital zbudowano wokół centralnej klatki schodowej. Jej świetlik wpuszczał do środka szare, nieprzyjazne światło.

Na podziemia pod pustymi oddziałami składało się ponad sto małych pomieszczeń. Część z nich także była pusta; w innych pozostawiono sprzęt medyczny. W jednym pomieszczeniu przycupnął olbrzymi metalowy piec, w następnym znajdowały się zatłoczone, pozbawione wody toalety i prysznice. Podłogę w większości podziemi pokrywała cienka warstwa tłustej deszczówki. Próchniejące belki sufitowe oglądały w niej odbicie ciemności i rozkładu.

Idąc po schodach na sam dół, mijało się opuszczone prysznice, toalety dla personelu i pomieszczenie pełne potłuczonego szkła, w którym sufit załamał się całkowicie, pozostawiając otwór wiodący wprost na klatkę. W końcu dochodziło się do małych żelaznych schodów. Gdybyśmy zeszli także po nich, przebyli niewielkie podziemne moczary i przecisnęli się przez na wpół spróchniałe drewniane drzwi, znaleźlibyśmy się w wielkim pomieszczeniu pod piwnicą, w którym zgromadzono, porzucono i zapomniano sto dwadzieścia lat szpitalnych śmieci. I właśnie tutaj pan Croup i pan Vandemar urządzili sobie tymczasowy dom.

Ściany były wilgotne. Z sufitu ściekała woda. W kątach gniły najróżniejsze rzeczy; część z nich nawet kiedyś żyła.

Pan Croup i pan Vandemar zabijali czas.

Pan Vandemar znalazł gdzieś stonogę - czerwono — pomarańczowe stworzenie, długie na niemal dwadzieścia centymetrów, z groźnymi, pełnymi jadu szczypcami po obu końcach - i puszczał ją sobie po rękach, patrząc, jak wije się między palcami, znika w jednym rękawie, by po minucie wychynąć z drugiego.

Pan Croup bawił się żyłkami. Natrafił w kącie na całe, liczące sobie pięćdziesiąt lat pudełko ostrzy, zawiniętych starannie w natłuszczony papier, i zastanawiał się właśnie, co z nimi zrobić.

- Mógłbym poprosić o uwagę, panie Vandemar? - rzekł w końcu. — Skieruj na mnie swe bystre oczęta.

Pan Vandemar delikatnie przytrzymał głowę stonogi pomiędzy potężnym kciukiem a masywnym palcem wskazującym i spojrzał na pana Croupa.

Pan Croup oparł lewą dłoń o ścianę, szeroko rozczapierzając palce. Prawą ręką ujął pięć żyłek, wycelował starannie i rzucił.

Każda z żyłek utkwiała w ścianie pomiędzy jego palcami. Przypominało to występ mistrza w rzucaniu nożem, tyle że w miniaturze.

Pan Croup opuścił rękę, pozostawiając na ścianie żyłkowy zarys palców, i odwrócił się do współnika w oczekiwaniu uznania.

Na panu Vandemarze jego występ nie zrobił najmniejszego wrażenia.

- Co w tym takiego ciekawego? - spytał. - Nie trafiłeś w ani jeden palec.

Pan Croup westchnął.

- Czyżby? - rzekł. - Niech mnie licho, masz rację. Jak mogłem być takim mięczakiem? - Po kolei wyciągnął ze ściany żyłki i rzucił je na drewniany stół. — Może pokażesz mi, jak należało to zrobić?

Pan Vandemar skinął głową i umieścił stonogę w pustym słoiku po dzemie.

Potem oparł lewą dłoń o ścianę.

Unióśł prawą rękę. Tkwił w niej nóż - złowieszczy, ostry i idealnie wyważony. Pan Vandemar zmrużył oczy i cisnął.

Nóż śmignął w powietrzu niczym wyjątkowo duży i ostry nóż do rzucania, śmigający w powietrzu z niezwykłą wręcz szybkością. Ostrze z donośnym łupnięciem zagłębiło się w ścianę, przesywając na wylot dłoń pana Vandemara.

Zadźwięczał dzwonek.

Pan Vandemar z satysfakcją spojrział na wbity w rękę nóż.

- O tak - rzekł.

W kącie pokoju stał stary telefon - bardzo stary, dwuczęściowy telefon, nie używany od lat dwudziestych; zrobiony z drewna i bakelitu. Pan Croup podniósł wiszącą na długim, owiniętym w materiał kablu słuchawkę i odezwał się do stacjonarnego mikrofonu.

- Croup i Vandemar - rzekł gładko. - Stara firma. Przeszkód usuwanie, kłopotów niwelowanie, zbędnych członków odcinanie i usługi dentystyczne.

Osoba po drugiej stronie kabla powiedziała coś cicho i pan Croup skulił się nagle.

Pan Vandemar szarpnął lewą ręką. Nóż trzymał mocno.

- Ach tak. Tak, proszę pana. Oczywiście. I, jeśli wolno mi zauważyć, pańskie światłe uwagi telefoniczne rozjaśniły nam ten jakże ponury i nieciekawy dzień. — Kolejna przerwa. — Oczywiście, natychmiast przestanę się wdzięczyc i podlizywać. Z rozkoszą. To dla mnie zaszczyt i... co wiemy? Wiemy, że... - Przerwa. Pan Croup cierpliwie, z namysłem, zaczął dłubać w nosie. — Nie. Nie wiemy, gdzie dokładnie przebywa w tej chwili, ale nie musimy. Jutro będzie na targu i... — Zacisnął usta. r Nie zamierzamy naruszyć targowego rozejmu. Chcieliśmy raczej poczekać, aż opuści targ, i wtedy zetrzeć ją z powierzchni... - Znów umilkł. Słuchał chwilę, od czasu do czasu kiwając głową.

Pan Vandemar próbował wyciągnąć nóż ze ściany wolną ręką, lecz ostrze utkwilo w niej na dobre.

- Owszem, to da się załatwić - rzekł pan Croup do mikrofonu. - To znaczy, załatwimy to. Oczywiście. Tak. Zdaje sobie sprawę. Czy moglibyśmy też pomówić...?

Lecz jego rozmówca już się rozłączył. Pan Croup przez chwilę przyglądał się słuchawce, potem odwiesił ją na haczyk.

- Uważasz, że jesteś cholernie sprytny - szepnął. Potem dostrzegł wysiłki pana Vandemara. - Przestań! - Wyciągnął nóż ze ściany i dłoni towarzysza, i położył na stole.

Pan Vandemar potrząsnął lewą ręką. Kilka razy poruszył palcami, po czym wytarł z ostrza resztki wilgotnego tynku.

- Kto to był?

- Nasz pracodawca - wyjaśnił pan Croup. - Wygląda na to, że ta druga na nic się nie przyda. Za młoda. Musi mieć Drzwi.

- Czyli nie wolno nam już jej zabić.

- Istotnie, panie Vandemar. Trafił pan w samo sedno. Chodzą słuchy, że nasza panna Drzwi oznajmiła, że ma zamiar wynająć sobie ochroniarza. Na targu. Dziś w nocy.

- Co z tego? — Pan Vandemar splunął na wierzch dłoni w miejsce, gdzie wbił się nóż, i z

drugiej strony na wylot rany.

Pan Croup podniósł z podłogi płaszcz, ciężki, czarny i wyświecony. Włożył go powoli.

- To z tego, że i my moglibyśmy zaangażować ochroniarza.

Pan Vandemar wsunął nóż z powrotem do pochwy w rękawie. On także włożył płaszcz, wepchnął ręce głęboko do kieszeni i z radością odkrył w jednej z nich połówkę myszy. Doskonale. Był głodny.

Następnie rozważył ostatnie stwierdzenie pan Croupa ze skupieniem, z jakim patolog mógłby dokonać sekcji swej jedynej miłości, i dostrzegając skazę na logice współnika, rzekł:

- My nie potrzebujemy ochroniarza, panie Croup. To my robimy krzywdę ludziom. Nam nikt nie robi krzywdy. Pan Croup zgasił światło.

-Och, panie Vandemar - rzekł napawając się dźwiękiem swych słów, tak jak zawsze. - Jeśli skaleczycie nas, czyż nie krwawimy?

Pan Vandemar zastanawiał się chwilę w ciemności.

- Nie - odparł zgodnie z prawdą.

- Szpieg z góry - rzekł Mości Szczuromówca. - Tak, powinienem rozkroić cię od gardzieli do pierdzieli i przewidzieć przyszłość z twych wnętrzności.

- Posłuchaj! - Richard stał oparty o ścianę, ze szklanym sztyletem przytkniętym do jabłka Adama. - Popelniasz duży błąd. Nazywam się Richard Mayhew. Mogę to udowodnić. Mam ze sobą kartę biblioteczną, karty kredytowe. Różne rzeczy - dodał z rozpaczą.

Nagle z beznamietną spostrzegawczością człowieka, który wie, że niebezpieczny wariat lada moment poderżnie mu gardło szklanym nożem, Richard dostrzegł, że w drugiej części sali ludzie padają na ziemię, kłaniają się nisko i pozostają w takiej pozycji.

Jakaś ciemna postać zbliżała się ku nim.

- Myślę, że po chwili zastanowienia przyznasz, iż zachowujemy się wszyscy bardzo niemądrze - dodał Richard. Nie miał pojęcia, co znaczą jego słowa. Wiedział tylko, że wydobywają mu się z ust i że póki mówi, wciąż jeszcze żyje. - Może byś tak odłożył nóż i... Przepraszam, ale to moja torba! - rzekł pod adresem szczupłej, obszarpanej dziewczyny, jeszcze nastolatki, która złapała torbę Richarda i całą zawartość wysypała na ziemię.

Ludzie w oddali wciąż skłaniali głowy i trwali w ukłonie. Mała postać zbliżała się coraz bardziej.

W końcu dotarła do otaczającej Richarda grupy. Nikt jej nie zauważył. Wszyscy patrzyli na niego.

To był szczur. Uniósł głowę i spojrzał wprost na Richarda, który odniósł niesamowite, przelotne wrażenie, że zwierzę do niego mrugnęło.

Potem zapuszczają głośno.

Mężczyzna ze szklanym sztyletem padł na kolana; podobnie otaczający go ludzie. Podobnie, po chwili wahania i znacznie bardziej niezgrabnie, bezdomny mężczyzna, ten, którego zwali Iliastrem.

Tylko Richard pozostał na nogach. A potem szczupła dziewczyna pociągnęła go za łokieć i on także ukląkł na jedno kolano.

Mości Szczuromówca uklonił się tak nisko, że jego długie włosy musnęły ziemię, i zaświergotał coś do szczura, marszcząc nos, pokazując zęby, piszcząc i sycząc. W tym momencie sam przypominał olbrzymie zwierzę.

- Posłuchajcie, czy ktoś mógłby mi powiedzieć... - mruknął Richard.

- Cicho! - skarciła go dziewczyna.

Szczur wmaszerował wyniośle na brudną dłoń Mości Szczuromówcy. Mężczyzna uniósł go z szacunkiem ku twarzy Richarda. Zwierzę leniwie pomachało ogonem.

- To jest pan Długogon z Szarego Klanu — oznajmił Mości Szczuromówca. - Mówi, że wyglądasz niezwykle znajomo. Chce wiedzieć, czy już się spotkaliście.

Szczur popatrzył na Richarda, a Richard na szczura.

- To możliwe - przyznał.

- Twierdzi, że robił wtedy przysługę markizowi de Carabas. Richard przyjrzał się uważniej.

- To ten szczur? Owszem, spotkaliśmy się. Prawdę mówiąc, rzuciłem w niego pilotem od telewizora.

Otoczający go ludzie wstrzymali oddech z przerażenia. Szczupła dziewczyna jęknęła. Richard nie zwracał na nich uwagi. Przynajmniej w tym szaleństwie znalazło się coś znajomego.

- Cześć, szczurku — rzekł. - Miło cię znów widzieć. Wiesz, gdzie mógłbym znaleźć Drzwi?

- Szczurku - powtórzyła dziewczyna ni to z jękiem, ni to z przerażonym zachłyśnięciem. Do obdartego ubrania miała przypięty mały, czerwony, poplamiony znaczek z żółtym napisem „Mam 11 lat”.

Mości Szczuromówca machnął rozkazująco swym szklanym sztyletem w stronę Richarda.

-Nie wolno ci zwracać się do pana Długogona, chyba że przeze mnie.

Szczur pisnął coś rozkazująco i Szczuromówcy zrzęda mina.

- On? - Spojrzał pogardliwie na Richarda. - Nie mam nikogo na zbyciu. Może po prostu poderżnę mu gardło i odeślę w dół do Plemienia z Kanałów?

Szczur raz jeszcze zaświergotał z naciskiem, po czym zeskoczył z ramienia mężczyzny i zniknął w jednej z wielu dziur w ścianie.

Mości Szczuromówca wstał.

Obserwowała go setka oczu. Odwrócił się w stronę sali i powiódł wzrokiem po ludziach przycupniętych wokół ognisk.

- Nie wiem, na co się wszyscy gapiecie! - krzyknął. - Kto obraca rożnami? Chcecie, żeby żarcie się spaliło? Nie ma tu nic ciekawego. No, dalej! Ruszajcie!

Richard podniósł się nerwowo. Mości Szczuromówca spojrzął na Iliastra.

- Trzeba go zaprowadzić na targ. To rozkaz pana Długogona. Iliaster potrząsnął głową i splunął na ziemię.

- Ja go nie zaprowadzę - rzekł. — Taka wyprawa kosztowałaby mnie więcej niż życie. Wy, szczuromówcy, zawsze byliście dla mnie dobrzy, ale nie mogę tam pójść. Dobrze o tym wiesz.

Mości Szczuromówca przytaknął. Schował sztylet. Potem uśmiechnął się do Richarda, ukazując zepsute zęby.

- Nie wiesz, jak wiele miałeś szczęścia.

- Owszem, wiem - odparł Richard. — Naprawdę wiem.

- Nie. Naprawdę nie wiesz.

Szczuromówca pokręcił głową i mruknął pod nosem:

- Szczurek.

Ujął Iliastra pod ramię i obaj odeszli na bok, by porozmawiać na osobności. Zaczęli dyskutować, od czasu do czasu zerkając na Richarda.

Szczupła dziewczyna pochłaniała właśnie jeden z bananów Richarda, Był to najmniej erotyczny pokaz jedzenia bananów, jaki kiedykolwiek zdarzyło mu się oglądać.

- Miałem go zjeść na śniadanie - zauważył. Spojrzała Ha niego zawstydzona.

- Nazywani się Richard. A ty?

Dziewczyna, która, jak sobie uświadomił, zdążyła już zjeść większość przyniesionych przez niego owoców, nieśmiało uniosła wzrok. Potem uśmiechnęła się lekko i powiedziała coś, co brzmiało jak Anestezja.

- Byłam głodna — wyjaśniła.

- Ja też jestem głodny - odparł.

Spojrzała na małe, płonące w sali ogniska, potem znów na Richarda.

- Lubisz koty? - spytała.

- Tak - odrzekł Richard. - Dosyć lubię. Na twarzy Anestezji odbiła się ulga.

- Udko? - spytała. - Czy pierś?

Dziewczyna zwana Drzwi przeszła przez placyk. Tuż za nią stąpał markiz de Carabas.

W Londynie można było znaleźć setki podobnych placów, zaułków i alejek; małych odłamków dawnych czasów, nie zmienionych od trzystu lat. Nawet smród moczu unoszący się wokół nie zmienił się od czasów Pepysa.

Od świtu wciąż dzieliła ich godzina, lecz niebo zaczynało już jaśnieć, przybierając surową, ołowianoszarą barwę.

Drzwi były zabite grubymi deskami i zaklejone poplamionymi plakatami zapomnianych zespołów i dawno zamkniętych klubów.

Zatrzymali się na progu. Markiz bez większego zainteresowania zmierzył wzrokiem deski, gwoździe i plakaty.

- A zatem to jest wejście? - spytał. Skinęła głową.

- Jedno z wejść. Splótł ręce na piersi.

-I co? Powiesz teraz: „Sezanie otwórz się” czy coś w tym stylu?

- Wcale nie chcę tego zrobić - odparła. - Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

- Doskonale - rozłożył ręce i skłonił się przed nią. - Do zobaczenia zatem.

Odwrócił się i ruszył w stronę, z której przyszli. Drzwi chwyciła go za rękę.

- Porzucasz mnie? - spytała. - Tak po prostu? Uśmiechnął się bez cienia rozbawienia.

- Oczywiście. Jestem człowiekiem bardzo zajęтым. Mnóstwo spraw do zrobienia, ludzi do załatwienia.

- Chwileczkę. - Wypuściła jego rękaw i przygryzła dolną wargę. - Kiedy byłam tu ostatnio... - urwała.

- Kiedy byłaś tu ostatnio, znalazłaś całą rodzinę martwą. Nie musisz niczego wyjaśniać. Jeśli nie wejdziemy, tym samym zakończymy nasze interesy.

Uniosła głowę. Jej twarz jaśniała błądząco w mroku przedświt.

-I to wszystko?

- Mógłbym życzyć ci pomyślności na nowej drodze życia, ale wątpię, czy pożyczysz dość

długo, by na nią wstąpić.

- Ostry jesteś, prawda?

Nie odpowiedział.

Dziewczyna znów stanęła przed drzwiami.

- No cóż - rzekła. - Chodź, zabiorę nas do środka.

Lewą dłoń położyła na zabitych drzwiach, prawą ujęła potężną brązową rękę markiza. Jej szczupłe palce splotły się z grubszymi palcami mężczyzny. Zamknęła oczy.

...coś zaszepotało, zadrżało, zmieniło się...

...i drzwi zniknęły, odsłaniając ciemność...

Wspomnienie było świeże. Liczyło sobie zaledwie kilka dni. Wędrowała po Domu Bez Drzwi, wołając: „wróciłam!” i „hej!”. Przemykała z sieni do jadalni, biblioteki, salonu. Nikt nie odpowiadał. Nigdzie nikogo nie było. Przeszła do następnego pokoju.

Kryty basen pochodził z czasów wiktoriańskich; zbudowano go z marmuru i lanego żelaza. Ojciec znalazł go za młodu, porzucony i gotów do rozbiórki, i wplótł w materię Domu Bez Drzwi.

Drzwi nie miała pojęcia, gdzie fizycznie znajdowały się pomieszczenia jej rodzinnej siedziby. Dziadek zbudował dom biorąc jeden pokój stąd, drugi stamtąd; czerpał z całego Londynu, tworząc konstrukcję dyskretną i pozbawioną wejść i wyjść.

Szła brzegiem starego basenu, ciesząc się, że wróciła. A potem spojrzała w dół.

Ktoś pływał w wodzie, ciągnąc za sobą dwie bliźniacze smugi krwi, jedną wypływającą z gardła, drugą z krocza. Był to jej brat, Łuk. Oczy miał otwarte, patrzące ślepo naprzód.

Zorientowała się, że ma otwarte usta. Usłyszała swój własny krzyk.

- To straszne - powiedział markiz. Mocno potarł czoło dłonią i gwałtownie pokręcił głową, jakby próbował odgonić nagły skurcz.

- Wspomnienia są zapisane w murach — wyjaśniła. Uniósł brwi.

- Mogłaś mnie ostrzec.

- Mogłam.

Znajdowali się w wielkiej białej sali. Każdą ze ścian pokrywały obrazki. Każdy z nich przedstawiał inne pomieszczenie.

- Interesujący wystrój - przyznał markiz.

- To sień. Stąd możemy udać się do każdego pokoju w domu. Wszystkie są z sobą połączone.

- Gdzie znajdują się inne pomieszczenia? Potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Prawdopodobnie daleko stąd. Są rozrzucone po całym Dole.

Markiz kilkoma niecierpliwymi krokami okrążył całą salę.

- Niezwykła rzecz. Łączony dom, w którym każde pomieszczenie leży gdzie indziej. Bardzo pomysłowe. Twój dziadek był prawdziwym wizjonerem.

- Nie znałam go. - Przełknęła ślinę, po czym odezwała się ponownie, mówiąc bardziej do siebie niż do niego: - Powinniśmy byli być tu bezpieczni. Nikt nie powinien był móc nas skrzywdzić. Tylko moja rodzina potrafiła poruszać się po domu.

- Miejmy nadzieję, że znajdziemy jakieś wskazówki w dzienniku twojego ojca - rzekł. - Skąd zaczynamy poszukiwanie? Wzruszyła ramionami.

- Jesteś pewna, że prowadził dziennik? Przymknęła.

- Od czasu do czasu zamykał się w swoim gabinecie i blokował wszystkie połączenia, póki nie skończył dyktować.

- Zaczniemy wiec od gabinetu.

- Ale ja już szukałam, naprawdę. Szukałam. Kiedy sprzątałam zwłoki... — Zaczęła płakać; ciche, przejmujące szlochanie brzmiało zupełnie tak, jakby ktoś wydzierał je z głębi jej duszy.

- No już, już - rzekł zakłopotany markiz de Carabas, klepiąc Drzwi po ramieniu. Dla lepszego efektu dodał jeszcze: - Już. Niezbyt dobrze radził sobie z pocieszeniem. Różnobarwne oczy Drzwi lśniły od łez.

- Czy mógłbyś... mógłbyś dać mi chwilkę? Zaraz mi przejdzie.

Skinął głową i przeszedł na drugą stronę sali. Gdy się obejrzał, dziewczyna wciąż tam stała - samotna, ciemna postać w białej sieni pełnej obrazków pokojów. Skuliła ramiona, drżała i płakała jak mała dziewczynka.

Richarda wciąż irytowała utrata torby. Mości Szczuromówca pozostał niewzruszony. Oświadczył bezczelnie, że szczur - pan Długogon - nie wspominał o konieczności zwrotu rzeczy Richarda. Kazał tylko zabrać go na targ.

Następnie Szczuromówca poinformował Anestezję, że to ona zaprowadzi przybysza z Góry na miejsce. I owszem, to jest rozkaz. Miała przestać narzekać i ruszać.

Oznajmił też Richardowi, że jeśli on, Mości Szczuromówca, kiedykolwiek zobaczy jego, Richarda, znów u siebie, wówczas on, Richard, znajdzie się w poważnych tarapatach.

W końcu orzekł, że Richard nie ma pojęcia, jak bardzo dopisało mu szczęście, i ignorując prośby o zwrot rzeczy, czy choćby portfela, poprowadził ich do drzwi.

Richard i Anestezja maszerowali obok siebie w ciemności.

Dziewczyna niosła w dłoni zaimprovizowaną lampę, zrobioną ze świeczki, puszki, kawałka drutu i starej butelki po oranżadzie. Richard ze zdumieniem odkrył, jak szybko jego oczy przywykły do gęstego mroku. Szli naprzód, pokonując wiele podziemnych sal. Czasami zdawało mu się, że kątem oka dostrzega jakiś ruch; czy jednak był to człowiek, szczur, czy coś zupełnie innego, zawsze znikало do czasu, gdy tam dotarli.

Gdy spróbował wspomnieć o tym Anestezji, uciszyła go syknięciem.

Poczuł na twarzy zimny powiew. Szczurza dziewczyna przykucnęła bez uprzedzenia. Postawiła lampę i pociągnęła mocno osadzoną w ziemi metalową kratę, która otwarła się nagle tak gwałtownie, że jego przewodniczka straciła równowagę.

Gestem nakazała, by Richard przeszedł przez otwór.

Przykucnął zbliżając się ostrożnie do przejścia w ścianie. Po kilkunastu centymetrach podłoga pod jego stopami zniknęła.

- Przepraszam - szepnęła Richard. - Tu jest dziura.

- Nie jest wysoko — odparła Anestezja. — Idź dalej. Zamknęła za sobą kratę. Była teraz dziwnie blisko Richarda, który nerwowo ruszył naprzód, w ciemność, i znów zamarł.

- Masz — rzekła. Wręczyła mu uchwyt małej lampy i zeskoczyła w mrok. - No proszę. Nie było tak źle, prawda?

Jej twarz znajdowała się jakiś metr poniżej dyndających nóg Richarda.

- No, już. Podaj lampę.

Wyciągnął rękę. Musiała podskoczyć, by odebrać mu światło.

- Szybciej - szepnęła. - Chodź!

Zsunął się poza krawędź. Przez chwilę zawisł na rękach, potem puścił. Wylądował na czworakach w miękkim, mokrym błocie. Otarł dłonie o wierzch bluzy.

Kilka kroków i Anestezja otworzyła kolejne drzwi.

Przeszli przez nie i dziewczyna starannie je zamknęła.

- Teraz możemy rozmawiać - rzekła. - Niezbyt głośno, ale możemy. Jeśli chcesz.

- Ach, tak. Dzięki - odparł Richard. Nie miał najbłedszego pojęcia, co powiedzieć. - A zatem, no, jesteś szczurem, prawda? - spytał w końcu.

Zachichotała.

- Nie mam tyle szczęścia. A szkoda. Nie. Jestem szczuromówcą. My rozmawiamy ze szczurami.

- Tak po prostu z nimi gawędzicie?

- Ależ nie. Robimy dla nich różne rzeczy. No wiesz... - Ton jej głosu sugerował, że Richard sam nigdy nie wpadłby na taki pomysł. - Istnieją rzeczy, których szczury nie potrafią zrobić. Nie mają przecież dłoni ani kciuków, rozumiesz. Chwileczkę...

Nagle przysunęła go do ściany i zakryła mu usta brudną dłonią. Potem zdmuchnęła świeczkę.

Nic się nie zdarzyło.

I wtedy usłyszał odległe głosy.

Czekali.

Minęli ich jacyś ludzie, rozmawiając półgłosem.

Gdy wszystkie dźwięki ucichły, Anestezja puściła Richarda, zapaliła świeczkę i znów ruszyli naprzód.

- Kto to był? - spytał Richard. Wzruszyła ramionami.

- Nieważne.

- Czemu więc sądzisz, że nie ucieszyłyby ich nasz widok?

Spojrzała na niego ze smutkiem, niczym matka próbująca wytłumaczyć dziecku, że tak, ten płomień jest gorący. Wszystkie płomienie są gorące. Może jej wierzyć.

- Chodź! - powiedziała. - Znam skrót. Przejdziemy kawałek przez Londyn Nad.

Wspięli się po kamiennych stopniach i dziewczyna pchnęła kolejne drzwi. Przeszli przez próg. Drzwi zatrzęsły się za ich plecami.

Richard rozejrzał się zaskoczony.

Stali na nabrzeżu Tamizy. Wciąż panowała noc - a może nastąpiła już kolejna? Nie miał pojęcia, jak długo wędrowali w mroku przez podziemia.

Nie było księżyca, lecz niebo iskrzyło się od jasnych jesiennych gwiazd. Wokół płonęły latarnie i lampy w oknach i na moście, wyglądające niczym naziemne gwiazdy. Ich blask migotał, odbijając się w wodach Tamizy.

Kraina czarów, pomyślał Richard.

Anestezja zdmuchnęła świeczkę.

- Jesteś pewna, że to właściwa droga? - spytał.

- Tak - odparła. - Prawie pewna.

Zbliżyli się do ławki. Richardowi wydało się, że to najbardziej godny pożądaniam przedmiot, z jakim kiedykolwiek zetknął się w życiu.

- Możemy usiąść? - spytał.

Wzruszyła ramionami. Przysiedli po przeciwnych końcach ławki.

- W piątek - zaczął Richard - miałem posadę w jednej z najlepszych londyńskich spółek inwestycyjnych.

- Co to jest inwesty... coś tam?

- To taka praca.

Ze zrozumieniem skinęła głową.

-Aha. I...?

- Po prostu to sobie przypominam. Wczoraj... było tak, jakbym zupełnie nie istniał. Nikt mnie nie dostrzegał.

- To dlatego, że nie istniejesz. - wyjaśniła Anestezja.

Para, która mimo późnej pory szła wybrzeżem w ich stronę, trzymając się za ręce, teraz usiadła na środku ławki między Richardem a Anestezją i zaczęła całować się namiętnie.

- Przepraszam — rzucił Richard.

Mężczyzna wsunął rękę pod sweter kobiety i poruszał nią z entuzjazmem odkrywcy badającego nieznaną kontynent.

- Chcę odzyskać swoje życie - poinformował parę Richard.

- Kocham cię — powiedział mężczyzna do kobiety.

- Ale twoja żona... - odparła kobieta, liżąc go po policzku.

- Pieprzyć ją — warknął mężczyzna.

- Nie chcę jej pieprzyć. - Kobieta zachichotała z pijackim rozbawieniem. - Chcę się pieprzyć z tobą. - Położyła mu dłoń na kroczu i zaśmiała się jeszcze głośniej.

- Chodź - rzekł Richard do Anestezji, czując, iż ławka straciła wiele ze swej atrakcyjności. Wstali i odeszli. Anestezja co chwilę oglądała się ciekawie na pozostawioną na ławce parę, która stopniowo przyjmowała coraz bardziej horyzontalną pozycję.

Richard milczał.

- Coś nie tak? - spytała Anestezja.

- Zaledwie wszystko - odparł Richard. - Czy zawsze żyłaś tam, na dole?

- Nie. Urodziłam się tutaj. — Zawahała się. — Nie chcesz słuchać mojej historii. Richard ze zdumieniem uświadomił sobie, że chce.

- Owszem, chce.

Przesunęła palcami kanciaste kwarcowe koraliki swego naszyjnika i zaczęła mówić, nie patrząc na niego.

- Mama urodziła mnie i moje siostry, ale potem rozchorowała się na głowę. Pewna pani przyszła i zabrała moje siostry do ośrodka, a ja zamieszkałam z ciotką, która żyła z takim facetem. Robił mi krzywdę i inne rzeczy. Powiedziałam ciotce, a ona mnie zabiła. Twierdziła, że kłamię. Mówiła, że naśle na mnie policję. Ale nie kłamałam, więc uciekłam. To były moje urodziny.

Dotarli do mostu Alberta, monumentalnego pomnika kiczu obwieszzonego tysiącami małych żółtych lampek.

- Było tak zimno — ciągnęła Anestezja. Zawiesiła głos. - Spałam na ulicach. Sypiałam za dnia, wtedy było cieplej, a nocą włóczyłam się, po prostu żeby się ruszać. Miałam jedenaście lat. Kradłam sprzed mieszkań chleb i mleko. Nienawidziłam tego. Kręciłam się wokół targowisk, zbierając jabłka, pomarańcze i inne rzeczy, które ludzie wyrzucali. A potem bardzo się rozchorowałam. Mieszkałam pod estakadą na Notting Hill. Gdy się ocknęłam, byłam już w Londynie Pod. Szczury mnie znalazły.

- Czy kiedykolwiek próbowałaś wrócić do tego wszystkiego? - spytał, wskazując ręką ciche, ciepłe, zamieszkałe domy, samochody, prawdziwy świat...

Potrząsnęła głową. Ogień zawsze parzy, uwierz mi, synku.

- To niemożliwe. Jedno albo drugie. Nikt nie może żyć w obu.

- Przepraszam - powiedziała z wahaniem Drzwi. Oczy wciąż miała czerwone.

Markiz, który zabawiał się rzucaniem starych kości i monet, uniósł wzrok.

- Naprawdę? Przygryzła wargę.

- Nie. Niezupełnie. Nie jest mi przykro. Od tak dawna uciekam i ukrywam się, i znów uciekam, że... po raz pierwszy mogłam... - urwała.

Markiz zgarnął kości i monety i ukrył w jednej ze swych wielu kieszeni.

- Ty pierwsza - rzekł. Podszedł za nią do ściany zawieszonych obrazkami. Drzwi dotknęła dłonią jednego z nich, przedstawiającego gabinet ojca. Drugą ujęła rękę markiza.

...rzeczywistość zawirowała.

Były w szklarni, podlewały rośliny.

Wejście miała własną konewkę. Była z niej bardzo dumna. Zupełnie taką samą jak mama.

Zaczęła się śmiać. Dziecinnie, radośnie.

Jej matka także się śmiała, póki lisi pan Croup niespodziewanie nie chwycił jej mocno za włosy i nie poderżnął jej gardła od ucha do ucha.

— Witaj, tato - powiedziała cicho Drzwi.

Musnęła palcami popiersie ojca, gładząc go po twarzy. Szczupły, ascetyczny mężczyzna, niemal zupełnie łysy. Cezar w roli Prospera, pomyślał markiz de Carabas. Poczul lekkie mdłości. Ta ostatnia wizja zaboląła.

Mimo wszystko był w gabinecie pana Portyka. To coś nowego.

Ogarnął wzrokiem pokój. Jego oczy przemykały się od jednego szczegółu do drugiego. Zwisający z sufitu wypchany krokodyl. Książki, astrolabium, lustra, stare przyrządy naukowe, wiszące na ścianach mapy. Pośrodku pokoju zasłane listami biurko.

Białą ścianę za nim szpeciła skaza. Czerwonobrazowa plama.

Na blacie stał mały portret rodziny Drzwi. Markiz przyjrzał mu się uważnie.

- Twoja matka i siostra. Twój ojciec i brat. Wszyscy nie żyją. Jak tobie udało się przeżyć?

Spuściła wzrok.

- Miałam szczęście. Wybrałam się na kilkudniową wycieczkę... Wiedziałaś, że nad rzeką Kilbum wciąż obozują rzymscy żołnierze?

Markiz nie wiedział i fakt ten go nieco zirytował.

- Hmm. Ilu? Wzruszyła ramionami.

- Kilkudziesięciu. To chyba dezercerzy z Dziewiętnastej Legii. Moja łacina jest kiepska. W każdym razie, kiedy tu wróciłam...

Urwała i przełknęła ślinę. Jej różnobarwne oczy wezbrały łzami.

- Pozbieraj się - rzucił ostro markiz. - Potrzebny nam dziennik twojego ojca. Musimy się dowiedzieć, kto to zrobił. Zmarszczyła czoło.

- Przecież wiemy, kto to zrobił. Croup i Vandemar.

Markiz uniósł dłoń, podkreślając każde słowo ruchem palców.

- To ręce, dłonie, palce. Ale rozkaz wydała głowa. I głowa chce także twojej śmierci. Ci dwaj nie są tani. Rozejrzył się po zagraconym gabinecie.

- Jego dziennik? — spytał.

- Nie ma go tu - odparła. - Mówiłam ci już. Szukałam.

- Dotąd odnosiłem wrażenie, być może błędne, że twoja rodzina potrafi znajdować widoczne i ukryte drzwi.

Posłała mu nieprzychylnie spojrzenie. Potem zamknęła oczy i przytknęła dwa palce do nosa.

Markiz oglądał kolejne przedmioty na biurku Portyka. Kałamarz, pionek szachowy, kościana kostka do gry, złoty zegarek kieszonkowy, kilka piór...

Ciekawe.

To był mały posążek przedstawiający dziką, przycupniętego niedźwiedzia czy może byka,

trudno stwierdzić. Rozmiarami przypominał dużą figurę szachową. Wyrzeźbiono go z czarnego obsydianu. Markizowi z czymś się kojarzył, ale nie potrafił powiedzieć z czym. Podniósł go i obrócił w dłoni. Chwycił mocniej palcami.

Drzwi opuściła dłoń. Sprawiała wrażenie oszołomionej i zagubionej.

- O co chodzi? - spytał.

- On jest tutaj - odparła z prostotą. Zaczęła krążyć po gabinecie, obracając głowę tam i z powrotem.

Markiz wsunął posążek do wewnętrznej kieszeni. Drzwi stanęła przed wysoką szafką.

- Tu - oznajmiła. Wyciągnęła rękę. Rozległ się szcęk i mała klapka z boku szafki odskoczyła. Dziewczyna sięgnęła w ciemność, po chwili wyjęła coś kształtu i wielkości kuli do krykieta. Podała znalezisko markizowi.

To była kula zrobiona ze starego mosiądzu i polerowanego drewna, pośród których połyskiwała jasna miedź i szklane soczewki.

Markiz wziął ją do ręki.

- To jest to? Drzwi przytaknęła.

- Świetnie się spisałaś. Spojrzała na niego z powagą.

- Nie wiem, jak mogłam go przeoczyć.

- Byłaś zdenerwowana - odparł markiz. — Nie wątpię, że go tu znajdziemy. A ja bardzo rzadko się myślę. Teraz zaś... - uniósł kulę. Światło odbiło się w szkłe i zamigotało na miedzi i mosiądzu.

Nie miał ochoty, ale i tak musiał zapytać.

- Jak to działa?

Anestezja poprowadziła Richarda przez mały park po drugiej stronie mostu, potem w dół kamiennymi stopniami wzdłuż ściany. Zapaliła świecę. Otworzyła wejście techniczne i zamknęła je za nimi.

Znów schodzili po schodach. Otaczała ich ciemność.

- Jest taka dziewczyna. Nazywa się Drzwi. Trochę młodsza od ciebie. Znasz ją?

- Pani Drzwi. Wiem, kto to jest.

- Do której, no... baronii należy?

- Do żadnej. Pochodzi z rodu Łuku. Jej rodzina była bardzo ważna.

- Była? To czemu przestała?

- Ktoś ich zabił.

Tak. Przypomniawszy sobie, że markiz wspominał coś o tym. Nagle drogę przebiegł im szczur. Przystanął. Anestezja zatrzymała się na stopniach i dygnęła głęboko.

- Panie - rzekła do szczura.

- Cześć - dodał Richard.

Szczur przyglądał im się przez mgnienie oka. Potem śmignął w dół.

- A zatem - spytał Richard - co to jest Ruchomy Targ?

- Jest bardzo duży - odparła. - Ale szczuromówcy rzadko go odwiedzają. Prawdę mówiąc... Nie. Będziesz się śmiać.

- Nie będę - przyrzekł z powagą Richard.

- No cóż, trochę się boję.

-Targu?

Schody się skończyły. Anestezja zawahała się, po czym skrzywdziła w lewo.

- Ach, nie! Na targu obowiązuje rozejm. Jeśli ktokolwiek kogoś by tam skrzywdził, cały Londyn Pod zwałiby mu się na głowę niczym tona odpadków.

- To czego się boisz?

- Samej drogi. Za każdym razem urządzają go gdzieś indziej. Targ wędruje, a żeby dotrzeć w miejsce, gdzie odbędzie się dzisiaj... - zaczęła nerwowo kręcić palcami kwarcowe koraliki – musimy przejść przez paskudną okolicę. - W jej głosie rzeczywiście brzmiał strach.

Richard stłumił pragnienie, by objąć ją ramieniem.

- To znaczy?

Odwróciła się do niego, odgarniając włosy z oczu.

- Przez most.

- Most - powtórzył Richard i zaśmiał się cicho. Odwróciła się.

- Widzisz? Mówiłam, że będziesz się śmiał.

Głębokie tunele zbudowano w latach dwudziestych w celu stworzenia ekspresowego przedłużenia Linii Północnej. W czasie drugiej wojny światowej kwaterowały tu tysiące żołnierzy. Musieli używać sprężarek, by wypompować swe odchody na wyższy poziom kanałów. Wówczas to po obu stronach tuneli wzniesiono stelaże z setkami metalowych łóżek. Po zakończeniu wojny nikt ich stąd nie usunął. Przeciwnie, na drucianych stelażach umieszczono kartonowe pudła pełne listów, akt i dokumentów, kryjących w sobie najnudniejsze z możliwych sekretów. Ukryto je tu i zapomniano.

W latach dziewięćdziesiątych zmiany gospodarcze doprowadziły do całkowitego zamknięcia głębokich tuneli. Kartony z tajemnicami usunięto, sekrety zapisano w komputerach, dokumenty zniszczono.

Varney urządził sobie kryjówkę w najgłębszym z głębokich tuneli pod stacją Camden Town. Przed jedynym wejściem usypał stos metalowych łóżek. Potem zajął się urządzaniem wnętrza. Lubił broń. Sam ją sobie prokurował ze wszystkiego, co j tylko zdołał znaleźć, zabrać bądź ukraść. Gromadził części samochodowe i fragmenty porzuconych maszyn; zamieniał jej w haki i majchry, kusze i arbalety, arkabalisty i frondibole mogące rozbijać mury, w maczugi, czekany i koncerze. Wszystko to wisiało na ścianie głębokiego tunelu albo tkwiło w kątach, sprawiając paskudne wrażenie.

Sam Varney wyglądał jak byk, tyle że pozbawiony rogów, ogolony z sierści, pokryty tatuażami i prawie bezzębny. Do tego chrapał.

Lampa oliwna obok jego głowy była przykręcona. Varney spał na stosie szmat, świszcząc i pochrapując. Tuż obok, na ziemi, leżał wielki obusieczny miecz.

Ktoś podkręcił lampę.

Nim jeszcze Varney zdążył na dobre unieść powieki, chwycił miecz. Zamrugnął, rozglądając się wokół siebie. Nie było tam nikogo. Nic nie naruszyło stosu łóżek blokujących drzwi. Zaczął opuszczać broń.

- Pssst! - szepnął ktoś.

- Hhhh? - spytał Varney.

- Niespodzianka! - zawołał pan Croup, wkraczając w krąg światła.

Varney cofnął się o krok. To był błąd. Nagle przy jego skroni znalazł się nóż. Ostrze oparło się tuż obok oka.

- Nie zalecam dalszych poruszeń - oznajmił pogodnie pan Croup. - Panu Vandemarowi mógłby przydarzyć się mały wypadek z jego szpikulcem. Do większości wypadków dochodzi w domu, czyż nie tak, panie Vandemar?

- Nie wierzę w statystykę - rozległ się głos pana Vandemara. Dłoń w rękawicze wynurzyła się zza pleców Varneya, zmiażdżyła jego miecz i upuściła na podłogę poskręcane kawałki metalu.

- Jak się miewasz, Varney? - spytał pan Croup. - Tuszę, że dobrze. Tak? W świetnej formie? Zwarty i gotowy na dzisiejszy targ? Wiesz, kim jesteśmy?

Varney wykonał ruch zbliżony do minimalnego kiwnięcia głową, starając się nie poruszyć żadnym mięśniem. Wiedział, kim są Croup i Vandemar,

Jego rozbiegany wzrok błędził po ścianach, wreszcie znalazł: morgenstern, najeżona kolcami drewniana kula na łańcuchu w odległym kącie...

- Krążą słuchy, że pewna młoda dama będzie dziś wieczór szukała ochroniarza. Myślałeś może o wystartowaniu w tym konkursie? - Pan Croup dłużył w zębach. - Mów wyraźnie. Varney myślami podniósł morgenstern. To był jego Dryg. Ostrożnie... powoli... zdjął go z haka i pociągnął ku sklepieniu tunelu...

Samymi ustami rzekł:

- Varney to najlepszy śmiałek i strażnik całego podziemia. Mówią, że jestem najlepszy od czasów Łowczyni.

Myślami ustawił morgenstern w mroku nad i za głową pana Croupa.

Najpierw zmiażdży czaszkę Croupa, potem załatwi Vandemara...

Morgenstern śmignął w dół. Varney rzucił się na ziemię, byle dalej od celującego w oko ostrza.

Pan Croup nie uniósł nawet wzroku. Nie obrócił się. Po prostu nieprzyzwoicie szybko poruszył głową i morgenstern przeleciał obok niego, waląc o ziemię. Wokół rozprysnęły się odłamki cegieł i cementu.

Pan Vandemar jedną ręką podniósł Varneya.

— Zrobić mu krzywdę? — spytał współnika. Pan Croup pokręcił głową.

- Jeszcze nie. - Do Varneya rzekł: - Nieźle. A zatem, najlepszy śmiałku i strażniku, chcemy, abyś wybrał się dziś wieczór na targ. Chcemy, byś zrobił wszystko, czego trzeba, żeby zostać osobistym ochroniarzem owej młodej damy. A potem, kiedy dostaniesz już te robotę, musisz pamiętać o jednym: możesz strzec jej przed resztą świata, ale jeśli my zapagniemy, weźmiemy ją sobie. Zrozumiałeś?

Varney przesunął językiem po szczątkach zębów.

— Czy wy mnie przekupujecie? — spytał.

Pan Vandemar podniósł morgenstern. Wolną ręką zaczął rozrywać łańcuch, ogniwo po ogniwo, i upuszczać na ziemię kawałki poskręcane metalu. Brzdęk.

- Nie - odparł pan Vandemar. - Brzdęk. - My cię zastraszamy. - Brzdęk. - Jeśli nie zrobisz tego, co każe pan Croup... - brzdęk - bardzo cię skrzywdzimy. - Brzdęk. - A potem... - brzdęk - zabijemy cię jeszcze bardziej.

— Ach, tak - odparł Varney. — To znaczy, że pracuję dla was, tak?

— Owszem, pracujesz — odrzekł pan Croup. - Obawiam się, że nie ma w nas ani krztyny

dobra.

- Mnie to nie przeszkadza - powiedział Varney.

- To dobrze - mruknął pan Croup. - Witamy na pokładzie.

Był to elegancki mechanizm, zbudowany z polerowanego drewna orzechowego, mosiądzu i szkła, miedzi, luster i rzeźbionej kości słoniowej, kwarcowych pryzmatów, mosiężnych przekładni, sprężyn i kółek zębatach. Całość przewyższała rozmiarami przeciętny telewizor, choć sam ekran miał przekątną zaledwie sześciu cali. Pokrywająca go soczewka powiększała obraz.

Z boku wychodziła wielka mosiężna tuba, jak od starego gramofonu. Urządzenie wyglądało niczym połączenie telewizora i magnetowidu, gdyby zostały wynalezione i zbudowane trzysta lat wcześniej przez sir Isaaca Newtona. I w gruncie rzeczy tym dokładnie było.

- Patrz - powiedziała Drzwi.

Położyła na platformie drewnianą kulę. Z maszyny trysnął strumień światła, zagłębiając się w kuli, która zaczęła wirować wokół własnej osi.

Na małym ekranie pokazała się patrycjuszowska twarz, barwna, wyraźna. Z tuby z niewielkim opóźnieniem dobiegł głos, przerywany lekkim trzaskiem.

„...dwa miasta tak bliskie, a przecież pod wszystkimi względami tak odległe. Nad nami posiadacze i my, wydziedziczeni, żyjący w dole i pomiędzy, w szczelinach świata”.

Drzwi wpatrywała się w ekran. Była bardzo blada.

„Niemniej jednak uważam, iż to, co niszczy nas, mieszkańców Podziemia, to nasze niezliczone podziały. System lenn i baronii jest katastrofalny i niemądry”. Głos zdawał się pochodzić sprzed wieków, nie sprzed kilku dni bądź tygodni.

Pan Portyk miał na sobie stary, zniszczony smoking. Głowę pokrywała mu obcisła czapeczka. Zakasłał.

„Nie tylko ja tak uważam. Są tacy, którzy nie chcieliby niczego zmieniać. Są też inni, pragnący pogorszenia sytuacji. A także ci...”.

- Możesz to przyspieszyć? - spytał markiz.

Drzwi przytaknęła. Dotknęła sterczącej z boku dźwigienki z kości słoniowej. Obraz rozwiął się, rozpadł na kawałki i ponownie nabrał ostrości.

Teraz Portyk miał na sobie płaszcz. Jego czapeczka zniknęła. Z boku głowy ziała głęboka rana. Nie siedział już przy biurku. Mówił cicho, z napięciem.

„Nie wiem, kto to zobaczy, kto znajdzie ten dziennik. Ale kimkolwiek jesteś, proszę, oddaj to mojej córce, pani Drzwi, jeśli wciąż żyje”.

Nagła fala zakłóceń pochłonęła obraz i dźwięk.

„Drzwi, moja mała, jest bardzo źle. Nie wiem, ile zostało mi czasu, nim znajdą ten pokój. Myślę, że moja biedna Porcja, twój brat i siostra nie żyją”.

Jakość obrazu i dźwięku nadal się pogarszała.

Markiz zerknął na Drzwi. W jej oczach wzbierały łzy, ściekające po policzkach. Sprawiała wrażenie nieświadomej faktu, że płacze. Nie próbowała nawet ocierać łez. Wpatrywała się w obraz ojca. Słuchała jego słów.

Trzask. Szum. Trzask.

„Posłuchaj mnie, dziecko - powiedział jej nieżyjący ojciec. Idź do Islingtona.... Możesz zaufać Islingtonowi... Musisz mi wierzyć... Islington”.

Obraz przyblakł. Z czoła Portyka kapłała krew, ściekając mu do oczu. Otarł ją ręką.

„Drzwi, pomścij nas! Pomścij swoją rodzinę!”.

Z tuby gramofonu dobiegł głośny huk. Portyk odwrócił się, patrząc poza ekran, zdumiony i przerażony.

Zniknął z pola widzenia. Przez moment obraz pozostawał taki sam: biurko, pusta biała ściana. I nagle chlusnął na nią łuk jaskrawoczerwonej krwi.

Drzwi przesunęła gaszącą ekran dźwigienkę i odwróciła się.

- Proszę. - Markiz podał jej chusteczkę.

- Dzięki. — Starannie wytarła twarz i wydmuchała nos. Potem spojrzała w przestrzeń. W końcu rzekła: - Islington.

- Nigdy nie miałem do czynienia z Islingtonem - przyznał markiz.

- Sądziłam, że to tylko legenda - odparła.

- Bynajmniej.

Carabas sięgnął na biurko. Podniósł złoty kieszonkowy zegarek. Otworzył klapkę.

- Ładna robota - zauważył. Przytaknęła.

- Należał do mojego ojca.

Ze szczękiem zamknął pokrywę.

- Pora ruszać na targ. Niedługo się zacznie. Pan Czas nie jest naszym przyjacielem.

Drzwi jeszcze raz wydmuchała nos i wsunęła ręce głęboko w kieszenie skórzanej kurtki.

Odwróciła się do markiza. Jej elfia twarz była napięta. Różnobarwne oczy lśniły.

- Naprawdę sądzisz, że zdołamy znaleźć ochroniarza, który poradziłby sobie z Croupem i Vandemarem?

Markiz błysnął białymi zębami.

- Od czasów Łowczyni nie było nikogo, kto miałby chociaż cień szansy. Nie, wystarczy mi ktoś, kto da ci dość czasu na ucieczkę.

Przypiął koniec łańcuszka do kamizelki i wsunął zegarek do kieszonki.

- Co robisz? - spytała Drzwi. - To zegarek mojego ojca.

- Już mu się raczej nie przyda, prawda? No proszę. Wygląda bardzo elegancko.

Patrzył, jak przez jej twarz przepływają emocje: smutek, gniew, rezygnacja.

- Chodźmy - rzekła.

- Most Nocy jest już niedaleko - oznajmiła Anestezja.

Richard miał nadzieję, że to prawda. Zużyli już dwie świece. Był zdumiony, że wciąż znajdują się pod Londynem. Osobiście podejrzewał, że zdołali pokonać większą część trasy do Przylądka Land's End*.

- Naprawdę się boję — ciągnęła. - Jeszcze nigdy nie przechodziłam przez most.

- Zdawało mi się, że wspominałaś, iż byłaś już na targu.

- To Ruchomy Targ, głuptasie. Już ci mówiłam. Przenosi się w różne miejsca. Ostatni, na którym byłam, urządzono na tej wielkiej wieży z zegarem, Big coś tam. A następny...

- Big Ben?

- Możliwe. Byliśmy w środku. Wszędzie kręciły się wielkie koła. Tam właśnie zdobyłam to...

Uniosła naszyjnik. Bładozółty blask świecy odbił się w lśniącym kwarcu. Uśmiechnęła się radośnie, jak dziecko.

- Podoba ci się?

- Jest śliczny. Dużo zapłaciłaś?

- Wymieniłam za niego inne rzeczy. Tak właśnie załatwiamy tu sprawy. Wymieniamy się. A potem skęcili i ujrzeni most.

Mógł to być każdy z mostów nad Tamizą; potężna kamienna konstrukcja wznosząca się ponad otchłanią w noc. Ale nad tym mostem nie było nieba, pod nim nie było wody.

Otaczała go ciemność. Richard zastanawiał się, kto zbudował ten most i kiedy. Jak coś takiego mogło w ogóle istnieć pod Londynem i nikt o tym nie wiedział?

Zza ich pleców dobiegł szmer głosów.

Ktoś pchnięciem posłał Richarda na ziemię. Richard uniósł wzrok. Z góry patrzył na niego potężny, pokryty tatuażami mężczyzna, ubrany w zaimprovizowany strój z gumy i skóry, wyglądający jak sporządzony z samochodowych resztek. Za nim stało kilkanaście osób, mężczyzn i kobiet. Sprawiali wrażenie, jakby wybierali się na bardzo tani bal przebierańców.

-Ktoś wszedł mi w drogę - powiedział Varney, będący w niezbyt dobrym nastroju. - Ktoś powinien uważać, gdzie się płacze.

Kiedyś, w dzieciństwie, wracając ze szkoły, Richard natknął się na szczura przycupniętego w rowie przy drodze. Gdy szczur go dostrzegł, wspiął się na tylne nogi, podskoczył i syknął groźnie. Richard cofnął się wtedy zdumiony, że coś tak małego jest gotowe do walki z czymś znacznie większym od siebie.

Anestezja stanęła między Richardem i Varneyem, spojrzała gniewnie na wielkiego mężczyznę i syknęła jak wściekły, zapędzony w kąt szczur.

Varney cofnął się o krok. Splunął na buty Richarda, potem odwrócił się i z całą grupą ludzi wstąpił na most, znikając w mroku.

- Nic ci nie jest? - spytała Anestezja, pomagając Richardowi wstać.

- Wszystko w porządku - odparł. - Byłaś bardzo odważna. Nieśmiało spuściła wzrok.

- Tak naprawdę wcale nie jestem odważna — rzekła. — Wciąż boję się mostu. Tamci też się bali. Dlatego przeszli wszyscy razem. Większa grupa daje bezpieczeństwo. Stado tchórzy!

- Jeśli zamierzacie przejść przez most, pójdę z wami - usłyszeli kobiecy głos.

Richardowi nigdy nie udało się określić jej akcentu. Z początku sądził, że może pochodzi z Kanady albo Ameryki. Później wydawało mu się, że dostrzega w nim ślady Afryki, Australii czy nawet Indii. Nigdy nie ustalili, jak było naprawdę.

Wysoka kobieta miała długie płowe włosy i cerę barwy karmelu. Ubrana była w szare i brązowe podniszczone skóry. Na ramieniu nosiła wytartą skórzaną torbę. W dłoni trzymała kij. Za pasem miała nóż, a do przegubu przypięła elektryczną latarkę.

Była bez cienia wątpliwości najpiękniejszą kobietą, jaką Richard oglądał w swym życiu.

- W grupie bezpieczniej. Będzie nam miło, jeśli się do nas przyłączysz - rzekł po chwili wahania. - Nazywam się Richard Mayhew. To jest Anestezja. Z nas dwojga to ona wie, co robi.

Szczurza dziewczyna wyprostowała się z uśmiechem.

Kobieta w skórach zmierzyła go uważnym wzrokiem.

- Jesteś z Londynu Nad - powiedziała.

-Tak.

- I podróżujesz ze szczuromówczynią. No, no.

- Jestem jego strażniczką - oznajmiła zaczepnie Anestezja. -A ty kim jesteś? Komu składasz hołd? Kobieta uśmiechnęła się.

-Nikomu nie składani hołdu, szczurza dziewczynko. Czy któreś z was kiedykolwiek przechodziło przez Most Nocy? Anestezja pokręciła głową.

- No, no. Czeka nas niezła zabawa.

Ruszyli w stronę mostu. Anestezja wręczyła Richardowi lampę.

- Proszę - powiedziała.

- Dzięki. - Richard spojrział na kobietę w skórach. - Czy tak naprawdę jest się czego bać?

- Tylko nocy na moście - odparła.

- Nocy? Jako pory?

- Nie. Ciemności.

Anestezja dotknęła palców Richarda. Pochwycił ją mocno za rękę. Uśmiechnęła się do niego.

A potem postawili stopy na moście i Richard zaczął rozumieć ciemność; ciemność jako coś prawdziwego i namacalnego. Czuł, jak dotyka jego skóry, wędruje, porusza się, bada, przesuwa się przez jego umysł. Napłynęła mu do płuc, w głąb oczu, do ust... Z każdym krokiem blask świeczki stawał się coraz słabszy. To samo działo się z latarką kobiety w skórach.

Ciemność. Całkowita i nieprzenikniona.

Odgłosy. Szelest. Nagły ruch. Richard zamrugał, oślepiony przez noc.

Dźwięki stawały się coraz groźniejsze, głodniejsze. Wyobraził sobie, że słyszy głosy... stado potężnych, bezkształtnych trolli przycupniętych pod mostem...

Coś przemknęło obok nich w ciemności.

- Co to było? - pisnęła Anestezja Jej ręka trzęsła się w dłoni Richarda.

- Ciii... - szepnęła kobieta. - Nie zwracaj na siebie uwagi.

- Co się dzieje? - odszepnął Richard.

- Ciemność - odparła cicho kobieta w skórach. - Wszystkie koszmary, które wyłaniają się na świat, gdy zachodzi słońce, od czasów jaskiniowych, kiedy tuliliśmy się razem, złęknieni, szukając ciepła i bezpieczeństwa. Teraz nadszedł czas, by bać się ciemności.

Richard wiedział, że zaraz coś wpełźnie mu na twarz. Zamknął oczy. Nie sprawiło to żadnej różnicy. Noc była absolutna.

I wtedy zaczęły się halucynacje.

Ujrzał płonącą postać, lecącą ku nim w mroku. Jej skrzydła i włosy stały w ogniu.

Gwałtownie uniósł ręce. Niczego tam nie było.

Jessica spojrzała na niego z pogardą.

Pragnął krzyknąć coś do niej, powiedzieć, że jest mu przykro.

Jedna stopa przed drugą.

Był małym dzieckiem, wracał do domu ze szkoły po ciemku, jedyną ulicą pozbawioną latami. Nieważne, ile razy to robił, nigdy nie było łatwiej, przyjemniej.

Błąkał się głęboko w kanałach. Zagubiony w labiryncie. Bestia już na niego czekała.

Słyszał powolne kapanie wody. Wiedział, że Bestia czeka. Ścisnął w dłoni włącznik...

Nagle za plecami usłyszał pomruk, głęboki, gardłowy warkot. Odwrócił się. Powoli, boleśnie powoli rzuciła się ku niemu poprzez mrok.

Zaatakowała.

A on umarł.

I szedł dalej.

Atakowała go powoli, boleśnie powoli. Raz po raz. Raz po raz poprzez mrok...

Rozległ się trzask. Zapłonęło światło, tak jasne, że zaboląły go oczy. To była świeczka w butelce po oranżadzie. Richard nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak jasno może świecić jedna świeczka. Uniósł ją z dumą.

- Wygląda na to, że udało nam się przejść - oznajmiła kobieta w skórach.

Uświadomił sobie, że serce wali mu w piersi i że nie może wydobyć z siebie głosu. Zaczął oddychać, powoli, z wysiłkiem, próbując się uspokoić.

- Przypuszczam — rzekł zacinając się - że tak naprawdę nic nam nie groziło. To było jak pociąg duchów... odgłosy w ciemności. Resztę zdziałała wyobraźnia. Tak naprawdę nie było się czego bać, prawda?

Kobieta spojrzała na niego niemal z litością i Richard pojął, że nikt nie trzyma go za rękę.

- Anestezja?

Z ciemności spowijającej szczyt mostu dobiegł cichy dźwięk przypominający szelest albo westchnienie. Na ziemię posypała się garść nieregularnych kwarcowych koralików.

Richard podniósł jeden z nich. Pochodził z naszyjnika szczurzej dziewczyny.

-Trzeba... Musimy wrócić. Ona...

Kobieta podniosła latarkę i poświeciła na most. Richard ujrzał go w całej krasie. Był pusty.

- Gdzie ona jest?

-Zniknęła - odparła beznamietnie kobieta. - Ciemność ją zabrała.

- Musimy coś zrobić.

- To znaczy?

Otworzył usta i zamknął je. Potarł koralik palcami. Spojrzał na pozostałe, leżące na ziemi.

- Nie wiem.

- Jej już nie ma - powiedziała kobieta. - Most pobiera daninę. Ciesz się, że nie zabrał także ciebie. Jeśli wybierasz się na targ, droga prowadzi tędy. Idziesz?

Przez kilka chwil Richard stał bez ruchu w ciemności, słuchając bicia własnego serca. Potem wsunął kwarcowy paciorek do kieszeni dżinsów i poszedł za kobietą, która wyprzedzała go o kilka kroków. Maszerując za nią przypomniał sobie, że wciąż nie wie, jak nazywa się jego towarzysza.

ROZDZIAŁ 5

Wokół nich ludzie przemykali w ciemności, unosząc w dłoniach lampy, latarki i świece. Richardowi przypomniały się filmy przyrodnicze o ławicach ryb, migocących i śmigających w głębinach oceanu, tam gdzie żywe istoty nie używają już oczu, równie głęboko jak on sam tkwił w kłopotach.

Ruszył w ślad za kobietą w skórach, wspinając się po schodach - kamiennych stopniach obramowanych metalem. Nagle znaleźli się na stacji metra.

Dołączyli do kolejki czekającej cierpliwie, by kolejno prześliznąć się przez uchyloną kratę, osłaniającą wiodące na chodnik drzwi.

Tuż przed nimi czekało kilku małych chłopców. Każdy miał przegub obwiązany sznurkiem. Drugie końce sznurka dzierżył w dłoni blady, łysy mężczyzna cuchnący

formaldehydem. Za Richardem i kobietą w skórach stanął siwobrody człowiek z czarno — białym kociakiem na ramieniu. Zwierzątko umyło się w skupieniu, polizało ucho mężczyzny, po czym zwinęło się w kłębek i usnęło.

Kolejka poruszała się powoli. Ludzie przeciskali się przez otwór między kratą a ścianą i znikali w mroku.

- Po co idziesz na targ, Richardzie Mayhew? - spytała cicho kobieta w skórach.

- Mam nadzieję spotkać tam przyjaciół. No, tak naprawdę jedną przyjaciółkę. Nie znam zbyt wielu ludzi z tego świata. Właśnie poznawałem Anestezję, ale... - Urwał. I w końcu zadał to pytanie. — Czy ona nie żyje?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Tak. Albo równie dobrze mogłaby nie żyć. Oby twoja wizyta na targu nadała sens jej śmierci. Richard zadrżał.

- Oby - powtórzył. Zbliżali się do czoła kolejki.

- A ty? Co robisz? - spytał. Uśmiechnęła się.

- Sprzedaję usługi osobiste.

- Och - odparł. - Jakie dokładnie usługi osobiste?

- Użyczam mojego ciała.

- Ach, tak.

Razem weszli w noc.

Richard obejrzał się. Tabliczka na stacji głosiła „Knightsbridge”. Nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać. Czuł w kościach, że do świtu zostało jeszcze parę godzin. Spojrzał na zegarek i bez specjalnego zdziwienia odkrył, że cyfrowa tarcza jest pusta. Może wyczerpały się baterie, a może czas w Londynie Pod był tylko dalekim znajomym czasu, jaki dotąd znał? Odpiął pasek i cisnął zegarek do najbliższego kosza.

Strumień osobliwych postaci przepływał na drugą stronę ulicy, maszerując w stronę szerokich podwójnych drzwi.

- Tam? - spytał ze zgrozą Richard. Kobieta skinęła głową.

-Tam.

Budynek był wielki. Cały lśnił od świateł. Na ścianie przed nimi widniały krzykliwe herby, głoszące, że sprzedaje się tu najróżniejsze rzeczy za łaskawą zgodę szacownych członków rodziny królewskiej. Richard, którego stopy wciąż pamiętały wiele godzin spędzanych z Jessicą we wszystkich ważniejszych londyńskich sklepach, poznałby to miejsce nawet bez wielkiego szyldu głoszącego, że to...

- Harrods? Kobieta przytaknęła.

- Tylko na dzisiejszą noc - powiedziała. — Następny targ może odbyć się gdziekolwiek indziej.

- Ale przecież... - zaczął Richard. - Harrods!

Weszli przez boczne drzwi. Wokół panowała ciemność. Minęli kantor wymiany walut i dział pakowania prezentów, potem kolejne pogrążone w mroku pomieszczenie, pełne okularów przeciwsłonecznych i zabawnych figurek. A potem znaleźli się w Sali Egipskiej. Kolory i światła uderzyły Richarda niczym cios pięścią w pierś. Jego towarzyszką odwróciła głowę. Ziewnęła niczym kot, osłaniając wierzchem dłoni różowe wnętrza ust.

— No cóż, jesteś na miejscu. Zdrow i mniej więcej cały. Mam tu do załatwienia parę spraw. Powodzenia! - Ukłoniła się lekko i zniknęła w tłumie.

Richard stał bez ruchu, samotny wśród ludzi, chłonąc osobliwe widoki.

To było czyste szaleństwo. Nie miał co do tego cienia wątpliwości.

Było głośno. Ludzie kłócili się, targowali, wrzeszczeli, śpiewali. Natrętnie zachwalali swe towary i wykrzykiwali ich zalety. Brzmiała muzyka - tuzin różnych rodzajów muzyki, granych na tuzin różnych sposobów na dziesiątkach odmiennych instrumentów; w większości nietypowych, niezwykłych, niemożliwych.

Richard czuł zapach jedzenia. Wszelkich rodzajów jedzenia.

W całym sklepie rozstawiono kramy. Obok, czy wręcz na ladach, z których za dnia sprzedawano perfumy, zegarki, bursztyn, jedwabne apaszki, teraz wznosiły się zaimprovizowane stoiska.

Wszyscy coś kupowali. Wszyscy coś sprzedawali.

Richard wędrował po wielkich salach sklepu niczym pogrążony w transie. Nie potrafił nawet zgadnąć, ilu ludzi zjawilo się na targu: tysiąc, dwa tysiące, pięć?

Na jednym z kramów piętrzyły się butelki, pełne i puste, butelki wszelkich możliwych kształtów i rozmiarów. Na innych sprzedawano lampy i świece. Minął stoisko z błyszczącą złotą i srebrną biżuterią, i następne, sprzedające ozdoby zrobione najwyraźniej z wnętrzości starych radioodbiorników. Dostrzegł też kramy oferujące wszelkie możliwe książki i ubrania - nowe, połatanie i dziwaczne, a także specjalistów od tatuażu, dentystę, zgarbionego starca sprzedającego kapelusze, coś, co na oko bardzo przypominało łaźnię, nawet kowala... A co kilka kramów natrafiał na kogoś sprzedającego jedzenie. Część sprzedawców gotowało swe potrawy na otwartym ogniu — curry, ziemniaki, kasztany, grzyby, chleb.

Richard zastanawiał się przelotnie, czemu dym ognisk nie uruchomi systemu zraszaczy w budynku. Potem pomyślał, że to dziwne: dlaczego nikt nie rabował towarów? Czemu wszyscy rozstawiali własne kramy, a nie brali rzeczy ze sklepu?

W końcu uznał, że w ludziach tych było coś głęboko plemiennego. Próbował dostrzec wyróżniające się grupy: tych, którzy wyglądali jak uciekinierzy z Towarzystwa Krzewienia Wiedzy Historycznej, innych, przywodzących na myśl hippisów, albinosów w szarych ubraniach i ciemnych okularach, wypielęgowanych niebezpiecznych ludzi w eleganckich garniturach i czarnych rękawiczkach; wysokie, niemal identyczne kobiety wędrujące razem dwójkami i trójkami, i pozdrawiające się nawzajem skinieniem głowy; ludzi o potarganych włosach, którzy potwornie cuchnęli, jakby żyli w kanałach, i setki innych...

Zastanawiał się, jak normalny Londyn - jego Londyn - wygląda w oczach cudzoziemca. Ta myśl dodała mu odwagi.

Zaczął rozpytywać wokoło:

— Przepraszam, szukam mężczyzny nazwiskiem de Carabas i dziewczyny imieniem Drzwi. Czy wiecie, gdzie mógłbym ich znaleźć?

Ludzie kręcili głowami, odwracali wzrok, odsuwali się, przepraszali.

Richard cofnął się o krok i nadepnął komuś na stopę.

Ów ktoś, wzrostu dobrze ponad dwa metry, zęby miał spiłowane i zastrzone. Pokryty był kępkami rudego futra. Podniósł Richarda ręką wielkości owczej głowy i przysunął go do swej twarzy.

— Bardzo przepraszam — rzekł Richard, który omal nie zwymiotował od woni z ust olbrzyma. - Ja... szukam pewnej dziewczyny. Nazywa się Drzwi. Wie pan może...?

Ale ten ktoś upuścił go na podłogę i odszedł.

Tuż nad ziemią snuła się smuga zapachu. Jedzenie! Richard, który od czasu, gdy odmówił spożycia porcji pieczonego kota (nie pamiętał, ile godzin wcześniej), zdołał zapomnieć, jak bardzo jest głodny, teraz poczuł, że ślinka napływa mu do ust. Jego procesy myślowe zatrzymały się gwałtownie.

Stalowowłosa kobieta za następnym kramem nie sięgała mu nawet do pasa. Gdy próbował odezwać się do niej, potrząsnęła głową i przycisnęła palec do ust. Nie umiała mówić, nie miała zwyczaju rozmawiać albo może po prostu nie chciała.

Richard zaczął na migi prowadzić negocjacje dotyczące zakupu kanapki z białym serem i sałatą oraz kubka czegoś, co wyglądało i pachniało jak domowa lemoniada.

Posiłek kosztował go długopis i pudełko zapalek, z którego posiadania nie zdawał sobie nawet sprawy.

Niska kobieta najwyraźniej uważała, że zrobiła doskonały interes, bo gdy odbierał od niej jedzenie, dorzuciła mu z własnej woli kilka małych orzechowych ciasteczek.

Stał pośród tłumu słuchających muzyki - ktoś z powodów, jakich nie potrafił sobie wyobrazić, śpiewał słowa „Greenslee-ves” na melodię „Yakkety-Yak” - obserwując tętniący życiem niezwykły bazar i jedząc kanapki.

Kiedy skończył, uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, jak smakował posiłek. Postanowił zwolnić tempo. Żuł ciastka i sączył lemoniadę tak, by starczyły na dłużej.

- Potrzebuje pan może ptaka? - usłyszał dochodzący z bliska wesoły głos. — Mam wrony i gawrony, kruki i szpaki. Piękne, mądre ptaki. Mądre i smaczne. Znakomite.

- Nie, dziękuję - odparł Richard i odwrócił się. Ręcznie wypisany szyld nad kramem głosił:

PTAKI I INFORMACJE U STAREGO BAILEYA

Pod nim wisały mniejsze tabliczki: „KTO NAS PYTA, NIE BŁĄDZI” i „NIE ZNAJDZIESZ TŁUSTSZEGO KOSA!”, i wreszcie „STARY BAILEY: JEDNYM SŁOWEM, GAWRON”. Richardowi skojarzyło się to z mężczyzną, którego widział, gdy pierwszy raz przybył do Londynu, stojącym przed stacją metra Leicester Square. Ów człowiek sprzedawał kanapki pod hasłami głoszącymi wszem wobec Mniej Chuci Poprzez Mniej Białka, Jajek, Mięsa, Fasoli, Sera i Siedzenia. Ptaki podskakiwały i trzepotały się w małych klatkach, chyba splecionych z anten telewizyjnych.

- A może informacje? - ciągnął Stary Bailey, rozkręcając się wyraźnie. - Mapy dachów, historię, wiedzę tajemną i skrywaną? Jeśli tego nie wiem, to pewnie lepiej o tym zapomnieć. Zawsze to powtarzam.

Miał na sobie pierzasty płaszcz i wciąż spowijały go sznury i liny. Nałożył na nos wiszącą na sznurku okulary i uważnie przyjrzał się Richardowi.

- Chwileczkę! Znam cię. Byłeś z markizem de Carabas. Na dachu. Pamiętasz? Ech. Jestem Stary Bailey. Pamiętasz mnie? - Wyciągnął rękę i energicznie uściśnął Richardowi dłoń.

- Prawdę mówiąc - odparł Richard - właśnie szukam markiza i młodej dziewczyny imieniem Drzwi. Chyba są razem.

Stary mężczyzna zatańczył radośnie. Kilka piór oderwało się od jego płaszcza, a otaczające ich ptaki chóralnie wyraziły ochryplą dezaprobatę.

- Informacje! Informacje! - wykrzyknął, zwracając się do zatłoczonej sali. - Widzicie, mówiłem! „Różne towary”, powtarzam. Różne. Nie można wiecznie sprzedawać surowych gawronów - zresztą smakują jak gotowana podeszwa. I są strasznie głupie.

Tępe jak stare żyletki. Jadłeś kiedyś gawrona?

Richard potrzęsnał głową. Tego akurat był pewien.

- Co mi dasz? - spytał Stary Bailey.

- Przepraszam? - zdziwił się Richard, niezręcznie przeskakując z jednej kry na drugą w strumieniu świadomości starca.

- Jeśli dam ci informację, co dostanę?

- Nie mam pieniędzy - odparł Richard. - I właśnie oddałem długopis.

Zaczął wyciągać zawartość kieszeni.

- O, to - rzucił Stary Bailey. - To!

- Moją chusteczkę? - spytał Richard. Nie była nawet specjalnie czysta; stanowiła prezent od ciotki Maude na jego ostatnie urodziny.

Stary Bailey chwycił ją i ze szczęśliwym uśmiechem pomachał nad głową.

- Nie bój się, chłopcze! - zaśpiewał tryumfalnie. — Wyprawa twa dobiega końca. Idź tamtędy, przez te drzwi. Od razu ich zauważysz. Prowadzą przesłuchanie.

Jeden z gawronów zakrakał złowieszczo.

- Nie wtykaj dzioba w nie swoje sprawy — rzucił Stary Bailey. A do Richarda powiedział:

- Dzięki za małą flagę.

Zatańczył za kramem, uradowany, wymachując chusteczką Richarda.

Przesłuchanie? — pomyślał Richard. A potem uśmiechnął się. To nie miało znaczenia.

Jego wyprawa, jak to określił szalony starzec z dachu, dobiegła końca.

Ruszył w stronę działu z żywnością.

Dla ochroniarzy moda to podstawa. Wszyscy mieli taki czy inny Dryg, i każdy z nich rozpaczliwie pragnął zademonstrować go światu.

W tej akurat chwili Ruislip stawał naprzeciwko Fircyka Bez Imienia. Fircyk Bez Imienia przypominał nieco dandysa z początku XVIII wieku, czy raczej dandysa, który nie zdołał znaleźć prawdziwie dandysowskich ciuchów i musiał zadowolić się namiastkami dostępnymi w sklepie Oxfam. Twarz miał obsypaną białym pudrem, usta pomalowane.

Ruislip, przeciwnik Fircyka, wyglądał jak zjawą senna, która mogłaby nawiedzić cię, gdybyś zasnął oglądając zawody sumo i jednocześnie słuchając płyty Boba Marleya: potężny rastafarianin przypominający olbrzymie, otyle niemowlę.

Stali naprzeciw siebie, pośrodku kręgu widzów złożonego z innych kandydatów i zwykłych gapiów.

Żaden nie poruszył nawet jednym mięśnieniem.

Fircyk był wyższy od Ruislipa o dobrą głowę, ale Ruislip ważył tyle co czterech Fircyków, z których każdy dźwigałby wielką skórzaną walizkę wypełnioną po brzegi łojem.

Patrzyli sobie nawzajem prosto w oczy.

Markiz de Carabas klepnął Drzwi w ramię i wskazał ręką. Coś miało się wydarzyć.

Dwaj mężczyźni, patrzący na siebie...

Nagle głowa Fircyka odskoczyła, jakby ktoś uderzył go w twarz. Na jego policzku wystąpił mały czerwono-fioletowy siniak. Fircyk ściągnął usta i zatrzepotał rzęsami.

- Ach! - rzekł, po czym rozciągnął szeroko uszmiukowane wargi w upiornej parodii uśmiechu. Skinął ręką.

Ruislip zachwiał się na nogach, złapał za brzuch.

Fircyk Bez Imienia uśmiechnął się promiennie i złośliwie, pokiwał palcami i zaczął posyłać pocałunki widzom.

Ruislip przyglądał mu się gniewnie, w myślach podwajając siłę ataku.

Z ust Fircyka zaczęła ściekać krew. Jego lewe oko zapuchło. Zachwiał się. Widzowie zamruczeli z aprobatą.

- Nie jest to wcale tak imponujące, jak się wydaje - szepnął markiz.

Fircyk Bez Imienia potknął się nagle i osunął na kolana, jakby ktoś przyciskał go do ziemi. W końcu padł na podłogę. Szarpnął się, jak gdyby dostał mocnego kopniaka w brzuch. Ruislip powiódł wzrokiem po widzach, którzy zaklaskali uprzejmie. Fircyk skręcał się na ziemi, spluwał krwią na trociny pokrywające podłogę działu ryb i mięs Harrodsa.

- Następny - rzucił markiz.

Grupka przyjaciół odciągnęła Fircyka w kąt. Tam niedoszęłego ochroniarza chwyciły torsje.

Następny kandydat był także chudszy od Ruislipa (rozmiarów mniej więcej dwóch i pół Fircyka, dźwigających w sumie tylko jedną walizkę pełną łoju). Pokrywały go tatuaże i strój wyglądający, jakby uszyto go ze starych samochodowych foteli i gumowych wycieraczek. Miał ogoloną głowę i uśmiechał się wyzywająco, wzgardliwie, ukazując zepsute zęby.

- Jestem Varney - oznajmił. Charknął i splunął zieloną flegmą. Potem wmaszerował na ring.

- Zaczynajcie, kiedy będziecie gotowi, panowie - powiedział markiz.

Ruislip tupnął bosą stopą w podłogę, raz-dwa, raz-dwa, i zaczął wpatrywać się z napięciem w przeciwnika. Na czole łysego mężczyzny otwarło się niewielkie skaleczenie. Krew zaczęła ściekać Varneyowi do oka, on jednak zignorował to, skupiając się na swej prawej ręce.

Uniósł ją powoli, niczym człowiek walczący z potężną, paraliżującą siłą, a potem walnął przeciwnika w jabłko Adama. Ruislip padł na ziemię z odgłosem, jaki mogłoby wydać pół tony mokrej wątróbki lądującej w wannie.

Varney zachichotał.

Ruislip powoli dźwignął się z ziemi.

Varney otarł krew z czoła i w odrażającym uśmiechu zademonstrował światu marne resztki swoich zębów.

- No, dalej - rzucił. - Ty trusty mięczaku. Uderz mnie jeszcze raz.

- Ten jest całkiem obiecujący - mruknął markiz. Drzwi zadrżała.

- Nie wygląda przyjemnie.

- Przyjemny wygląd u ochroniarza - odparł pouczająco markiz - jest równie przydatny jak zdolność zwracania całych homarów. Ten człowiek wygląda groźnie.

Wokół rozległ się szmer uznania, bo Varney zrobił właśnie Ruislipowi coś bardzo bolesnego i szybkiego. Uczestniczyło w tym okryte skórą kolano Varneya, nawiązujące kontakt z jądrami Ruislipa. Pomruk tłumu przypominał oszczędny, pozbawiony entuzjazmu aplauz, który zazwyczaj słyszy się w senne niedzielne popołudnia na wiejskich meczach krykieta.

Markiz też zaklaskał uprzejmie.

- Hmm, doskonale, mój panie - rzekł. Varney spojrzał na Drzwi i mrugnął do niej z miną właściciela. Potem znów skupił uwagę na Ruislipie. Drzwi zadrżała.

Richard usłyszał oklaski i ruszył w ich stronę.

Po drodze minęło go pięć niemal identycznie ubranych, niezwykle bladych młodych kobiet. Miały na sobie długie aksamitne suknie, jedna zupełnie czarną, pozostałe tak ciemne, że niemal czarne: ciemnozieloną, ciemnobrązową, ciemnogranatową, ciemnoczerwoną.

Każda miała czarne włosy i nosiła srebrną biżuterię. Każda była idealnie uczesana i umalowana. Poruszały się bardzo cicho. Gdy go mijaly, usłyszał tylko przypominający westchnienie szelest ciężkiego aksamitu.

Ostatnia, ta w czarnej sukni, najbledsza i najpiękniejsza, uśmiechnęła się do Richarda.

Odpowiedział jej ostrożnym uśmiechem.

Potem ruszył ku miejscu przesłuchania.

Odbywało się ono w dziale ryb i mięs na placyku pod wielką rzeźbą ryby.

Krąg widzów, stojących tyłem do niego, składał się z dwóch, trzech szeregów ludzi. Richard zastanawiał się, czy zdoła wśród nich dostrzec Drzwi i markiza, gdy nagle tłum rozstał się i ujrzał ich siedzących na szklanej ladzie, zza której za dnia sprzedawano wędzonego łososa. Otworzył usta, by krzyknąć: „Drzwi!”, i w tym momencie pojął, czemu ludzie się poruszyli, ponieważ z tłumu wyleciał ogromny mężczyzna z dreadami, okryty jedynie zielono-czerwono-żółtą tkaniną owiniętą wokół bioder niczym ogromna pielucha. Jak wyrzucony z katapulty śmignął naprzód i upadł na Richarda.

- Richard? - spytała.

Unióśł powieki. Jego wzrok powoli odzyskiwał ostrość. Różnokolorowe oczy spoglądały na niego z młodej, niemal elfiej bladej twarzy.

- Drzwi? - szepnął.

Była wściekła. Absolutnie wściekła.

- Na Łuk i Świątynię, Richardzie, nie wierzę własnym oczom! Skąd się tu wzięłeś?

- Mnie także miło znów cię widzieć - odparł słabo Richard. Usiadł, zastanawiając się, czy doznał wstrząsu mózgu i czy zorientowałby się, gdyby tak było. Zadawał też sobie pytanie, czemu sądził, że jego widok mógłby ucieszyć Drzwi.

Dziewczyna wpatrywała się z napięciem w swe paznokcie. Jej nozdrza poruszały się gniewnie, jakby nie ufała własnemu głosowi.

Potężny mężczyzna o zepsutych zębach, ten sam, który potracił go na moście, walczył z karłem. Zamiast broni używali łomów i pojedynki nie był wcale tak nierówny, jak mogłoby się zdawać. Karzeł odznaczał się niesamowitą szybkością. Turlał się, uderzał, odskakiwał, nurkował olbrzymowi pod nogami. W porównaniu z nim Varney zdawał się powolny i niezręczny.

Richard odwrócił się do markiza, który w skupieniu oglądał walkę.

- Co się dzieje? - spytał.

Markiz zerknął na niego przelomie, po czym z powrotem skoncentrował się na pojedynku.

- Ty - rzekł - jesteś kompletnie zagubiony, w potwornych opalach i, jak sądzę, najwyżej kilka godzin dzieli cię od przedwczesnej i niewątpliwie paskudnej śmierci. My natomiast prowadzimy przesłuchania ochroniarzy.

Varney zdołał wreszcie trafić łomem karła, który natychmiast przestał podskakiwać i śmigać tu i tam, i padł bez zmysłów na ziemię.

- Chyba dość już widzieliśmy - powiedział głośno markiz. - Dziękuję wszystkim zebranym. Panie Varney, zechce pan zaczekać.

- Po co tu przyszedłeś? - spytała Drzwi lodowato.

- Nie miałem specjalnego wyboru - odparł Richard.
Westchnęła.

Markiz krążył dokoła, odprawiając kandydatów na ochroniarzy, którzy przeszli już przesłuchania, i obdarowując ich pochwałami bądź radami. Varney czekał cierpliwie z boku.

Richard posłał dziewczynie uśmiech, lecz Drzwi nie zareagowała.

- Jak trafiłeś na targ?

- Ci ludzie-szczury... - zaczął.

- Szczuromówcy - poprawiła.

- I ten szczur, który przyniósł nam wiadomość od markiza...

- Pan Długogon.

- No cóż, kazał im mnie tu przyprowadzić. Uniosła brwi i lekko przechyliła głowę.

- Przyprowadził cię tu szczuromówca? Richard przytaknął.

- Przez większość drogi. Nazywała się Anestezja. Ona... coś jej się stało. Na moście. Resztę drogi pokazała mi inna pani. Chyba była... no wiesz... - zawahał się, nim dokończył: - Dziwką.

Markiz wrócił. Stał przed Varneyem, który wyglądał na nieprzyzwoicie zadowolonego z siebie.

- Doświadczenie z bronią? - spytał markiz.

- Ha! - rzucił Varney. - Ujmijmy to tak: jeśli można tym kogoś zranić, oderwać mu głowę, złamać kość albo zrobić paskudną dziurę w ciele, to Varney jest w tej broni mistrzem.

- Poprzedni zadowoleni pracodawcy to...?

- Olimpia, królowa pasterzy, wyznawcy finiszu w blokach. Zajmowałem się też ochroną Majowego Święta.

- No cóż - rzekł markiz de Carabas - jesteśmy pod wrażeniem twoich umiejętności.

- Słyszałam - odezwał się kobiecy głos - że szukacie ochroniarzy, a nie pełnych entuzjazmu amatorów?

Cerę miała barwy ciepłego karmelu. Uśmiechem mogłaby powstrzymać rewolucję. Była ubrana wyłącznie w szare i brązowe skóry.

- To ona - szepnął Richard do Drzwi. - Ta dziwka.

- Varney - powiedział z urazą Varney - to najlepszy śmiałek i strażnik Podziemia.

Wszyscy o tym wiedzą. Kobieta w skórach spojrzała na markiza.

- Skończyliście przesłuchania? - spytała.

- Tak - odparł Varney.

- Niekoniecznie — odpowiedział markiz.

- Zatem - oznajmiła — chciałabym spróbować.

- Doskonale - odparł markiz de Carabas po sekundzie ciszy i cofnął się o krok. Wskoczył na ladę z wędzonym łososiem, rozsiadając się wygodnie w oczekiwaniu rozrywki.

Varney był bez wątplenia niebezpieczny. Był szaleńcem i sadystą, aktywnie zagrażającym fizycznemu zdrowiu wszystkich wokoło. Nie był natomiast szczególnie bystry. Wpatrywał się w markiza, podczas gdy rzucony kamień wyzwania wlatywał coraz głębiej i głębiej w studnię jego myśli. W końcu z niedowierzaniem spytał:

- Mam z nią walczyć?

- Owszem — odparła kobieta w skórach. — Chyba że najpierw chciałbyś nieco odpocząć.

Varney zaczął się śmiać. Chichotał szaleńczo.

Przestał chwile później, gdy kobieta kopnęła go mocno w splot słoneczny. Runął niczym ścięte drzewo.

Na podłodze, tuż obok jego ręki leżał łom, którego użył w pojedynku z Karłem. Varney chwycił go i rąbnął wprost w twarz kobiety - czy raczej rąbnąłby, gdyby nie uskokczyła. Bardzo szybko uderzyła go otwartymi dłońmi w uszy. Łom ze świstem poleciał na drugą stronę sali.

Wciąż chwiejąc się z bólu po ostatnim ciosie, Varney wyciągnął z cholewy nóż. Nie był do końca pewien, co stało się dalej: wiedział jedynie, że świat zawirował, a potem leżał już twarzą do ziemi, z jego uszu płynęła krew, o gardło opierało się ostrze jego własnego noża, a markiz de Carabas mówił:

- Wystarczy!

Kobieta uniosła wzrok, nie odrywając noża od gardła Varneya.

- I co? — spytała.

- Imponujące - odparł markiz.

Drzwi przytaknęła.

Richard był kompletnie oszołomiony. Zupełnie jakby oglądał połączonych w jedno Emmę Peel, Bruce'a Lee i szczególnie niebezpieczną trąbę powietrzną, a wszystko to przyprawione hojnie zdjęciami z oglądanego kiedyś dokumentu o ichneumonie zabijającym kobrę królewską. Tak właśnie poruszała się ta kobieta. Tak właśnie walczyła. Spojrzała na Varneya.

- Dziękuję, panie Varney - powiedziała uprzejmie. — Obawiam się, że nie będziemy jednak potrzebowali pańskich usług. Zeszła z niego i wetknęła za pas jego nóż.

- A nazywasz się? - spytał markiz.

- Nazywam się Łowczyni - odparła.

Nikt się nie odezwał. W końcu Drzwi spytała z wahaniem:

- Ta Łowczyni?

- Zgadza się - odparła Łowczyni, otrzepując z podłogowego kurzu skórzane legginsy. - Wróciłam.

Gdzieś w dali dwukrotnie odezwał się dzwon, głęboki donośny odgłos, który sprawił, że zęby Richarda zawibrowały.

- Pięć minut - mruknął markiz. Potem rzekł, zwracając się do resztek tłumu: - Chyba znaleźliśmy naszego ochroniarza.

Bardzo wam wszystkim dziękuję. Nie ma już nic więcej do oglądania.

Łowczyni podeszła do Drzwi i zmierzyła ją wzrokiem.

- Możesz powstrzymać ludzi, którzy chcą mnie zabić? - spytała dziewczyna.

Łowczyni wskazała Richarda skinieniem głowy.

- Dziś w drodze na targ ocaliłam mu życie trzy razy. Varney, który z trudem dźwignął się na nogi, podniósł myślami łom.

Markiz obserwował go. Milczał.

Na wargach Drzwi zatańczył cień uśmiechu.

- Zabawne - powiedziała - Richard sądził, że jesteś...

Łowczyni nigdy się nie dowiedziała, za kogo wziął ją Richard. Metalowy łom śmignął wprost ku jej głowie. Kobieta jedynie wyciągnęła rękę i łom wylądował z satysfakcjonującym plaśnięciem w jej dłoni. Podeszła do Varneya.

- To twoje? - spytała.

W odpowiedzi obnażył zęby; żółte, czarne i brązowe.

- W tej chwili - oznajmiła Łowczyni - obowiązuje nas targowy rozejm, ale jeszcze raz spróbujesz zrobić coś takiego, zapomnę o nim, połamię ci obie ręce i zmuszę, byś zaniósł je do domu w zębach. A teraz — ciągnęła, wykręcając mu rękę za plecy — przeproś uprzejmie.

- Auu - odparł Varney.

- Tak? - rzuciła zachęcająco.

- Przepraszam. - Wypluł to słowo z odrazą.

Wypuściła go.

Varney, przerażony i wściekły, umknął na bezpieczną odległość. Cały czas cofał się, nie odrywając wzroku od Łowczyni. Gdy dotarł do drzwi działu żywności, zawahał się i krzyknął głosem balansującym na krawędzi łoż:

- Już nie żyjesz! Nie żyjesz! Potem odwrócił się i odbiegł.

- Amatorzy - westchnęła Łowczyni.

Ruszyli z powrotem w stronę, z której przyszedł Richard.

Dzwon dzwonił teraz głęboko i bez przerwy. Kołysał nim potężny czarny człowiek, odziany w czarny dominikański habit. Sam dzwon ustawiono tuż obok stoiska z różnobarwnymi żelkami.

Choć targ był naprawdę imponujący, to jeszcze bardziej mogła imponować szybkość, z jaką go zwijano, rozkładano i likwidowano. Z każdą chwilą znikwały dowody, że kiedykolwiek się tu odbywał. Kolejni właściciele składali kramy, ładowali je na plecy i wynosili.

Richard dostrzegł Starego Bailey'a dźwigającego w objęciach swe szyldy i klatki z ptakami. Starzec potykając się, opuszczał sklep.

Tłum przerzedził się, targ zniknął. Parter Harrodsa wyglądał jak zwykle, tak samo nudny i porządny jak wtedy, gdy Richard odwiedzał go z Jessicą.

- Łowczyni - powiedział markiz. - Oczywiście słyszałem o tobie. Gdzie się podziewałaś przez te wszystkie lata?

- Byłam na łowach - odparła z prostotą. A potem spytała Drzwi: - Potrafisz wykonywać rozkazy? Dziewczyna przytaknęła.

- Jeśli muszę.

- To dobrze. Może zatem zdołam utrzymać cię przy życiu - odparła Łowczyni. - Jeśli przyjmę tę pracę.

Markiz zatrzymał się, mierząc ją nieufnym spojrzeniem.

- Powiedziałaś: jeśli przyjmiesz tę pracę...?

Łowczyni otworzyła drzwi i wszyscy znaleźli się na pograżonym w nocy londyńskim chodniku. Gdy byli na targu, musiał spaść deszcz; światło latarni odbijało się w mokrym asfalcie.

- Przyjmuję - oznajmiła.

Richard czuł się coraz bardziej niezręcznie, niczym piąte koło u wozu. Drzwi unikała jego wzroku, markiz zupełnie go ignorował, a Łowczyni traktowała jak powietrze.

- Posłuchajcie - rzekł - nie chcę się nikomu narzucać, ale co ze mną?
Markiz odwrócił się. Jego oczy były wielkie i białe w ciemnej twarzy.

- Z tobą? Co z tobą?

- No cóż, jak mam wrócić do zwykłego życia? Zupełnie jakbym znalazł się nagle w sennym koszmarze. W zeszłym tygodniu wszystko miało sens, a teraz nic go nie ma... - Richard urwał, przełknął ślinę. - Chcę wiedzieć, jak mam odzyskać swoje dawne życie - wyjaśnił.

- Nie odzyskasz go podróżując z nami, Richardzie - powiedziała Drzwi. - I bez tego będzie ci trudno. Ja... naprawdę mi przykro.

Idąca na przód Łowczyni przykłękała na chodniku. Wyjęła zza pasa mały metalowy przedmiot i otworzyła nim pokrywę kanału. Uniosła ją, zajrzała czujnie do środka, pierwsza zeszła i wezwała gestem Drzwi.

Dziewczyna zniknęła, nie oglądając się na Richarda.

Markiz podrapał się po nosie.

- Młody człowieku - rzekł. - Istnieją dwa Londyny. Londyn Nad, w którym żyłeś, i Londyn Pod, podziemie zamieszkane przez ludzi, którzy zniknęli w szczelinach świata. Teraz jesteś jednym z nich. Dobranoc.

Zaczął zsuwać się po kanałowej drabince.

- Chwileczkę! - zawołał Richard i chwycił wąż, zanim zdążył się zamknąć. Ruszył w dół za markizem.

Na górze unosił się zapach jak z odpływu kanalizacji - martwa mydlana woń zgnilizny. Spodziewał się, że w dole będzie gorzej, jednakże zapach szybko zniknął.

Dnem ceglanego tunelu płynęła szara woda, płytka, ale bystra.

Richard stanął w niej. Widział przed sobą światła niesione przez tamtych. Z pluskiem pobiegł, by ich doścignąć.

- Odejdź - rzucił markiz.

- Nie - odparł Richard. Drzwi zerknęła na niego.

- Naprawdę bardzo mi przykro, Richardzie. Markiz stanął między nimi.

- Nie możesz wrócić do swego dawnego domu ani swojej dawnej pracy, ani swojego dawnego życia — oznajmił dziwnie łagodnie. — Tam w górze już nie istniejesz.

Dotarli do skrzyżowania, miejsca, w którym łączyły się trzy tunele. Drzwi i Łowczyni skrzyżowały w jeden z nich, ten, którym nie spływała woda. Nie oglądały się za siebie. Markiz zatrzymał się na moment.

- Będziesz musiał jakoś się tutaj urządzić - powiedział do Richarda — wśród kanałów, magii i mroku. - A potem uśmiechnął się szeroko. - Cóż, wspaniale było znów cię widzieć. Życzę szczęścia. Jeśli zdołasz przetrwać następny dzień czy dwa, może nawet przeżyjesz cały miesiąc.

Z tymi słowy odwrócił się i odmaszerował w dal.

Richard oparł się o ścianę, nasłuchując echa oddalających się kroków i szumu wody spływającej ku stacjom pomp Londynu Wschodniego i oczyszczalni ścieków. Zaklął.

A potem, ku swemu zdumieniu, po raz pierwszy od czasu śmierci ojca, samotny w ciemności Richard Mayhew zaczął płakać.

Stacja metra była kompletnie pusta i kompletnie ciemna. Var-ney trzymał się blisko ścian. Nieustannie zerkał nerwowo przed siebie, za siebie i na boki.

Wybrał tę stację losowo. Dotarł na nią po dachach i wśród cieni, upewniając się, że nikt

go nie śledzi. Nie zamierzał wracać do kryjówki w głębokich tunelach pod Camden Town. To zbyt ryzykowne. Zapasy żywności i broni złożył w różnych miejscach. Na jakiś czas się ukryje, póki nie minie najgorsze.

Przystanął obok automatu z biletami, nasłuchując w ciemności.

Absolutna cisza.

Upewniwszy się, że jest sam, pozwolił sobie na chwilę odprężenia. Zatrzymał się na szczycie spiralnych schodów i odetchnął głęboko.

Tuż za jego plecami odezwał się głos, śliski niczym olej silnikowy.

-Varney to najlepszy śmiałek i strażnik całego podziemia. Wszyscy o tym wiedzą. Pan Varney sam nam to powiedział. A głos z drugiej strony odpowiedział łagodnie:

- Nieładnie jest kłamać, panie Croup. W nieprzeniknionej ciemności pan Croup wyraźnie się rozkręcał.

- Rzeczywiście, panie Vandemar. Musze rzec, że potraktowałem to jako osobistą zniewagę, i bardzo mnie to zraniło oraz zawiodło. Gdy nie ma się w sobie ani krztyny dobra, nie przyjmuje się lekko rozczarowań, prawda, panie Vandemar?

- Nielekko, panie Croup.

Varney rzucił się naprzód i pobiegł na oślep w mrok, w dół spiralnych schodów. Głos z góry. Pan Croup:

- Naprawdę, powinniśmy potraktować to jako zabójstwo z litości.

Varney biegł. Jego kroki na metalowych stopniach budziły echa w całej klatce schodowej. Dyszał i sapał, ramionami obijał się o ściany. Pędził na oślep w ciemność.

W końcu dotarł na sam dół i znalazł się obok tablicy ostrzegającej podróżnych, że od góry dzieli ich 259 stopni. Jedynie zdrowi ludzie powinni próbować wspinaczki. Wszyscy inni sugerowała tabliczka - winni raczej skorzystać z windy.

Windy?

Coś szczeękło i drzwi windy otwarły się wolno, majestatycznie, zalewając korytarz falą światła.

Varney sięgnął po nóż. Zaklął, przypominając sobie, że zabrała mu go ta dziwka, Łowczyni. Zaczął macać w poszukiwaniu maczety w pochwie na ramieniu.

Zniknęła.

Usłyszał za plecami uprzejme kasznięcie i odwrócił się.

Pan Vandemar siedział na najniższym stopniu schodów.

Czyścił sobie paznokcie maczetą Varneya.

A potem pan Croup runął na ofiarę w burzy zębów, szponów i małych ostrzy; Varney nie zdążył nawet krzyknąć.

- Pa, pa — powiedział beznamyślnie pan Vandemar, nie przerywając manikiuru.

I wtedy popłynęła krew, mokra, czerwona krew w ogromnych ilościach, bo Varney był roslym mężczyzną i przechowywał jej wiele wewnątrz siebie.

Kiedy jednak pan Croup i pan Vandemar skończyli, na podłodze u stóp spiralnych schodów ciężko byłoby dostrzec nawet bladą plamę.

Po następnym myciu podłóg zniknęła na zawsze.

Łowczyni szła przodem, Drzwi pośrodku, markiz de Carabas pilnował tyłów. Od pożegnania z Richardem pół godziny wcześniej żadne z nich nie odezwało się nawet słowem.

Dziewczyna zatrzymała się nagle.

- Nie możemy tego zrobić - oznajmiła stanowczo. - Nie możemy go tam zostawić.
- Oczywiście, że możemy — odparł markiz. — Już to zrobiliśmy.
Potrzęsła głową. Od chwili, gdy ujrzała Richarda leżącego na plecach pod Ruislipem, czuła się winna i było jej głupio. Już ją to zmęczyło.
- Nie bądź niemądra - dodał markiz.
- On ocalił mi życie. Mógł mnie zostawić wtedy na chodniku. Nie zrobił tego.
Markiz uniósł brwi — obojętny, niezaangażowany, wiecznie ironiczny.
- Moja droga młoda damo, nie zabierzemy na tę wyprawę pasażera.
- Nie traktuj mnie z góry, Carabas. - W głosie Drzwi brzmiało znużenie. - Myślę, że sama potrafię zdecydować, kto z nami pójdzie. Pracujesz przecież dla mnie, prawda? A może to ja pracuję dla ciebie?
Spojrzał na nią z zimnym gniewem.
- On z nami nie pójdzie! - rzekł z naciskiem. - Zresztą pewnie i tak już nie żyje.
Richard wciąż żył. Siedział w ciemności na kamiennym występie przy brzegu kanału burzowego, zastanawiając się, co ma robić i czy mógłby poczuć się jeszcze bardziej zagubiony.
Uznał, że dotychczasowe życie przygotowało go doskonale do pracy w ochronie danych, zakupów w supermarketach, oglądania meczów piłki nożnej w telewizji w sobotnie popołudnia, podkręcania grzejnika, gdy zrobi się zimno. Zupełnie nie zdołało go przygotować do bycia nikim na dachach i kanałach Londynu, do chłodu, wilgoci i ciemności.
W dali zamigotało światło. Usłyszał zbliżające się kroki. Mordercy, kanibale czy potwory? Postanowił nie walczyć. Niech skończą wszystko za niego. Miał już dosyć. Spuścił wzrok w ciemność ku miejscu, gdzie powinny znajdować się jego stopy. Kroki się przybliżyły.
- Richard? - dobiegł go głos Drzwi.
Podsłuchał. Potem udał, że jej nie słyszy. Gdyby nie ty... -pomyślał.
- Richard?
Nie uniósł wzroku.
- Czego? - rzucił.
- Słuchaj - powiedziała - gdyby nie ja, nie znalazłbyś się w takiej sytuacji i nie sądzę, abys z nami był bezpieczniejszy, ale cóż... - Wzruszyła ramionami. Odetchnęła głęboko. - Przepraszam. Idziesz?
- W tej chwili nie mam innych planów - odparł z wystudiowanym lekceważeniem, niebezpiecznie graniczącym z histerią. - Czemu nie.
Uścisnęła go mocno.
- Spróbujemy odzyskać twoje życie. Gdy tylko znajdziemy to, czego szukam.
Ruszyli w głąb tunelu. Richard widział Łowczynię i markiza czekających na nich przy wylocie. Markiz wyglądał, jakby zmuszono go do przełknięcia zmiażdżonej cytryny.
- A czego właściwie szukasz? - spytał Richard, rozpogadzając się lekko.
- To długa historia - odparła z powagą. - W tej chwili szukamy anioła o imieniu Islington. Richard wybuchnął śmiechem. Nie mógł się powstrzymać. Przyczyniła się do tego histeria, ale też wyczerpanie kogoś, kto zdołał uwierzyć w kilkadziesiąt niemożliwych rzeczy, i to w ogóle bez śniadania. Jego śmiech odbijał się echem w głębi tuneli.
- Anioła? - powtórzył, chichocząc bezradnie. - O imieniu Islington?

— Czeka nas długa droga - odparła Drzwi. Richard potrząsnął głową. Nagle poczuł się wykończony, pusty i zmordowany.
- Anioł - szepnął w ciemności. - Anioł.

W całej Wielkiej Sali stały świece. Świece na żelaznych kolumnach podtrzymujących dach, na brzegu wodospadu spływającego po jednej ze ścian i wpadającego do małej skalnej sadzawki. Grupki świec po obu stronach skalnego muru. Świece na podłodze. Świece osadzone w świecznikach obok wielkich drzwi pomiędzy dwiema ciemnymi żelaznymi kolumnami. Drzwi te zbudowano z polerowanego czarnego krzemienia i osadzono na srebrnej podstawie, która z upływem wieków pociemniała, także przybierając niemal czarną barwę.

Świece były zgaszone, jednak kiedy istota przechodziła obok nich, zaczynały migotać i płonąć. Nie dotknęła ich żadna ręka, żaden ogień nie musnął ich knotów. Szata istoty była prosta i biała; bardziej niż biała - jej barwa, czy raczej brak barwy, była tak jasna, że aż oślepiająca. Bose stopy wędrowały po zimnej skalnej posadzce Wielkiej Sali. Twarz istoty była blada, mądra i łagodna; może też odrobinę smutna.

Istota była bardzo piękna.

Wkrótce wszystkie świece w Wielkiej Sali płonęły.

Istota przystanąła przy sadzawce. Uklękła na brzegu, złożyła dłonie, zanurzyła je w wodzie, uniosła i pociągnęła łyk. Woda była zimna, lecz krystalicznie czysta. Gdy istota przestała pić, na moment zamknęła oczy, jakby odmawiała błogosławieństwo.

Potem wstała i odeszła, z powrotem przez Wielką Salę, tam skąd przysła. A gdy przechodziła, świece gasły, tak jak czyniły to przez dziesiątki tysięcy lat.

Istota nie miała skrzydeł. Mimo to niewątpliwie była aniołem. Islington opuścił Wielką Salę. Ostatnie świece zgasły i powróciła ciemność.

ROZDZIAŁ 6

Richard w myślach układał zapis w dzienniku. Drogi pamiętniku - zaczął. W piątek miałem pracę, narzeczoną, dom i sensowne życie, o ile w ogóle życie może mieć sens. Potem znalazłem na chodniku ranną, krwawiącą dziewczynę i próbowałem zostać dobrym Samarytaninem. Teraz nie mam narzeczonej, domu ani pracy i wędruję sto metrów pod ulicami Londynu z perspektywą życia krótszego niż jętka o skłonnościach samobójczych.

— Tędy - powiedział markiz.

— Czy te tunele nie wyglądają zupełnie tak samo? — spytał Richard. - Skąd wiesz, który jest który?

— Nie wiem - odparł markiz. - Już dawno się zgubiliśmy. Nigdy nas nie znajdą. Za kilka dni zaczniemy zabijać się nawzajem z głodu.

— Naprawdę?

— Nie.

Richard wrócił do pisania myślowego pamiętnika.

W tym drugim Londynie żyją setki ludzi, może tysiące. Ludzi, którzy pochodzą stąd albo

którzy zniknęli w szczelinach świata. Teraz wędruję w towarzystwie dziewczyny zwanej Drzwi, jej strażniczki i szalonego wielkiego wezyra. Zeszłą noc spędziliśmy w małym tunelu. Drzwi mówi, że kiedyś stanowił on część kanalizacji. Strażniczka nie spała, kiedy zasypiałem, i nie spała, gdy mnie zbudzili. Wątpię, by w ogóle się kładła. Na śniadanie zjedliśmy ciasto z owocami. Markiz miał spory kawał w jednej ze swych kieszeni. Po co ktoś miałby nosić w kieszeni spory kawał ciasta? Podczas snu prawie zupełnie wyschły mi buty.

Chcę wrócić do domu.

W myślach trzykrotnie podkreślił ostatnie zdanie, napisał je na nowo wielkimi czerwonymi literami, zakreślił i na myślowym marginesie postawił kilka wykrzykników. Przynajmniej tunel, którym teraz maszerowali, był suchy. Sprawiał wrażenie sterylnej nowoczesności: srebrne rury, białe ściany.

Markiz i Drzwi szli razem, z przodu. Richard zazwyczaj trzymał się kilka kroków za nimi. Łowczyni krążyła wokół; czasem zostawała z tyłu, czasem szła z boku, często nieco na przedzie, zlewając się z cieniami. Poruszała się całkiem bezszelestnie. Richard odkrył, że gra mu to na nerwach.

Przed nimi zapłonęła linia światła.

- Jesteśmy - rzekł markiz. — Stacja Bank. Dobre miejsce do rozpoczęcia poszukiwań.

- Chyba zupełnie oszalałeś - odparł Richard. Mówił cicho do siebie, lecz jak to zwykle bywa z uwagami wypowiedzianymi sotto voce, jego głos poniósł się daleko i odbił echem w ciemności.

- Czyżby? — spytał markiz.

Ziemia zatrzęsała się pod nimi. Gdzieś w pobliżu przejechał pociąg metra.

- Zostaw to, Richardzie - wtrąciła Drzwi. Ale słowa już wyrwały się z jego ust.

- Przecież - mówił - oboje zachowujecie się niemądrze. Nie ma czegoś takiego jak anioły. Markiz skinął głową.

- Aaa, tak, teraz rozumiem. Nie ma czegoś takiego jak anioły, tak jak nie ma Londynu Pod, szczyromówców ani pasterzy w Pasterskim Zagajniku.

- W Pasterskim Zagajniku nie ma żadnych pasterzy — zauważył beznamiętnie Richard.

- Owszem, są - wtrąciła Łowczyni z mroku tuż obok ucha Richarda. - Módl się, abyś nigdy ich nie spotkał. - Jej głos brzmiał zupełnie poważnie.

- No cóż - zachnął się Richard. - Nadal nie wierzę, że tu w dole można spotkać stada aniołów.

- Bo nie można — odparł Markiz. - Jest tylko jeden.

Dotarli do końca tunelu. Przed nimi widniały zamknięte drzwi. Markiz cofnął się o krok.

- Pani - rzekł do dziewczyny.

Wyciągnęła rękę i położyła ją obok zamka. Drzwi otwarły się cicho.

- Może mówimy o czymś innym? - upierał się Richard. - Anioły, o których myślę, to skrzydła, aureole, trąby i „A na ziemi pokój ludziom dobrej woli”.

- Zgadza się - odparła Drzwi. - Dokładnie tak. Anioł.

Przestąpili próg.

Richard odruchowo zamknął oczy. Tak wiele światła; zaatakowało ich głowy niczym migrena. Po chwili Richard uświadomił sobie, że znajduje się w długim tunelu dla pieszych, łączącym stacje Monument i Bank. Wokół maszerowali ludzie, nie zwracając najmniejszej uwagi na czwórkę przybyszów.

Z daleka dobiegało kapryśne zawodzenie saksofonu. „TU ne-ver fali in love again” Burta Bacharacha i Hala Davida, całkiem fachowo grane.

Richard z trudem zwalczył ochotę podjęcia melodii.

Ruszyli w stronę stacji Bank.

- Którego z nich zatem szukacie? - spytał niewinnym tonem. - Anioła Gabriela? Rafała? Michała?

Minęli właśnie mapę metra. Markiz stuknął palcem w stację Angel.

- Islingtona.

Richard postanowił zmienić temat.

- Wiecie, kiedy parę dni temu próbowałem wsiąść do pociągu, nie zdołałem.

- Po prostu musisz pokazać, kto jest tu szefem - powiedziała cicho Łowczyni zza jego pleców. Drzwi przygryzła dolną wargę.

- Ten nas wpuści - oznajmiła. - Jeśli go znajdziemy.

Co robisz, gdy zakochasz się? Łapiesz wirusa melancholii. A ona i tak nie zadzwoni...

Zeszli po kilku stopniach i skręcili.

Saksofonista rozłożył przed sobą płaszcz na podłodze tunelu. Na płaszczu leżała garstka monet. Pewnie sam je tam rzucił, by zachęcić przechodniów do datku.

Nikt nie dał się nabrać.

Saksofonista był niezwykle wysoki. Miał ciemne, sięgające ramion włosy i długą rozdwojoną brodę, znad której wylaniał się duży, stanowczy nos i głęboko osadzone oczy. Ubrany był w obszarpaną koszulkę i poplamione smarem dżinsy.

Gdy wędrowcy dotarli do niego, przestał grać, wytrząsnął ślinę z ustnika, nałożył go ponownie i zaintonował starą piosenkę Julie London „Cry me a river”.

Teraz mówisz, że ci przykro...

Richard pojął nagle ze zdumieniem, że ów człowiek ich widzi - i że usilnie stara się udawać, iż tak nie jest. Markiz przystanął tuż przed muzykiem. Zawodzenie saksofonu ucichło nagle.

- Lear, zgadza się? - rzekł markiz z chłodnym uśmiechem. Muzyk przytaknął ostrożnie. Jego palce gładziły przyciski instrumentu.

- Szukamy Hrabiowskiego Dworu - ciągnął markiz. - Masz może przy sobie coś takiego jak rozkład? Lear zwilżył wargi czubkiem języka.

- To możliwe. A jeśli tak, co z tego będę miał?

Markiz wepchnął ręce głęboko w kieszenie płaszcza. Potem uśmiechnął się jak kot, któremu powierzono klucze schroniska dla zbłąkanych, lecz pulchnych kanarków.

- Mówią - rzekł lekko, jakby zabijał czas - że nauczyciel Merlina, Blaise, napisał kiedyś melodię tak czarującą, iż wydobywała monety z kieszeni każdego, kto ją usłyszał.

Lear zmrużył oczy.

- Coś takiego byłoby warte znacznie więcej niż zwykły rozkład - rzekł. - Gdybyś oczywiście to miał.

Markiz doskonale odegrał człowieka, który uświadamia sobie nagle, że jego rozmówca ma rację.

- No cóż - rzekł wielkodusznie. - Oznaczałoby to, że byłbyś mi coś winien, nieprawdaż?

Lear przytaknął powoli, z wahaniem. Pogrzebał w tylnej kieszeni i wyciągnął kilkakrotnie złożony skrawek papieru.

Markiz sięgnął ku niemu. Lear cofnął rękę.

- Najpierw daj mi posłuchać tej melodii, ty stary chytrusie. I lepiej, żeby zadziałała.

Markiz uniósł brwi. Błyskawicznie sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Po chwili trzymał w palcach fujarkę i małą kryształową kulę. Zajrzał do kryształowej kuli, wydał z siebie ciche „hmmm”, oznaczające: „A tak. Więc tam to schowałem!”, i ukrył ją. Potem przytknął fujarkę do warg i zaczął grać.

Była to dziwna, beztroska melodia, skoczna i porywająca. Richard poczuł się nagle, jakby znów miał trzynaście lat i w przenośnym radiu najlepszego przyjaciela podczas długiej przerwy w szkole słuchał listy przebojów, w czasach gdy muzyka pop znaczyła dla niego tak wiele, jak to możliwe tylko dla nastolatków: była wszystkim, co kiedykolwiek pragnął usłyszeć...

Na płaszczu Leara wylądowała garść monet.

Markiz powoli opuścił fujarkę.

- Jestem ci zatem coś winien, stary lisie - rzekł Lear, skłaniając głowę.

- Owszem, jesteś. - Markiz odebrał mu rozkład, przebiegł po nim wzrokiem i przytaknął.

- Ale posłuchaj też rady. Nie nadużywaj tej melodii. Odrobina starczy na długo.

I całą czwórką odeszli w głąb długiego korytarza, otoczeni plakatami reklamującymi filmy i bieliznę, a także oficjalnymi tabliczkami ostrzegającymi żebraków, by trzymali się z daleka od stacji. Za plecami wciąż słyszeli szlochanie saksofonu i brzęk monet lądujących na płaszczu.

Markiz poprowadził ich na peron Linii Centralnej.

Richard podszedł na skraj peronu i spojrzał w dół, zastanawiając się jak zawsze, która z szyn jest pod prądem. Potem uśmiechnął się odruchowo, widząc małą szarą myszkę śmiało wędrującą po szynach w mysich poszukiwaniach porzuconych kanapek i upuszczonych chipsów.

- Uwaga na krawędź - upomniała go ostro Łowczyni. - Cofnij się tam, pod ścianę.

- Co takiego? - spytał Richard.

- Powiedziałam: Uwaga na...

I wtedy coś wystrzeliło spod krawędzi peronu. Było zwiewne, ulotne jak sen. Zjawy barwy czarnego dymu falowała niczym jedwab w wodzie. Choć zdawała się płynąć w zwolnionym tempie, w rzeczywistości zdumiewająco szybko owinęła się ciasno wokół kostki Richarda.

Zapieкло nawet przez materiał dzinsów. To coś pociągnęło go w stronę skraju peronu. Zachwiał się.

Niczym z wielkiej odległości ujrzał Łowczynię, która wyciągnęła kij i zaczęła tłuc nim mackę, mocno, metodycznie.

Rozległ się odległy krzyk, cienki i bezrozumny, niczym wrzask małego idioty pozbawionego ulubionej zabawki.

Dymna macka wypuściła kostkę Richarda i zniknęła.

Łowczyni złapała go za kark i odciągnęła od peronu.

Richard oparł się bezwładnie o ścianę. W miejscu, gdzie dotknęło go to coś, z jego dzinsów zniknął niebieski kolor. Wyglądały, jakby przed farbowaniem ktoś zawiązał na nich węzeł. Podciągnął nogawkę. Na skórze łydki występowały mu małe fioletowe plamy.

- Co... - spróbował powiedzieć, ale z jego gardła nie wydobył się żaden głos. Przełknął ślinę. Spróbował ponownie. - Co to było?

Łowczyni spojrzała na niego z góry. Jej twarz równie dobrze mogła być wyrzeźbiona z

brązowego drewna.

- Nie sądzę, by miało jakąś nazwę - rzekła. - Żyją pod krawędziami.

- Ja... nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Nigdy dotąd nie byłeś mieszkańcem podziemia - odparła Łowczyni. - Zaczekaj pod ścianą. Tak jest bezpieczniej.

Markiz sprawdzał godzinę na wielkim złotym zegarku. Schował go do kieszonki kamizelki, zerknął na kawałek papieru otrzymany od Leara i z satysfakcją skinął głową.

- Mamy szczęście - oznajmił. - Powinniśmy trafić na Hrabowski Dwór za jakieś pół godziny.

- Earl's Court nie leży na Linii Centralnej - zauważył Richard.

Markiz spojrział na niego z wyraźnym rozbawieniem.

- Młody człowieku, cóż za zdumiewający masz umysł - rzekł. - Nie ma niczego zabawniejszego niż absolutna ignorancja.

Zaczął wiać wiatr. Pociąg metra zatrzymał się przy stacji. Wysiedli z niego ludzie; inni wsiedli, zaprzętnięci swoim życiem. Richard obserwował ich zazdrośnie.

- Uwaga na krawędź - zaintonował głos automatu. - Proszę nie stać w drzwiach. Uwaga na krawędź.

Drzwi spojrziała na Richarda. Przestraszona tym, co ujrzała, podeszła do niego i wzięła go za rękę. Był bardzo blady. Oddychał szybko i płytko.

- Uwaga na krawędź - ponownie zagrzmiął nagrany głos.

- Nic mi nie jest - skłamał odważnie Richard, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Podwórze szpitala pana Croupa i pana Vandemara było ponure i wilgotne. Między szczątkami porzuconych biurek, oponami i fragmentami biurowych mebli rosła cherlawa trawa. Ogólnie można było odnieść wrażenie, że dziesięć lat wcześniej (może z nudów, może z frustracji, może nawet podczas artystycznego performance'u bądź aby podkreślić wagę swych słów) grupa ludzi wyrzuciła przez okna zawartość swych biur i pozostawiła ją tu na zawsze.

Wokół leżało mnóstwo stłuczonego szkła, całe stosy stłuczonego szkła, a także kilka materaców. Część z nich, bez żadnego logicznego powodu, została kiedyś podpalona. Nikt nie wiedział dlaczego. Nikogo to nie obchodziło. Między sprężynami rosła trawa.

Pośrodku podwórka wokół ozdobnej fontanny, która od dawna nie była już ani szczególnie ozdobna, ani w ogóle nie była fontanną, rozwinął się cały ekosystem. Deszczówka i woda z pękniętej rury przekształciły ją w raj dla stadka małych żabek, które podskakiwały wokół wesoło, rozkoszując się swobodą pod nieobecność wszelkich pozbawionych skrzydeł drapieżników. Natomiast wrony i kosi, a nawet przybywające z daleka mewy traktowały to miejsce jak bezkocie delikatesy, specjalizujące się w żabach.

Pomrowy pełzały leniwie pod sprężynami spalonych materaców; ślimaki pozostawiały ścieżki śluzu na stłuczonym szkłe. Wielkie czarne żuki krzątały się między strzaskanymi telefonami z szarego plastiku i okaleczonymi lalkami Sindy.

Pan Croup i pan Vandemar wyszli odetchnąć świeżym powietrzem. Wędrowali wolno wokół podwórza. Szklane odłamki chrzęściły im pod stopami. W swych wyświeconych czarnych garniturach wyglądali jak cienie.

Pan Croup aż kipiał z lodowatej wściekłości. Szedł dwukrotnie szybciej niż jego towarzysz, okrążając go i niemal tańcząc w gniewie. Od czasu do czasu, nie mogąc

powstrzymać wzbierającej furii, rzucał się na ścianę szpitala, fizycznie atakując ją pięściami i nogami, jakby stanowiła mamy substytut człowieka.

Pan Vandemar natomiast po prostu szedł. Jego marsz był zbyt miarowy, rytmiczny i nieunikniony, by nazwać go przechadzką. Śmierć chodzi tak jak pan Vandemar. Beznamiętnie obserwował pana Croupa, który kopnął kawałek szyby oparty o ścianę. Szyba pękła z satysfakcjonującym trzaskiem.

- Przyznaję, panie Vandemar - rzekł pan Croup, przyglądając się odłamkom - że mam już prawie dosyć tego wszystkiego. Prawie. Ostrożny, podstępny, asekurancki, małoduszny, blado-gęby pajac. Mógłbym wydłubać mu oczy kciukami...

Pan Vandemar potrząsnął głową.

- Jeszcze nie — rzekł. - To nasz szef podczas tego zadania. Kiedy już nam zapłaci, może zabawimy się na własny koszt. Pan Croup splunął na ziemię.

- Beznadziejny, fałszywy dureń! Powinniśmy zarżnąć tę sukę. Zlikwidować ją. Wymazać. Skasować. Utrupić.

Nagle głośno zadzwonił telefon. Panowie Croup i Vandemar rozejrzeli się zdumieni. W końcu pan Vandemar znalazł aparat w stosie śmieci na stercie starych medycznych kartotek. Z tyłu telefonu wybiegały strzępy drutów. Podniósł słuchawkę i podał panu Croupowi.

- Do ciebie - powiedział.

Pan Vandemar nie lubił telefonów.

- Tu pan Croup - rzekł Croup, a potem ciągnął uniżonym tonem: — A, to pan. Przerwa.

- W chwili obecnej, zgodnie z pańskim życzeniem, wędruje swobodnie, wolna jak ptak. Obawiam się, że pański pomysł z ochroniarzem nie wypalił jak zapchany muszkiet... Varney? Owszem, nie żyje.

Kolejna przerwa.

- Przyznaję, że mam pewne problemy z ogarnięciem roli, jaką odgrywamy z moim współnikiem w tych harcach.

Nastąpiła trzecia przerwa. Pan Croup stał się jeszcze bledszy niż zwykle.

- Nieprofesjonalni? - spytał łagodnie. - My? Zwinął dłoń w pięść i z całej siły rąbnął w ceglaną ścianę. Jednakże tonu głosu nie zmienił, gdy rzekł:

-Proszę pana, czy z całym szacunkiem mógłbym przypomnieć, że pan Vandemar i ja spaliliśmy Troję? Sprowadziliśmy czarną plagę do Flandrii. Nasze ostatnie zadanie polegało na zamęczeniu na śmierć wszystkich mieszkańców klasztoru w szesnastowiecznej Toskanii. Jesteśmy całkowicie profesjonalni.

Pan Vandemar, który zabawiał się, chwytając małe żabki i sprawdzając, ile zdoła wepchnąć do ust, zanim będzie musiał zacząć przeżuwać, powiedział z pełnymi ustami:

- To mi się podobało...

- O co mi chodzi? - powtórzył pan Croup, strzepując ze swego wyświeconego czarnego garnituru wymaginowane pyłki i całkowicie ignorując rzeczywisty kurz. - Chodzi mi o to, że jesteśmy zabójcami. Mordercami. My zabijamy.

Przez chwilę słuchał w milczeniu.

- A co z przybyszem z Góry? Czemu nie możemy go zabić? -Pan Croup wzdrygnął się. Raz jeszcze splunął i kopnął ścianę, trzymając w dłoni poplamiony rdzą wrak telefonu. — Przestraszyć ją? Jesteśmy zabójcami, nie strachami na wróble i wrony. -Przerwa. Croup odetchnął głęboko. - Tak, rozumiem. Ale to mi się nie podoba. - Lecz osoba po drugiej

stronie odwiesiła już słuchawkę.

Pan Croup spojrział na telefon. Potem postawił go na dłoni i zaczął metodycznie rozbijać aparat na kawałki plastiku i metalu, waląc nim o ścianę.

Podszedł pan Vandemar. Przed chwilą znalazł wielkiego czarnego pomrowa o jaskrawopomarańczowym brzuchu i żuł go teraz niczym czekoladowe cygaro. Ślimak, nie wyróżniający się specjalną inteligencją, próbował spełznąć po brodzie pana Vandemara.

- Kto to był? - spytał Vandemar.

- A jak, do diabła, sądzisz?

Pan Vandemar przeżuwał z namysłem, po czym wciągnął ślimaka do ust niby kawałek grubego, galaretowatego czamo-pomarańczowego makaronu.

- Sprzedawca strachów? - zaryzykował.

- Nasz pracodawca.

- Właśnie miałem to powiedzieć.

- Strachy — splunął z niesmakiem pan Croup. Jego nastrój zmieniał się; z osłepiającej wściekłości przechodził w śliską, szarą frustrację.

Pan Vandemar przełknął to, co miał w ustach, i otarł rękawem wargi.

- Najlepiej wystraszyć wronę - rzekł - podkradając się do niej i obejmując rękami jej małą wronią szyję. Naciskasz tak długo, aż przestanie się ruszać. To naprawdę je przeraża.

A potem umilkł. Usłyszeli dobiegające z wysoka krakanie przelatujących wron.

- Wrony. Rodzina Corvidae. Rzeczownik, liczba mnoga - zaintonował pan Croup, napawając się dźwiękiem swych słów. — Morderstwo.

Richard czekał pod ścianą obok Drzwi. Dziewczyna nie odzywała się prawie. Obgryzała paznokcie i poprawiała dłońmi włosy tak często, że wkrótce zaczęły sterczeć na wszystkie strony. Potem spróbowała jej przyglądać.

Z całą pewnością nie przypominała nikogo, kogo dotąd znał.

Gdy zauważyła, że jej się przygląda, wzruszyła ramionami i skuliła się głębiej w swych warstwach ubrań osłoniętych skórzaną kurtką. Jej twarz wyglądała na świat sponad kołnierza. Wyraz owej twarzy skojarzył się Richardowi z bezdomnym dzieckiem, które spotkał zeszłej zimy za Covent Garden; nie wiedział nawet, czy była to dziewczynka, czy chłopiec. Siedząca obok matka dziecka zebrała; błagała przechodniów o pieniądze potrzebne, by nakarmić to dziecko i niemowlę, które trzymała w ramionach. Lecz dzieciak patrzył tylko na świat i niczego nie mówił, choć musiał być głodny i zmarznięty. Po prostu patrzył.

Łowczyni stanęła obok Drzwi, rozglądając się po peronie. Markiz powiedział im, gdzie mają czekać, i zniknął. Z daleka Richard usłyszał płacz dziecka.

Nagle markiz pojawił się w drzwiach z napisem „Wyjście”, pogryzając trzymaną w dłoni bryłkę cukru.

- Dobrze się bawiłeś? - spytał Richard. Właśnie odjeżdżał pociąg.

- Załatwiłem pewne sprawy - odparł markiz. Zerknął na kartkę papieru i zegarek, po czym wskazał miejsce na peronie. - To jest pociąg na Hrabowski Dwór. Wy troje stańcie za mną.

W chwili gdy pociąg metra - wyglądający zupełnie zwyczajnie; Richard był zawiedziony - ze zgrzytem i łoskotem wjechał na stację, markiz rzekł do Drzwi:

- Pani. Jest coś, o czym powinienem być chyba wspomnieć wcześniej.

Spojrzała na niego różnobarwnymi oczami.

- Co takiego?

- Hrabia może nie być zachwycony na mój widok.

Pociąg zwolnił i zatrzymał się. Wagon, koło którego stał Richard, był zupełnie pusty. Zgaszono w nim światła, w środku panowała pustka i ciemność. Inne drzwi pociągu otwarły się z sykiem. Pasażerowie zaczęli wsiadać i wysiadać. Drzwi pogrążonego w mroku wagonu pozostały zamknięte.

Markiz zabębnił w nie pięściami, wybijając skomplikowany, urywany rytm. Nic się nie stało. Richard zastanawiał się właśnie, czy pociąg nie odjedzie, nim zdążą wsiąść, gdy ktoś pchnął od wewnątrz drzwi wagonu, które uchyliły się na piętnaście centymetrów. Ze szpary wyrzała na nich stara twarz.

- Kto pukał? - spytał mężczyzna.

Przez szczelinę Richard ujrzał płonący ogień, ludzi i dym. Jednak kiedy patrzył przez szybę, wciąż widział ciemny, pusty wagon.

- Pani Drzwi - odparł gładko markiz. - I jej kompani. Drzwi otwarły się szeroko i znaleźli się na Hrabiowskim Dworze.

ROZDZIAŁ 7

Podłogę zaścielała słoma, rozrzucona na warstwie suchych trzcin. W wielkim kominku wesoło trzaskał jasny ogień. Wokół wałęsało się kilka kur dziobiących niespiesznie okruchy. Na krzesłach leżały ręcznie haftowane poduszki. Ściany i okna pokrywały gobeliny.

Richard zachwiał się, gdy pociąg ruszył ze stacji. Wyciągnął rękę, chwycił się najbliższego człowieka, z trudem zachowując równowagę.

Najbliższym człowiekiem był niski, podstarzały rycerz, który, jak uznał Richard, wyglądałby zupełnie niczym świeżo emerytowany urzędnik, gdyby nie metalowy hełm, kamizela, kiepsko wykonana kolczuga i włócznia. Wszystko to sprawiało, że przypominał świeżo emerytowanego urzędnika, który wbrew własnej woli został zaciągnięty do miejscowego kółka dramatycznego, gdzie zmuszono go do odgrywania roli strażnika. Zamrugał oczami krótkowidza i rzekł:

- Przepraszam.

- To moja wina — odparł Richard.

- Wiem - powiedział siwy rycerz.

Przejściem zbliżył się wilczarz irlandzki. Przystanął obok lutniarza, który siedział na podłodze, od niechcenia grając radosną melodię. Pies spojrzał na Richarda, prychnął z pogardą, po czym położył się i zasnął.

Po drugiej stronie wagonu stary sokolnik z zakapturzonym sokołem na przegubie ręki wymieniał gładkie słówka z grupką dam dość nieświeżej daty (niektóre przekroczyły też datę przydatności do spożycia). Część pasażerów przyglądała się otwarciu czwórce przybyszy, inni, równie otwarcie, całkowicie ich ignorowali. W sumie wyglądało to, zupełnie jakby ktoś zebrał mały średniowieczny dwór i umieścił, jak najlepiej potrafił, w wagoniku metra.

Herold uniósł trąbę i odegrał fałszywą fanfarę. W drzwiach następnego przedziału stanął ogromny starszy mężczyzna w obszernym, podszytym futrem szlafroku i dywanikowych kapciach. Rękę wspierał na ramieniu błazna w obdartym stroju.

Potęźny mężczyzna był pod każdym względem przytłaczający. Jedno oko przesłaniała mu opaska, sprawiająca, że wyglądał nieco bezradnie i dziwacznie, niczym jednooki ptak. W siwiejącej rudej brodzie tkwiły resztki jedzenia. Spod podniszczonego futrzanego szlafroka wystawały spodnie od pidżamy.

To musi być hrabia, pomyślał słusznie Richard.

Błazen hrabiego, starszy mężczyzna o ściągniętych ustach i wymalowanej twarzy, wyglądał jak ktoś, kto sto lat wcześniej porzucił żywot najmniej ciekawej atrakcji music-halli. Podprowadził hrabiego do przypominającego tron rzeźbionego drewnianego siedziska, na którym olbrzym usadowił się chwiejnie. Wilczarz wstał, przebiegł przez wagon i legł tuż przy kapciach hrabiego.

Hrabiowski Dwór, pomyślał Richard. Oczywiście. A potem zaczął się zastanawiać. Baron's Court, Ravenscourt... Czy na Dworze Barona naprawdę jest baron, a na Kruczym Dworze kruki?

Siwy rycerz odkaslnął astmatycznie.

- No, dalej, wy tam. Mówcie, z czym przychodzicie. Drzwi wystąpiła naprzód. Wysoko uniosła głowę; zdawała się teraz wyższa i mniej zagubiona.

- Prosimy o audiencję u jego miłości hrabiego — oznajmiła.

- Co powiedziała ta dziewczynka, Halvardzie? - zawołał głośno hrabia.

Ciekawe, czy jest głuchy, pomyślał Richard.

Harvard, ów siwy rycerz, zaszurał nogami i przytknął dłoń do ust.

- Proszę o audiencję, wasza miłość - huknął, przekrzykując stukanie pociągu.

Hrabia odsunął grubą futrzaną czapę i z namysłem podrapał się po głowie. Czapka odsłoniła rosnącą łysinę.

- Naprawdę? Audiencję? Jakież to urocz. Kim oni są, Hal-wardzie?

Halvard odwrócił się do nich.

- Chcę wiedzieć, kim jesteście. Mówcie krótko. Nie zagadujcie.

- Jestem pani Drzwi - oznajmiła Drzwi. - Moim ojcem był pan Portyk.

Na te słowa hrabia rozpromienił się, pochylił naprzód i zdrowym okiem spróbował przeniknąć woal dymu.

- Czy ona powiedziała, że jest najstarszą córką Portyka? - spytał błazna.

- Tak jest, wasza miłość. Hrabia gestem wezwał Drzwi.

- Podejdź tutaj - rzekł. - No chodź, chodź. Niech na ciebie spojrzę.

Dziewczyna ruszyła przez wagon, po drodze przytrzymując się sznurów wiszących z sufitu, by nie upaść. Kiedy stanęła przed drewnianym fotelem hrabiego, dygnęła. Olbrzym podrapał się po brodzie i spojrzał na nią uważnie.

- Byliśmy ogromnie wstrząśnięci wieścią o tragicznym losie twojego oj... - rzekł, po czym przerwał sam sobie, mówiąc: — Cała twoja rodzina była... - urwał. - Wiesz, że darzyłem go ogromnym szacunkiem. Załatwialiśmy razem pewne sprawy... Pocziwy stary Portyk... Zawsze pełen pomysłów... - Umilkł. Poklepał błazna po ramieniu i szepnął z wyraźną pretensją, tak głośno, że słyhać go było mimo stuku kół: - No, dalej, powiedz jakiś dowcip, Tooley. Zarób na życie.

Błazen pokuśtykał naprzód z reumatycznym jękiem i artreycznym stękiem. Przystanął przed Richardem.

- A ty? Kim jesteś? - spytał.

- Ja? - rzekł Richard. - Hmm. Ja? Jak się nazywam? Richard. Richard Mayhew.

- Ja? - powtórzył piskliwie błazen, ze staroświecką teatralną powagą naśladowując szkocki akcent Richarda. - Ja? Hmm. Ja? Wciórności, wuju! To nie człowiek, lecz potwór w kilcie!

Dworacy zachichotali bez entuzjazmu.

- A ja - poinformował błazna Carabas z oślepiającym uśmiechem - jestem markiz de Carabas. Błazen wzdrygnął się.

- Carabas złodziej? - spytał. - Carabas porywacz? Carabas zdrajca? - Odwrócił się do otaczających go dworaków. - Ale przecież to nie może być Carabas. A dlaczego? Bo Carabas został dawno temu wygnany z tego dworu. Może to raczej łasica, która tak bardzo wyrosła?

Dworacy zaśmiali się niespokojnie. Zewsząd dobiegał cichy szmer gorączkowych rozmów. Hrabia milczał, coraz mocniej zaciskał wargi. Zaczął drżeć.

- Ja jestem Łowczyni — oznajmiła Łowczyni. Dworacy umilkli. Błazen otworzył usta, jakby miał coś powiedzieć. Potem spojrzął na nią i zaniknął je z młaśnięciem. W kąci idealnych ust Łowczyni zatańczył uśmieszek.

- No, dalej - rzekła. - Powiedz coś śmiesznego. Błazen spuścił wzrok ku zakreślonym czubkom pantofli.

- Przychodzi dama do balwierza - mruknął.

Hrabia wpatrywał się w markiza de Carabas. Przypominał przepalający się bezpiecznik; oczy wychodziły mu z orbit, wargi zbieleły, jakby nie mógł wierzyć w świadectwo własnych zmysłów. Nagle zerwał się na równe nogi — siwobrody wulkan, postarzały berserker. Czubkiem głowy sięgał sufitu wagonu. Wskazał ręką markiza i wrzasnął, rozpryskując wokół cząstki śliny.

-Nie zniosę tego! Nie zniosę! Przeprowadźcie go tu!

Harvard skinął żalobnie swą włócznią na markiza, który nonszalanckim krokiem pomaszerował na przód pociągu i zatrzymał się dopiero obok drzwi przed tronem hrabiego. Z gardła wilczarza dobiegł głęboki warkot.

- Ty! - powiedział hrabia, dźgając drżącym palcem powietrze. - Znam cię, Carabas. Nie zapomniałem. Może jestem stary, ale nie zapomniałem.

Markiz ukłonił się.

- Czy mam przypomnieć waszej miłości - spytał uprzejmie — że zawarliśmy umowę? Osobiście wynegocjowałem układ pokojowy pomiędzy wami a Kruczym Dworem. W zamian zgodził się pan wyświadczyć mi uprzejmość.

A zatem istnieje Kruczy Dwór, pomyślał Richard. Zastanowił się, jak wygląda.

- Drobną przysługę - powtórzył hrabia. Jego twarz przybrała barwę dojrzałego buraka. - Tak to nazywasz? To była głupota. Podczas odwrotu z Białego Miasta straciłem dwunastu ludzi. Straciłem oko.

- Jeśli mogę zauważyć - wtrącił ponownie markiz - to bardzo piękna przepaska. Niezwykle ci z nią do twarzy.

- Przysiągłem! — kipiał hrabia. Jego broda zjeżyła się groźnie. - Przysiągłem, że... jeśli kiedykolwiek postawisz nogę na moim terenie, ja... - urwał. Potrząsnął głową. - Zaraz sobie przypomnę. Niczego nie zapominam.

-Nie będzie zachwycony na twój widok, co? - szepnęła Drzwi do Carabasa.

-I nie jest - odmruknął markiz. Drzwi znów wystąpiła naprzód.

- Wasza miłość - rzekła głośno, wyraźnie. - Carabas jest moim gościem i towarzyszem.

Na więzy łączące nasze rodziny, na przyjaźń, którą darzyłeś mego ojca...

- On nadużył mojej gościnności! - zagrział hrabia. — Przysięgłem, że... jeśli kiedykolwiek znajdzie się na mym terenie, każę wypruć mu flaki i wysuszyć... jak czemuś, co zostało najpierw wypatroszone, a potem wysuszone i...

- Może chodziło o sztokfisz, panie? - podsunął błazen. Hrabia wzruszył ramionami.

- To nieistotne. Straże, pojmać go!

Posłuchali. Choć wszyscy strażnicy już dawno przekroczyli sześćdziesiątkę, każdy z nich trzymał w dłoni kuszę i celował w markiza. Ich ręce były pewne, nie drżały ze strachu ani ze starości.

Richard zerknął na Łowczynię. Sprawiała wrażenie nieporuszonej całą sceną. Obserwowała ją niemal z rozbawieniem, jak ktoś oglądający wystawianą specjalnie dla niego sztukę.

Drzwi splotła ręce na piersiach. Wyprostowała się jeszcze bardziej, odrzucając głowę i unosząc spiczasty podbródek. Nie przypominała już obdartego ulicznego chochlika, lecz kogoś, kto przywykł do tego, że słucha się jego rozkazów. Różnobarwne oczy błysnęły.

- Wasza miłość, markiz jest mym towarzyszem podczas tej wyprawy. Nasze rodziny przyjaźnią się od bardzo dawna...

- Owszem — przytaknął radośnie hrabia. - Setki lat. Wiele setek. Znałem też twego dziadka. Dziwny człowiek. Nieco oderwany od życia.

- Zmuszona jednak jestem oświadczyć, że potraktuję wszelkie użycie przemocy wobec mego towarzysza jako akt agresji wobec mnie samej i mojego rodu.

Dziewczyna uniosła wzrok, patrząc na górującego nad nią starego mężczyznę. Przez długą chwilę stali bez ruchu. Hrabia w zdenerwowaniu zaczął szarpać swą siwiejącą rudą brodę. W końcu, niczym nadąsane dziecko, wysunął dolną wargę.

- Nie życzę sobie jego obecności - rzekł.

Markiz wyjął z kieszeni złoty zegarek znaleziony w gabinecie Portyka. Spojrzał na niego bez troski. Potem odwrócił się do Drzwi, jakby nie zaszło nic nadzwyczajnego.

- Pani — powiedział. - Najwyraźniej bardziej ci się przydam poza tym pociągiem. Mam też kilka innych rzeczy do załatwienia.

- Nie - odparła. - Jeśli ty pójdziesz, pójdziemy wszyscy.

- Nie sądzę - uciał markiz. - Łowczyni będzie cię pilnować, póki zostaniesz w Londynie. Pod. Spotkamy się na następnym targu. A tymczasem nie rób nic głupiego.

Pociąg hamował, wjeżdżając na stację.

Drzwi przygwoździła hrabiego wzrokiem; ogromne, różnobarwne oczy pały w bladej twarzy o kształcie serca.

- Czy wasza miłość po/woli mu odejść w pokoju? - spytała. Hrabia ukrył twarz w dłoniach. Potarł zdrowe oko i opaskę. Potem spojrzął na nią.

- Ma zniknąć — rzekł. - Ale następnym razem... - przesunął grubym palcem po jabłku Adama. - Sztokfisz!

- Nie musicie mnie odprowadzać - powiedział markiz do strażników i ruszył ku otwartym drzwiom. .

Halvard uniósł kuszę, wycelował mu w plecy. Łowczyni wyciągnęła rękę i pchnęła kuszę ku podłodze.

Markiz wyszedł na peron. Odwrócił się i pomachał do nich z ironiczną miną. Drzwi zamknęły się z sykiem.

Hrabia usiadł ciężko na swym masywnym fotelu. Nie odezwał się ani słowem.

Pociąg z turkotem i hukiem zagłębił się w mroczny tunel.

- Gdzie moje maniery? — mruknął hrabia do siebie. Spojrzał na nich swym jedynym bystrym okiem i powtórzył ogłuszająco, tak głośno, że Richard poczuł, jak jego słowa odbijają się wibracją w żołądku niczym uderzenia wielkiego bębna. - Gdzie moje maniery?!!

Gestem wezwał jednego z podstarzałych rycerzy.

- Po takiej podróży są pewnie głodni, Dagvardzie, i spragnieni.

- Tak, wasza miłość.

- Zatrzymać pociąg! - zawołał hrabia.

Drzwi syknęły i otworzyły się. Dagvard wyskoczył na peron.

Richard obserwował krążących po stacji ludzi. Nikt nie wsiadł do ich wagonu. Nikt nie zauważył nawet, że dzieje się coś dziwnego. Dagvard podszedł do automatu z boku peronu. Zdjął hełm, potem postukał w bok maszyny dłonią w metalowej rękawicy.

- Rozkaz hrabiego - rzekł. - Czekaładki.

Odpowiedział mu metaliczny zgrzyt, dobiegający głęboko z wnętrza maszyny, która natychmiast zaczęła wypluwać dziesiątki baloników Fruit and Nut. Dagvard łapał je w swój stalowy hełm.

Drzwi już się zamykały. Halvard wsunął między nie uchwyt piki i otwarły się ponownie, po czym przymknęły się, otwarły, przymknęły, otwarły...

- Proszę nie stać w drzwiach — powiedział głos z głośnika. — Pociąg nie może ruszyć, póki drzwi się nie zamkną.

Hrabia, przekrzywiając głowę, przyglądał się dziewczynie.

- A zatem co cię tu sprowadza? Zwilżyła językiem wargi.

- Cóż, wasza miłość, pośrednio śmierć mojego ojca. Przytaknął powoli.

- Pragniesz zemsty. Święta racja. - Zakasłał, po czym wyrecytował przejmującym basem:

- Okrutne ostrze w walce, wściekły ogień wył, stał sroga sterczy z serca. Szkarłatne, no... coś tam. Tak.

- Zemsta, owszem. To właśnie powiedział mój ojciec. Ale ja chcę tylko zrozumieć, co się stało i uchronić się przed tym. Moja rodzina nie miała wrogów.

Dagvard wgramolił się z powrotem do pociągu, dźwigając hełm pełen czekoladowych baloników i puszek coca-coli. Drzwiom pozwolono się zamknąć i pociąg znów ruszył w drogę.

Płaszcz prawie nie było widać spod monet, banknotów i butów. Butów na stopach, kopiących monety, brudzących i rozdzierających banknoty, rozrywających materiał płaszcza, niemiłosiernie depreczających pieniądze.

- Dajcie mi spokój - błagał Lear. Cofnął się pod ścianę korytarza. Po jego twarzy ściekała krew. Szkarłatne krople wsiąkały w brodę. Saksofon wisiał bezwładnie na piersi.

Otaczał go tłumek ludzi — więcej niż dwudziestu, mniej niż pięćdziesięciu — przepychających się naprzód, uparcie i bezrozumnie, z pustymi, patrzącymi w przestrzeń oczami. Każdy z nich pchał się na oślep, by oddać Learowi swoje pieniądze.

Na pokrytej kafelkami ścianie widniała plama krwi w miejscu, gdzie Lear uderzył głową. Teraz spróbował odepchnąć kobietę w średnim wieku, która z szeroko otwartą torebką wciskała mu garść pięciofuntowych banknotów. Pragnąc za wszelką cenę wręczyć mu pieniądze, niemal rozorała paznokciami twarz nieszczęśnika, który przechylił się, by jej

uniknąć i upadł na podłogę. Ktoś nadepnął mu na rękę. Twarz wepchnięto mu w stos monet. Zaczął szlochać i przeklinać.

- Mówiłem, żebyś nie nadużywał tej melodii - dobiegł go z bliska rozbawiony głos. - Niegrzeczny chłopiec.

- Pomóż mi! - wykrztusił Lear.

- No cóż. Rzeczywiście istnieje przeciwzakłęcie - przyznał głos z lekką niechęcią.

Tłum napierał coraz bliżej - Ciśnięta pięćdziesięciopensówka skaleczyła muzykowi policzek. Lear skulił się w pozycji płodowej, tuląc twarz do kolan.

- Zagraj to, do diabła! - krzyknął. - Zrobię, czego tylko zechcesz... tylko ich powstrzymaj.

Nagle tuż obok odezwała się fujarka. Jej dźwięk odbił się echem w tunelu. Prosta fraza, powtarzana raz po raz, za każdym razem nieco inaczej: wariacje Carabasa.

Kroki zaczęły się oddalać. Z początku szurały, potem nabierały tempa. Ludzie odchodzili. Lear otworzył oczy.

Oparty o ścianę markiz de Carabas grał na fujarce. Gdy dostrzegł, że Lear na niego patrzy, odjął instrument od ust i schował do wewnętrznej kieszeni. Cisnął Learowi obszytą koronką, połataną płócienną chusteczkę. Lear otarł krew z czoła i twarzy.

- Oni by mnie zabili - rzekł oskarżycielsko.

- Ostrzegalem cię przecież — odparł Carabas. - Możesz się uznać za szczęśliwca, że akurat wtedy wracałem. Pomógł Learowi usiąść.

- A teraz — rzekł Carabas - chyba jesteś mi winien kolejną przysługę.

Lear podniósł z podłogi swój płaszcz - podarty, zabłocony, pokryty odciskami wielu stóp. Nagle zrobiło mu się bardzo zimno. Narzucił na ramiona poszarpane okrycie. Monety i banknoty posypały się na podłogę. Zostawił je.

- Naprawdę miałem szczęście? Czy mnie wystawiłeś? Markiz przybrał niemal urażoną minę.

- Nie wiem, jak mogłeś nawet pomyśleć o czymś takim.

- Mogłem, bo cię znam. O co chodzi tym razem? Kradzież? Podpalenie? Morderstwo? - W głosie Leara brzmiała rezygnacja i odrobina smutku.

Carabas schylił się i podniósł chusteczkę.

- Obawiam się, że kradzież - rzekł. - Nagle bardzo pilnie potrzeba mi rzeźby z czasów dynastii Tang. Lear zadrżał. Potem wolno skinął głową.

Richardowi podano balonik Fruit and Nut i wielki srebrny puchar, wysadzany wokół krawędzi czymś, co na pierwszy rzut oka wydało mu się szafirami. Puchar był pełen coca-coli.

- Chciałbym wznieść toast za naszych gości - powiedział Tooley, starzejący się trefniś. - Za dziecko, śmiałka i błazna. Niechaj każdy otrzyma to, na co zasłużył.

- Kim ja jestem? - szepnął Richard do Łowczyni.

- Oczywiście błaznem - odszepnęła.

- W dawnych czasach - powiedział melancholijnie Halvard, pociągając łyk coli - mieliśmy wino. Wolę wino. Nie jest takie lepkie.

- Czy wszystkie maszyny po prostu dają wam towary? - spytał Richard.

- Ależ tak - odparł starzec. - Widzisz, one słuchają hrabiego. Hrabia rządzi podziemiem.

Tą częścią z pociągami. Jest władcą Linii Centralnej, Okrężnej, Jubileuszowej, Wiktoryi, Bakerloo. Wszystkich oprócz Linii Podziemnej.

- Co to jest Linia Podziemna? - spytał Richard.

Harvard potrząsnął głową i ściągnął usta.

Łowczyńni musnęła ramię Richarda czubkami palców.

- Pamiętasz, co ci powiedziałam na temat pasterzy w Pasterskim Zagajniku?

- Mówiłaś, że nie chciałbym spotkać żadnego z nich i lepiej, żebym nie pytał.

- Doskonale - odparła. — Teraz dodaj Linie Podziemną do listy rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć. Drzwi zbliżyła się ku nim z uśmiechem.

- Zgodził się nam pomóc - oznajmiła. - Chodźcie. Spotka się z nami w bibliotece.

Richard był niemal dumny, że zdołał powstrzymać pytanie „W jakiej bibliotece?”, czy zauważyć, że w pociągu nie może być czegoś takiego. Ruszył za dziewczyną w stronę pustego tronu hrabiego i dalej przez drzwi łączące salę z biblioteką.

Był to wielki kamienny pokój o wysokim sklepieniu. Wszystkie ściany pokrywały półki, każda pełna najróżniejszych przedmiotów. Owszem, były tam książki, ale także mnóstwo innych rzeczy: rakiety tenisowe, kije hokejowe, parasolki, szpadel, przenośny komputer, drewniana noga, kilkanaście kubków, dziesiątki butów, lornetka, małe polano, sześć pacynek, lampa z pływającymi wewnątrz kroplami oleju, najróżniejsze płyty kompaktowe i zwyczajne (longplaye, czterdziestkipiątki i siedemdziesiątkióssemki), kasety i taśmy magnetofonowe, kości do gry, modele samochodów, protezy dentystyczne, zegarki, latarki, cztery krasnale ogrodowe różnych rozmiarów (dwa łąpały ryby na wędkę, a jeden prezentował gołe pośladki), stosy gazet, pism, podręczników magii, trójnożne stołki, pudełko cygar, plastikowy kiwający głową owczarek, skarpetki... Całe pomieszczenie stanowiło jeden wielki skład rzeczy zgubionych.

- To jego prawdziwe królestwo - mruknęła Łowczyńni. -Rzeczy zgubione. Rzeczy zapomniane.

Za oknami w kamiennych ścianach Richard dostrzegł wypełnioną turkotem ciemność i migające światła tuneli metra.

Hrabia siedział na podłodze z wyciągniętymi nogami, głaszcząc wilczarza i drapiąc go pod brodą. Obok niego stał trefniś z wyraźnie zakłopotaną miną. Na widok przybyszy hrabia dźwignął się z podłogi i zmarszczył czoło.

- No, jesteście. Miałem powód, by was tu zaprosić. Zaraz sobie przypomnę - szarpnął siwo-rudą brodę; drobny gest jak na tak potężnego człowieka.

- Anioł Islington, wasza miłość - odpowiedziała uprzejmie Drzwi.

- A, tak. Twój ojciec miał wiele pomysłów. Pytał mnie o różne sprawy. Osobiście nie jestem zwolennikiem zmian. Wysłałem go do Islingtona - urwał. Zamrugnął swym jedynym okiem. - Wspominałem już o tym?

- Tak, wasza miłość. A jak my możemy dostać się do Islingtona?

Hrabia przytaknął, jakby powiedziała coś wyjątkowo ważnego.

- Tylko raz krótką drogą. Potem musicie pójść naokoło. To niebezpieczne.

- A krótka droga to...? - spytała niecierpliwie Drzwi.

- Nie, nie. Aby z niej korzystać, trzeba umieć otwierać. To dobre tylko dla rodu Portyka.

Położył jej na ramieniu masywną dłoń. Potem pogładził dziewczynę po policzku.

- Lepiej zostań tu ze mną. Rozgrzałaś w nocy starca, co? -uśmiechnął się lubieżnie. Jego stare palce musnęły splecione włosy Drzwi.

Łowczyni postąpiła krok w jej stronę. Drzwi odesłała ją gestem. Nie. Jeszcze nie teraz. Potem spojrzała na hrabiego.

- Wasza miłość, jestem przecież najstarszą córką Portyka. Jak mam dotrzeć do anioła Islingtona?

Richard odkrył, że z podziwem przygląda się, jak dziewczyna radzi sobie z hrabią, który najwyraźniej przegrywał walkę z upływającym czasem. Starzec mrugnął z powagą swym jedynym okiem - stary jastrząb przechylający głowę. Potem zdjął rękę z jej włosów.

- Rzeczywiście. Córka Portyka. Jak się miewa twój drogi ojciec? Mam nadzieję, że jest zdrow. To wspaniały człowiek. Dobry człowiek.

- Jak mamy dotrzeć do anioła Islingtona? - powtórzyła Drzwi. Głos jej się lekko załamał.

- Hmm. Oczywiście używając Angelusa.

Richard nagle wyobraził sobie hrabiego sześćdziesiąt, osiemdziesiąt, pięćset lat temu. Potężny wojownik, przebiegły strateg, wspaniały kochanek, wierny przyjaciel, przerażający wróg. Gdzieś w tym wraku krył się ów dawny człowiek.

Hrabia zaczął grzebać po półkach, przesuwając długopisy, dłutka i dmuchawki, małe maskarony i suche liście. Potem, niczym stary kot zniecałkany chwytający mysz, złapał niewielki zwój i podał go dziewczynie.

- Proszę, moja mała. Wszystko jest tutaj. I chyba powinniśmy podzucić was tam, gdzie trzeba.

- Podzucić? - powtórzył Richard. - Pociągiem? Hrabia rozejrzał się zdziwiony, kto to mówił. Skupił wzrok na Richardzie i uśmiechnął się szeroko.

- To nic wielkiego. Wszystko dla córki Portyka. Drzwi z tryumfalną miną przycisnęła do siebie zwój. Richard poczuł, jak pociąg zwalnia. Wraz z towarzyszkami wyprowadzono go z kamiennej komnaty z powrotem do wagonu. Wyjrzał na zbliżający się ku nim peron.

- Przepraszam, co to za stacja? - spytał.

Pociąg zatrzymał się na wprost jednej z tablic z napisem: „Muzeum Brytyjskie”. I to okazało się ostatnią kroplą. Mógł zaakceptować istotę spod krawędzi, Hrabowski Dwór, a nawet dziwaczną bibliotekę. Ale, do diabła, dobrze znał plan metra. To była już przesada.

- Nie ma stacji Muzeum Brytyjskie - oznajmił stanowczo.

- Nie ma? - zagrmiał hrabia. - Zatem, hmm, musicie bardzo uważać, wysiadając z pociągu. - Zaśmiał się radośnie i poklepał błazna po ramieniu. - Słyszałeś, Tooley? Jestem równie śmieszny, jak ty.

Trefniś uśmiechnął się. Był to chyba najbardziej ponury uśmiech, na jaki stać człowieka.

- Kłuje mnie w bokach, trzeszczą mi żebra i aż tryskam radością, wasza miłość - rzekł. Drzwi otworzyły się z sykiem. Dziewczyna uśmiechnęła się do hrabiego.

- Dziękuję - powiedziała.

- No już, już - odparł rosły starzec, gestem wyganiając Drzwi, Richarda i Łowczynię z ciepłego, zadymionego wagonu na pusty peron. A potem drzwi zamknęły się, pociąg odjechał i Richard odkrył, że wpatruje się bezmyślnie w tablicę, która, nieważne ile razy mrugnął - spróbował nawet odwrócić wzrok i nagle spojrzeć ponownie, by ją zaskoczyć - wciąż z uporem głosiła:

MUZEUM BRYTYJSKIE

ROZDZIAŁ 8

Był wczesny wieczór. Bezchmurne niebo powoli zmieniało barwę z głębokiego błękitu w fiolet, ozdobiony na zachodzie smugą ognistego pomarańcza i cytrynowej zieleni jaśniejącą nad Kensingtonem, gdzie, przynajmniej z perspektywy Starego Bailey, niedawno zaszło słońce.

Niebo. Nigdy nie wyglądało tak samo. Ani w dzień, ani w nocy. Stary Bailey był prawdziwym koneserem, jeśli chodzi o niebo. Dzisiejsze było wyjątkowo ładne.

Rozbił na noc swój namiot na dachu naprzeciwko katedry Świętego Pawła, pośrodku londyńskiego City. Lubił Świętego Pawła. Tu przynajmniej niewiele zmieniło się w ciągu ostatnich trzystu lat. Katedra została zbudowana z białego portlandzkiego kamienia, który z czasem pod wpływem sadzy i brudnych dymów poczerniał, a teraz został oczyszczony i znów lśnił bielą. Ale wciąż pozostawała katedrą Świętego Pawła.

Nie był pewien, czy można rzec to samo o reszcie londyńskiego City. Zerknął za krawędź dachu, odwracając wzrok od swego ukochanego nieba ku oświetlonemu lampami sodowymi chodnikowi w dole. Dostrzegł przychepione do ściany kamery ochrony i kilka samochodów. Ostatni spóźniony urzędnik zaniknął drzwi biura i ruszył w stronę stacji metra.

Brrr! Sama myśl o zejściu pod ziemię sprawiła, że Bailey zadrżał. Był człowiekiem z dachów i szczylił się tym. Tak dawno umknął ze świata na poziomie ziemi...

Pamiętał jeszcze czasy, gdy ludzie mieszkali tu, w City, nie tylko pracowali. Żyli, kochali, śmiali się, budowali przytulone do siebie domy. A każdy z nich wypełniali ludzie. W swoich czasach odgłosy, pieśni i smród z alejki naprzeciwko (zwanej wówczas Zastraną Aleją) były wręcz legendarne.

Teraz nikt nie mieszkał w City. Było to zimne, smutne miejsce, za dnia pełne ludzi, którzy tu pracowali, ale wieczorem wracali do domów. Nie nadawało się już do życia. Tęsknił nawet za smrodami.

Ostatnia smuga oranżu rozplynęła się w nocnym fiolecie.

Zakrył klatki, by ptaki mogły zmrużyć oko. Ponarzekwały chwilę, po czym zasnęły.

Stary Bailey podrapał się po nosie. Potem zniknął w namiocie i wynurzył się z poczerniałym kociołkiem, wodą, kilkoma marchewkami i ziemniakami, solą oraz parą martwych, oskubanych szpaków.

Wyszedł na dach, rozpałił mały ogień w poczerniałej od sadzy puszcze po kawie i właśnie postawił na nim zupę, gdy zorientował się, że ktoś obserwuje go z cienia obok komina.

Bailey uniósł długi widelec i pomachał nim groźnie w stronę intruza.

- Kto tam?

Markiz de Carabas wynurzył się z cienia, uklonił zdawkowo i posłał mu promienny uśmiech. Stary Bailey opuścił widelec.

- Ach, to ty - rzekł. - Czego chcesz tym razem? Wiedzy czy ptaków?

Markiz podszedł do niego. Wyciągnął z zupy Starego Bailey'a kawałek surowej marchewki i wsunął sobie do ust.

- Prawdę mówiąc, informacji - przyznał. Stary Bailey zachichotał.

- Ha! Punkt dla książek! - Potem nachylił się w stronę markiza. - Co mi za nią dasz?

- A czego potrzebujesz?

- Może powinienem zrobić to co ty. Poprosić o przysługę. Jako inwestycję. - Starzec uśmiechnął się szeroko.

- Na dłuższą metę to zbyt kosztowne - odparł markiz bez cienia rozbawienia.

Stary Bailey przytaknął. Teraz, gdy zaszło słońce, bardzo szybko zrobiło się okrutnie zimno.

- Zatem buty i czapkę pilotkę. - Przyjrzał się uważnie swym rękawiczkom bez palców. Więcej w nich było dziur niż materiału. -I nowe rękawiczunie. Zima będzie naprawdę paskudna.

- Doskonale. Zgoda. - Markiz de Carabas wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni i niczym magik wyciągający różę z powietrza, zaprezentował małą czarną figurkę zwierzęcia, zabraną z gabinetu Portyka. - Co możesz mi o tym powiedzieć?

Stary Bailey włożył okulary. Wziął bibelot z ręki Carabasa. Figurka była bardzo zimna. Usiadł na skrzynce klimatyzatora, po czym obracając w palcach obsydianowy posążek, oznajmił:

- To Wielka Bestia Londynu.

Markiz milczał. Niecierpliwie przeskakiwał wzrokiem z posążka na twarz starca.

Stary Bailey ciągnął dalej, rozkoszując się zakłopotaniem Carabasa:

- Powiadają, że w czasach przed pożarem i zarazą nad Ściekiem Fleet mieszkał rzeźnik, który tuczył jakieś biedne stworzenie na święta (niektórzy twierdzą, że było to prosię, inni, że nie; jeszcze inni nie są pewni). Którejś nocy zwierzak uciekł, wbiegł do rynsztoka i zniknął w kanałach. Tam zaczął karmić się odpadkami i rosnać, rosnać, rosnać. Stawał się też coraz groźniejszy i złośliwszy. Od czasu do czasu wysyłali za nim myśliwych.

- Musiał zdechnąć trzysta lat temu. Stary Bailey potrząsnął głową.

- Takie stworzenia są zbyt złe, by umrzeć. Zbyt stare, wielkie i paskudne.

Markiz westchnął.

- Sądziłem, że to tylko legenda — powiedział. — Tak jak aligatory w kanałach Nowego Jorku.

- Co? Te wielkie białe gadziny? - Stary Bailey przytaknął z powagą. - Wciąż tam są. Jeden taki odgryzł głowę mojemu przyjacielowi. - Zapadła cisza. Starzec oddał posążek markizowi. Potem uniósł dłoń i zakłapał nią w stronę gościa, naśladując paszczę krokodyla. — Nic nie szkodzi - zachichotał. - Mój przyjaciel miał jeszcze jedną.

Figurka Bestii zniknęła w kieszeni markiza.

- Chwileczkę! - rzucił Stary Bailey.

Zniknął w brązowym namiocie i powrócił, niosąc w rękach srebrne puzderko, które markiz wręczył mu podczas poprzedniego spotkania. Uniósł je wysoko.

- A co z tym? - spytał. - Jesteś gotów je zabrać? Sama jego obecność wystarczy, bym dostał dreszczy.

Markiz podszedł do skraju dachu. Przeskoczył dwa metry dalej na następny budynek.

- Zabiorę je, kiedy to wszystko się skończy! - odkrzyknął. -Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiał go użyć. Stary Bailey nachylił się ku niemu.

- Skąd będę wiedział, jeśli zajdzie taka potrzeba?

- Będiesz wiedział. A szczury powiedzą ci, co masz robić. To rzekłszy, markiz zaczął zsuwać się po ścianie budynku, chwytając się rynien i parapetów.

- Jedno tylko powiem: mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie - rzekł do siebie Stary Bailey. Potem naszała go nagła myśl. - Hej! - zawołał, zwracając się do nocy i miasta. - Nie zapomnij o butach i rękawiczeniach!

Plakaty reklamowały napój Horlicks, wycieczki nad morze za dwa szylingi, solone śledzie

i czernidło do butów. Wszystkie były poczerniałymi od dymu pamiątkami z końca lat dwudziestych i początku trzydziestych.

Cała okolica wydawała się kompletnie opuszczona, zapomniana.

- To rzeczywiście jest stacja Muzeum Brytyjskie — przyznał Richard - ale przecież nigdy nie było takiej stacji! Nic się nie zgadza.

- Została zamknięta około roku trzydziestego trzeciego i zamurowana — odparła Drzwi.

- Niesamowite - westchnął Richard. Czuł się, jakby wędrował przez samą historię. Słyszał echa przejeżdżających sąsiednimi tunelami pociągów. Twarz owiewały mu fale powietrza. — Dużo jest takich stacji?

- Około pięćdziesięciu - odparła Łowczyni. — Nie do wszystkich jest jednak dostęp. Nawet dla nas.

W cieniach wzdłuż peronu coś się poruszyło.

- Witaj - powiedziała Drzwi. - Jak się miewasz? - Przykucnęła. Z mroku wynurzył się brązowy szczur. Czujnie obwąchał dłoń dziewczyny. - Dziękuję — odparła radośnie Drzwi. — Ja też się cieszę, że wciąż żyjesz.

Richard ostrożnie podszedł bliżej.

- Hmm... Drzwi, mogłabyś przekazać coś ode mnie szczurowi?

Szczur odwrócił ku niemu głowę.

- Panna Wąsik mówi, że jeśli chcesz jej coś powiedzieć, możesz to zrobić sam - oznajmiła Drzwi.

- Panna Wąsik?

Drzwi wzruszyła ramionami.

- To dosłowne tłumaczenie. Po szczurzem brzmi lepiej. Richard nie wątpił w to ani przez chwilę.

- Eee. Dzień dobry... panno Wąsik... Posłuchaj, chodzi o jedną z waszych szczuromówców. Anestezję. Prowadziła mnie na targ. Przechodziliśmy przez most w ciemności i ona nie dotarła na drugą stronę.

Szczur przerwał mu ostrym piśnięciem. Drzwi zaczęła mówić z wahaniem, tłumacząc na bieżąco.

- Ona mówi... że szczury nie obwiniają cię o jej śmierć. Twoja przewodniczka została... mmm... zabrana przez Noc jako zapłata, ale...

Szczur pisnął ponownie.

- Czasami tacy ludzie wracają - oznajmiła Drzwi. - Panna Wąsik dostrzegła twą troskę i dziękuje ci za nią.

Szczurzyca skinęła głową Richardowi, zamrugła czarnymi jak paciorki oczami, zeskoczyła na ziemię i zniknęła w mroku.

- Miły szczur - powiedziała Drzwi. Jej nastrój poprawił się wyraźnie, odkąd dostała zwój od hrabiego. - Tam. - Wskazała na przejście skutecznie zablokowane przez ciężkie żelazne drzwi.

Podeszli. Richard pchnął metalowe skrzydło, drzwi były jednak zaryglowane od wewnątrz.

- Wygląda na to, że są dokładnie zamknięte - oznajmił. - Będziemy potrzebowali specjalnych narzędzi.

Dziewczyna uśmiechnęła się nagle. Twarz jej pojaśniała. Przez moment elfie oblicze stało się piękne.

- Richardzie - rzekła - moja rodzina... My otwieramy. To nasz Talent. Spójrz... - Wyciągnęła zabrudzoną dłoń. Dotknęła drzwi. Przez długą chwilę nic się nie działo. Potem z drugiej strony rozległ się donośny trzask, któremu odpowiedział brzęk z ich strony. Dziewczyna pchnęła drzwi, które z rozpaczliwym zgrzytem zardzewiałych zawiasów otwały się szeroko.

Drzwi uniosła kołnierz skórzanej kurtki, wsunęła ręce głęboko w kieszenie. Łowczyni poświeciła latarką w czerń korytarza. Dostrzegli kamienne stopnie wiodące w górę, w ciemność.

- Łowczyni, możesz pilnować tyłów? Ja pójde przodem, Richard drugi.

Przeszła parę kroków. Łowczyni została na miejscu.

- Pani? — spytała. - Udajesz się do Londynu Nad?

- Zgadza się - odparła Drzwi. - Idziemy do Muzeum Brytyjskiego.

Łowczyni przygryzła dolną wargę. Potem potrząsnęła głową.

- Ja muszę zostać w Londynie Pod - oznajmiła. Głos drżał jej lekko.

Richard uświadomił sobie, że po raz pierwszy widzi, by ona, to ucieleśnienie kompetencji, zdradzała jakiekolwiek emocje, no może poza pełnym pobłażaniem rozbawieniem.

- Łowczyni - powiedziała Drzwi. - Jesteś moją strażniczką. Kobieta sprawiała wrażenie poruszonej.

- Jestem twoją strażniczką w Londynie Pod - rzekła. - Nie mogę iść z tobą do Londynu Nad.

- Musisz.

- Pani, nie mogę. Sądziłam, że to rozumiesz. Markiz wie. Łowczyni będzie cię pilnować, póki zostaniesz w Londynie Pod, przypomniał sobie Richard. Rzeczywiście.

- Nie - odparła Drzwi, unosząc wysoko spiczasty podbródek. Zmrużyła swe różnobarwne oczy. - Nie rozumiem. O co chodzi? - spytała z pogardą. - To jakaś klątwa czy co?

Łowczyni zawahała się. Oblizła wargi. Potem przytaknęła, zupełnie jakby przyznawała się do wstydlivej choroby.

- Posłuchaj, Łowczyni - rzekł Richard. - Nie bądź niemądra.

Przez moment miał wrażenie, że kobieta zaraz go uderzy, co byłoby dostatecznie okropne, albo zacznie płakać, co byłoby znacznie, znacznie gorsze. Potem odetchnęła głęboko i odparła opanowanym tonem:

- Będę stać u twego boku w Londynie Pod i strzec cię przed wszelkimi możliwymi niebezpieczeństwami, ale nie prosz mnie, abym poszła z tobą do Londynu Nad. Nie mogę. Splotła ręce pod piersiami, stanęła w lekkim rozkroku i przybrała pozę posągu kobiety, która nigdzie się nie wybiera, odlanego w mosiądzu, brązie i karmelu.

- Rozumiem - odparła Drzwi. — Chodź, Richardzie. — Ruszyła w górę schodów.

- Chwilkę - rzekł Richard. - Może zostaniemy tu, w dole? Moglibyśmy znaleźć markiza, a potem pójść razem i...

Drzwi znikła w ciemności nad jego głową. Łowczyni stała nieruchomo przy schodach.

- Zaczekam tu na jej powrót - oznajmiła. - Ty możesz iść albo zostać. Jak wolisz.

Richard jak najszybciej pobiegł po schodach, w mrok. Wkrótce dostrzegł nad sobą światło lampy Drzwi.

- Zaczekaj! - wydyszał. - Proszę.

Dziewczyna się zatrzymała. A potem, gdy ją doścignął i stanął obok niej na

klaustrofobicznie małym podeście, pozwoliła mu złapać oddech.

- Nie możesz tak po prostu uciekać - powiedział. Milczała. Zaciśnęła usta, odrobinę uniosła podbródek.

- To twoja strażniczka - dodał Richard. Drzwi ruszyła naprzód, pokonując następne schody. Richard podążał jej śladem.

- Niedługo wrócimy - powiedziała w końcu. — Wtedy znów będzie mogła mnie chronić.

Powietrze było gęste, wilgotne, ciężkie. Richard zastanawiał się, jak bez pomocy kanarka stwierdzić, czy nadaje się do oddychania. Musiał zadowolić się nadzieją, że tak.

- Markiz prawdopodobnie wiedział o jej kłątwie, czy cokolwiek to jest - rzekł.

- Tak. Przypuszczam, że wiedział.

- On... markiz... no wiesz, szczerze mówiąc, wydaje mi się odrobinę skryty.

Drzwi przystanąła. Stopnie kończyły się pod nierówną ścianą z cegieł.

- Mhm, jest odrobinę skryty. Tak samo jak szczury są odrobinę porośnięte futrem.

- Czemu zatem zwróciłaś się o pomoc akurat do niego? Czy nie było nikogo innego, po kogo mogłaś mnie posłać?

- Pomówimy o tym później. — Rozwinęła zwój. Przebiegła wzrokiem po archaicznym manuskrypcie i zwinęła go z powrotem. - Poradzimy sobie - oznajmiła zdecydowanie. - Wszystko tu jest. Musimy po prostu dostać się do Muzeum Brytyjskiego. Znajdziemy Angelusa i wyjdziemy. Łatwizna. Nic wielkiego. Drobiazg. Zamknij oczy.

Richard posłuchał.

- Nic wielkiego - powtórzył. - Kiedy ludzie mówią coś takiego w filmach, zawsze oznacza to, że zaraz zdarzy się coś strasznego.

Poczuł na twarzy lekki powiew. Ciemność za jego zamkniętymi powiekami uległa osobiwej zmianie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała Drzwi. Akustyka także się zmieniła. Przebywali teraz w większym pomieszczeniu. - Możesz już otworzyć oczy.

Posłuchał. Zakładał, że znaleźli się po drugiej stronie ściany. Pomieszczenie przypominało graciarnie, ale nie zwykłą graciarnie - w tych gratach było coś dziwnego i niezwykłego. Oto wspaniałe, rzadkie, kosztowne i stare graty, które można obejrzeć jedynie w miejscach takich jak...

- Czy jesteśmy w Muzeum Brytyjskim? — spytał. Dziewczyna zmarszczyła brwi. Przez moment pogrążyła się w myślach, nasłuchując.

- Nie do końca, ale bardzo blisko. To musi być jakiś magazyn czy coś w tym stylu.

Wyciągnęła rękę i dotknęła materiału staroświeckiego stroju na woskowym manekinie.

- Wolałbym, żebyśmy zostali ze strażniczką — powiedział Richard.

Drzwi przechyliła głowę na bok i spojrzała na niego z powagą.

- A przed kim trzeba cię strzec, Richardzie Mayhew?

- Przed nikim - przyznał. A potem skręcili za róg i dodał: -No... może przed nimi.

W tym samym momencie Drzwi jęknęła:

- Cholera!

Powód, dla którego Richard powiedział „może przed nimi”, a Drzwi jęknęła „cholera”, był następujący: pan Croup i pan Vandemar stali na cokołach po obu stronach przejścia. Richardowi ich widok skojarzył się z koszmarną wystawą sztuki współczesnej, na którą kiedyś zabrała go Jessica; młody obiecujący artysta zorganizował wystawę, zapowiadając przełamanie tabu w sztuce. W tym celu rozpoczął kampanię systematycznego rabunku

grobow, a rezultaty trzydziestu najciekawszych rabunków wystawił w szklanych gablotach.

Wystawę zamknięto po tym, jak artysta sprzedał „Skradzione Zwłoki Numer 25” agencji reklamowej za sześciocyfrową sumę, a krewni Skradzionych Zwłok Numer 25, widząc w „Sun” zdjęcie, wystąpili do sądu o udział w zyskach z transakcji i zmianę nazwy dzieła sztuki na „Eclgar Fospring 1919-1987, Ukochany Mąż, Ojciec i Wuj. Spoczywaj W Spokoju, Tato”.

Richard ze zgrozą oglądał zamknięte w szkle trupy w poplamionych garniturach i przegniłych sukienkach. Nienawidził się za to, że patrzy, a jednak patrzył.

Pan Croup uśmiechnął się niczym wąż próbujący połknąć półksiężyc, co zwiększyło jeszcze jego podobieństwo do Skradzionych Zwłok Numer od jednego do trzydziestu.

-I co? - spytał uśmiechnięty pan Croup. - Nie ma z wami pana „jestem-taki-sprytny-i-wiem-wszystko” markiza? Ani „och-nie-wspominałam-wam-przepraszam-nie-mogę-pójść-na-górę” Łowczyni? - Zawiesił głos dla większego efektu. Cała jego postać nieodparcie kojarzyła się z gnijącą szynką. - Jakem straszny szary wilk! To przecież nasze dwie zbłąkane owieczki, wędrujące samotnie po zmroku.

-Mnie także mógłby pan nazwać wilkiem, panie Croup -wtrącił łagodnie pan Vandemar. Pan Croup zeskoczył niezgrabnie ze swego cokołu.

-Pozwólcie, moje jagniątko, że szepnę wam coś w wasze małe wełniste uszka — rzekł.

Richard rozejrzał się. Musiała istnieć jakaś droga ucieczki. Chwycił Drzwi za rękę, rozpaczliwie wodząc wokół wzrokiem.

-Nie, proszę. Zostańcie tam, gdzie jesteście — powiedział pan Croup. - Tak bardziej nam się podobacie. Nie chcemy zrobić wam krzywdy.

- Chcemy — wtrącił pan Vandemar.

- No cóż, panie Vandemar, skoro pan o tym wspomniał, to owszem, chcemy zrobić krzywdę wam obojgu. Chcemy was skrzywdzić, i to poważnie. Ale w tej chwili nie dlatego tu jesteśmy. Jesteśmy tu, by uatrakcyjnić naszą grę. Widzicie, kiedy zabawa robi się nudna, wraz z mym współnikiem stajemy się niespokojni i, choć trudno w to może uwierzyć, tracimy pogodny, uroczy nastrój.

Pan Vandemar obnażył zęby, demonstrując swój pogodny, uroczy nastrój. Była to niewątpliwie najstraszniejsza rzecz, jaką Richard kiedykolwiek oglądał.

-Zostawcie nas w spokoju - powiedziała Drzwi wyraźnie i stanowczo.

Richard ścisnął jej rękę. Skoro dziewczyna mogła okazać odwagę, on mógł także.

- Jeśli chcecie ją skrzywdzić — rzekł - najpierw będziecie musieli zabić mnie.

Jego słowa wyraźnie ucieszyły pana Vandemara.

- W porządku - rzekł. - Dzięki.

- Ciebie też skrzywdzimy - dodał pan Croup.

- Ale jeszcze nie teraz - uzupełnił pan Vandemar.

- Widzicie - wyjaśnił pan Croup głosem oślizgłym niczym zjełczałe masło - w tej chwili mam jedynie wzbudzić w niej lęk.

- Sprawić, byście cierpieli. - Głos pana Vandemara był niczym nocny wiatr nad pustynią pełną kości. - Zepsuć wam dzień. Pan Croup przysiadł pod cokołem pana Vandemara.

- Odwiedziliście dziś Hrabowski Dwór - powiedział tonem, który, jak podejrzewał Richard, w jego opinii miał być lekki i bez troski.

-I co z tego? - spytała Drzwi, cofając się powoli.

Pan Croup uśmiechnął się.

- Skąd o tym wiemy? Skąd wiedzieliśmy, gdzie was znaleźć?

- W każdej chwili możemy do was dotrzeć - oznajmił niemal szeptem pan Vandemar.

- Sprzedano cię, biedroneczko - powiedział pan Croup, zwracając się do Drzwi i, jak zrozumiał Richard, wyłącznie do niej. -W waszym obozie jest zdrajca. Kukułcze piskłę w gnieździe.

- Chodź! - krzyknęła i rzuciła się biegiem naprzód.

Richard biegł wraz z nią przez salę pełną gratów, zmierzając w stronę drzwi. Gdy dziewczyna dotknęła ich, otwarły się bezszelestnie.

- Proszę się z nimi pożegnać, panie Vandemar - rozległ się za nimi głos pana Croupa.

- Pa, pa! - zawołał pan Vandemar.

- Nie, nie - poprawił pan Croup. - Au revoir.

A potem wydał z siebie odgłos kukania, które mogłoby pochodzić z gardła kukułki, gdyby miała metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i apetyt na ludzkie ciało - podczas gdy pan Vandemar, wierniejszy swej naturze, odrzucił krągłą głowę i zawył niczym wilk: upiorny, groźny i szalony.

Znaleźli się na zewnątrz, na świeżym powietrzu. Był wieczór. Biegli po chodniku. Richard miał wrażenie, że serce zaraz wyrwie mu się z piersi. Obok nich śmignął wielki czarny samochód.

Muzeum Brytyjskie znajdowało się po drugiej stronie wysokiego czarnego ogrodzenia. Dyskretnie zamaskowane reflektory oświetlały front wysokiego białego budynku, kolumny, stopnie, ściany.

Dotarli do furtki. Drzwi chwyciła ją oburącz i pchnęła. Nic się nie stało.

- Nie możesz jej otworzyć? - spytał Richard.

- A jak ci się wydaje, co próbuję zrobić? - warknęła.

Paręset metrów dalej, przy głównej bramie, limuzyny podjeżdżały do krawężnika. Wsiadały z nich pary w wytwornych strojach i ruszały wprost w stronę muzeum.

- Tam! - rzucił Richard. - Główna brama! Drzwi przytaknęła. Obejrzała się za siebie.

- Nie ścigają nas - powiedziała. Pospieszyli w stronę bramy.

- Nic ci nie jest? — spytał Richard. - Co się stało? Dziewczyna zgarbiła się w swej skórzanej kurtce. Była blada. Pod jej oczami malowały się ciemne półkola.

- Jestem zmęczona - odparła beznamytnie. - Otworzyłam dziś zbyt wiele drzwi. Za każdym razem trochę mnie to kosztuje. Potrzebuję czasu, by odzyskać siły. Muszę coś zjeść. Wtedy będzie dobrze.

Przy bramie stał strażnik, dokładnie sprawdzający eleganckie wydrukowane zaproszenia, które musieli przedstawić wszyscy: świetnie ogoleni mężczyźni w smokingach i pachnące perfumami kobiety w wieczorowych sukniach. Następnie odhaczał nazwiska na liście i dopiero wtedy wpuszczał ich do środka. Stojący obok policjant w mundurze mierzył gości obojętnym wzrokiem.

Richard i Drzwi nie niepokojeni przez nikogo przeszli przez bramę. Na kamiennych stopniach wiodących do muzeum ustawiała się kolejka ludzi. Dołączyli do nich. Tuż za ich plecami natychmiast ustawili się siwowłosy mężczyzna i kobieta odważnie obnosząca

futro z norek.

Richarda uderzyła nagle pewna myśl.

- Czy oni nas widzą? - spytał.

Drzwi odwróciła się do dżentelmena, uniosła głowę i spojrzała mu w twarz.

- Witani — powiedziała.

Mężczyzna rozejrzał się ze zdziwioną miną, jakby nie wiedział, co przyciągnęło jego uwagę. W końcu dostrzegł stojącą tuż przed nim dziewczynę.

- Witam — rzekł.

- Ja jestem Drzwi - oznajmiła. - A to Richard.

- Ach, tak - odparł. Potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyciągnął papierośnicę i natychmiast o nich zapomniał.

- Rozumiesz teraz? - spytała Drzwi.

- Chyba tak - odrzekł Richard.

Przez jakiś czas milczeli. Kolejka posuwała się wolno ku jednemu otwartemu wejściu do muzeum.

Drzwi raz jeszcze przeczytała swój zwój, jakby pragnęła upewnić się co do czegoś. W końcu Richard odezwał się cicho:

- Zdrajca?

- Po prostu nas podpuszczali - odparła dziewczyna. - Próbowali nas zdenerwować.

-I świetnie im się to udało — odparł Richard. A potem przeszli przez otwarte drzwi i znaleźli się w Muzeum Brytyjskim.

Pan Vandemar był głodny, toteż obaj ruszyli przez Trafalgar Square.

-Przestraszyć ją - mamrotał z niesmakiem pan Croup. -Przestraszyć. Oto na co nam przyszło.

Pan Vandemar znalazł w koszu na śmieci połowę kanapki z sałatą i krewetkami. Zaczął delikatnie rozdzierać ją na małe strzępy, które rzucał na bruk przed sobą, wabiąc stadko zgłodniałych gołębi.

- Trzeba było mnie posłuchać - powiedział. - Znacznie bardziej by się przestraszyła, gdybym urwał mu głowę, kiedy nie patrzyła w jego stronę, a potem wepchnął rękę do gardła i zaczął kiwać palcami. Zawsze krzyczą - dodał - gdy wypadają oczy.

Zademonstrował to prawą ręką, dźgając palcami w górę, a potem wymachując na wszystkie strony.

Pan Croup nie dał się zbić z pantalyku.

- Skąd takie miękkie serce na tym etapie gry? - spytał.

-Nie mam miękkiego serca, panie Croup - zaprotestował pan Vandemar. - Lubię, kiedy wypadają oczy. Oczki-ślicznotki.

Kolejne cierpiące na bezsenność szare gołębie podbiegały, by zdobyć kawałek chleba i krewetki, kompletnie lekceważąc sałatę.

- Nie ty - odparł pan Croup. - Nasz szef. Zabijcie ją, porwijcie, przeraźcie. Czemu wreszcie się nie zdecydujecie?

Panu Vandemarowi zabrakło kanapki, toteż śmignął w środek stada gołębi, które natychmiast wystartowały ciężko z trzepotem i pełnym pretensji gruchaniem.

- Ładny chwyt, panie Vandemar — pogratulował pan Croup. Jego współnik trzymał w dłoni zaskoczonego i zdenerwowanego gołębia, który narzekał i wiercił się w jego uchwycie, bezradnie dziobiąc potężne palce. Pan Croup westchnął dramatycznie.

- No, w każdym razie zdołaliśmy wrzucić kota między te gołębie - rzekł z ulgą. Pan Vandemar uniósł ptaka do ust. Rozległ się chrzęst, gdy odgryzł głowę, i zaczął ją przeżuwać.

Strażnicy kierowali gości muzeum do holu, który obecnie pełnił funkcję tymczasowej poczekalni. Drzwi zignorowała ich całkowicie i zagłębiła się w korytarze. Richard dreptał u jej boku.

Przeszli przez Sale Egipskie, wspięli się po schodach i znaleźli w sali z napisem: „Wczesna sztuka angielska”.

- Według tego, co tu piszą — oznajmiła — Angelus powinien znajdować się tutaj.

Raz jeszcze zerknęła na zwój. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Skrzywiła.

Niespodziewanie prychnęła i cofnęła się po schodach, tam skąd przyszli.

Richarda ogarnęło przejmujące uczucie déjà vu. Nagle pojął, że oczywiście, wszystko to wydaje mu się znajome. Właśnie tak spędzał weekendy w czasach Jessiki, które, choć niedawne, sprawiały wrażenie czegoś, co spotkało kogoś zupełnie innego dawno, dawno temu.

- A zatem Angelusa tam nie było? - spytał Richard.

- Nie, nie było go tam — odparła Drzwi z nieco większym naciskiem, niż, w opinii Richarda, wymagało jego pytanie.

- Tak tylko się zastanawiałem - rzekł.

Przeszli do innej sali. Richard nie wiedział, czy zaczyna mieć halucynacje pod wpływem potężnej dawki cukru spożytej na Hrabiowskim Dworze, czy może jego zmysły szaleją.

- Słyszę muzykę - rzekł. Brzmiało to jak kwartet smyczkowy.

- Przyjęcie - przypomniała Drzwi.

Jasne. Ludzie w strojach wieczorowych, z którymi stali w kolejce. Nie. Angelusa tu także nie było. Drzwi ruszyła do następnego pomieszczenia. Richard podążał w jej ślady. Żałował, że bardziej nie może się przydać.

— Ten Angelus — rzekł. — Jak wygląda? Przez moment miał wrażenie, że dziewczyna zruga go za to pytanie. Ona jednak zatrzymała się i potarła dłonią czoło.

- Piszą tu tylko, że ma na sobie obraz anioła. Nietrudno go będzie znaleźć. Ostatecznie - dodała z nadzieją w głosie - ile możemy napotkać rzeczy ozdobionych portretami aniołów?

ROZDZIAŁ 9

Ostatnio Jessica żyła w lekkim napięciu. Była zdenerwowana, poirytowana i drażliwa. Skatalogowała cały zbiór, załatwiła z Muzeum Brytyjskim sale na wystawę. Zorganizowała Odnowienie Głównego Ekspozycji, pomagała przy wieszaniu i ustawianiu kolekcji i ułożyła listę zaproszonych na Spektakularne Otwarcie.

„Całe szczęście, że nie mam narzeczonego” - powtarzała przyjaciółom. Nawet bez niego nie starczało jej czasu. Mimo wszystko byłoby miło, myślała w wolnych chwilach. Ktoś, z kim mogłaby chodzić w weekendy do galerii. Ktoś, kto...

Nie. Nie powinna w ogóle o tym myśleć. Nie potrafiła określić budzących się wówczas w niej uczuć, tak jak nie umiałaby przycisnąć palcem do stołu kropli rtęci. Toteż ponownie skupiła całą uwagę na wystawie.

Nawet teraz, w ostatniej chwili, było tak wiele rzeczy, które mogły pójść nie tak. Ileż koni

upadło przy ostatniej przeszkodzie. Wielu zaufanych generałów patrzyło, jak pewne zwycięstwo zamienia się w porażkę w ostatnich minutach bitwy.

Jessica miała zamiar dopilnować, by wszystko poszło jak należy.

Wybrała na tę okazję zieloną jedwabną suknię: wydekoltowany generał, dowodzący swym wojskiem i ze stoickim spokojem udający, że pan Stockton nie spóźnia się już o pół godziny.

Jej wojska składały się z głównego kelnera, dziesiątki jego podwładnych, trzech kobiet z firmy cateringowej, kwartetu smyczkowego i asystenta, młodego mężczyzny imieniem Clarence. Jessica świącie wierzyła, że Clarence dostał tę posadę, bo

a) był stuprocentowym gejem i

b) równie stuprocentowym Murzynem, toteż niezmiernie irytował ją fakt, że okazał się bez wątpienia najlepszym, najbardziej kompetentnym i najsprawniejszym asystentem, jakiego kiedykolwiek miała. Raz jeszcze sprawdziła stół z drinkami.

- Starczy nam szampana? Tak?

Główny kelner wskazał skrzynkę butelek za stołem.

- A gazowanej mineralnej wody? Kolejne skinienie głowy. Kolejna skrzynka. Jessica ściągnęła wargi.

- Co z wodą niegazowaną? Nie wszyscy przepadają za bąbelkami.

Mieli także mnóstwo niegazowanej wody. Doskonale.

Kwartet smyczkowy wyraźnie się rozgrzewał, nie grał jednak dość głośno, by zagłuszyć hałas dobiegający z holu. Były to odgłosy małego, lecz wpływowego tłumu, narzekania dam w futrach z norek i mężczyzn, którzy, gdyby nie napisy „nie palić” na ścianach i zalecenia lekarzy, paliliby cygara, utyskiwania dziennikarzy i sław czujących woń kanapek, przystawek, smakowitych zakąsek i darmowego szampana.

Clarence rozmawiał z kimś przez telefon komórkowy - zgrabny, elegancki produkt współczesnej inżynierii, w porównaniu z którym komunikatory ze „Star Treku” były wielkie i staroświeckie. Wyłączył go, schował antenę i ukrył telefon w kieszeni swego garnituru od Armaniego, nie naruszając jego linii. Uśmiechnął się pocieszająco.

- Jessico, przed chwilą szofer pana Stocktona dzwonił z samochodu. Wciąż mają kilka minut spóźnienia. Nie ma się czym przejmować.

- Nie ma się czym przejmować - powtórzyła Jessica. Klęska. Klęska. Całe przyjęcie zakończy się katastrofą. Jej katastrofą. Podniosła ze stołu kieliszek szampana, opróżniła go jednym haustem i podała pusty kelnerowi od win.

Clarence przekrzywił głowę, nasłuchując dobiegających z holu ech narzekań. Zerknął na zegarek, po czym spojrzał pytająco na Jessicę, niczym kapitan zwracający się do generała: To co, szefie, wkraczamy w Dolinę Śmierci?

- Pan Stockton już jedzie, Clarence — powiedziała. - Prosił, by przed oficjalnym otwarciem dać mu czas na samotne zwiedzenie wystawy.

- Mam iść i zobaczyć, co się dzieje?

- Nie - odparła stanowczo Jessica. A potem, równie stanowczo: - Tak.

Załatwiwszy kwestie jedzenia i picia, Jessica zwróciła się do kwartetu smyczkowego i po raz trzeci tego wieczoru spytała, co dokładnie zamierzają zagrać.

Clarence otworzył podwójne drzwi. Było gorzej, niż się spodziewał. W holu zgromadziło się ponad sto osób, i nie byli to zwykli ludzie, ale Ludzie. A co poniektórzy — nawet Znane Osobistości.

- Przepraszam — zagadnął go przewodniczący Fundacji Sztuki. - Na zaproszeniach napisano punkt ósma. Jest już dwadzieścia po ósmej.

- Jeszcze tylko parę minut - zapewnił go gładko Clarence. -Chodzi o bezpieczeństwo.

W tym momencie zaatakowała go kobieta w kapeluszu. Jej stentorowy głos brzmiał groźnie i niewątpliwie parlamentarnie.

- Młody człowieku, czy wiesz, kim jestem?

- Niezupełnie, nie - skłamał Clarence, który wiedział dokładnie, kim byli wszyscy zebrani goście. — Jedną chwileczkę. Poszukam kogoś, kto wie. — Zamknął za sobą drzwi. - Jessico, oni zaraz się zbuntują.

- Nie przesadzaj, Clarence. - Jessica krążyła po sali niczym zielona jedwabna trąba powietrzna, rozstawiając ludzi z obsługi, dźwigających tace kanapek i drinków w strategicznych kątach, sprawdzając system nagłośnienia, podium, kurtynę i sznur.

-Już widzę nagłówki - oznajmił Clarence i wykonał gest przypominający rozkładanie gazety. - Tłum Bogatych Starców Zadeptuje Na Śmierć Ślicznotkę z Marketingu. Muzealny Horror Kanapkowy.

Ktoś zaczął pukać do drzwi. Poziom hałasu dobiegającego z holu nieustannie rósł. Ktoś mówił bardzo głośno „przepraszam, przepraszam”; ktoś inny informował cały świat, że to skandal, absolutny skandal. Nie da się tego inaczej określić.

- Czas na podjęcie decyzji - oznajmił nagle Clarence. -Wpuszczam ich.

- Nie! - krzyknęła Jessica. - Jeśli...

Ale było już za późno. Drzwi się otwarły i horda wtargnęła do sali. Wyraz twarzy Jessiki zmienił się natychmiast, ze zgrozy na radosny uśmiech. Powoli popłynęła do drzwi.

- Baronowo - rzekła, promieniejąc. - Nie ma pani pojęcia, jak się cieszę, że zdołała pani zaszczyścić naszą małą wystawę. Niestety, pan Stockton nieco się spóźni. Ale za chwilę powinien tu być. Proszę, może kanapkę?

Clarence mrugnął do niej wesoło ponad spowitym w norki ramieniem baronowej. Jessica powtórzyła w myślach wszystkie znane sobie obelżywe określenia. A gdy baronowa skierowała się ku tacy z przystawkami, Jessica podeszła do Clarence'a i szeptem, wciąż z uśmiechem, nazwała go kilkoma z nich.

Richard zamarł. Zbliżał się jeden ze strażników. Promień latarki tańczył w mroku. Richard rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś kryjówki.

Za późno. Między posągami martwych greckich bogów, wymachując latarką, nadchodził kolejny strażnik.

- Wszystko w porządku? — zawołał pierwszy. Drugi, który okazał się kobietą, podszedł do nich. Strażniczka zatrzymała się tuż przed Richardem i dziewczyną.

- Chyba tak - odparła. - Jak dotąd musiałam powstrzymać paru ważniaków w garniturach przed wyryciem swych inicjałów w Kamieniu z Rosetty. Nienawidzę tych przyjęć.

Pierwszy strażnik poświecił latarką wprost w oczy Richarda. Potem promień opadł w dół, ślizgając się wśród cieni.

- Zawsze ci powtarzam - oznajmił z satysfakcją godną prawdziwego proroka - to nic innego, tylko nowa „Maska Śmierci Szkarłatnej”. Dekadencka elita bawi się, podczas gdy wokół nich rozpada się cywilizacja. — Podłubał palcem w nosie, otarł go o skórzaną podeszwę wypolerowanego czarnego buta.

Strażniczka westchnęła.

- Dzięki, Geraldzie. Wracamy na patrol.

Odeszli razem korytarzem.

- Podczas ostatniej imprezy któryś z gości narzygał do sarkofagu - powiedział mężczyzna i drzwi zamknęły się za nimi.

- Jeśli jesteś mieszkańcem Londynu Pod - oznajmiła lekko Drzwi, gdy wraz z Richardem ruszyli do następnej sali - zwykle w ogóle cię nie dostrzegają, chyba że sam ich zagadniesz. A nawet wtedy natychmiast o tobie zapominają.

- Ale ja cię zobaczyłem - powiedział Richard. Myśl ta od jakiegoś czasu nie dawała mu spokoju.

- Wiem - powiedziała Drzwi. - Czy to nie dziwne?
- Wszystko jest dziwne - odrzekł z naciskiem Richard. Muzyka smyczkowa stawała się coraz głośniejsza.
- Angelus jest tam - oznajmiła Drzwi, wskazując stronę, z której dochodziła muzyka
- Skąd wiesz?
- Wiem - odparła z całkowitą pewnością siebie. - Chodź. Wyszli z mroku i znaleźli się na oświetlonym korytarzu. W jego połowie wisiał wielki transparent z napisem:
ANIOŁY NAD ANGLIĄ WYSTAWA W MUZEUM BRYTYJSKIM sponsorowana przez
Stockton PLC
Przeszli przez korytarz i znaleźli się w wielkiej sali, w której odbywało się przyjęcie.

Grał kwartet smyczkowy. Mały oddział kelnerów dostarczał tłumowi eleganckich ludzi jadła i napojów. W kącie sali widniała niewielka scena z podium obok zasłony.

Całe pomieszczenie było pełne aniołów.

Były tam posągi aniołów na małych cokołach i obrazy aniołów na ścianach. Freski z aniołami. Duże anioły i małe anioły, surowe anioły i uśmiechnięte anioły; anioły ze skrzydłami i aureolami, i anioły ich pozbawione; wojownicze anioły i pokojowe anioły. Anioły współczesne i klasyczne. Setki, tysiące aniołów wszelkich kształtów i rozmiarów. Anioły z Zachodu, Bliskiego i Dalekiego Wschodu, anioły Michała Anioła, Joela Petera Witkina, Picassa,

Warhola. Kolekcja aniołów pana Stocktona była „różnorodna do granicy śmieszności, lecz niewątpliwie imponująca w swym eklektycyzmie” („Time Out”).

- Może uznasz mnie za złośliwego - rzekł Richard - muszę jednak zauważyć, że próba znalezienia w tej sali czegoś z aniołem przypomina zupełnie próbę, o mój Boże, to Jessica.

Poczuł, jak z jego twarzy odpływa krew. Do tej chwili sądził, że to tylko taka przenośnia. Nie przypuszczał, że może go to spotkać naprawdę.

- Ktoś, kogo znasz? - spytała Drzwi.

- Była moją... No cóż. Mieliśmy się pobrać. Żyliśmy ze sobą parę lat. Była ze mną, gdy cię znalazłem. To ona... zostawiła tę wiadomość. Na sekretarce.

Jessica rozmawiała właśnie z Andrew Lloyd Webberem, Janet Street-Porter i dżentelmenem w okularach, który, jak podejrzewał Richard, był jednym z braci Saatchi. Co kilka minut spoglądała na zegarek i zerknęła w stronę wejścia.

- Aaa, ona! — przypomniała sobie Drzwi. A potem, niewątpliwie czując, że powinna powiedzieć coś miłego o osobie tak ważnej dla Richarda, dodała: - No cóż, jest bardzo... - Urwała i zastanowiła się chwilę. - Czysta.

Richard nie odrywał wzroku od Jessiki.

- Czy ona.... Czy zdenerwuje się, że tu jesteśmy?

- Wątpię - odparła Drzwi. - Prawdę mówiąc, o ile nie zrobisz czegoś głupiego, na przykład nie zaczniesz z nią rozmawiać, prawdopodobnie nawet cię nie zauważy. - A potem ze znacznie większym entuzjazmem wykrzyknęła - Jedzenie!

Rzuciła się na kanapki niczym mała, brudnonosa, elfiowłosa, odziana w za dużą skórzaną kurtkę dziewczyna, która od wieków nie jadła porządnego posiłku. Olbrzymie

ilości jedzenia znikwały w jej ustach, zostawały przetrzute i przełknięte. W tym samym czasie zwinięte w papierowe serwetki potężne kanapki lądowały w jej kieszeniach. A potem, z papierowym talerzem, na którym piętrzył się stos kurzych udek, plastrów melona, potrawki grzybowej, tartinek z kawiozem i małych cielejących kielbasek, zaczęła krążyć po sali, przyglądając się uważnie każdemu anielskiemu wizerunkowi. Richard dreptał tuż za nią, trzymając w dłoniach kanapkę z koprem i serem brie oraz szklankę świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy.

Jessica była naprawdę zdumiona. Zauważyła Richarda, a tym samym dostrzegła też Drzwi. Było w nich obojgu coś znajomego; coś, co kryło się gdzieś w głębi jej umysłu, niemożliwe do uchwycenia, niewiarygodnie irytujące.

Przypomniało jej to usłyszaną kiedyś historię, jak to matka spotkała kobietę, którą znała całe życie - chodziła z nią do szkoły, razem działały w Radzie Parafialnej, prowadziły loterię na wioskowym festynie - i jak matka na przyjęciu uświadomiła sobie nagle, że nie zna imienia tej kobiety, choć wie, że jej mąż pracuje w wydawnictwie i ma na imię Eryk, a złoty retriever - Major.

Odkrycie to nie wprawiło matki Jessiki w dobry humor, a Jes-sicę doprowadzało do szaleństwa.

- Kim są ci ludzie? - spytała Clarence'a.

- Oni? Cóż, on to nowy redaktor „Vbgue'a”, a ona jest korespondentką działu sztuki „New York Timesa”. Kobieta między nimi to chyba Emma Freud.

- Nie. Nie ci - wtrąciła Jessica. - Oni. O tam. Clarence spojrział w miejsce, które wskazywała.

- Hmm? Ach, oni! - Nie pojmował, jakim cudem wcześniej ich nie zauważył. To pewnie starość, pomyślał. W końcu niedługo skończę dwadzieścia trzy lata.

-Dziennikarze? - podsunął bez zbytniego przekonania. -Wyglądają raczej awangardowo. Stuprocentowy grunge. Litości, wiem, że zaprosiłem „The Face”...

- Jego znam — powiedziała Jessica wyraźnie sfrustrowana.

A potem szofer pana Stocktona zadzwonił z Holbornu, informując, że są już prawie pod Muzeum Brytyjskim i Richard zniknął z jej głowy, tak jak rtęć umykająca między palcami.

- Widzisz coś? - spytał Richard.

Drzwi potrząsnęła głową, przełykając kawałek pospiesznie przeżutej kurzej nogi.

- To zupełnie jak zabawa w szukanie gołębia na Trafalgar Square - rzekła. - Nie ma tu niczego, co wyglądałoby jak Ange-lus. Na zwoju napisano, że rozpoznam go na pierwszy rzut oka.

Odeszła, przeciskając się obok Grubej Ryby Przemysłu, Wiceprzewodniczącego Opozycji i Najwyżej Opłacanej Cali Girl Południowej Anglii.

Richard odwrócił się i znalazł się twarzą w twarz z Jessicą. Włosy upięła wysoko; pojedyncze kasztanowe loki stanowiły idealną oprawę dla jej twarzy. Była bardzo piękna, uśmiechała się do niego. I właśnie ten uśmiech przeważył.

- Witaj, Jessico - rzekł. - Jak się miewasz?

- Cześć. Nie uwierzy pan - odparła - ale mój asystent nie zapisał tytułu pańskiej gazety,

panie...

- Gazety? - spytał Richard.

- Powiedziałam gazety? - rzuciła Jessicą z lekkim, uroczym, przepraszającym śmiechem.

- Pisma... stacji telewizyjnej. Pracuje pan w mediach, prawda?

- Świetnie wyglądasz, Jessico - rzekł Richard.

- Ma pan nade mną przewagę - oznajmiła kapryśnie.

- Nazywasz się Jessicą Bartram. Jesteś szefową marketingu u Stocktona. Masz dwadzieścia sześć lat. Obchodzisz urodziny dwudziestego trzeciego kwietnia, a w chwilach szczytowej namiętności często nucisz piosenkę, „I'm a Believer” The Monkees.

Jessicą przestała się uśmiechać.

- To jakiś dowcip? - spytała zimno.

- Och, i przez ostatnie osiemnaście miesięcy byliśmy zaręczeni.

Jessicą uśmiechnęła się nerwowo. Może to rzeczywiście był jakiś dowcip, jeden z tych kawałów, który rozumieli wszyscy poza nią.

- Chyba wiedziałabym, gdybym była z kimś zaręczona przez osiemnaście miesięcy, panie...

- Mayhew - podpowiedział radośnie Richard. — Richard May-hew. Rzuciłaś mnie i przestałem istnieć.

Jessicą pomachała do przypadkowej osoby po drugiej stronie sali.

- Już idę! - zawołała desperacko i zaczęła się cofać.

- „I uwierzyłem” - zaśpiewał wesoło Richard. - „Nie mógłbym jej zostawić, choćby nie wiem co...”.

Jessica chwyciła kieliszek szampana z przepływającej obok tacy i opróżniła go jednym haustem. Po drugiej stronie sali dostrzegła szofera pana Stocktona. A gdzie był szofer pana Stocktona...

Skierowała się ku drzwiom.

-I kto to był? - spytał Clarence przeciskając się obok niej.

-Kto?

- Twój tajemniczy mężczyzna.

- Nie wiem - przyznała. A potem dodała. - Posłuchaj, może powinieneś wezwać ochronę.

- Jasne. Po co?

- Po prostu wezwij ją.

W tym momencie pan Arnold Stockton wkroczył do sali i wszystko inne przestało dla niej istnieć.

Potęźny był i potężnie zbudowany - hogarthowska karykatura mężczyzny o wielkiej tuszy, wielu podbródkach i ogromnym brzuchu. Przekroczył już sześćdziesiątkę. Jego włosy były szarosrebrzyste i nieco zbyt długie z tyłu, bo fakt, iż jego włosy są zbyt długie, wprawiał ludzi w zakłopotanie, a pan Stockton lubił towarzystwo zakłopotanych ludzi.

W porównaniu z Arnoldem Stocktonem Rupert Murdoch był jedynie drobnym krętaczem, a nieżyjący już Robert Maxwell wyrzuconym na plażę wielorybem. Arnold Stockton przypominał pitbulla. Często zresztą tak właśnie przedstawiali go karykaturzyści.

Firma Stocktona miała udziały we wszystkich: satelitach, gazetach, koncernach płytowych, parkach rozrywki, książkach, pismach, komiksach, stacjach telewizyjnych, wytwórniach filmowych.

- Teraz wygłoszę mowę - oznajmił pan Stockton zamiast powitania, zwracając się do Jessiki. - Potem zjeżdżam stąd. Wrócę kiedy indziej, gdy nie będzie tu tych wszystkich nadętych ważniaków.

- Tak - odparła Jessica. - Jasne. Przemówienie. Oczywiście.

Poprowadziła go na niewielką scenę. Postukała paznokciem w kieliszek, prosząc o ciszę. Nikt jej nie usłyszał, toteż rzekła „Przepraszam” do mikrofonu. Tym razem rozmowy ucichły.

- Panie i panowie, szanowni goście. Chciałabym powitać was wszystkich w Muzeum Brytyjskim - zaczęła - na sponsorowanej przez konsorcjum Stocktona wystawie „Anioły nad Anglią”. Oto człowiek, któremu ją zawdzięczamy, nasz dyrektor generalny i przewodniczący zarządu, pan Arnold Stockton.

Goście zaczęli klaskać. Żaden z nich nie miał cienia wątpliwości, kto zgromadził zbiór aniołów i kto zapłacił za ich szampana.

Pan Stockton odchrząknął.

- Dobra - powiedział. - Będę mówił krótko. Kiedy byłem małym chłopcem, przychodziłem w soboty do Muzeum Brytyjskiego, bo wtedy wstęp był bezpłatny, a my nie mieliśmy pieniędzy. Wspinałem się po wielkich schodach muzeum i wędrowałem wprost do sali na tyłach, aby spojrzeć na anioła. Miałem wrażenie, że wiedział, o czym myślę.

(Clarence wrócił, prowadząc dwóch strażników. Wskazał Ri-charda, który przystanął, by wysłuchać przemowy pana Stocktona. Drzwi wciąż oglądała eksponaty.

- Nie, on - powtarzał cicho Clarence. - Spójrzcie tam. Widzicie? On).

- Jak wszystko, co pozbawiono opieki - ciągnął pan Stockton - anioł też zaczął niszczyć, rozpadać się pod brzemieniem współczesności. Spróchniał. Zblakł. Trzeba było cholernie wielkiej sumy... - urwał, pozwalając, by znaczenie tych słów w pełni do nich dotarło: jeśli on, Arnold Stockton, uważał, że to cholernie wielka suma, to rzeczywiście musiała być cholernie wielka - i mnóstwa pracy dziesiątków specjalistów, by go odnowić i ocalić. Po Londynie wystawa ta pojedzie do Ameryki, a potem dookoła świata i może stanie się natchnieniem dla innego smarkacza bez grosza przy duszy, do założenia własnego imperium medialnego.

Rozejrzał się. Potem odwrócił się do Jessiki i mruknął:

-Co teraz?

Wskazała sznur z boku zasłony.

Pan Stockton pociągnął go. Zasłona wydeła się i rozsunała, odsłaniając ukryte za nią stare drzwi.

(- Nie, on! - mówił Clarence. - Na miłość boską, ślepi jesteście?).

Wyglądały, jakby kiedyś były drzwiami katedry, wysokości dwóch mężczyzn, dość szerokimi, by mógł przejść przez nie koń.

Wyrzeźbiono na nich pomalowanego na złoto, białe i czerwono niezwykłego anioła, patrzącego na świat pustymi średniowiecznymi oczami.

Goście westchnęli z podziwem. Potem zaczęli klaskać.

- Angelus! — Drzwi pociągnęła Richarda za rękaw. - To on! Richardzie, chodź!

Pobiegła w stronę sceny.

- Przepraszam pana - powiedział strażnik do Richarda.

- Czy mógłby pan pokazać zaproszenie? - dodał drugi, ujmując Richarda dyskretnie, lecz stanowczo pod ramię. - Ma pan przy sobie jakieś dokumenty?

- Nie - odparł Richard.

Drzwi wspięła się już na scenę. Richard próbował się wyrwać i pobiec za nią. Miał nadzieję, że strażnicy o nim zapomną.

Tak się jednak nie stało.

Teraz, gdy zwrócono na niego ich uwagę, zamierzali potraktować go tak jak każdego obdartego, nieumytego, niedogolone-go intruza. Trzymający go strażnik wzmocnił uchwyt, mrużąc pod nosem.

- Nic z tych rzeczy.

Drzwi zamarła na scenie, zastanawiając się, jak sprawić, by strażnicy wypuścili jej towarzysza. A potem zrobiła jedyną rzecz, która przysła jej do głowy. Podeszła do mikrofonu, wspięła się na palce i wrzasnęła najgłośniejszym głosem, wprost do systemu nagłaśniającego.

Dysponowała wspaniałym krzykiem. Nawet bez sztucznego wspomagania potrafił przesyć ludzką głowę niczym najnowszy model wiertarki z przystawką do przecinania kości. A wzmocniony...

Kelnerka upuściła tacę z kieliszkami. Wszyscy odwrócili głowy i zakryli uszy. Ucichły wszelkie rozmowy. Ludzie gapili się na scenę, wstrząśnięci i przerażeni.

A Richard wykorzystał szansę.

-Przepraszam - powiedział do oszołomionego strażnika, wyrywając mu się. - Nie ten Londyn.

Podbiegł na scenę, gdzie dziewczyna właśnie dotknęła Ange-lusa, olbrzymich drzwi katedry. Dotknęła ich i otwarła.

Tym razem nikt nie upuścił kieliszków. Wszyscy zastygli w bezruchu, całkowicie oszołomieni i przez moment oślepieni. Ange-lus otworzył się i światło zza drzwi zalało blaskiem całą salę. Ludzie osłonili oczy, potem z wahaniem otwarli je, po prostu patrząc przed siebie, zupełnie jakby w pomieszczeniu odpalono fajerwerki - nie zimne ognie, dziwaczne patyki, cuchnące i sypiące bladymi iskrami; nawet nie ognie sztuczne odpalane w ogrodzie, lecz prawdziwe, przemysłowe fajerwerki, wystrzeliwane dość wysoko, by zagrozić przelatującym samolotom; fajerwerki kończące dzień w Disneylandzie i utrudniające życie strażakom na koncertach Pink Floydów. Była to prawdziwie magiczna chwila.

Goście patrzyli, zdumieni i zafascynowani. Z ich ust dobiegały jedynie cichutkie westchnienia graniczące z jękiem, odgłosy zachwyty ludzi oglądających pokaz ogni sztucznych: szmer podziwu.

A potem nieporządny młody człowiek i brudna dziewczyna w za dużej skórzanej kurtce weszli wprost w światło i zniknęli. Drzwi zamknęły się za nimi. Przedstawienie się skończyło.

I wszystko wróciło do normy. Goście, strażnicy i obsługa zamrugali, potrząsnęli głowami i zetknąwszy się z czymś całkowicie poza obszarem ich doświadczenia, zgodzili się bez słów, że wszystko to nigdy się nie zdarzyło.

Kwartet smyczkowy podjął przerwana melodię.

Pan Stockton ruszył do drzwi, po drodze pozdrawiając zdawkowo kolejnych znajomych. Jessica podeszła do Clarence'a.

- Co tu robisz ci strażnicy? - spytała cicho. Wzmiankowani strażnicy stali pośród gości, rozglądając się, jakby sami nie byli pewni, po co przyszli.

Clarence zaczął wyjaśniać, co robią strażnicy, i nagle zrozumiał, że sam nie ma pojęcia.

- Załatwię to — oznajmił energicznie. Jessica skinęła głową. Spojrzała na swoje przyjęcie i uśmiechnęła się błogo. Wszystko szło całkiem dobrze.

Richard i Drzwi weszli w światło. A potem nagle zapadła ciemność i chłód. Richard zamrugnął, gdy powidoki światła na siatkówce niemal go oślepiły: widmowy pomarańcz i zieleń, które powoli zblakły, w miarę jak oczy przywykały do otaczającego ich mroku.

Znajdowali się w olbrzymiej sali wyciętej w litej skale. Żelazne kolumny, czarne i porzewiałe, podtrzymywały strop; ich szeregi niknęły w odległym mroku, ciągnąc się w nieskończoność. Z ciemności dobiegał cichy plusk wody - może fontanny, może źródła. Drzwi wciąż ścisnęła jego rękę.

W oddali zamigotał i rozbłysnął mały płomyczek, potem następny i jeszcze jeden. Richard uświadomił sobie, że to świece, a między nimi stąpa wysoka postać odziana w prostą białą szatę.

Postać zdawała się poruszać powoli, w istocie jednak musiała iść bardzo szybko, bo minęło zaledwie kilka sekund i stanęła obok nich. Miała złote włosy i bladą twarz. Była bardzo piękna, nieco tylko wyższa od Richarda, ale w jej obecności czuł się jak małe dziecko. To nie był mężczyzna ani kobieta.

- Pani Drzwi, tak? - odezwała się piękna istota.

- Tak - odparła Drzwi.

Łagodny uśmiech. Istota niemal z pokorą skinęła głową.

- To dla mnie zaszczyt poznać ciebie i twego towarzysza. Jestem aniołem, nazywam się Islington.

Oczy miał wielkie i przejrzyste. Jego szata nie była biała, jak Richard sądził z początku. Zdawała się utkana z samego światła.

Richard nie wierzył w anioły. Nigdy nie wierzył i niech go diabli, jeśli miał uwierzyć teraz. Mimo wszystko jednak znacznie łatwiej jest nie wierzyć w coś, kiedy to coś nie patrzy na ciebie i nie wypowiada twojego imienia.

- Richardzie Mayhew - rzekła istota. - Ty także jesteś mile widziany w moim dworze. Istota odwróciła się.

- Proszę - rzekła. - Chodźcie za mną. Richard i Drzwi podążyli za aniołem. Za ich plecami gasły świece.

Markiz de Carabas wędrował korytarzem pustego szpitala. Jego czarne, kanciaste motocyklowe buty miażdżyły odłamki tłuczonego szkła i stare strzykawki.

Przeszedł przez podwójne drzwi wiodące na tylną klatkę schodową. Zszedł na dół.

Pokonał tunele pod budynkiem, starannie omijając stosy gnijących śmieci. Zostawił za sobą prysznice i toalety, stare żelazne schody, podziemne moczary. Wreszcie otworzył na wpeł spróchniałe drzwi i wszedł do środka.

Rozejrzał się wokół, rejestrując z niesmakiem obecność na wpół zjedzonego kodaka i stosu żyletek.

Potem zgarnął śmieci z krzesła i usiadł wygodnie, nonszalancko. Zamknął oczy.

W końcu drzwi się otwały. Do piwnicy weszli ludzie.

Markiz de Carabas otworzył oczy i ziewnął. A później posłał szeroki uśmiech panu Croupowi i panu Vandemarowi.

- Cześć, chłopcy - rzekł. - Uznałem, że najwyższy czas, abym porozmawiał z wami osobiście.

ROZDZIAŁ 10

Pijecie wino? - spytała istota. Richard skinął głową. - Piłam kiedyś wino - odparła Drzwi.

- Mój ojciec... On... Przy obiedzie... Pozwolił nam skosztować.

Anioł Islington uniósł butelkę. Wyglądała jak staroświecka karafka. Richard zastanawiał się, czy zrobiono ją ze szkła; tak dziwnie odbijała i rozszczepiała światło świec. Może był to kryształ albo jeden wielki diament? Sprawiała, że wino wewnątrz świeciło własnym blaskiem jak płynne światło.

Anioł zdjął kryształowy korek i nalał odrobinę trunku do kieliszka. Było to białe wino, nie przypominające jednak żadnego, jakie kiedykolwiek Richardowi zdarzyło się oglądać. Rozsiewało wokół blask niczym promienie słońca na powierzchni basenu. Drzwi i Richard siedzieli przy poczerniałym ze starości drewnianym stole, na wielkich czarnych krzesłach. Milczeli.

- To wino jedyne w swoim rodzaju - rzekł Islington. - Ostatnia butelka. Dostałem ich tuzin od jednego z waszych przodków.

Podał kieliszek dziewczynie i zaczął nalewać kolejną odrobinę świetlistego wina do następnego kieliszka. Czynił to w nabożnym skupieniu, niemal z miłością, niczym kapłan odprawiający święty obrzęd.

- Wspaniały dar. Było to, och, jakieś trzydzieści, czterdzieści tysięcy lat temu. W każdym razie dawno. Podał kieliszek Richardowi.

- Przypuszczam, że moglibyście oskarżyć mnie o marnowanie czegoś, co powinienem sobie cenić — rzekł. - Ale tak rzadko miewani gości. A droga tu jest trudna.

- Angelus... - mruknęła Drzwi.

-Owszem, dotarliście tu poprzez Angelusa. Ale każdy podróżny może skorzystać z niego tylko raz. - Anioł uniósł wysoko kieliszek, spoglądając w światło. - Pijcie powoli - poradził. - To bardzo mocny trunek. - Usiadł przy stole, między Richardem i dziewczyną. - Gdy je piję - rzekł z zalem - lubię wyobrażać sobie, iż kosztuję promieni słońca z dawno minionych dni. Wznoszę toast! Za dawną chwałę!

- Za dawną chwałę! — powtórzyli chórem Richard i Drzwi. A potem ostrożnie skosztowali wina, bardziej sącząc, niż pijąc.

- Niewiarygodne — westchnęła dziewczyna.

- Naprawdę - dodał Richard. - Sądziłem, że po zetknięciu z powietrzem stare wina zamieniają się w ocet. Anioł potrząsnął głową.

- Nie to wino. Wszystko zależy od gatunku winogron i miejsca, w którym dojrzewały. Niestety, te winogrona wyginęły, gdy winnica zniknęła pod falami.

-Jest jak czary! - westchnęła Drzwi, sącząc płynne światło.

- Nigdy nie piłam czegoś takiego.

-I nigdy już nie wypijesz - odparł Islington. - Nie ma więcej wina z Atlantydy.

Richard otworzył usta, by poinformować gospodarza, że Atlantyda nigdy nie istniała, potem jednak uświadomił sobie, że nie istnieją też anioły, a większość tego, co przeżył w ciągu ostatnich dwóch dni, jest kompletnie niemożliwa, toteż zaniknął usta i raz jeszcze skosztował wina.

Smak trunku uczynił go szczęśliwym. Przywodził na myśl niebios, wyższe i bardziej niebieskiej niż te, które Richard dotąd oglądał; złociste słońce wiszące na tym niebie. Wszystko było prostsze, młodsze niż świat, który znał.

Po ich lewej stronie szemrał wodospad. Czysta woda spływała po skale i zbierała się w kamiennej sadzawce. Po prawej stały dwie żelazne kolumny, a między nimi drzwi z polerowanego krzemienia, osadzonego w metalu, który zdawał się niemal czarny.

- Naprawdę twierdzisz, że jesteś aniołem? - spytał Richard.

- To znaczy, rzeczywiście spotkałeś Boga i tak dalej?

Islington uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Niczego nie twierdze, Richardzie. Ale jestem aniołem.

- To dla nas zaszczyt - wtrąciła Drzwi.

- Nie, to wy uczyniliście mi zaszczyt przychodząc tutaj. Twój ojciec był dobrym człowiekiem, Drzwi. I moim przyjacielem. Głęboko zasmuciła mnie jego śmierć.

-Powiedział... w swoim dzienniku... powiedział, że powinnam do ciebie przyjść. Mówił, że mogę ci zaufać.

- Mam nadzieję, że zdołam zasłużyć na to zaufanie. - Anioł pociągnął łyżeczek wina. - Londyn Pod to drugie miasto, którym się opiekuję. Pierwsze zatoneło pod falami i nie mogłem temu zapobiec. Wiem, czym jest ból i strata. Współczuję ci. Co chciałabyś wiedzieć?

Drzwi zastanowiła się.

-Moja rodzina... zginęła z ręki pana Croupa i pana Vande-mara. Ale kto im rozkazywał? Chcę... chcę wiedzieć dlaczego. Anioł przytaknął.

- Trafia do mnie wiele tajemnic - rzekł. Potem odwrócił się do Richarda. — A ty? Czego ty pragniesz, Richardzie Mayhew? Richard wzruszył ramionami.

- Chcę odzyskać moje dawne życie. Moje mieszkanie i pracę.

- To możliwe - odparł anioł.

- Tak. Jasne - mruknął sarkastycznie Richard.

- Wątpisz we mnie, Richardzie Mayhew? - spytał anioł Islington.

Richard spojrzał mu prosto w oczy, w oczy stare jak wszechświat; oczy, które oglądały powstanie galaktyk z gwiazdowego pyłu.

Pokręcił głową.

Islington uśmiechnął się łagodnie.

- Nie będzie to proste. Wraz z towarzyszami będziecie musieli stawić czoło pewnym niebezpieczeństwom. Ale istnieje sposób dowiedzenia się prawdy. Klucz do obu waszych problemów. - Wstał, podszedł do małej skalnej półki i wziął z niej mały posążek, jeden z kilkunastu. Była to czarna figurka przedstawiająca jakieś zwierzę, wyrzeźbiona z wulkanicznego szkliwa. Anioł podał ją dziewczynie.

- To przeprowadzi was bezpiecznie przez ostatni etap podróży do mnie — rzekł. — Reszta zależy od was.

- Co mamy zrobić? - spytał Richard.

- Czarni Mnisi strzegą klucza - rzekł anioł. - Przynieście mi go.

- A ty z jego pomocą dowiesz się, kto zabił moich bliskich? - spytała Drzwi.

- Taką mam nadzieję - odparł.

Richard wysączył resztkę wina. Czuł, jak trunek go rozgrzewa, przepływa przez całe ciało. Odnosił dziwne wrażenie, że gdyby spojrział teraz na swe palce, ujrzałby, jak wino prześwituje przez skórę. Zupełnie jakby w jego żyłach płynęło światło.

- Powodzenia — rzekł anioł Islington. Rozległ się szelest, niczym wiatr przemykający przez las albo bicie potężnych skrzydeł.

Richard i Drzwi siedzieli na podłodze sali w Muzeum Brytyjskim, wpatrując się w malowaną rzeźbę anioła na katedralnych wrotach. Sala była ciemna i pusta.

Przyjęcie dawno się skończyło. Niebo za oknami zaczynało jaśnieć.

Richard podniósł się i pomógł wstać dziewczynie.

- Czarni Mnisi? - spytał. Drzwi przytaknęła.

- To ludzie czy miejsce? - zainteresował się.

- Ludzie.

Richard podszedł do Angelusa. Przesunął palcem po malowanej szacie.

- Myślisz, że naprawdę potrafiłyby to zrobić? Zwrócić mi moje życie?

- Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym, ale wątpię, by nas okłamał. To przecież anioł.

Uniosła dłoń i spojrzała na posążek Bestii.

- Mój ojciec miał coś takiego.

Wsunęła figurkę głęboko do jednej z kieszeni brązowej skórzanej kurtki.

- No cóż — rzekł Richard. - Nie zdobędziemy klucza, siedząc tu beczynnie.

Ruszyli naprzód pustymi korytarzami.

- Co wiesz o tym kluczu? - spytał Richard.

- Nic - odparła Drzwi. Dotarli do głównego wyjścia muzeum.

- Słyszałam o Czarnych Mnichach, ale nigdy ich nie spotkałam. Dotknęła szklanych drzwi, które rozchyliły się posłusznie.

- Grupa mnichów - rzekł z namysłem Richard. — Na pewno jeśli im powiemy, że to dla anioła, prawdziwego anioła, oddadzą nam święty klucz i dorzucą czarodziejski otwieracz do puszek, magiczny, gwizdzący korkociąg i dodatkową niespodziankę. - Wybuchnął śmiechem.

- Humor ci dopisuje - zauważyła Drzwi. Przytaknęła z entuzjazmem.

- Wróć do domu. Wszystko znów będzie normalne. Nudne. Cudowne.

Spojrzał na kamienne stopnie przed głównym wejściem do Muzeum Brytyjskiego i uznał, iż są wręcz stworzone do tego, by zatańczyli na nich Fred Astaire i Ginger Rogers. A że żadnego z nich nie było pod ręką, sam zaczął tańczyć, jak sądził całkiem udatnie naśladując Freda Astaire'a. Pod nosem nucił coś pomiędzy „Puttin' on the Ritz” i „Wombling White Tie and Tails”.

Drzwi stała na szczycie schodów, obserwując go ze zgrozą. Potem zaczęła szaleńczo chichotać.

Spojrzał na nią, unosząc wyimaginowany biały cylinder.

- Błazen — rzuciła dziewczyna i uśmiechnęła się do niego.

W odpowiedzi Richard chwycił ją za rękę, a Drzwi po chwili wahania zaczęła z nim tańczyć. Szło jej to znacznie lepiej niż Richardowi.

U stóp schodów zdyszani, wyczerpani i rozchichotani padli sobie w ramiona.

Richard poczuł, jak świat wokół wiruje.

- Chodźmy poszukać naszej strażniczki - powiedziała Drzwi. I odeszli razem chodnikiem, od czasu do czasu chwiejąc się na nogach.

- Czego chcesz? - spytał pan Croup.

- Czego chce każdy z nas? - odpowiedział pytaniem markiz de Carabas.

- Martwych istot - rzekł pan Vandemar. - Dodatkowych zębów.

- Pomyślałem, że zawrzemy układ.

Pan Croup wybuchnął śmiechem. Brzmiało to, jakby ktoś przesuwiał szklaną tablicą po ścianie wysadzanej odciętymi palcami.

- Och, mości markizie, myślę, że mogę rzec z całą pewnością, nie ryzykując protestów żadnej z obecnych tu stron, że całkowicie postradałeś wszelki rozum, który ponoć posiadasz. Jeśli wybaczysz mi ten wulgarny zwrot, kompletnie ci odbiło.

- Powiedz słowo - wtrącił pan Vandemar, który tymczasem stanął tuż za krzesłem markiza - a odbiję mu głowę, nim zdążysz wymówić „kat”.

Markiz dmuchnął na swe paznokcie i zaczął polerować je o klapy płaszcza.

- Zawsze uważałem - rzekł konfidencjonalnie - że przemoc to ostatnia deska ratunku ludzi niekompetentnych, a puste groźby są wyłączną domeną krańcowych nieudaczników.

Pan Croup spojrział na niego gniewnie.

- Co tu robisz? - syknął.

Markiz de Carabas przeciągnął się niczym wielki kot - może ryś, a może ogromna czarna pantera. Zakończył ów ruch, wstając, z rękami głęboko w kieszeniach.

- Jeśli dobrze wiem - rzekł lekko - jest pan, panie Croup, kolekcjonerem porcelanowych figurynek z dynastii Tang.

- Skąd wiesz?

- Ludzie mówią mi różne rzeczy. Jestem przystępny. — Uśmiech markiza był czysty, beztroski, radosny, jak u sprzedawcy używanych samochodów.

- Nawet gdybym był... - zaczął pan Croup.

- Gdyby pan był - wtrącił markiz de Carabas - mógłbym pana zainteresować tym.

Wyjął rękę z kieszeni i zademonstrował panu Croupowi.

Jeszcze niedawno tkwiła ona w szklanej gablotce w skarbcu jednego z największych banków handlowych Londynu. Zwano ją „Duch Jesieni. (Figurka nagrobna)”. Miała około dwudziestu centymetrów wysokości. Kawalek szklistej porcelany ukształtowano, pomalowano i wypalono, gdy Europa była wciąż jeszcze pogrążona w wiekach średnich.

Pan Croup syknął mimo woli i sięgnął ku niej. Markiz cofnął rękę, tuląc figurkę do piersi.

- Co miałoby nas powstrzymać przed jej zabranie i rozrzuceniem twoich szczątków po całym podziemi? - spytał pan Croup. - Nigdy jeszcze nie rozczłonkowaliśmy markiza.

- A właśnie że tak - wtrącił pan Vandemar. - W Yorku. W czternastym wieku. W deszczu.

- To nie był markiz - zaprotestował pan Croup - tylko hrabia Exeter.

- I markiz Westmorlandu. - Pan Vandemar sprawiał wrażenie niezwykle zadowolonego z siebie. Pan Croup pociągnął nosem.

- Co miałoby nas powstrzymać przed pokrojeniem cię na tyle samo kawałków, co wcześniej markiza Westmorlandu? - spytał.

Carabas wyjął z kieszeni drugą rękę. Trzymał w niej mały młoteczek. Cisnął go w powietrze niczym barman w filmie o koktajlach i chwycił zgrabnie tuż nad porcelanową figurynką.

- Proszę - rzekł. - Tylko bez głupich gróźb. Chyba poczuję się lepiej, jeśli obaj staniecie tam dalej.

Pan Vandemar zerknął na pana Croupa, który niemal niedostrzegalnie skinął głową. Powietrze zadrżało i Vandemar stanął obok towarzysza.

Pan Croup uśmiechnął się jak naga czaszka.

-Rzeczywiście, zdarzało mi się od czasu do czasu kupić okaz z dynastii Tang. Czy ten jest na sprzedaż?

- Tu, w podziemi, nie mamy w zwyczaju kupować i sprzedawać, panie Croup. Barter. Wymiana. Oto co nas interesuje. Istotnie jednak, ten ciekawy okaz jest do nabycia.

- Podaj cenę - rzucił pan Croup.

Markiz pozwolił sobie na lekkie westchnienie ulgi.

- Po pierwsze, trzy odpowiedzi na trzy pytania - rzekł. Croup przytaknął.

-I nawzajem. My też dostaniemy trzy odpowiedzi.

- Uczciwa wymiana - przyznał markiz. — Po drugie, bezpiecznie opuszczę to miejsce. I zgodzicie się dać mi godzinę wyprzedzenia.

Croup gwałtownie skinął głową.

- Zgoda. Zadaj pierwsze pytanie. - Pożerał wzrokiem posążek.

- Pierwsze pytanie. Dla kogo pracujecie?

- O, to łatwe - odparł pan Croup. - Odpowiedź jest prosta. Pracujemy dla naszego pracodawcy, który życzy sobie zachować anonimowość.

- Hm. Czemu zabiliście rodzinę Drzwi?

- Z rozkazu naszego pracodawcy - odparł pan Croup. Jego uśmiech z każdą chwilą stawał się coraz bardziej lisi.

- Czemu nie zabiliście Drzwi, gdy mieliście okazję? Zanim pan Croup zdążył coś powiedzieć, odezwał się pan Vandemar:

- Musimy zachować ją przy życiu. Tylko ona może otworzyć drzwi. Pan Croup posłał współnikowi gniewne spojrzenie.

- Jasne - rzekł. - Może od razu powiesz mu wszystko.

- Też chciałem spróbować - mruknął pan Vandemar.

- Doskonale - rzekł pan Croup. - Dostałeś swe trzy odpowiedzi, choć nie wiem, na co ci się zdadzą. Moje pierwsze pytanie brzmi: Czemu ją chronisz?

- Jej ojciec ocalił mi życie - oświadczył markiz. - Nigdy nit spłaciłem mu dług. Wolę być wierzycielem niż dłużnikiem.

- Mam pytanie - powiedział pan Vandemar.

- Ja także, panie Vandemar. Człowiek z Góry, Richard May-hew. Czemu z nią podróżuje? Czemu ona na to pozwala?

- Ma do niego sentyment - odparł markiz de Carabas.

- Teraz ja - oznajmił pan Vandemar. - O jakiej liczbie myślę

- Słucham?

- O jakiej liczbie myślę? - powtórzył pan Vandemar. - Po-między jeden i bardzo dużo -

podpowiedział uczynnie.

- Siedem - rzekł markiz.

Pan Vandemar skinął głową z podziwem.

- Gdzie jest... — zaczął pan Croup, lecz markiz potrząsnął głową.

- No, no — rzekł. - Nie bądźmy zachłanni. W piwnicy zapadła absolutna cisza. Potem kapnęła woda, ro-baki poruszyły się i markiz powiedział:

- Godzina wyprzedzenia. Pamiętajcie.

- Oczywiście - odparł pan Croup.

Markiz de Carabas cisnął figurynkę w stronę pana Croupa, który pochwycił ją łapczywie, niczym narkoman łapiący plastikową torebkę pełną białego proszku wątpliwego pochodzenia.

A potem, nie oglądając się za siebie, markiz opuścił piwnicę.

Pan Croup uważnie obejrzał figurkę, raz po raz obracając ją w dłoniach — Dickensowski kapłan Kościoła Antyków. Od czasu do czasu jego język śmigał naprzód jak u węża.

- Piękna, piękna - szepnął. - Prawdziwa dynastia Tang, sprzed tysiąca dwustu lat. Najwspanialsze figurynki porcelanowe, jakie powstały na ziemi. To dzieło Kai Lunga, najlepszego z rzeźbiarzy. Nie ma takiej drugiej. Spójrz na barwę emalii, wycucie proporcji, życie... - Uśmiechał się jak dziecko. Niewinny uśmiech zdawał się kompletnie nie na miejscu na mrocznym terenie twarzy pana Croupa. - Dodaje nieco urody i wspaniałości światu.

A potem uśmiechnął się zbyt szeroko, otworzył usta i zmiażdżył głowę figurki w zębach. Gryzł, żuł i przełykał. Jego szczęki starły porcelanę na drobny proszek, który obsypał mu całą brodę.

Croup napawał się zniszczeniem, rzucając się w nie z zapamiętaniem i niekontrolowaną żądzą krwi, niczym lis wpadający do kurnika.

Wreszcie, gdy został już tylko pył, odwrócił się do pana Van-demara. Sprawiał wrażenie dziwnie spokojnego, niemal otępiałego.

- Ile obiecaliśmy mu dać?

- Godzinę.

- Hm. A ile czasu minęło?

- Sześć minut.

Pan Croup pochylił głowę. Przesunął palcem po brodzie i zlizął porcelanowy pył.

- Idź za nim, panie Vandemar — rzekł. - Ja potrzebuję jeszcze trochę czasu, by napawać się tą chwilą.

Łowczyni usłyszała, jak schodzą po schodach. Stała w cieniu ze splecionymi rękami, w tej samej pozycji, w której ją zostawili.

Richard nucił głośno.

Drzwi chichotała niepowstrzymanie. Co chwilę milkła i rozkazywała Richardowi być cicho. Potem znów wybuchała śmiechem.

Minęli Łowczynię, nie dostrzegając jej.

Wynurzyła się z cieni.

- Nie było was osiem godzin - rzekła. Nie był to wyrzut ani ciekawość, jedynie stwierdzenie faktu. Dziewczyna zamrugła.

- Wydawało mi się, że minęło znacznie mniej czasu.

Łowczyni milczała.

Richard uśmiechnął się do niej tępo.

- Chcesz wiedzieć, co się stało? Wpadliśmy w pułapkę zastawioną przez pana Croupa i pana Vandemara. Niestety nie mieliśmy ze sobą strażniczki. Mimo wszystko nieźle się nimi zająłem.

Łowczyni uniosła idealne brwi.

- Podziwiam twój talent pięściarski - rzekła zimno. Drzwi zachichotała.

- On żartuje. Tak naprawdę to nas zabili.

- Jako specjalistka od przerywania funkcji życiowych - odparła Łowczyni - nie mogę zgodzić się z tym stwierdzeniem. Żadne z was nie jest martwe. Natomiast oboje jesteście bardzo pijani.

Drzwi pokazała jej język.

- Bzdura. Wypiliśmy ledwie kroplę. O, tyle. Uniosła dwa palce, pokazując, jak niewielką ilością było rzezone „tyle”.

- Poszliśmy na przyjęcie - dodał Richard. - Widzieliśmy Jessicę, spotkaliśmy prawdziwego anioła, dostaliśmy małą czarną świnkę i wróciliśmy.

- Tylko troszkę wina - ciągnęła z uporem Drzwi. - Starego, starego wina. Maluutko wina. Bardzo mało. Tyle co nic. - Przerwała, bo musiała czknąć. Potem znów zachichotała, czknęła i nagle usiadła na peronie. - Może jednak jesteśmy nieco pod-I chmielem — przyznała trzeźwo.

Następnie zamknęła oczy i zaczęła uroczyście chrapać.

Markiz de Carabas biegł tunelami, jakby ścigały go wszystkie ogary piekiel. Chlupocząc, brodził w głębokim na piętnaście szarych centymetrów nurcie rzeki Tyburn, rzeki wisielców płynącej bezpiecznie w mroku ceglanego kanału pod Park Lane w stronę Buckingham Palace. Biegł tak od siedemnastu minut.

Dziesięć metrów pod Marble Arch zatrzymał się na moment. Tunel rozdzielał się na dwie odnogi.

Markiz de Carabas skręcił w lewo.

Kilka minut później pan Vandemar zjawił się w tunelu. A gdy dotarł do rozstajów, on także przystanął na parę chwil, węsząc w powietrzu. Potem również skręcił w lewą odnogę.

Łowczyni z cichym sieknięciem rzuciła nieprzytomnego Richarda Mayhew na kupę słomy. Richard przekręcił się, powiedział coś, co brzmiało jak „zwiędnie dźguję bazzo mio”, i znów zasnął.

Potem Łowczyni łagodniej położyła Drzwi obok niego i przycupnęła w pogrążonej w mroku podziemnej stajni, wciąż pełniąc straż.

Markiz de Carabas był wyczerpany. Oparł się o ścianę tunelu, patrząc na wiodące w górę stopnie. Wyciągnął z kieszeni złoty zegarek. Odkąd umknął ze szpitalnej piwnicy, minęło trzydzieści pięć minut.

- Czy to już godzina? - spytał pan Vandemar. Siedział na stopniach przed markizem, czyszcząc nożem paznokcie.

- W żadnym razie - wydyszał markiz.

- Myślałem, że już minęła - odparł pan Vandemar. Świat zadrżał i pan Croup stanął za

plecami markiza de Carabas. Jego podbródek wciąż pokrywał pył.

Carabas spojrział na pana Croupa. Obejrzał się na pana Vande-mara, a potem wybuchnął spontanicznym śmiechem. Pan Croup uśmiechnął się.

- Bawimy pana, czyż nie tak, mości markizie? Jesteśmy śmieszni, nieprawdaż? Nasze piękne ubrania, piętrowe metafory...

Pan Vandemar mruknął.

- Nie mam żadnej meta...

- Drobne manieryzmy i zachowanie. Może istotnie, jesteśmy śmieszni. - Pan Croup pogroził markizowi palcem. - Ale nie powinieneś myśleć - dodał - że fakt, iż coś jest śmieszne, mości markizie, oznacza, że nie jest niebezpieczne.

A pan Vandemar cisnął nożem, mocno i celnie. Rękojeść trafiła Carabasa w skroń. Markiz wywrócił oczami i kolana się pod nim ugięły.

- Metafora to sposób oględnego mówienia, dygresja, przenośnia - wyjaśnił pan Croup.

Pan Vandemar podniósł markiza za pasek i powlókł w górę schodów. Głowa Carabasa uderzała o stopnie: tuk-tuk-tuk.

Pan Vandemar przytaknął.

- Tak też myślałem - rzekł.

Wiedział, że na nich czeka. Z każdym tunelem, każdym zakrętem, każdym rozgałęzieniem uczucie stawało się coraz cięższe, wyraźniejsze. Wiedział, że tam jest. Z każdym krokiem czuł narastające przeczucie coraz bliższej katastrofy.

Powinien był przeżyć ulgę, gdy w końcu skręcił za róg, a ona stała pośrodku tunelu i czekała na niego. Jednak ogarnął go tylko przejmujący lęk.

W jego śnie była wielkości całego świata. Nie istniało nic poza Bestią. Jej cielsko parowało; ze skóry sterczały połamane włócznie i odłamki dawnej broni. Rogi i kły pokrywała zakrzepła krew. Była ohydna, olbrzymia i zła.

Zaatakowała.

Uniósł dłoń (ale to nie była jego dłoń) i cisnął włócznią w potwora.

Ujrzał jej oczy, czerwone, złośliwe i tryumfujące, płynące ku niemu, a wszystko to działo się w ułamku sekundy, który za-mienił się w maleńką wieczność. Potem znalazła się przy nim..

Woda była zimna. Zadziałała na Richarda niczym uderzenie w twarz. Otworzył oczy, z jękiem wciągnął powietrze. Łowczy-ni spojrzała na niego z góry. W ręce trzymała duże drewniane wiadro, teraz już puste.

Uniósł dłoń. Włosy miał całkiem mokre. Otarł wodę z twa-rzy i zadrżał.

- Nie musiałś tego robić - powiedział. Miał wrażenie, że stadko małych zwierząt korzystało z jego ust jak z toalety, a po-tem umarło wśród odchodów, zamieniając się w zieloną, ohydna breję. Próbował wstać i natychmiast usiadł z powrotem, -Och! - wyjaśnił.

- Jak tam głowa? - spytała Łowczyni z zawodową ciekawością.

- Bywało lepiej - przyznał Richard.

Łowczyni sięgnęła po kolejne wiadro, tym razem pełne wody, i przeciągnęła je po podłodze.

- Nie wiem, co piliście - rzekła - ale musiało być mocne. Zanurzyła dłoń w wiadrze i prysnęła wodą w twarz dziewczyny. Powieki Drzwi zatrzepotały.

-Nic dziwnego, że Atlantyda zatонуła - wymamrotał Richard. - Jeśli rano wszyscy mieszkańcy tak się czuli, pewnie w chwili zagłady doznali ulgi. Gdzie jesteśmy?

Łowczyni chlapnęła kolejną porcją wody w twarz Drzwi.

- W stajni przyjaciółki.

Richard rozejrzał się wokół. Rzeczywiście, otoczenie nieco przypominało stajnię. Zastanawiał się, czy przeznaczona jest dla koni - jakie konie mogłyby żyć pod ziemią? Na ścianie wymalowano jakiś znak: literę S (a może był to wąż? Richard nie potrafił stwierdzić) otoczoną pierścieniem siedmiu gwiazd.

Drzwi z wahaniem uniosła dłoń do czoła i dotknęła go eksperymentalnie, jakby nie była pewna, co zastanie.

- Och - westchnęła szeptem. - Na Łuk i Świątynię. Czy ja umarłam?

- Nie - odparła Łowczyni.

- Szkoda.

Łowczym pomogła jej wstać.

- No tak — wymamrotała sennie Drzwi. - Ostrzegaliśmy nas, że to mocne wino.

A potem ocknęła się gwałtownie, natychmiast. Chwyciła Richarda za rękę, wskazując znak na ścianie, węzowe S otoczone gwiazdami. Głośno wciągnęła powietrze. W tej chwili wyglądała jak mysz, która uświadomiła sobie właśnie, że ocknęła się w kociarni.

- Serpentyna! - krzyknęła do Richarda, do Łowczyni. - To godło Serpentyny. Richardzie, wstawaj! Musimy uciekać, zanim odkryje, że tu jesteśmy...

- Sądysz, moje dziecko — spytał ktoś oschle od strony wejścia — że mogłabyś wejść do domu Serpentyny bez jej wiedzy?

Drzwi przywarła do drewnianej ściany stajni. Dygotała. Poprzez bolesne tętnienie w głowie Richarda przebiła się myśl, że nigdy dotąd nie widział jej przerażonej.

Serpentyna stała w drzwiach. Miała na sobie biały skórzany gorset i wysokie białe skórzane buty oraz szczątki czegoś, co dawno, dawno temu było zapewne sutą, białą ślubną suknią, obecnie podartą na strzępy, poplamioną i poszarpaną. Górowała nad nimi wszystkimi. Burzą siewięjących włosów sięgała framugi. Oczy miała bystre, a twarz wyniosłą, przeciętą okrutną szramą ust.

Patrzyła na Drzwi, jakby uznawała jej zgrozę za coś oczywistego; jak gdyby nie tylko przywykła, że wzbudza strach, ale oczekiwała tego, a nawet to lubiła.

- Uspokój się! - rzuciła Łowczyni.

- Ale to przecież Serpentyna! - zawodziła Drzwi. — Jedna z Siedmiu Sióstr.

Serpentyna uprzejmie skłoniła głowę. Następnie przekroczyła próg. Za nią dreptała chuda kobieta o surowej twarzy i długich ciemnych włosach, odziana w czarną suknię mocno zasznurowaną w smukłej tali. Milczała.

Serpentyna podeszła do Łowczyni.

- Pracowała dla mnie dawno temu - rzekła. Wyciągnęła biały palec i łagodnie pogładziła brązowy policzek Łowczyni w czułym geście posiadaczki. — Lepiej niż ja zachowałam urodę.

Łowczyni spuściła wzrok.

-Jej przyjaciele są moimi przyjaciółmi, dziecko - oznajmiła Serpentyna. — Ty jesteś Drzwi?

- Tak - odparła Drzwi, jakby zaschło jej w gardle. Serpentyna zwróciła się do Richarda.
- Kim ty jesteś? - spytała bez większego zainteresowania.
- Richard - przedstawił się Richard.
- Ja jestem Serpentyna - poinformowała go uprzejmie.
- Zdążyłem się już zorientować - odparł.
- Czeka na was jedzenie - oznajmiła Serpentyna. - Gdybyście pragnęli śniadać.
- Boże, nie! - jęknął grzecznie Richard. Drzwi milczała. Wciąż stała przy ścianie i drżała lekko jak liść kołysany letnim wiatrem.
- Co masz do jedzenia? - spytała Łowczyni. Serpentyna zerknęła na chudą kobietę w proggu.
- No? - spytała.

Kobieta w czerni uśmiechnęła się; był to najzimniejszy uśmiech, jaki Richard kiedykolwiek oglądał na ludzkiej twarzy.

- Smażone jajka sadzone jajka marynowane jajka pieczoną dziczyznę marynowane cebulki marynowane śledzie wędzone śledzie solone śledzie grzyby w potrawce soloną wędzonką kapustę faszerowaną gulasz z baraniny nóżki w galarecie...

Richard otworzył usta, chcąc błagać ją, by przestała. Było jednak za późno. Wstrząsnęły nim gwałtowne torsje.

Pragnął, by ktoś go utulił, powiedział, że wszystko będzie dobrze, że wkrótce poczuje się lepiej; by ktoś podał mu aspirynę i szklankę wody, i zaprowadził do łóżka. Nikt jednak tego nie zrobił, a jego łóżko zostało w poprzednim życiu. Wodą z wiadra zmył z twarzy i rąk wymiociny. Potem wypłukał usta. Wreszcie, kołysząc się lekko, podążył za czterema kobietami na śniadanie.

- Poproszę o galaretę z nówek — powiedziała Łowczyni z pełnymi ustami. Jadalnia Serpentyny mieściła się na najmniejszym peronie metra, jaki zdarzyło się oglądać Richardowi - miał cztery metry długości. Większość z tego zajmował długi stół. Nakryto go adamszkowym obrusem, a na nim postawiono srebrny serwis. Stół ugiął się pod ciężarem paskudnie śmierdzących potraw. Najgorzej cuchnęły marynowane przepiórcze jaja.

Skóra Richarda była zimna i wilgotna. Odnosił wrażenie, że wydłubano mu oczy i wetknięto z powrotem tył na przód, a czaszkę podczas snu podmieniono na inną, o dwa, trzy numery za ciasną.

Jakiś metr od nich przejechał pociąg metra. Towarzyszący mu wiatr uderzył w stół. Turkot kół przeszył głowę Richarda jak rozpalone ostrze, wwiercające się w mózg. Richard jęknął.

- Widzę, że twój bohater nie ma zbyt mocnej głowy - zauważyła obojętnie Serpentyna.
 - On nie jest moim bohaterem — zaprotestowała Drzwi.
 - Obawiam się, że jest. Z czasem nauczysz się rozpoznawać ten typ. To chyba coś z oczami. — Odwróciła się do kobiety w czerni, najwyraźniej pełniącej obowiązki zarządcy domu.
 - Środek wzmacniający dla dżentelmena.
- Chuda kobieta uśmiechnęła się lekko i zniknęła.

Drzwi dziobała widelcem potrawkę z grzybów.

- Jesteśmy bardzo wdzięczni za wszystko, pani Serpentyno. Gospodyni pociągnęła nosem.

- Po prostu Serpentyno, dziecko. Nie mam cierpliwości do głupich tytułów. A zatem jesteś najstarszą córką Portyka?

-Tak.

Serpentyna zanurzyła palec w wodnistym sosie, w którym unosiło się coś, co przypominało małe węgorki. Oblizwała palec i z aprobatą skinęła głową.

- Nie miałam cierpliwości do twojego ojca. Wszystkie te głupoty o zjednoczeniu podziemia. Bzdurna gadanina. Niemądry człowiek. Dopraszał się kłopotów. Kiedy ostatni raz go widziałam, powiedziałam, że jeśli znów tu wróci, zamienię go w pa-dalca. - Odwróciła się do Drzwi. - A przy okazji, jak się miewa twój ojciec?

- Nie żyje - odparła dziewczyna.

Serpentyna sprawiała wrażenie usatysfakcjonowanej.

- Widzisz - powiedziała. - Dokładnie to miałam na myśli.

Drzwi milczała.

Serpentyna wydlubała coś sobie z włosów. Obejrzała to uważnie, po czym zmiażdżyła między kciukiem i palcem wskazującym i upuściła na peron. Następnie odwróciła się do Łowczyni, która pochłaniała niewielki stos marynowanych śledzi.

- A zatem polujesz na Bestie? - spytała. Łowczyni przytaknęła z pełnymi ustami.

- Oczywiście, potrzebna ci będzie włócznia - zauważyła Serpentyna.

Zasznurowana w pasie kobieta stanęła obok Richarda, trzymając w dłoniach niewielką tacę. Na tacy stała mała szklaneczka pełna wściekle szmaragdowego płynu. Richard niepewnie zerknął na Drzwi.

- Co mu dajesz? - spytała dziewczyna.

- Nic, co mogłoby zrobić mu krzywdę - odparła Serpentyna z lodowatym uśmiechem. — Jesteście moimi gośćmi.

Richard wychylił zielony płyn, który smakował jak tymianek, mięta i zimowy świt.

Poczuł, jak płyn spływa w głąb gardła, i zebrał siły, gotów powstrzymać go, gdyby spróbował wrócić tą samą drogą. Zamiast tego jednak odetchnął głęboko i z lekkim zdumieniem uświadomił sobie, że przestała go boleć głowa.

I że wprost kona z głodu.

W gruncie rzeczy Stary Bailey nie był jednym z tych ludzi, którzy przyszli na świat po to, by opowiadać dowcipy. Mimo tej ułomności upierał się, by je opowiadać. Dowcipy, które powtarzał z uporem godnym lepszej sprawy, były zazwyczaj chaotycznymi, stanowczo zbyt długimi historyjkami, zakończonymi żalosną puentą, choć równie często Stary Bailey, finiszując, nie potrafił przypomnieć sobie zakończenia.

Jedyną publicznością słuchającą jego popisów była zafascynowana grupka ptaków, które, zwłaszcza gawrony, uważały jego dowcipy za głębokie filozoficzne przypowieści, kryjące w sobie niezwykle przenikliwe komentarze co do ludzkiej kondycji. Tylko one od czasu do czasu prosiły go o kolejną historyjkę.

- Już dobrze, dobrze, dobrze - mówił właśnie Stary Bailey. -Przerwijcie mi, jeśli już to słyszałyście. Pewien człowiek wszedł do baru. Nie, to nie był człowiek. Na tym polega dowcip, przepraszam. To był koń. Koń? Nie. Kawałek sznurka. Trzy kawałki sznurka. Właśnie. Trzy kawałki sznurka weszły do baru.

Wielki stary gawron zakrakał pytająco.

Stary Bailey potarł dłonią brodę, po czym wzruszył ramionami.

- Tak po prostu. To dowcip. W dowcipach sznurki potrafią chodzić. Pierwszy sznurek poprosił o drinka dla siebie i swoich przyjaciół. Na to barman: „Przykro mi, nie obsługujemy sznurków”. Tak powiedział pierwszemu. Tamten wrócił do przyjaciół i oznajmił, że w barze nie obsługuje się sznurków. A że to dowcip, środkowy także poszedł do baru. Bo widzicie, było ich trzy. A potem ostatni, tyle że ostatni przedtem złożył się w pętle i przecisnął przez środek. A potem zamówił drinka.

Gawron zakrakał ponownie, ze śmiertelną powagą.

- Masz racje. Trzy drinki. A barman mówi: „Posłuchaj, czy nie jesteś jednym z tych kawałków sznurka?”. A trzeba wam wiedzieć, że sznurek seplenił, toteż odpowiedział mu: „Nie, nie. Niesupemie”. Rozumiesz? Super. Niesupecznie. Gra słów. Bardzo, bardzo śmieszna.

Szpaki zaświergoliły uprzejmie. Gawrony przytaknęły, przekrzywiając głowy. Najstarszy z nich odezwał się przeciągle.

- Jeszcze jeden? Nie jestem przecież komikiem. Pomyślmy...

W namiocie rozległ się nagły hałas, głęboki, pulsujący dźwięk przypominający bicie odległego serca. Stary Bailey podreptał do środka. Dźwięk dobiegał ze starej drewnianej skrzyni, w której Bailey przechowywał najcenniejsze skarby. Uniósł wieko. Pulsujący dźwięk stał się znacznie głośniejszy.

Małe srebrne puzderko tkwiło na stosie innych skarbów Starego Bailey. Starzec uniósł je w pokręconej dłoni. Wewnątrz rozbłyskiwało i pulsowało rytmicznie czerwone światło, niczym bijące serce. Jego blask przeświecał przez srebrny filigran, przez szczeliny i mocowania.

- Kłopoty - oznajmił Stary Bailey. Najstarszy gawron zakrakał pytająco.

- Markiz - wyjaśnił Bailey - ma poważne kłopoty.

Richard opróżniał właśnie drugi talerz, gdy Serpentyna gwałtownie odsunęła krzesło.

- Chyba mam już na dziś dosyć gościnności — oznajmiła. — Dziecko, młody człowieku, żegnajcie. Łowczyni... - urwała. Potem przesunęła szponiastym palcem wzdłuż szczęki strażniczki. — Jesteś tu zawsze mile widziana.

Wyniosła skinęła głową, wstała i odeszła. W ślad za nią podążała chuda gospodyni.

- Powinniśmy już iść - powiedziała Łowczyni.

Wstała od stołu. Drzwi zrobiła to samo. Richard też, choć niechętnie.

Ruszyli korytarzem zbyt wąskim, by mogli iść inaczej niż gęsiego. Wspięli się po kamiennych stopniach. Pokonali żelazny most pogrążony w ciemności; w dole pod nimi turkotały pociągi metra. A potem znaleźli się w niekończącej się sieci podziemnych sal, w których unosiła się woń wilgoci i rozkładu, cegieł, kamienia i czasu.

- To była twoja stara szefowa? Wydawała się dość miła - zauważył Richard, zwracając się do Łowczyni. Nie otrzymał odpowiedzi. Drzwi wciąż sprawiała wrażenie nieco przygaszonej.

- Kiedy rodzice z podziemia chcą, by ich dzieci przestały psocić, mówią im: „Bądźcie grzeczni albo zabierze was Serpentyna”.

- Ach, tak - rzekł Richard. - A ty, Łowczyni, dla niej pracowałaś?

- Pracowałam dla wszystkich Siedmiu Sióstr.

- Zdawało mi się, że nie odzywają się do siebie od co najmniej trzydziestu lat - zauważyła

Drzwi.

- To zupełnie możliwe. Ale wtedy jeszcze rozmawiały.
 - Ile ty właściwie masz lat? - spytała dziewczyna. Richard ucieszył się, że zadała to pytanie. On sam nigdy by się nie odważył.
 - Tyle samo co mój język i nieco więcej niż zęby.
 - Mimo wszystko była w porządku - wtrącił Richard tonem kogoś, kogo opuścił kac i kto wie, że gdzieś w górze ktoś inny przeżywa wspaniały dzień. - Bardzo smaczne jedzenie, i nikt nie próbował nas zabić.
 - Jestem pewna, że jeszcze dziś sytuacja ta ulegnie zmianie - odparła proroczo Łowczym.
 - Którędy do Czarnych Mnichów, pani?
- Drzwi zatrzymała się i pomyślała chwilę.
- Pójdziemy drogą rzeczną - rzekła w końcu. - Tędy.

- Czy już się ocknął? - spytał pan Croup. Pan Vandemar dźgnął długim paznokciem nieruchome ciało markiza.
- Jeszcze nie, panie Croup. Chyba go uszkodziłem.
- Musisz bardziej uważać na swoje zabawki - upomniał go pan Croup.

ROZDZIAŁ 11

A ty jaki masz w tym interes? - spytał Łowczynię Richard. Szli brzegiem podziemnej rzeki. Richard z szacunkiem patrzył, jak szara woda rwie wartko za ledwie na wyciągnięcie ręki. Nie była to rzeka, do której wpada się i bezpiecznie wychodzi na ląd. Wręcz przeciwnie.

- Interes?

- No cóż - rzekł. - Ja próbuję wrócić do prawdziwego Londynu i mojego dawnego życia. Drzwi chce się dowiedzieć, kto wymordował jej rodzinę. A ty? Do czego ty dążysz? Dreptali wzdłuż brzegu, krok za krokiem. Łowczyni prowadziła.

Nie odpowiedziała.

Rzeka zwolniła bieg. Po chwili dotarli do miejsca, w którym wpadała do podziemnego jeziora. Okrążyli je. Światło ich lamp odbijało się w czarnej wodzie, rozproszone przez nadrzeczną mgiełkę.

- No to czego chcesz? - spytał Richard. Nie oczekiwał odpowiedzi.

Głos Łowczyni był cichy, pełen dziwnego napięcia. Ani na moment nie przerwała marszu.

- Walczyłam w kanałach pod Nowym Jorkiem z wielkim, białym, ślepyim królem aligatorów. Miał dziesięć metrów długości. Był tłusty od odpadków i groźny w walce. A ja pokonałam go i zabiłam. W ciemności jego oczy przypominały olbrzymie perły.

Jej wypowiedzane z dziwnym akcentem słowa odbijały się echem w podziemiu, splatały z mgłą.

- Walczyłam z niedźwiedziem, który nawiedzał miasto pod Berlinem. Zabił tysiąc ludzi; szpony miał czarne i brązowe od stuletniej zaschniętej krwi, ale padł pod moim ciosem. Umierając szeptał słowa w ludzkim języku.

Mgła wisiała tuż nad wodą. Richardowi wydało się, że dostrzega w niej istoty, o których opowiadała: białe postaci skryte w oparach.

- W podziemnej Kalkucie mieszkał czarny tygrys ludojad, sprytny i pełen goryczy, wielkości małego słonia. Tygrys to godny przeciwnik. Pokonałam go gołymi rękami.

Zerknął na Drzwi. Dziewczyna uważnie słuchała Łowczyni. Dla niej to także było coś nowego.

-I zabiję londyńską Bestię. Powiadają, że jej skóra najeżona jest mieczami, włóczniami i nożami tych, którzy próbowali i zawiedli. Jej szable są ostre jak brzytwy. Racice padają z siłą gromu. Zabiję ją albo zginę w walce.

Jej oczy zalśniły, gdy rozmyślała o przyszłej ofierze. Rzeczne opary przekształcały się w gęstą żółtą mgłę.

Nieopodal ktoś trzykrotnie uderzył w dzwon. Dźwięk niósł się wyraźnie nad jeziorem.

Stopniowo robiło się jaśniej. Richardowi wydało się, że dostrzega wokół kształty budynków. Żółtozielona mgła stała się jeszcze gęstsza. Niosła ze sobą smak popiołu i tłuszcz tysięcy lat miejskiego życia. Przywierała do ich lamp, tłumiąc światło.

- Co to jest? - spytał.

- Londyńska mgła - wyjaśniła Łowczyni.

- Ale przecież mgły ustały wiele lat temu! Ustawa o czystym powietrzu i tak dalej. -

Richard przypomniał sobie czytane w dzieciństwie opowieści o Sherlocku Holmesie. - Jak je nazywali?

- Zupy grochowe — mruknęła Drzwi. - Londyńska specjalność. Na Górze nie było takiej od jakichś czterdziestu lat. Nas jednak nawiedzają ich duchy. Nie, nie duchy, raczej echa. Richard wciągnął do płuc pasmo żółtozielonej mgły i zaczął kasłać.

- Nie brzmi to najlepiej - zauważyła Drzwi.

- Mam mgłę w gardle - wyjaśnił.

Ziemia pod ich stopami stawała się coraz bardziej lepka, błotnista. Przy każdym kroku usiłowała wsysać stopy Richarda.

- Ale przecież - rzeki głośno, by się pocieszyć — odrobina mgły jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Dziewczyna spojrzała na niego wielkimi, elfimi oczami.

- W 1952 roku jedna z nich zabiła cztery tysiące ludzi.

- Ludzi stąd? - spytał. - Spod Londynu?

- Waszych ludzi - sprecyzowała Łowczyni.

Richard był gotów w to uwierzyć. Zastanawiał się nad wstrzymaniem oddechu. Mgła stawała się coraz gęściejsza, a ziemia bardziej mokra.

- Nie rozumiem. Czemu tu w dole macie mgły, choć nas w górze już nie nawiedzają? Drzwi podrapała się po nosie.

- W Londynie występują małe pęcherzyki dawnych czasów, w których rzeczy i miejsca pozostają takie same. Coś jak pęcherze w bursztynie - wyjaśniła. - W waszym mieście macie mnóstwo czasu, który musi gdzieś trafiać; nie zużywacie go całego.

- Chyba ciągle mam kaca - westchnął Richard. - To brzmiało całkiem sensownie.

Opat wiedział, że tego dnia przyjdą pielgrzymi. Wiedza ta pochodziła z jego snów; spowijała go niczym ciemność. I tak dzień zmarnował na czekanie, co, jak wiedział, było grzechem: każdą chwilę należy przeżywać. Czekanie to grzech przeciw czasom, które dopiero nadejdą, jak również przeciw obecnym, zlekceważonym chwilom.

Mimo wszystko jednak czekał.

Podczas kolejnych nabożeństw oraz skąpych posiłków nasłuchiwał czujnie, czekając na dźwięk dzwonu, pragnąc dowiedzieć się, kto i jak wielu.

Odkrył, iż ma nadzieję, że będzie to czysta śmierć. Ostatni pielgrzym niemal rok trzymał się życia — wrzeszczący, bełkoczący wrak człowieka. Opat nie uważał swej ślepoty ani za błogosławieństwo, ani za przekleństwo; po prostu istniała.

Jednakże cieszył się, że nie musi oglądać twarzy nieszczęśnika. Brat Dżet, który się nim opiekował, wciąż budził się w nocy z krzykiem, widząc przed sobą wykrzywione w grymasie oblicze.

Dzwon zadźwięczał późnym popołudniem, trzykrotnie. Opat był właśnie w kaplicy. Klęczał, rozmyślając o tym, co im powierzono. Natychmiast dźwignął się na nogi i wyszedł na korytarz, gdzie znów zaczął czekać.

- Ojczy? - To był brat Sadza.

- Kto strzeże mostu? - spytał opat. Głos miał zdumiewająco głęboki i melodyjny jak na zgrzybiałego starca.

- Brat Żałoba - padła odpowiedź z ciemności. Opat wyciągnął rękę, chwycił mężczyznę za łokieć i powoli ruszył naprzód korytarzami opactwa.

Zostawili za sobą twardy grunt i jezioro. Z chlupotem i mlaskiem brnęli przez pogrążone w żółtej mgłę mokradła.

- To obrzydliwe - zauważył Richard. Błoto wciskało mu się do butów, dokonywało inwazji na skarpety i zaznajamiało się ze stopami znacznie bliżej, niż miałyby na to ochotę.

Przed nimi wznosił się wyrastający z moczarów most. U jego stóp czekała postać odziana w czarny habit dominikanów. Mnich miał twarz koloru starego ciemnego mahoni. Był wysoki; w dłoni trzymał długi kij.

- Stać! - krzyknął. - Podajcie swe imiona i pozycje.

- Jestem pani Drzwi — oznajmiła Drzwi. - Córka Portyka z rodu Łuku.

- Łowczyni. Jestem jej strażniczką.

- Richard Mayhew - oznajmił Richard. - Jestem mokry.

- I chcecie przejść? Richard wystąpił naprzód.

- Owszem, taki mamy zamiar. Przyszliśmy po klucz.

Mnich nie odpowiedział. Uniósł kij i lekko pchnął Richarda prosto w pierś. Richard pośliznął się i wylądował w błotnistej wodzie (czy też, odrobinę ściślej mówiąc, w wodnistym błocie).

Mnich odczekał chwile, czy Richard zerwie się na nogi i rozpocznie walkę. Richard jednak tego nie uczynił.

Zrobiła to Łowczyni.

Richard powoli dźwignął się z błota, z otwartymi ustami obserwując po raz pierwszy w życiu pojedynek na kije.

Mnich był dobry. Przewyższał Łowczynię wzrostem i, jak podejrzewał Richard, siłą. Łowczyni natomiast była znacznie szybsza.

Drewniane kije uderzały o siebie we mgle.

Nagle kij mnicha nawiązał bliski kontakt z brzuchem kobiety. Łowczyni potknęła się w błocie. Mnich podszedł blisko - za blisko, pojął nagle, dostrzegając, że to podstęp, bo Łowczyni kijem rąbnęła go pod kolana i powaliła.

- Dosyć! - zawołał ktoś z mostu.

Łowczyni cofnęła się o krok. Stała obok Richarda i Drzwi.

Rosły mnich podniósł się z błota. Krwawił z rozciętej wargi.

Uklonił się nisko Łowczyni, po czym odszedł na swoje miejsce.

- Kto to jest, bracie Żałobo? - usłyszeli głos.

- Pani Drzwi, córka pana Portyka z rodu Łuku. Łowczyni, jej strażniczka. I Richard Mayhew Mokry, ich towarzysz - odparł brat Żałoba, poruszając rozciętą wargą. - Zostałem pokonany w uczciwej walce, bracie Sadzo.

- Niechaj przejdą.

Łowczyni poprowadziła ich na most. Na szczycie czekał kolejny mnich, brat Sadza. Był młodszy i niższy niż poprzedni, lecz ubrany dokładnie tak samo. Twarz miał lśniąca, ciemnobrązową.

Na granicy widoczności w żółtej mgłę kryły się inne czarne postaci. Kolejni Czarni Mnisi, domyślił się Richard.

Drugi mnich przez sekundę przyglądał się trójce przybyszów, po czym rzekł:

Odwracam głowę i iść możesz wedle chęci. Odwracam znowu i nie pójdziesz, aż do śmierci. Nie mam twarzy, lecz ucha pustą przestrzeń. Na me nierówne zęby, kimże jestem?

Drzwi wystąpiła naprzód. Oblizła usta i przymknęła oczy.

- Obracam głowę - powtórzyła z namysłem. - Nierówne zęby... Iść, gdzie zechcesz... - Nagle jej twarz rozświetlił uśmiech. Spojrzała na brata Sadze. - Klucz - powiedziała. - Odpowiedź brzmi: klucz.

- Mądre dziewczę - rzekł brat Sadza. - To już dwa kroki. Pozostał jeszcze jeden.

Z żółtej mgły wynurzył się bardzo stary mężczyzna i ruszył ku nim ostrożnie, przesuwając sękatą dłońią po kamiennej poręczy mostu. Dotarłszy do brata Sadzy, przystanął. Jego oczy były mlecznobiałe, pokryte grubą kataraktą. Richardowi spodobał się od pierwszego wejrzenia.

- Ilu ich jest? - spytał młodego człowieka głębokim, dodającym otuchy głosem.

- Troje, ojcie opacie.

- I czy jedno z nich pokonało pierwszego strażnika?

- Tak, ojcie opacie.

- A drugie odpowiedziało właściwie drugiemu strażnikowi?

- Tak, ojcie opacie.

- Zatem jeszcze jeden musi stawić czoło Torturze Klucza. Niechaj on bądź ona wystąpi naprzód.

- Och, nie! - westchnęła Drzwi.

- Pozwólcie, że zajmę jego miejsce - wtrąciła Łowczyni. - Ja poddam się torturze.

Brat Sadza potrząsnął głową.

- Nie możemy na to pozwolić.

Gdy Richard był małym chłopcem, wraz ze szkolną wycieczką odwiedził miejscowy zamek. Razem z klasą pokonał liczne stopnie prowadzące w najwyższy jego punkt, częściowo zburzoną wieżę. Zebrali się na szczycie, a nauczyciel pokazywał im rozciągający się w dole krajobraz.

Nawet w dzieciństwie Richard czuł się nieswojo na dużej wysokości. Z całej siły przywarł do poręczy. Zmrużył oczy, starając się nie patrzeć.

Nauczyciel poinformował ich, że szczyt wieży dzieli od stóp wzgórza, na którym stała, prawie sto metrów. Stwierdził też, że upuszczona z tej wysokości moneta, dotarłszy na dół, zbierze dość energii, by przebić ludzką czaszkę.

Tej nocy Richard leżał w łóżku, wyobrażając sobie grosik spadający z siłą pistoletowej kuli bądź pioruna. Grosik wciąż wyglądał jak grosik, ale upuszczony stawał się morderczy...

Tortura.

Grosik runął wprost na niego. Był to ten rodzaj grosika.

-Jedną chwileczkę - rzekł Richard. - Momencik. Tortura. Ktoś ma się poddać torturze. Ktoś, kto nie odbył walki w błocie i nie odpowiedział na „wisi na ścianie, zielone i śpiewa”... — Gadał bez ładu i składu. Słyszał samego siebie i nic go to nie obchodziło. - Ta wasz tortura - zwrócił się do opata. - Ile jest w niej naprawdę tortury? Czy przypomina wizytę u złośliwej starej ciotki, czy raczej wetknięcie ręki do wrzątku, aby sprawdzić, jak szybko zejdzie z niej skóra?

- Tędy proszę - powiedział opat.

- Nie chcecie go - wtrąciła Drzwi. - Weźcie jedną z nas.

- Przyszło was troje. Są trzy próby. Każde z was musi poddać się jednej próbie. Tak jest uczciwie — oznajmił opat. - Jeśli przejdzie próbę, wróci.

Lekki powiew poruszył mgłą. Pozostałe ciemne postaci były, jak odgadł Richard, innymi Czarnymi Mnichami. Każdy mnich trzymał w dłoni kuszę. Każdy celował w Richarda, Łowczynię albo Drzwi. Zwarli szeregi, odcinając go od kobiet.

- Szukamy klucza - zaczął Richard.

- Tak - odparł opat.

- Dla anioła - wyjaśnił Richard.

- Tak - powtórzył opat. Wyciągnął rękę i ujął brata Sadzę pod ramię.

- Posłuchaj. - Richard zniżył głos. — Nie możesz odmówić aniołowi. Jesteś przecież duchownym. Może po prostu odpuścimy sobie tę torturę. Jeśli od razu mi go oddasz, powiem, że mnie torturowałeś.

Opat bez słowa ruszył w dół mostu. U jego stóp otwierały się drzwi. Richard podążył za nim. Czasami nie da się nic zrobić.

- Gdy założono nasz zakon, powierzono nam klucz. To jedna z najświętszych i najpotężniejszych relikwii. Musimy go oddać, ale tylko temu, kto przejdzie torturę i okaże się godny.

Wędrowali krętymi, wąskimi korytarzami. Richard pozostawiał za sobą mokre, błotniste ślady.

— Jeśli nie przejdę tej próby, to nie dostaniemy klucza, prawda?

— Nie, mój synu.

Richard zastanawiał się przez chwilę.

— Mogę wrócić później i spróbować ponownie? Brat Sadza zakasłał.

— Raczej nie, mój synu - odparł opat. - Jeśli tak się stanie, najprawdopodobniej będziesz już... - urwał - nie do odratowania. Nie lękaj się. Może właśnie tobie pisane jest zdobyć klucz?

W jego głosie zadźwięczał ton upiornej pociechy, bardziej przerażający niż jakakolwiek próba zastraszenia.

— Zabijecie mnie?

Opat patrzył przed siebie mlecznobiałymi oczami. W jego głosie zabrzmiała nutka urazy.
— Jesteśmy duchowymi - oznajmił. - Nie. To tortura zabija. Zeszli po schodach i znaleźli się w niskiej komnacie, przypominającej kryptę o dziwnie udekorowanych ścianach.

— A teraz - rzucił opat — proszę o uśmiech.

Rozległ się elektroniczny syk i błysnął flesz. Gdy Richard odzyskał wzrok, brat Sadza wyciągał właśnie zdjęcie z wysłużonego, starego polaroida.

Mnich odczekał, póki się nie wywołało, a potem powiesił je na ścianie.

— Oto nasza galeria tych, którzy zawiedli — westchnął opat. — Dbamy, by żadnego z nich nie zapomniano. To także nasze brzemie: pamięć.

Richard przyjrzał się twarzom. Kilka zdjęć z polaroida; dwadzieścia, może trzydzieści innych; odbitki barwy sepia i dagero-typy, a potem ołówkowe szkice, akwarele i miniatury. Pokrywały całą długą ścianę. Mnisi od dawna się tym zajmowali.

Drzwi zadrżała.

- Jestem taka głupia — mruknęła. — Powinam była to przewidzieć. Trzy osoby. Nie powinienam była przychodzić prosto tutaj.

Łowczyni obracała głową z boku na bok. Zapamiętała pozycję każdego mnicha, każdej kuszy. Obliczyła szansę przeprowadzenia Drzwi na drugą stronę mostu, najpierw całej i zdrowej, potem z lekkimi obrażeniami i wreszcie z poważnymi ranami jej samej i lekkimi u dziewczyny. Właśnie ponownie wszystko przeliczała.

- A gdybyś wiedziała? Co zrobiłabyś inaczej? - spytała.

- Po pierwsze, nie przyprowadziłabym go tutaj — oznajmiła Drzwi. - Znalazłabym markiza. Łowczyni przechyliła głowę.

- Ufasz mu? - spytała otwarcie.

Drzwi wiedziała, że ma na myśli Carabasa, nie Richarda.

- Tak - odparła. — Mniej więcej mu ufam.

Drzwi przedwczoraj obchodziła piąte urodziny. Tego dnia targ urządzono w ogrodach Kew. Ojciec zabrał ją tam ze sobą w ramach prezentu urodzinowego. Był to jej pierwszy targ. Znajdowali się w pawilonie motyli, otoczeni przez wielobarwne skrzydła, jaskrawe nieważkie istoty, które niezmiernie ją fascynowały. Nagle ojciec przykucnął obok niej.

- Odwróć się powoli i spójrz tam obok wejścia - rzekł.

Posłuchała. Ciemnoskóry mężczyzna w obszernym płaszczu, z czarnymi włosami związanymi w długą kitkę, stał przy drzwiach, pogrążony w rozmowie z dwójką złocistoskórych bliźniąt, młodym mężczyzną i młodą kobietą. Młoda kobieta płakała, tak jak płaczą dorośli, starając się jak najdłużej utrzymać lzy wewnątrz siebie i nienawidząc chwili, gdy jednak uwabniają się i sprawiają, że człowiek wygląda brzydko i zabawnie.

Z powrotem skupiła uwagę na motylach.

- Widziałś go? — spytał ojciec. Przytaknęła.

- To jest markiz de Carabas — oznajmił. — Kłamca, oszust, a może nawet coś w rodzaju potwora. Jeśli kiedykolwiek znajdziesz się w kłopotach, idź do niego. Będzie cię chronił, moje dziecko. Musi.

Drzwi ponownie zerknęła na mężczyznę, który oparł dłonie na ramionach bliźniąt i wyprowadzał je właśnie na zewnątrz. Tuż przedtem jednak obejrzał się przez ramię i mrugnął do niej.

Mnisi przypominali mroczne zjawy we mgle. Drzwi podniosła głos.

— Przepraszam, bracie! — zawołała do brata Sadzy. — Chcę spytać o naszego przyjaciela,

który poszedł po klucz. Jeśli mu się nie uda, co się z nami stanie?

Postąpił krok ku nim.

— Odprowadzimy was i wypuścimy.

— A co z Richardem?

Dostrzegła, jak mnich potrząsa ze smutkiem głową pod kapturem.

— Powinam była przyprowadzić markiza - powiedziała zastanawiając się, gdzie on się podziewa i co robi.

Markiz de Carabas był właśnie krzyżowany na wielkiej drewnianej konstrukcji w kształcie litery X, którą pan Vandemar zbudował z kilku starych łóżek, fragmentów krzesła, bramki i czegoś przypominającego stare taczki. Użył też dużego pudła zardzewiałych gwoździ. Teraz stał na drabinie, podnosząc swoje dzieło.

— Jeszcze trochę wyżej! - zawołał pan Croup. — Odrobinę w lewo. Tak. Tutaj. Cudownie. Minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz kogoś ukrzyżowali.

Rozłożone ręce i nogi markiza de Carabasa tworzyły wielkie X. Dłonie i stopy miały przybite gwoździami. W pasie obwiązano go sznurem. Był, praktycznie rzecz biorąc, kompletnie nieprzytomny.

Cała konstrukcja dyndała w powietrzu, zawieszona na kilkunastu linach, w pomieszczeniu, które niegdyś było stołówką dla personelu.

Na ziemi pan Croup zgromadził stos ostrych przedmiotów, od żyłek i noży kuchennych, po porzucone skalpele i lancety. Uzupelniał go też o liczne interesujące przyrządy, które pan Vandemar znalazł w dawnym skrzydle dentystycznym. Wśród nich znalazł się nawet pochodzący z kotłowni pogrzebacz.

- Sprawdź, co z nim - zaproponował. Pan Vandemar wyciągnął młotek i wsunął pod brodę markiza. Uniósł więźniowi głowę.

Markiz zatrzepotał powiekami. Otworzył oczy, odetchnął głęboko i splunął szkarłatną od krwi śliną wprost w twarz pana Vandemara.

-Niegrzecznie - powiedział surowo pan Croup. W istocie nawet się ucieszył.

Rzucanie do celu jest znacznie zabawniejsze, gdy cel pozostaje przytomny.

Woda w kociołku gwałtownie wrzała. Richard obserwował bulgoczący wrzątek, zastanawiając się, co z nim zrobią. Wyobrażenia podpowiadała mu mnóstwo różnych odpowiedzi.

Żadna nie okazała się prawidłowa.

Wrząca woda trafiła do imbryka, do którego brat Sadza dodał trzy łyżeczki herbacianych liści. Otrzymany płyn przelano przez sitko do trzech porcelanowych filiżanek.

Ślepy opat uniósł głowę, powęszył chwilę i uśmiechnął się.

- Pierwszą częścią Tortury Klucza - rzekł - jest filiżanka smacznej herbaty. Cukier?

- Nie, dziękuję - odparł czujnie Richard. Brat Sadza dodał do herbaty odrobinę mleka i podał mu filiżankę i spodeczek.

- Czy herbata jest zatruta? - spytał Richard. Opat sprawiał wrażenie urażonego.

- Wielki Boże, nie! Richard pociągnął łyk herbaty, która smakowała mniej wie-cej jak zwykła herbata.

- Ale to część tortury?

Brat Sadza ujął dłonie opata i umieścił w nich filiżankę.

- W pewnym sensie. Przed rozpoczęciem zawsze częstujemy poszukiwaczy filiżanką herbaty. Dla nas to część tortury, ale nie dla ciebie. - Opat także pociągnął łyk. Jego pomarszczoną twarz rozjaśnił błogi uśmiech. — Bardzo smaczna herbata, zważywszy na okoliczności.

Richard odstawił filiżankę.

- Mielibyście coś przeciw temu, byśmy od razu zaczęli tę torturę?

- Ależ nie - odparł opat. - Oczywiście, że nie. Wstał. Wszyscy trzej podeszli do drzwi po drugiej stronie pokoju.

- Czy... - zaczął Richard i urwał, próbując zdecydować, co zamierza powiedzieć. W końcu rzekł: - Czy możecie powiedzieć mi cokolwiek o tej torturze?

Opat potrząsnął głową.

Nie miał nic do powiedzenia. Prowadził poszukiwaczy do drzwi. Potem czekał godzinę, może dwie. Następnie wracał i zabierał z kaplicy szczątki, by umieścić je w krypcie. Czasem nieszczęśnicy nie umierali, choć tego, co po nich zostało, nie można było nazwać żywym. Czarni Mnisi opiekowali się nimi najlepiej jak umieli.

— Jasne - powiedział Richard i uśmiechnął się. - Cóż, prowadź, Makduffie.

Brat Sadza odciągnął zasuwę. Otworzył się z trzaskiem głośnym niczym wystrzał.

Richard przekroczył próg.

Brat Sadza zamknął drzwi za jego plecami i z powrotem zasunął zasuwę.

Poprowadził opata na miejsce i ponownie włożył w jego stare dłonie filiżankę. Opat w milczeniu pił herbatę. W końcu rzekł:

— Tak naprawdę cytat brzmi: „odstęp, Makduffie”, ale nie miałem serca go poprawiać. Sprawiał wrażenie miłego młodzieńca.

ROZDZIAŁ 12

Richard Mayhew szedł wolno wzdłuż peronu metra. Nie rozpoznał stacji. Należała do Linii District. Napis na tablicy głosił: „Blackfriars”.

Stacja była pusta. Gdzieś w dali z rykiem przejechał pociąg, wzbudzając widmowy wiatr, który powiał wzdłuż peronu i rozrzucił egzemplarz „Sun” na kartki składowe. Nagie piersi i wyzwiska poszybowały w powietrzu, spadły wprost na tory.

Richard powiódł wzrokiem z boku na bok.

Potem usiadł na ławce, czekając, aż coś się wydarzy. Nic się nie stało.

Podrapał się po głowie, czując lekkie mdłości.

Na peronie rozległy się kroki. Uniósł wzrok. Tuż obok przechodziła wystrojona dziewczynka, trzymająca za rękę kobietę wyglądającą jak jej większa, starsza kopia. Spojrzały na niego, a potem demonstracyjnie odwróciły oczy.

- Nie zbliżaj się do niego, Melanie - poleciła scenicznym szeptem kobieta.

Melanie spojrzała na Richarda tak, jak to robią tylko dzieci, bez najmniejszego zakłopotania. Potem odwróciła się do matki.

- Czemu tacy ludzie wciąż żyją? - spytała ciekawie.

- Nie mają odwagi, by ze sobą skończyć - wyjaśniła matka. Melanie zaryzykowała kolejne spojrzenie na Richarda.

- Żałosny - mruknęła.

Odeszły, stukając obcasami, i wkrótce zniknęły.

Zastanawiał się, czy je sobie wyobraził. Próbował sobie przypomnieć, czemu stoi na tym peronie. Czy czeka na pociąg? Dokąd się wybiera?

Nie wiedział.

Siedział bez ruchu.

Czy to sen? Pomacał rękami twarde, plastikowe siedzenie. Tupnął w peron zabłoconymi butami (skąd się wzięło to błoto?). Dotknął swej twarzy. Nie, to nie był sen. Gdziekolwiek się znalazł, to wszystko działa się naprawdę.

Czuł się dziwnie: oderwany od siebie, przygnębiony i osobliwie, przeraźliwie smutny.

Ktoś usiadł obok niego. Richard nie zareagował. Nie odwrócił głowy.

-Hej! — usłyszał znajomy głos. - Jak się miewasz, Dick? Wszystko w porządku?

Uniósł wzrok. Poczuł, jak jego twarz rozszerza się w uśmiechu. Nadzieja uderzyła go gwałtownie niczym cios pięścią.

- Garry? - spytał z lękiem. - Ty mnie widzisz? Siedzący obok mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zawsze był z ciebie dowcipniś - rzekł. - Zabawny gość.

Garry miał na sobie garnitur i krawat, był gładko ogolony i starannie uczesany. Richard uświadomił sobie nagle, jak musi wyglądać: zabłocony, nieogolony, wymięty...

- Garry. Ja... wiem, jak to musi wyglądać. Mogę to wyjaśnić. — Zastanowił się przez moment. - Nie. Nie mogę. Nie potrafię.

- Nie szkodzi - odparł Garry. Głos miał spokojny, kojący. - Nie wiem, jak ci to powiedzieć. To trochę niezręczne... Posłuchaj, tak naprawdę wcale mnie tu nie ma.

- Owszem, jesteś - zaprotestował Richard. Garry ze współczuciem pokręcił głową.

- Nie. Nie ma mnie. Jestem tobą. Mówisz do siebie. Richard zastanowił się przelotnie, czy to jeden z dowcipów przyjaciela.

- Może to pomoże... - powiedział Garry.

Uniósł dłoń do twarzy, nacisnął ją, zaczął ugniatać, kształtować. Jego twarz ustępowała pod naciskiem niczym plaste-lina.

- Tak lepiej? - przejmująco znajomym głosem spytał człowiek, który przed chwilą był Garrym. Richard znał tę twarz. Odkąd skończył szkołę, golił ją niemal każdego ranka. Czyścił jej zęby, wyciskał krosty i od czasu do czasu żałował, że nie przypomina bardziej Toma Cruise'a, Johna Lennona albo... To była jego twarz.

- Siedzisz na stacji Blackfriars w godzinach szczytu - oznajmił tamten Richard. - Gadasz do siebie. A wiesz, co mówi się o ludziach, którzy gadają do siebie. Tyle że w tej chwili odrobinę zbliżyłeś się do rzeczywistości.

A przemoknięty, zabłocony Richard spojrzał w twarz czystego, elegancko ubranego Richarda i rzekł:

- Nie wiem, kim jesteś ani co próbujesz zrobić. Ale nie wychodzi ci to zbyt przekonująco. Nie jesteś nawet do mnie podobny.

Kłamał.

Jego drugie ja uśmiechnęło się ze smutkiem i potrząsnęło głową.

- Jestem tobą, Richardzie. Jestem tym, co zostało z twojego rozsądku. - Tamten Richard przyglądał mu się z napięciem. - Skup się. - Rozejrzał się dokoła. - Spróbuj dostrzec ludzi, zobaczyć prawdę. Od tygodnia nie zbliżyłeś się do niej tak bardzo.

- Co za bzdury! - rzucił desperacko Richard.

Potrząsnął głową, ale posłusznie spojrzął na peron. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Odwrócił ku niemu głowę, ale to coś zniknęło.

- Patrz - szepnął jego sobowtór głosem, który Richard znał aż za dobrze.

Stał na pustej, słabo oświetlonej stacji na samym środku kolejowej samotni.

A potem...

Dźwięk i światło uderzyły go niczym piorun.

Stał na stacji Blackfriars w godzinach szczytu. Wokół niego przepychali się ludzie — szaleńcze morze dźwięków i światła rozbuchanego człowieczeństwa.

Na peronie stał pociąg. Richard ujrzał w jego oknach swoje odbicie.

Oto jak wyglądał:

Szaleniec. Twarz pokryta tygodniowym zarostem. Wokół ust i na brodzie zaschnięte resztki jedzenia. Niedawno podbito mu jedno oko. Był brudny. Pokrywał go czarny, zaschnięty brud, który wypełniał pory i na dobre zadomowił się pod paznokciami. Oczy miał przekrwione i wodniste, włosy tłuste i beznadziejnie splątane. Z boku na nosie wyrastał mu pryszcz, gniewna, czerwona plama.

Był szalonym, bezdomnym włóczęgą na peronie ruchliwej stacji metra w samym środku godzin szczytu.

Ukrył twarz w dłoniach.

Gdy uniósł głowę, ludzie zniknęli. Peron znów pograżył się w półmroku. Richard był sam.

Czyjaś dłoń znalazła jego rękę, ujęła, uściśnęła. Kobieca dłoń. Poczul znajomy zapach perfum.

Drugi Richard siedział po jego lewej stronie. Po prawej przysiadła Jessica, trzymając go za rękę. Patrzyła na niego. Nigdy dotąd nie widział u niej podobnego wyrazu twarzy.

— Jess? - spytał.

Potrząsnęła głową, wypuszczając jego dłoń.

— Obawiam się, że nie - rzekła. - Nadal jestem tobą, ale musisz mnie posłuchać, kochany. Jesteś teraz najbliższy rzeczywistości...

— Ciągle tylko powtarzacie „najbliższy rzeczywistości, najbliższy normalności”. Nie wiem, o co wam... — Urwał. Nagle o czymś sobie przypomniał. Spojrzął na drugą wersję samego siebie, na kobietę, którą kochał. - Czy to część tortury? — spytał ostro.

— Tortury? — powtórzyła Jessica. Wymieniła zatroskane spojrzenie z drugim Richardem, który nie był nim.

— Tak, tortury. W opactwie Czarnych Mnichów żyjących w Londynie Pod — wyjaśnił Richard. W miarę jak wypowiadał te słowa, zdawały się coraz prawdziwsze. - Jest tam klucz, który muszę zdobyć dla anioła zwanego Islington. Jeśli mu go dostarczę, odeśle mnie do domu... - Zaszło mu w ustach. Umilkł.

— Posłuchaj samego siebie — powiedział tamten Richard. - Nie widzisz, jak idiotycznie to brzmi?

Jessica wyglądała, jakby z trudem wstrzymywała płacz. Jej oczy błyszczały.

— Nie przechodzisz żadnej tortury, Richardzie. Ty... przeżyłeś załamanie nerwowe. Kilka tygodni temu. Po prostu nie wytrzymałeś. Zerwałam nasze zaręczyny. Zachowywałeś się tak dziwnie, jakbyś był kimś zupełnie obcym. Ja... nie mogłam tego znieść. A potem zniknąłeś. - Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. Umilkła, wydmuchując nos w chusteczkę.

- Wędrowałem samotny, szalony ulicami Londynu - powiedział drugi Richard. - Spałem pod mostami. Jadłem resztki znalezione w koszach i kubłach na odpadki. Drżałem z zimna. Byłem zagubiony, sam. Mamrotałem do siebie. Rozmawiałem z ludźmi, których tam nie było...

- Tak mi przykro, Richardzie - wtrąciła Jessica. Płakała. Jej wykrzywiona twarz stała się dziwnie nieatrakcyjna. Nos miała czerwony, pokrywający rzęsy tusz rozmazał się w czarne smugi.

Nigdy wcześniej nie oglądał jej tak nieszczęśliwej i nagle pojął, jak bardzo chciałby uwolnić ją od bólu.

Próbował ją objąć, pocieszyć, dodać jej sił. Lecz świat zadrżał, zawirował i zmienił się...

Ktoś na niego wpadł.

Leżał sztywno na jasnym peronie wśród tłumu. Policzek miał lepki i zimny. Uniósł głowę z ziemi. Leżał w kałuży własnych wymiocin. Przynajmniej miał nadzieję, że należały do niego.

Ludzie patrzyli nań ze wstrętem i po sekundzie odwracali wzrok.

Wytarł twarz i spróbował wstać, ale nie pamiętał, jak to się robi. Zaczął jęczeć. Mocno zacisnął powieki i nie otwierał oczu.

Gdy w końcu to zrobił, trzydzieści sekund albo godzinę, czy nawet dzień później, peron był znów pogrążony w półmroku.

Dźwignął się z ziemi. W pobliżu nie było nikogo.

- Halo! - zawołał. - Pomóżcie mi, proszę. Garry siedział na ławce. Obserwował go.

- Czyżbyś wciąż potrzebował kogoś, kto miałby powiedzieć ci, co masz robić? - Wstał i podszedł do Richarda. - Richardzie — rzekł z naciskiem. - Jestem tobą. Mogę powiedzieć ci to samo, co i ty powtarzasz sobie od dawna. Tyle że może jesteś zbyt przerażony, by wysłuchać własnych myśli.

- Nie jesteś mną - powiedział Richard, ale już w to nie wierzył.

- Dotknij mnie — rzekł Garry.

Richard wyciągnął rękę. Jego dłoń zapadła się w twarz Gar-ry'ego, jakby wepchnął ją w ciepłą gumę do żucia. Nie poczuł najmniejszego oporu.

Cofnął rękę.

- Widzisz? - odezwał się Garry. - Mnie tu nie ma. Jesteś tylko ty, krążący tam i z powrotem wzdłuż peronu, gadający do siebie, próbujący zebrać dość odwagi, by...

Richard nie zamierzał nic mówić, lecz jego wargi poruszyły się i usłyszał własny głos.

- Próbujący zebrać dość odwagi, by co? W głośniku odezwał się głęboki głos:

- Zarząd transportu londyńskiego chciałby przeprosić za opóźnienie. Doszło do niego z powodu wypadku na stacji Blackfriars.

- By właśnie to zrobić - powiedział Garry. - Stać się wypadkiem na stacji Blackfriars. Skończyć z tym wszystkim. Twoje życie to pozbawione miłości, puste kłamstwo. Nie masz przyjaciół...

- Mam ciebie — szepnął Richard.

Garry zmierzył Richarda pogardliwym spojrzeniem.

- Uważam, że jesteś frajerem — rzekł.

- Mam Drzwi, Łowczynię i Anestezję. W uśmiechu Garry'ego kryła się litość, która zraniła Richarda bardziej niż cokolwiek innego.

- Kolejni wymyśleni przyjaciele? W biurze wszyscy nabijaliśmy się z ciebie i z tych twoich

trolli. Pamiętasz je? Stały na biurku. - Garry zaśmiał się głośno.

Richard także wybuchnął śmiechem. Wszystko to było zbyt okropne. Nie pozostawało nic innego niż śmiech.

Po jakimś czasie umilkł.

Garry sięgnął do kieszeni i wyjął z niej trolla. Figurka miała fioletowe włosy. Kiedyś stała na monitorze komputera Richarda.

- Masz! - Garry rzucił mu maskotkę.

Richard spróbował ją złapać. Wyciągnął ręce, ale lalka przeleciała przez nie jak przez powietrze.

Upadł na kolana, próbując podnieść trolla. Ogarnęło go nieodparte wrażenie, że figurka stanowi jedyną pozostałą częśćkę jego prawdziwego życia. Że gdyby tylko zdołał ją odzyskać, może mógłby odzyskać wszystko inne...

Błysk!

Znów była godzina szczytu. Pociąg wyrzucił ze swych wnętrzności setki ludzi; setki innych próbowały dostać się do środka. A Richard tkwił pośrodku, na czworakach, kopany i potrącany przez przechodniów. Ktoś z całej siły nadepnął mu na palce. Richard krzyknął przenikliwie i wsadził je sobie do ust, niczym sparzone dziecko. Smakowały paskudnie.

Widział trolla na skraju peronu, jakieś trzy metry dalej. Wolno popęztał ku niemu przez tłum, przez peron. Ludzie obrzucali go przekleństwami, wchodzili mu w drogę, potrącali. Nigdy nie wyobrażał sobie, że trzy metry mogą okazać się tak wielką odległością. Usłyszał przenikliwy, wysoki chichot i zastanowił się, kto się tak śmieje. Chichot był niezwykle niepokojący, dziwaczny, groźny. Ciekawe, jaki człowiek mógł się tak śmiać. Richard przełknął ślinę i chichot ucichł. I wtedy już wiedział.

Starsza kobieta wsiadła do wagonu. Po drodze strąciła fiole-towowłosego trolla w ciemną szczelinę pomiędzy pociągiem a peronem.

- Nie! - jęknął Richard. Wciąż się śmiał, bezradnie, jękliwie, lecz w oczach zapiekły go łzy, które popłynęły po policzkach. Kiedy potarł twarz dłońmi, oczy zapiekły jeszcze bardziej. Błysk!

A potem na peronie znów zapanowała pustka i mrok.

Podniósł się z ziemi i chwiejnie pokonał ostatnich kilka kroków dzielących go od krawędzi.

Widział go w dole na torach obok trzeciej szyny, tej pod prądem: małą plamę fioletu, swego trolla.

Spojrzał naprzód. Po drugiej stronie torów na ścianie wisiały wielkie plakaty reklamujące karty kredytowe, sportowe obuwie i wakacje na Cyprze. Gdy na nie patrzył, słowa rozpląnęły się i odmieniły.

Oto co teraz głośiły:

SKOŃCZ Z TYM WSZYSTKIM - radził jeden z nich. UWOLNIJ SIĘ OD CIERPIENIA - namawiał drugi. BĄDŹ MĘŻCZYZNĄ - SKOŃCZ ZE SOBĄ. MIEJ DZIŚ ŚMIERTELNY WYPADEK.

Przytaknął. Znów mówił do siebie. W rzeczywistości plakaty wcale tak nie wyglądały. O tak, mówił do siebie. I czas, by wreszcie posłuchał.

Z całkiem bliska dobiegł go stukot pociągu zmierzającego na stację.

Zacisnął zęby i zakolysał się w przód i w tył, jakby wciąż potrącali go przechodnie, choć

przecież był sam na peronie.

Pociąg jechał ku niemu i Richard pojął nagle, jak niewielkiego wysiłku trzeba, by uciszyć dręczący go ból. Sprawić, by ustał na zawsze.

Wepchnął ręce do kieszeni. Odetchnął głęboko. To takie łatwe. Sekunda bólu, a potem koniec...

Coś było w jego kieszeni. Wyczuł to palcami - coś gładkiego, twardego i niemal kulistego. Wyciągnął to coś: kwarcowy paciorek.

I wtedy przypomniał sobie, jak go podniósł. Był po drugiej stronie mostu. Paciorek stanowił część naszyjnika Anestezji.

Wówczas wydało mu się, że gdzieś z daleka dobiega, a może tylko rozbrzmiewa w jego głowie głos szurzej dziewczyny: „Richardzie, trzymaj się!”.

Skinął głową, wkładając koralik z powrotem do kieszeni. Stał na peronie, czekając na przyjazd pociągu, który zjawił się, zwolnił, zatrzymał.

Drzwi pociągu otwarły się z sykiem.

Wagon był pełen martwych ludzi; najprzeróżniejszych martwych ludzi. Były tam świeże trupy z poszarpanymi ranami gardeł i dziurami po kulach na skroniach, a także stare, wysuszone zwłoki. Z uchwytów zwisali pokryci pajęczynami nieboszczycy. Na siedzeniach kołysały się rakowate trupy. Wyglądało na to, że każdy z tych ludzi zginął z własnej ręki.

Były tam trupy kobiet i mężczyzn.

Richard odniósł wrażenie, że zna te twarze z fotografii, wiszących na długiej ścianie, ale nie pamiętał, gdzie to było. Nie pamiętał kiedy.

W wagonie cuchnęło tak, jak mogłoby śmierdzieć w kostnicy pod koniec długiego, gorącego lata, podczas którego wszystkie chłodnie wyzionęły ducha.

Richard nie miał już pojęcia, kim jest. Nie wiedział, co jest prawdą, a co nie. Czy on sam jest śmiałkiem, czy tchórzem, człowiekiem normalnym czy szaleńcem.

Wiedział jednak, co powinien zrobić. Wsiadł do pociągu i wszystkie światła zgasły.

Szczeknęły zasuwki. W pomieszczeniu rozległy się bliźniacze echa. Ktoś pchnął drzwi maleńkiej kaplicy, wpuszczając do środka światło lampy.

Była to mała komnata o wysokim, sklepionym suficie. Z nici podczepionej w najwyższym punkcie powały zwisał srebrny klucz. Towarzyszący otwarciu drzwi powiew zakolysał nim, a potem obrócił powoli, najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

Opat opierał się na ramieniu brata Sadzy. Weszli razem do kaplicy.

- Weź ciało, bracie Sadzo - polecił starzec.

- Ale, ojciec...

- O co chodzi?

Brat Sadza ukląkł na jednym kolanie. Opat usłyszał szelest palców badających ciało i materiał.

- On nie umarł.

Starzec westchnął. Wiedział, że nie powinien tak myśleć, ale szczerze uważał, iż lepiej było dla nich, jeśli umierali od razu. Inaczej sprawy wyglądały naprawdę źle.

- Jeden z tych, co? - rzekł. - No cóż, będziemy się opiekować nieszczęśnikiem, póki nie odejdzie, by otrzymać ostateczną nagrodę. Zaprowadź go do szpitala.

A wtedy słaby głos powiedział bardzo cicho.

- Nie jestem... nieszczęśnikiem...

Opat usłyszał, jak ktoś wstaje. Dobiegło go gwałtowne westchnienie brata Sadzy.

-Ja... chyba przeżyłem - oznajmił niepewnie Richard May-hew. — Chyba że to dalszy ciąg tortury.

- Nie, mój synu — powiedział opat. Zapadła cisza.

-No to... teraz chętnie napiłbym się herbaty, jeśli mogę -rzeki Richard.

- Oczywiście - powiedział opat. - Tedy.

Richard obserwował starca. Opat drżał wyraźnie. Jego pokryte kataraktą oczy nie widziały niczego. Wyglądał na ucieszonego z faktu, że Richard żyje, ale...

- Przepraszam pana - wtrącił z szacunkiem brat Sadza. -Proszę nie zapomnieć swego klucza.

- A, tak. Dzięki.

Zupełnie wyleciało mu to z głowy. Wyciągnął rękę i zacisnął dłoń na srebrnym kluczu, kręcącym się powoli na swej nici. Pociągnął i nic zerwała się łatwo.

Richard otworzył palce. Z jego dłoni spojrzął na niego klucz.

- Na me nierówne zęby — zadeklamował Richard, przypominając sobie nagle cytat - kimże jestem?

Wsadził klucz do kieszeni obok małego kwarcowego koralika i razem z mnichami opuścił kaplicę.

Mgła zaczynała rzednąć. Łowczyni ucieszyła się z tego. Była już pewna, że w razie konieczności zdoła wyprowadzić panią Drzwi bez żadnego uszczerbku na jej zdrowiu, odnosząc przy tym jedynie lekkie obrażenia.

Po drugiej stronie mostu wybuchło zamieszanie.

— Coś się dzieje - mruknęła cicho. - Przygotuj się do ucieczki.

Mnisi się cofnęli.

Richard, przybysz z Góry, wynurzył się z mgły, maszerując obok opata. Wyglądał... Łowczyni zmierzyła go uważnym wzrokiem, próbując określić zmianę, jaka w nim zaszła. Jego środek ciężkości przesunął się niżej. Nie... to było coś więcej. Richard wyglądał... Wyglądał, jakby dorósł.

- Jeszcze żyjesz? - spytała.

Przytaknął. Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął srebrny klucz. Rzucił go dziewczynie, która złapała srebrny przedmiot, a potem pomknęła ku Richardowi i chwyciła go w objęcia z całych sił.

Po chwili wypuściła Richarda i podbiegła do opata.

— Nie potrafię wyrazić, jak wiele to dla nas znaczy. Starzec uśmiechnął się słabo, lecz ciepło.

— Niechaj Łuk i Świątynia będą z wami w czasie podróży przez podziemie - rzekł.

Drzwi dygnęła. Potem, zaciskając dłoń na kluczu, wróciła do Richarda i do Łowczyni.

Trójka podróżnych zeszła z mostu.

Mnisi zostali na nim, póki tamci nie zniknęli w starej mgle spowijającej świat pod światem.

— Straciliśmy klucz - powiedział opat. - Boże, zlituj się nad nami.

ROZDZIAŁ 13

Anioł Islington śnił mroczny, gwałtowny sen. Wielkie fale wznosiły się i rozbijały nad

miastem. Niebo przesywały rozwidlone błyskawice sięgające od horyzontu po horyzont. Padał deszcz. Miasto drżało. Obok wielkiego amfiteatru płonęły domy. Islington patrzył na wszystko z wysoka, unosząc się w powietrzu tak, jak to bywa we śnie i jak czynił w owych dawnych czasach. W mieście nie brakowało budynków liczących sobie setki metrów wysokości; nawet one jednak wydawały się maleńkie w porównaniu z zielonymi falami Atlantyku.

A potem usłyszał krzyki. Na Atlantydzie mieszkało cztery miliony ludzi. W swym śnie Islington słyszał głos każdego z nich, jasno i wyraźnie, gdy wrzeszczeli, dusili się, płonęli i umierali.

Fale pochłonęły miasto. Burza ucichła.

Gdy nastał świt, nie pozostało już nic, co mogłoby świadczyć, że kiedyś było tu miasto. Nic oprócz wzdętych trupów dzieci, kobiet i mężczyzn unoszących się na zimnych porannych falach; trupów, które mewy, szare i białe, zaczynały już atakować swymi okrutnymi dziobami.

Islington się przebudził.

Stał obok wielkich czarnych drzwi z krzemienia i starego srebra. Dotknął zimnego, gładkiego kamienia, lodowatego metalu.

Dotknął stołu. Przesunął lekko palcami wzdłuż ściany.

A potem ruszył przez komnaty swego dworu, dotykając kolejnych rzeczy. Idąc, podążał stałymi ścieżkami, gładkimi zagłębieniami, które jego bose stopy wyłobiły przez wieki w skale.

Zatrzymał się przy skalnej sadzawce. Ukląkł i palcami musnął wodę.

Powierzchnia zafalowała. Odbijający się w niej obraz anioła i otaczających go świec zamigotał i uległ zmianie.

Islington patrzył teraz w głąb piwnicy.

Gdzieś w dali usłyszał dzwonek telefonu.

Pan Croup podniósł słuchawkę. Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie.

- Croup i Vandemar - warknął. - Oczu wydłubywanie, nosów łamanie, języków rozrywanie, podbródków rozbijanie, gardeł podrzynanie.

— Panie Croup - powiedział anioł. - Zdobyli klucz. Chcę, by dziewczyna imieniem Drzwi dotarła do mnie bezpiecznie.

- Bezpiecznie — powtórzył bez entuzjazmu pan Croup. -Rozumiem. Obronimy ją. Cóż za wspaniały pomysł. Co za oryginalność. Zdumiewające, doprawdy. Większość ludzi, wynajmując zabójców, zadowoliliby się egzekucją, sekretnym morderstwem, nawet ponurą zbrodnią. Tylko pan angażuje dwóch najwspanialszych podrzynaczy gardeł w całym czasie i przestrzeni, a potem prosi, by strzegli bezpieczeństwa małej dziewczynki.

- Proszę dopilnować, by dotarła tu bez szwanku, panie Croup. Nikt nie może jej skrzywdzić. Jeśli wy to zrobicie, będę bardzo niezadowolony. Zrozumiał pan?

-Tak.

— Coś jeszcze? — spytał Islington.

— Tak, proszę pana. - Croup odkaszlnął lekko. — Pamięta pan markiza de Carabas?

— Oczywiście.

— Rozumiem, że nie istnieje podobne zastrzeżenie dotyczące eksterminacji markiza?

- Nie - odparł anioł. - Macie chronić tylko dziewczynę.

Uniósł dłoń znad wody. Odbicie znów przedstawiało otoczonego świecami anioła.

A potem anioł Islington wstał i powrócił do komnat wewnętrznych, czekając na przybycie gości.

- Co powiedział? — spytał Vandemar.

- Powiedział, panie Vandemar, że możemy robić z markizem, co nam się żywnie podoba. Vandemar skinął głową.

- Czy to obejmuje zadanie śmierci w męczarniach? - spytał.

- Tak, panie Vandemar. Po zastanowieniu muszę powiedzieć, że tak.

- To świetnie, panie Croup. Nie chciałbym wysłuchać kolejnej reprimendy. - Vandemar uniósł wzrok ku krwawemu ochłapowi kołyszącemu się nad nimi. - Lepiej zatem pozbadźmy się trupa.

Jedno z przednich kółek sklepowego wózka skrzypiało i przejawiało wyraźną tendencję do zbaczania na lewo. Pan Vandemar znalazł wózek na porośniętej trawą ulicznej wysepce nieopodal szpitala. Gdy tylko go ujrzał, zorientował się, iż jest idealnej wielkości do przewiezienia ciała. Oczywiście, mógł sam je przenieść, ale wtedy trup poplamilby go krwią albo innymi płynami. A pan Vandemar miał tylko jeden garnitur.

Toteż popychał teraz ciało markiza de Carabas w głąb kanału burzowego, a wózek poskrzypywał: skrzyp, skrzyp, skrzyp i cały czas ściągał na lewo.

Pan Vandemar pomyślał, że dla odmiany jego towarzyszy mógłby trochę popchać wózek. Pan Croup jednak był zajęty mówieniem.

- Wie pan, panie Vandemar - mówił właśnie - jestem w tej chwili zbyt przepelniony radością, zbyt zadowolony, nie wspominając już nawet o ogarniającej mnie całkowitej, nieograniczonej ekstazie, by narzekać, skarżyć się i utyskiwać. W końcu bowiem pozwolono nam zrobić to, co robimy najlepiej...

Pan Vandemar pokonał szczególnie trudny zakręt.

- To znaczy kogoś zabić? - spytał. Pan Croup uśmiechnął się promiennie.

- Istotnie, to dokładnie to znaczy, panie Vandemar, mój dzielny druho, szlachetna, jasna duszo. Jednakże do tej pory z pewnością wyczułeś już drobne ale kryjące się pod mą szczęśliwą, błogą, radosną maską; kruszynę niepokoju drażniącą niczym mały skrawek surowej wątroby przywierający do wnętrza buta. Bez wątpienia mówisz w tej chwili do siebie: „Nie wszystko układa się tak radośnie w sercu pana Croupa. Spróbuje go namówić, by zrzucił z siebie ten ciężar”.

Pan Vandemar zastanawiał się długą chwilę, otwierając okrągłą żelazną klapę łączącą kanał burzowy z tunelami kanalizacji i przeciskając się przez otwór. Potem pociągnął za sobą wózek z ciałem markiza de Carabas. I wreszcie, niemal pewien, że nie myślał o niczym podobnym, rzekł:

-Nie.

Pan Croup puścił jego odpowiedź mimo uszu.

- I gdybym w odpowiedzi na twe błagania odkrył przed tobą, co nie daje mi spokoju, przyznałbym, że duszę mą dręczy konieczność ukrycia naszego wspianego dzieła. Powinniśmy zawiesić żalosne szczątki byłego markiza na najwyższej szubienicy w Londynie Pod, a nie wyrzucać jak zużytego... - urwał, poszukując stosownego porównania.

- Szczura? - podsunął pan Vandemar. - Papużkę falistą? Śledziona?

Panu Croupowi nie spodobała się żadna sugestia. Westchnął.

Przed nimi otwierał się głęboki kanał pełen brązowej wody. Na jej powierzchni unosiły się brudnobiałe płyty piany, zużyte prezerwatywy i okazjonalnie strzępy papieru toaletowego.

Pan Vandemar zatrzymał wózek.

Pan Croup pochylił się, unióśł za włosy głowę markiza i syknął do martwego ucha:

- Im wcześniej skończymy z tym zadaniem, tym bardziej się ucieszę. Istnieją inne miejsca i czasy, które właściwie docenią dwie pary zręcznych rąk wyposażonych w garotę i nóż rzeźnicki.

Potem wstał.

- Dobranoc, słodki markizie. Nie zapomnij pisać.

Pan Vandemar przechylił wózek i trup z pluskiem wpadł do brązowej wody.

A potem, ponieważ w tym krótkim czasie zdążył poczuć do niego żywą niechęć, pan Vandemar wepchnął do kanału także sklepowy wózek.

Pan Croup unióśł wysoko lampę, przyglądając się otoczeniu.

- Ze smutkiem konstatuje - rzekł - iż ulicami ponad nami wędrują ludzie, którzy nigdy nie poznają piękna tych kanałów, panie Vandemar; owych ceglanych katedr pod ich stopami.

- Prawdziwa sztuka - zgodził się pan Vandemar. Odwrócili się plecami do brązowej wody i wrócili w głąb tuneli.

- Z miastami jest tak jak z ludźmi, panie Vandemar - zauważył pan Croup z afektacją. - Najważniejszy jest stan ich wnętrza.

Drzwi powiesiła sobie klucz na szyi na kawałku sznurka, który znalazła w jednej z kieszeni skórzanej kurtki.

- To niezbyt bezpieczne — zauważył Richard. Dziewczyna skrzywiła się pociesznie.

- Naprawdę — dodał. Wzruszyła ramionami.

- W porządku - rzekła. - Kiedy dotrzemy na targ, załatwię sobie łańcuch.

Wędrowali labiryntem jaskiń, głębokich tuneli wyciętych w wapieniu. Richard czuł się jak człowiek prehistoryczny.

Zachichotał.

— Co cię tak śmieszy? - spytała Drzwi. Uśmiechnął się szeroko.

— Wyobrażałem sobie wyraz twarzy markiza, gdy poinformujemy go, że bez jego pomocy wydostaliśmy od mnichów klucz.

— Z pewnością będzie miał do powiedzenia coś ironicznego - odparła. — A potem prosto do anioła, „długą i niebezpieczną drogą”, cokolwiek to znaczy.

Richard miał właśnie powiedzieć, że zapewne będzie długa i niebezpieczna, jednak ugryzł się w język. Zaczął podziwiać malunki na ścianach jaskini. W rdzach, czerwieniach, ochrach i żółciach przedstawiono na nich atakujące dziki i uciekające gazy, kudłate mastodonty i olbrzymie leniwece. Z początku sądził, że malunki muszą liczyć sobie tysiące lat, potem jednak skręcili za róg i ujrzał oddane w tym samym stylu ciężarówka, domowe koty, samochody i wyraźnie gorzej przedstawione, jakby dostrzegane jedynie przelotnie i z bardzo daleka - samoloty. Żaden z malunków nie znajdował się specjalnie wysoko. Może ich twórcami była rasa karłowatych podziemnych neandertalczyków? Było to równie prawdopodobne, jak wszystko inne w tym dziwnym

świecie.

- To gdzie odbywa się najbliższy targ? - spytał.

- Nie mam pojęcia - odparła Drzwi. - Łowczyni? Kobieta wynurzyła się z cieni.

- Nie wiem.

Tuż obok nich przemknęła mała postać. W kilka chwil później dwie kolejne postaci popędziły jej śladem.

Gdy ich mijały, Łowczyni wyciągnęła rękę i złapała za ucho małego chłopca.

- Auu! - krzyknął tak, jak to robią mali chłopcy. - Puszczaj! Ona ukradła mi pędzel!

- Zgadza się - dodał jakiś piskliwy głos z głębi korytarza. - Ukradła.

- Nieprawda! - wtrącił jeszcze wyższy i bardziej piskliwy głosik.

Łowczyni wskazała obrazy na ścianie jaskini.

- To ty je namalowałeś? - spytała.

Chłopiec spojrział na nią z wyniosłą arogancją, na jaką stać jedynie największych artystów i wszystkich dziewięcioletnich chłopaków.

- Tak - odparł wojowniczo. - Część z nich.

- Niezłe - przyznała Łowczyni.

Chłopak zmierzył ją gniewnym spojrzeniem.

- Gdzie odbywa się następny Ruchomy Targ? - spytała Drzwi.

- Belfast - odparł chłopak. - Dziś w nocy.

- Dzięki - powiedziała Drzwi. - Mam nadzieję, że odzyskasz swój pędzel. Puść go, Łowczyni.

Kobieta wypuściła ucho malca.

Chłopak jednak stał dalej. Zmierzył ją uważnym wzrokiem, potem skrzywił się na znak, że jej imię zupełnie nie zrobiło na nim wrażenia.

- Ty jesteś Łowczyni? - spytał.

Uśmiechnęła się skromnie. Chłopak pociągnął nosem.

- Najlepsza strażniczka podziemia.

- Tak mówią.

Jednym płynnym gestem sięgnął za siebie i uniósł rękę. Nagle zamarł, wyraźnie zdumiony i otworzył dłoń, przyglądając się jej uważnie. Potem zaskoczony spojrział na Łowczynię.

Kobieta rozgięła palce, demonstrując mały nóż sprężynowy o wybitnie niesympatycznym ostrzu. Trzymała go w górze poza zasięgiem chłopaka.

Zmarszczył nos.

- Jak to zrobiłaś?

- Spływaj - rzuciła Łowczyni.

Złożyła nóż i rzuciła go chłopcu, który popędził korytarzem w pościgu za złodziejką pędzla.

Ciało markiza de Carabas płynęło twarzą do dołu na wschód, w głąb kanału.

Londyńskie kanały rozpoczęły swe życie jako rzeki i strumienie płynące z północy na południe do Tamizy. System ten sprawdzał się lepiej lub gorzej przez wiele lat, aż w końcu w 1858 roku ilość ścieków wyprodukowanych przez mieszkańców i przemysł w

połączeniu z upalnym latem stworzyła zjawisko zwane w owych czasach Wielkim Smrodem. Kto tylko mógł, wyjechał z Londynu. Pozostali owijali twarze szmatami nasączonymi karbolem i próbowali nie oddychać przez nos.

Parlament musiał przerwać sesję. W następnym roku polecił rozpoczęcie budowy systemu kanalizacji. Tysiące mil zbudowanych wówczas kanałów zaprojektowano tak, by lekko nachylały się z zachodu na wschód. Gdzieś za Greenwich ścieki wypompowywano do ujścia Tamizy, z którego wpływały do morza. Tę właśnie drogę pokonywał teraz świętej pamięci markiz de Carabas, płynąc z zachodu ku wschodowi słońca i stacjom pomp.

Szczury na wysokiej ceglanej półce, robiące to, co zwykle robią szczury, gdy nie ogląda ich żaden człowiek, ujrzały przepływające zwłoki.

Największy z nich, duży czarny samiec, zaświergotał cicho.

Mniejsza brązowa samica odświergotała coś w odpowiedzi. Potem zeskoczyła z półki na plecy markiza. Płynęła na nim chwile, wachając włosy i płaszcz, kosztując krwi, a nawet przechylając się niebezpiecznie i uważnie oglądając widoczny kawałek twarzy. W końcu zeskoczyła z głowy do brudnej wody i energicznie popłynęła do brzegu. Tam wdrapała się po śliskich ceglach, pobiegła po belce i dołączyła do towarzyszy.

- Belfast? - spytał Richard. Drzwi uśmiechnęła się psotnie.

- Sam zobaczysz — powiedziała jedynie. Przestał wypytywać. Zmienił temat.

- Ten dzieciak mógł zełgać co do targu.

- To nie jest coś, o czym my, ludzie z Dołu, moglibyśmy kłamać. Ja... nie sądzę, by było to w ogóle możliwe - urwała. - Targ jest czymś wyjątkowym.

- Skąd dzieciak wiedział, gdzie się odbywa?

- Ktoś mu powiedział - wyjaśniła Łowczyni. Richard przetrwał przez chwilę tę informację.

- A skąd tamten ktoś wiedział?

- Powiedział mu ktoś inny - tłumaczyła Drzwi.

-Ale...

Zastanawiał się, kto właściwie wybiera miejsce, jak przekazuje innym wiadomość, gdy nagle w ciemności rozległ się głęboki kobiecy głos.

- Ssss. Macie może pojęcie, kiedy odbywa się następny targ?

Kobieta wyszła z cienia. Nosila srebrną biżuterię. Miała starannie uczesane ciemne włosy i była bardzo blada. Jej długą suknię uszyto z czarnego jak smoła aksamitu.

Richard natychmiast zorientował się, że widział ją już wcześniej, ale potrzebował kilku chwil, by przypomnieć sobie gdzie: na pierwszym Ruchomym Targu u Harrodsa. Uśmiechnęła się wtedy do niego.

- Dziś w nocy - oznajmiła Łowczyni. - Belfast.

- Dziękuję - odparła kobieta.

Ma zdumiewające oczy, pomyślał Richard. Barwy płatków naparstnicy.

- Spotkamy się na targu — dodała i mówiąc to spojrzała wprost na Richarda. Potem nieśmiało odwróciła wzrok. Cofnęła się w cień i zniknęła.

- Kto to był? - spytał Richard.

- Nazywają siebie Aksamitnymi. - odparła Drzwi. - Za dnia śpią tutaj, nocą krążą po Górze.

- Są niebezpieczne? - spytał Richard.

- Każdy jest niebezpieczny — wtrąciła Łowczyni.

- Posłuchajcie, wracając do targu - naciskał Richard — kto podejmuje decyzje, gdzie i kiedy go urządzić? Jak dowiadują się o tym pierwsi ludzie?

Łowczyni wzruszyła ramionami.

- Drzwi? - spytał.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Skręcili za róg. Drzwi uniosła lampę.

- Niezłe - mruknęła.

- I co za tempo - dodała Łowczyni. Czubkiem palca dotknęła obrazu na ścianie. Farba była jeszcze mokra.

Malunek przedstawiał Łowczynię, Drzwi i Richarda. Nie był zbyt pochlebny.

Czarny szczur nieśmiało wkroczył do gniazda Złocistych, kuląc uszy i nie unosząc głowy. Popiskując i świergocąc pełził naprzód.

Złociści urządzili sobie gniazdo w stosie kości. Należały one kiedyś do kudłatego mamuta, w czasach gdy te wielkie, włochate stwory krążyły po zaśnieżonej tundrze południowej Anglii, jakby — w opinii Złocistych - uważały, że należy do nich cały świat. Tego akurat mamuta Złociści pozbawili owych złudzeń szybko i ze skutkiem śmiertelnym.

Dotarli do stosu kości, czarny szczur uklonił się, przekręcił na grzbiet, odsłaniając gardło, zamknął oczy i czekał.

Po chwili świergot z góry poinformował go, że może się odwrócić.

Jeden ze Złocistych wynurzył się z mamuciej czaszki leżącej na szczycie stosu. Pomknął w dół starego kła; szczur o złotym futrze i oczach barwy miedzi. Wielkością dorównywał dużemu kotu.

Czarny szczur przemówił. Złocisty namyślał się przez chwilę, po czym wyświergotał rozkaz. Czarny szczur przekręcił się na grzbiet, ponownie odsłaniając gardło. Potem śmignął naprzód, ruszając w drogę.

Plemię Kanałów istniało, rzecz jasna, na długo przed czasami Wielkiego Smrodu. Mieszkało w kanałach elżbietańskich i później, w tych z czasów restauracji i regencji. Stopniowo rosło w siłę, w miarę jak coraz więcej londyńskich strumieni zamieniało się w kryte rynsztoki, gdy stale wzrastająca liczba mieszkańców produkowała coraz więcej ścieków, odpadków i śmieci. Dopiero jednak po Wielkim Smrodzie, gdy rozpoczął się wielki wiktoriański program budowy kanalizacji, plemię znalazło się na swoim.

W kanałach można ich było znaleźć wszędzie. Na stałe jednak mieszkali w iście kościelnych ceglanych kryptach na wschodzie, u zbiegu wielu brudnych, pienistych ścieków. Tam właśnie siadywali z wędkami, sieciami i zaimprovizowanymi bosakami, obserwując powierzchnię brązowej wody.

Ich ubrania - brązowe i zielone - pokrywała gruba warstwa czegoś, co mogło być pleśnią, warstwą smaru albo czymś jeszcze gorszym. Włosy mieli długie i splątane. Cuchnęli mniej więcej tak, jak można to sobie wyobrazić.

W tunelu wisiały stare latarnie sztormowe. Nikt nie wiedział, jakiego paliwa używało Plemię Kanałów, lecz ich lampy płonęły śmierzącym błękitnozielonym ogniem.

Nie wiadomo, jak członkowie Plemienia Kanałów porozumiewają się ze sobą. W swych nielicznych kontaktach ze światem zewnętrznym używają wyłącznie min i gestów. Żyją w swoim świecie pełnym plusków i kapania - mężczyźni, kobiety i milczące kanałowe dzieci.

Dunnikin dostrzegł coś w wodzie. Był wodzem Plemienia Kanałów, najmądrzejszym i najstarszym spośród pobratymców.

Znał wszystkie kanały lepiej niż ich budowniczości. Teraz sięgnął po starą siatkę na krewetki. Jeden fachowy ruch ręki i wyłowił z wody telefon komórkowy w bardzo kiepskim stanie. Położył zdobycz na niewielkim stosiku śmieci w rogu. Jak dotąd dzisiejszy połów składał się z dwóch pojedynczych rękawiczek, buta, kociej czaszki, egzemplarza pisma „Fiesta”, nasiąkniętej wodą paczki papierosów, sztucznej nogi, martwego cocker-spa-niela, poroża - gotowego do powieszenia na ścianie - i dolnej części dziecięcego wózka.

Nie był to najlepszy dzień, a w nocy odbywał się targ.

Dunnikin nie spuszczał wzroku z wody. Nigdy nie wiadomo, co zjawi się za chwilę.

Stary Bailey wieszał właśnie pranie. Bielizna trzepotała na wietrze na szczycie Centre Point. Starzec nie przepadał za samym wieżowcem, ale jak często powtarzał ptakom, widok z góry był naprawdę niezrównany.

Wiatr zrywał pióra z płaszcza Bailey a i unosił je daleko nad Londyn. Stary człowiek nie przejmował się. Jak zwykł mawiać swym ptakom, miał u nich więcej piór, niż potrzebował.

Spod pękniętej kratki wywietrznika wynurzył się wielki czarny szczur. Rozejrzał się wokół, pomknął do pokrytego plamami ptasich odchodów namiotu Starego Bailey, wbiegł po ścianie, a potem po sznurze z bielizną. Zaświergotał nagle.

- Powoli, powoli - rzucił Stary Bailey. Szczur zwolnił, nieco niższym głosem powtarzając wiadomość. - A niech mnie! - westchnął starzec.

Popędził do namiotu i wrócił uzbrojony - w widelec do pieczenia i łopatę na węgiel. Potem przyniósł narzędzia do targowania. Wreszcie cofnął się po raz trzeci, otworzył drewnianą skrzynię i wsunął do kieszeni srebrne puzderko.

- Naprawdę nie mam czasu na te głupstwa — poinformował szczura, po raz ostatni opuszczając namiot. - Jestem bardzo zajęтым człowiekiem. Ptaki same się nie złapią. — Zaczął rozkręcać spowijającą go linę.

Szczur coś pisnął.

- Są przecież inni - powiedział Stary Bailey - którzy mogliby odzyskać ciało. Nie jestem już taki młody i nie lubię podziemi. Jestem człowiekiem z dachów. Tu się urodziłem i wychowałem.

Szczur wydał z siebie nieprzychylny odgłos.

- Pośpiech jest wrogiem szybkości - odparł stary Bailey. - Już idę. Smarkacz! Znałem twójego prapradziadka, mości szczurze, więc nie próbuj mi się tu wywyższać. Gdzie odbywa się targ?

Szczur poinformował go. A potem starzec włożył zwierzę do kieszeni i zniknął za krawędzią dachu.

Siedzący obok kanału na plastikowym leżaku Dunnikin poczuł nagle, jak ogarnia go przecucie nadciągającego bogactwa. Czuł, jak płynie ku nim z zachodu na wschód. Głośno klasnął w dłonie. Podbiegli do niego inni mężczyźni, kobiety i dzieci, chwytając po drodze sieci i bosaki. Ustawili się wzdłuż śliskiego parapetu w migotliwym zielonym świetle kanału.

Dunnikin wskazał ręką, a oni czekali. W ciszy, tak jak zawsze czeka Plemię Kanałów. W oddali ukazało się ciało markiza de Carabas, unoszone prądem twarzą w dół, płynące majestatycznie niczym barka.

W ciszy zarzucili na nie haki i sieci i wkrótce wyciągnęli na brzeg. Zdjęli z trupa płaszcz i buty; resztę ubrań pozostawili w pokoju. Opróżnili kieszenie płaszcza.

Dunnikin z szerokim uśmiechem oglądał zdobycz. Klasnął ponownie i Plemię Kanałów zaczęło szykować się do wyprawy na targ. Dopiero teraz mieli coś na sprzedaż.

- Jesteś pewna, że markiz będzie na targu? - spytał Richard, gdy ich ścieżka zaczęła wznosić się powoli.

- On nas nie zawiedzie - odparła Drzwi przesadnie pewnym siebie tonem. - Bez wątpienia tam będzie.

ROZDZIAŁ 14

“Belfast” to krążownik o wyporności jedenastu tysięcy ton, który rozpoczął służbę w 1939 roku i odzna-czył się podczas działań wojennych w drugiej wojnie światowej. Od tego czasu cumował na południowym brzegu Tamizy w pocztówkowej krainie między mostami, naprzeciw londyńskiej Tower. Widać z niego było katedrę Świętego Pawła i pomnik upamiętniający Wielki Pożar, dzieło Christophera Wre-na. Obecnie pełni funkcję pływającego muzeum, pomnika i miejsca szkoleń.

Wąski pomost łączy statek z brzegiem. I właśnie po nim wędrowali przybysze, dwójkami, trójkami, dziesiątkami. Przedstawiciele wszystkich plemion Londynu Pod na wyścigi rozstawiali swoje kramy, złączeni targowym rozejmem i wspólnym pragnieniem ustawienia się jak najdalej od stoiska Plemienia Kanałów.

Ponad sto lat wcześniej ustalono, że Plemię Kanałów może uczestniczyć jedynie w tych targach, które odbywają się na świeżym powietrzu.

Dunnikin i jego ludzie usypali ze swych zdobyczy wielki stos na gumowej płachcie pod jednym z wielkich dział. Z początku nikt do nich nie podchodził, wreszcie jednak ludzie się zjawili: poszukiwacze okazji, ciekawscy oraz ci nieliczni, na swe szczęście pozbawieni zmysłu węchu.

Richard, Łowczyni i Drzwi przepychali się przez tłum na pokładzie.

Richard zorientował się nagle, że nie czuje już potrzeby przyglądania się wszystkiemu i

wypytywania. Dzisiejszy tłum nie był wcale mniej dziwny niż tamten na poprzednim Ruchomym Targu, ale też i on sam był równie dziwny jak pozostali.

Rozejrzał się wokół, przebiegając wzrokiem po twarzach ludzi, poszukując ironicznie uśmiechniętego markiza.

- Nie widzę go - zauważył.

Zbliżali się do warsztatu kowala. Mężczyzna, którego z łatwością można byłoby wziąć za niewielką górę, gdyby nie kędzierzawa brązowa broda, rzucił na kowadło bryłę rozgrzanego do czerwoności metalu. Richard nigdy dotąd nie oglądał prawdziwego kowadła. Nawet z odległości pięciu kroków czuł bijący z metalu żar.

- Szukaj dalej. Carabas z pewnością się zjawi. On zawsze wraca - odparła Drzwi, oglądając się za siebie - jak zły szeląg. - Zastanowiła się przez moment - Co to jest zły szeląg?

A potem, nim Richard zdążył odpowiedzieć, pisnęła:

-Kowal!

Brodąta góra uniosła wzrok, przestała uderzać młotem w rozgrzany metal i ryknęła:

- Na Łuk i Świątynię! Pani Drzwi!,

Brodacz olbrzym porwał ją z ziemi, jakby ważyła nie więcej niż mysz.

- Cześć, kowalu — powiedziała Drzwi. - Miałam nadzieję, że cię tu znajdę.

- Nigdy nie przegapiłbym targu, pani - zagrzmiał radośnie, a potem wyznał konfidencyjnie głosem przywodzącym na myśl niedaleką eksplozję: - To tu ubija się najlepsze interesy. Chwileczkę - dodał, przypominając sobie o stygnącym metalu na kowadle. - Zaczekaj moment. - Posadził Drzwi na szczycie kramu na poziomie swoich oczu, dwa metry nad ziemią.

Zaczął tłuc w metal młotem, przekręcając go przy tym czymś, co Richard prawidłowo zidentyfikował jako szczypce. Pod uderzeniami młota metal z nieforemnej bryły przekształcił się w piękną czarną różę, zdumiewająco delikatną; każdy płatek był misternie oddany.

Kowal wrzucił różę do stojącego obok kowadła kubła z zimną wodą. Metal zasyczał, wzbijając w powietrze chmurę pary. Potem olbrzym wyciągnął swe dzieło i podał je tłustemu mężczyźnie w kolczudze, czekającemu cierpliwie z boku. Tamten wyraził uznanie i w zamian wręczył mu zieloną plastikową torbę od Marksa i Spencera, pełną najróżniejszych gatunków serów.

- Kowalu! - zawołała Drzwi z góry. - To moi przyjaciele.

Kowal uściśnął dłoń Richarda ręką większą od jego własnej o kilkanaście rozmiarów. Jego uścisk był pełen entuzjazmu, lecz bardzo łagodny, jakby w przeszłości, po licznych wypadkach przy powitaniach, odbył długi trening wyrabiający delikatność.

- Bardzo mi miło - zagrzmiał.

- Richard - przedstawił się Richard. Kowal uśmiechnął się radośnie.

- Richard! Piękne imię. Miałem kiedyś konia imieniem Richard. - Wypuścił jego rękę i odwrócił się do Łowczyni. - A ty jesteś... Łowczyni? Łowczyni! Jak tu stoję, oddycham i wypróżniam się, to ty!

Zarumienił się niczym uczeń. Splunął na rękę i niezręcznie spróbował przygłodzić w/burzone włosy. Potem wyciągnął dłoń, uświadomił sobie, że właśnie na nią napluł i otarł ją pospiesznie w skórzany fartuch, przestępując z nogi na nogę.

- Miło mi - odezwała się Łowczyni z cudownym karmelowym uśmiechem.

- Kowalu! - zawołała Drzwi. - Pomożesz mi zejść?
- Wybacz, pani - rzekł zawstydzony i zsadził ją z dachu. W tym momencie Richard zrozumiał, że kowal zna Drzwi od dziecka. Ogarnęła go niewytłumaczalna zazdrość.
- Słucham - powiedział olbrzym zwracając się do Drzwi. - Co mogę dla ciebie zrobić?
- Kilka rzeczy - odparła. - Ale najpierw... - Spojrzała na Richarda. - Richardzie, mam dla ciebie zadanie. Łowczyni uniosła brwi.
- Dla niego? Drzwi przytaknęła.
- Dla was obojga. Zechcecie poszukać czegoś do zjedzenia? Proszę.
Richarda ogarnęła dziwna duma. Dowiódł swej wartości podczas tortury klucza. Był teraz Jednym z Nich. Pójdzie zatem i Przyniesie Coś Do Jedzenia. Nadął się.
- Jestem twoją strażniczką. Zostanę przy tobie — oznajmiła Łowczyni.
Drzwi uśmiechnęła się szeroko. Jej różnobarwne oczy rozbliły.
- Na targu? Obowiązuje nas rozejm. Nikt mnie tu nie tknie. A Richard potrzebuje opieki bardziej niż ja. Richard oklapł, nikt jednak tego nie zauważył.
- A jeśli ktoś naruszy rozejm? - spytała Łowczyni. Kowal zadrżał mimo panującego gorąca.
- Ktoś miałby naruszyć targowy rozejm? Brrr!
- Nie dojdzie do tego. Idźcie oboje. Znajdźcie curry i chrupkie placuszki. Pikantne.
Łowczyni przecesała palcami włosy. Potem odwróciła się i odeszła w tłum. Richard podążył w ślad za nią.
- Co by się stało, gdyby ktoś naruszył rozejm? - spytał przeciskając się między ludźmi. Zastanowiła się przez moment.
- Ostatnim razem zdarzyło się to około trzystu lat temu. Dwóch przyjaciół wdało się w kłótnię o kobietę. Ktoś wyciągnął nóż i jeden z nich zginął. Drugi uciekł.
- I co? Został zabity? Łowczyni potrząsnęła głową.
- Wręcz przeciwnie. Wciąż żałuje, że to nie on umarł.
- Nadal żyje? Ściągnęła wargi.
- W pewnym sensie - odparła po chwili. — W pewnym sensie.
- Fuj! - Richard miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. - Co to za smród?
- Plemię Kanałów.
Odwrócił głowę, postanawiając nie oddychać przez nos, póki nie oddalą się od śmierdzącego kramu.
- Widziałaś może markiza? - spytał.
Łowczyni potrząsnęła głową. Gdyby wyciągnęła rękę, z ła-twością by go dosięgła. Ruszyli trapem w górę, w stronę stoisk z jedzeniem i przyje-mniejszych zapachów. Stary Bailey z łatwością znalazł kram Plemienia Kanałów, posługując się wyłącznie zmysłem węchu.
Odegrał niezłe przedstawienie, demonstracyjnie oglądając martwego cocker-spaniela, sztuczną nogę, mokry i lepki telefon komórkowy i potrząsając ze smutkiem głową nad każdym z nich.
W końcu udał, że dostrzega ciało markiza. Podrapał się po nosie. Założył okulary i przyjrzał mu się uważnie. Przytaknął. Potem gestem wezwał Dunnikina i wskazał trupa. Dunnikin szeroko rozłożył ręce, uśmiechnął się błogo i uniósł wzrok ku niebu, demonstrując radość, jaką napawają ich szczątki markiza. Położył dłoń na czole, opuścił ją i przybrał tragiczną minę, by przekazać rozpacz, jaką wywoła utrata podobnie

wspaniałych zwłok.

Stary Bailey wsunął rękę do kieszeni i wyjął na wpół zużyty dezodorant w szyćcie. Podał go Dunnikinowi, który zmrużył oczy, polizał dezodorant i oddał. Starzec ukrył go w kieszeni. Obejrzał się na zwłoki markiza de Carabasa, półnagie, bose, wciąż wilgotne po długiej podróży kanałami. Ciało było szaro-białe, pozbawione krwi, która wypłynęła z wielu dużych i małych ran. Długi kontakt z wodą sprawił, że skóra pomarszczyła się niczym suszona śliwka.

Po chwili wahania Bailey wydobyl z kieszeni butelkę, w trzech czwartych wypełnioną żółtawym płynem, i rzucił Dunnikinowi. Dunnikin obejrzał ją uważnie. Plemię Kanałów wie, jak wygląda flaszka Chanel Nr 5, toteż wszyscy natychmiast zebrali się wokół wodza. Dunnikin ostrożnie, z nabożeństwem odkręcił korek i na sekundę przytknął butelkę do przegubu. Potem z powagą, której mógłby pozazdrościć mu najlepszy paryski perfumier, powąchał.

Następnie z entuzjazmem skinął głową i podszedł do Starego Bailey, by uściskać go i zakończyć targi. Stary Bailey odwrócił głowę. Później uniósł palec i postarał się jak najlepiej przekazać, że nie jest już młody i że, martwy czy nie, markiz de Cara-bas nie należy do najlżejszych.

Dunnikin z namysłem podlubał w nosie, potem z gestem wskazującym nie tylko hojność, ale też wręcz niemądrą dziecianną rozrzutność, która z pewnością zaprowadzi go wraz z całym plemieniem do przytułku dla ubogich, polecił jednemu z młodszych członków plemienia przywiązać trupa do dolnej części starego dziecięcego wózka. Przybysz z dachu okrył zwłoki kawałkiem materiału i pociągnął za sobą przez zatłoczony pokład.

- Poproszę jedną porcję wegetariańskiego curry - powiedział Richard, zwracając się do kobiety za ladą. - Zastanawiałem się też... Mięsne curry. Z jakiego jest mięsa?

Kobieta mu powiedziała.

- Ach tak - mruknął Richard. - Rozumiem. Hmmm. Chyba wszyscy zdecydujemy się na wegetariańskie.

- Witaj ponownie — przemówił ktoś tuż obok niego głębokim głosem. Była to blada kobieta, którą spotkali w jaskiniach, ta w czarnej sukni, o oczach barwy naparstnicy.

- Cześć - odparł Richard z uśmiechem. - I jeszcze kilka placuszków. Co słychać? Przyszłaś tu na curry? Przygwoździła go spojrzeniem fioletowych oczu.

- Nie jadam... curry - rzekła naśladując Lugosiego i zaśmiała się dźwięcznie, radośnie.

Richard uświadomił sobie nagle, jak wiele czasu minęło, odkąd ostatni raz dowcipkował z jakąś kobietą.

- Och, hmm, jestem Richard. Richard Mayhew. - Wyciągnął rękę. Palce bladej kobiety były bardzo zimne, ale też późną nocą u schyłku jesieni na statku pośrodku Tamizy panuje przeraźliwy chłód.

- Łamią - rzekła. - Jestem Aksamitna.

- Aha - powiedział. - Dużo was jest?

-Kilka.

Richard zebrał pojemniki z curry.

- Czym się zajmujesz? - spytał.

- Kiedy nie szukam jedzenia - odparła z uśmiechem - jestem przewodniczką. Znam każdy skrawek podziemia.

Łowczyni, która, Richard mógłby przysiąc, stała po drugiej stronie kramu, nagle

zmaterializowała się obok Lamii.

- On nie należy do ciebie - oznajmiła. Łamią uśmiechnęła się słodko.

- Ja to osądzę.

- Łowczyni - powiedział Richard. - To jest Łamią. Jest Welwetowa.

- Aksamitna - poprawiła słodko Łamią.

- Jest przewodniczką.

- Zaprowadzę cię, dokąd tylko zechcesz. Łowczyni odebrała od Richarda torbę z jedzeniem.

- Czas wracać — oznajmiła.

- No cóż - powiedział Richard - skoro wybieramy się do... sama wiesz kogo, może ona mogłaby nam pomóc?

Łowczyni spojrzała na Richarda. Gdyby popatrzyła tak na niego jeszcze dzień wcześniej, natychmiast porzuciłby ten temat, ale to było wtedy.

- Zobaczymy, co sądzi o tym Drzwi - rzekł. - Co z markizem?

- Jak dotąd ani śladu — odparła Łowczyni.

Stary Bailey włókł za sobą trupa, który przywiązany do podwozia wózka przypominał upiorną kukłę Guya Fawkesa. Przeciągnął go przez most Tower i obok samej Tower, kierując się w stronę stacji Tower Hill. W końcu przystanął tuż przed nią obok wielkiego szarego występu w murze. To nie dach, ale wystarczy, pomyślał Stary Bailey.

W istocie była to jedna z nielicznych pozostałości Muru Londyńskiego. Tradycja głosi, że zbudowano go na rozkaz rzymskiego cesarza Konstantyna Wielkiego w trzecim wieku naszej ery na prośbę jego matki (na imię miała Helena), która pochodziła z Londynu i miała serdecznie dosyć nonszalanckich i złośliwych uwag potentatów z całego imperium, wspominających wielkie mury swych ojczystych miast i pytających, jak wyglądają mury w jej części świata.

Gdy go ukończono, całkowicie okręzał miasto, miał dziesięć metrów wysokości, dwa i pół szerokości i bez wątpienia był wspaniałym murem. Obecnie już nie zamykał w sobie całego miasta, jego wysokość znacznie zmalała, bo od czasów matki Konstantyna poziom gruntu podniósł się wyraźnie; wciąż jednak pozostawał imponującym kawałem murarki.

Stary Bailey gwałtownie pokiwał głową. Przywiązał do wózka kawał liny, wdrapał się po murze, a potem, sapiąc i powtarzając „Niech to lichy!”, wciągnął na szczyt markiza.

Odwiązał zwłoki od podwozia i położył je delikatnie na plecach, z rękami po bokach. Całe ciało pokrywały rany, z których wciąż sączył się płyn. Trup był bardzo martwy.

- Ty głupi draniu - szepnęła Stary Bailey. -I po co dałeś się zabić?

Mały, jasny krążek księżycy świecił wysoko na zimnym niebie. Jesienne gwiazdozbiory migotały na ciemnogramatowym tle niczym pył ze zmiądzonych diamentów.

Słowik z trzepotem usiadł na murze, przyjrzał się zwłokom markiza de Carabas i zaświergotał słodko.

- Nie wtykaj w to dzioba - warknął Stary Bailey. - Wy, ptaki, też nie pachniecie jak cholerne róże.

Słowik posłał w jego stronę melodyjne słowicze przekleństwo, po czym odleciał w noc. Starzec sięgnął do kieszeni i wyciągnął czarnego szczura, który tymczasem zasnął smacznie. Gryzoń rozejrzał się sennie wokół, potem ziewnął, demonstrując długi szczurzy język.

- Osobiście — poinformował go Stary Bailey — byłbym szczęśliwy, gdybym już nigdy

więcej nie czuł żadnego zapachu.

Posadził zwierzę na kamieniach Muru Londyńskiego. Szczur zaświergotał nagłaco. Stary Bailey westchnął. Wyjął z kieszeni srebrne pudzeczko; z drugiej wydobył widelec do pieczenia.

Postawił pudzeczko na piersi Carabasa.

A potem nerwowo wyciągnął widelec i podniósł srebrne; wieczko. Wewnątrz pudzeczka znajdowało się kacze jajo, zielono-niebieskie w blasku księżyca. Stary Bailey uniósł widelec, zacisnął powieki i rozbił skorupkę.

Rozległo się głośne westchnienie.

Na moment zapadła przejmująca cisza. Potem zerwał się wiatr, Nie wiał z jednego kierunku; zdawał się nadciągać ze wszystkich stron jednocześnie — huragan znikąd. Suche liście, gazety, wszelkie wielkomięskie śmieci wleciały z szumem w powietrze.

Wiatr dotknął powierzchni Tamizy, wzbijając w górę drobne krople lodowatej wody.

Był to szalony wiatr; niebezpieczny, obłąkany wiatr. Właściciele kramów na pokładzie „Belfastu” przeklinali go, chwytając swój majątek, by nie uleciał w dal.

A potem, gdy zdawało się, że wiatr stanie się tak silny, że porwie ze sobą cały świat, zgasi światło i wyrzuci ludzi w górę niczym stos widmowych jesiennych liści...

Właśnie wtedy...

...ucichł. Liście, gazety, plastikowe torby na zakupy opadły na ziemię, ulice i wodę.

Wysoko na pozostałościach Muru Londyńskiego cisza, która zapadła po ustaniu wiatru, była na swój własny sposób równie głośna, jak wcześniej wichura.

Przerwał ją kaszel, upiorny, mokry kaszel.

Potem rozległ się szelest ciała, przekręcającego się niezgrabnie na bok, a następnie dźwięk towarzyszący obfitym, rozdzierającym wymiotom.

Markiz de Carabas wymiotował wodą z kanałów wprost na Mur Londyński, pokrywając szare kamienie plamami brązowego szlamu. Potrzebował długiej chwili, by pozbyć się wody z organizmu.

A potem rzekł ochryplym głosem, niewiele głośniejszym od szeptu:

- Chyba poderżnęli mi gardło. Masz coś, czym mógłbym je przewiązać?

Stary Bailey pogrzebał w kieszeni i wyciągnął kawał brudnej tkaniny. Podał go markizowi, który kilkakrotnie owinął sobie gardło i zawiązał mocno ten zaimprovizowany szalik. Baileyowi skojarzyło to się zupełnie niestosownie z wysokimi, ciasnymi kołnierzami Beau Brummela, noszonymi przez dandysów z czasów regencji.

— Coś do picia - wychrypiał markiz.

Starzec wyciągnął piersiówkę, odkręcił korek i podał ją markizowi, który pociągnął duży łyk, po czym skrzywił się z bólu i zakasłał słabo.

Czarny szczur, obserwujący wszystko ciekawie, teraz zbiegł po ścianie. Przekaze wiadomość Złocistym: rachunki zostały wyrównane, stare długi spłacone.

Markiz oddał piersiówkę.

- Jak się czujesz? - spytał Stary Bailey.

- Bywało lepiej.

Markiz usiadł dygocząc. Z nosa ciekł mu śluz. Oczy krążyły niespokojnie tam i z powrotem. Przyglądał się światu, jakby nigdy wcześniej go nie oglądał.

- Po co w ogóle poszedłeś i dałeś się zabić? To chciałbym wiedzieć.

- Informacje — szepnął markiz. - Ludzie mówią ci różne rzeczy, jeśli wiedzą, że zaraz

umrzesz. A potem, gdy już skonasz, rozmawiają przy tobie.

-I dowiedziałeś się tego, czego potrzebowałeś? Markiz obmacał rany na rękach i nogach.

-O tak. Większości. Mam więcej niż blade pojęcie, o co w tym wszystkim chodzi. - Raz jeszcze przytknął oczy, skulił się i zaczął kołysać powoli w przód i w tył.

- Jak to jest - spytał Stary Bailey - być martwym? Markiz westchnął, a potem uśmiechnął się słabo niczym cień dawnego Carabasa.

- Pożyj dość długo, starcze, a sam się przekonasz. Bailey sprawiał wrażenie zawiedzionego.

- Drań. I to po wszystkim, co zrobiłem, by sprowadzić cię zza straszliwej granicy, zza której nie ma już powrotu... no, zwykle nie ma.

Markiz de Carabas spojrział na niego. Jego oczy lśniły białą w blasku księżyca.

- Jak to jest być martwym? - szepnął. - Bardzo zimno, przyjacielu. Bardzo ciemno i bardzo zimno.

Drzwi uniosła łańcuch. Wisiał na nim klucz połyskujący czerwienią i złotem w blasku paleniska kowala. Uśmiechnęła się.

- Piękna robota, kowalu.

- Dziękuję, o pani.

Powiesiła sobie łańcuch na szyi i ukryła klucz pod warstwami ubrań.

- Co chcesz w zamian?

Speszony kowal spuścił wzrok.

- Nie chciałbym wykorzystywać twojej dobroci... - wymamrotał.

Drzwi zrobiła niecierpliwą minę. Kowal schylił się i spod stosu narzędzi wydobył czarną skrzynkę. Zrobiono ją z ciemnego drewna inkrustowanego złotem i miedzią. Była wielkości porządnego słownika. Obrócił ją w dłoniach.

- To pudełko-łamiągłówka - wyjaśnił. - Dostałem je w zamian za kowalską robotę parę lat temu i nie mogę otworzyć, choć bardzo się starałem.

- Podaj mi je.

Drzwi przesunęła palcami po powierzchni skrzynki.

- Nic dziwnego, że nie zdołałeś otworzyć. Mechanizm jest zablokowany. Kompletnie się zaciął. Kowal spochmurniał.

- Nigdy więc nie dowiem się, co jest w środku.

Drzwi spojrzała na niego z rozbawieniem. Palcami badała powierzchnię skrzynki. Nagle z bocznej ścianki wyskoczyła zapadka. Dziewczyna wsunęła ją do połowy, potem przekreśliła. Z głębi układanki dobiegł głośny szczęk i z boku otwarła się klapka.

- Proszę - powiedziała Drzwi.

Kowal westchnął. Wziął od niej pudełko, uniósł klapkę i odsłonił szufladkę, którą wyciągnął.

Ukryta w niej mała żabka zakumkała i rozejrzała się wokół bez cienia zainteresowania. Kowalowi zrzędała mina.

- Miałem nadzieję, że znajdę brylanty i perły. Drzwi wyciągnęła rękę i pogładziła głowę żabki.

-Ma ładne oczy - powiedziała. - Zatrzymaj ją, kowalu. Przyniesie ci szczęście. I raz

jeszcze dziękuję. Wiem, że mogę polegać na twojej dyskrekcji.

- Możesz mi zaufać, pani - odparł żarliwie kowal.

Siedzieli razem na szczycie Muru Londyńskiego. Milczeli. Stary Bailey powoli opuszczał na ziemię podwozie wózka. — Gdzie jest targ? - spytał markiz.

Starzec wskazał krążownik.

-Tam.

- Drzwi i pozostali będą mnie oczekiwać.

- Nie jesteś w stanie nigdzie iść.

Markiz zakasłał boleśnie. Stary Bailey pomyślał, że w jego płucach wciąż jeszcze musi być pełno wody.

- Odbyłem dziś dość długą podróż - wyszeptał Carabas. - Jeszcze odrobina nie zaszkodzi. — Uważnie obejrzał własne dłonie, poruszył palcami, jakby chciał sprawdzić, czy ma nad nimi władzę. A potem przekręcił się i zaczął powoli schodzić po murze. Zanim jednak to zrobił, rzekł ochryple ze śladem smutku w głosie: - Wygląda na to, Stary Baileyu, że jestem ci winien przysługę.

Gdy Richard wrócił z curry, Drzwi podbiegła i zarzuciła mu ręce na szyję. Uścisnęła go mocno, a nawet poklepała po pośladkach. Potem chwyciła papierową torbę i otworzyła ją z entuzjazmem.

Zacząła radośnie pochłaniać wegetariańskie curry.

- Dzięki - rzekła z pełnymi ustami. - Wiecie coś o markizie?

- Nie - odparła Łowczyni.

- Croup i Vandemar?

- Ani śladu.

- Pyszne curry. Naprawdę dobre.

- Masz ten łańcuch? - spytał Richard.

Dziewczyna podciągnęła zawieszony na szyi łańcuszek, demonstrując, że tam jest, i puściła go. Łańcuch natychmiast zniknął, pociągnięty ciężarem klucza.

- Drzwi - powiedział Richard - to jest Łamią. Przewodniczka. Twierdzi, że może zaprowadzić nas wszędzie, w całym podziemiu.

- Wszędzie? - Drzwi odgryzła kawałek placka.

- Wszędzie - potwierdziła Łamią. Dziewczyna przechyliła głowę.

- Wiesz, gdzie jest anioł Islington?

Łamią zamrugała. Długie rzęsy uniosły się i opadły, na moment zakrywając oczy barwy naporstnicy.

- Islington? - powtórzyła. - Nie możecie tam iść...

- Wiesz?

- Down Street - oznajmiła Łamią. - Na końcu Down Street, Ale to niebezpieczna droga.

Łowczyni słuchała całej rozmowy bez większego zainteresowania, z rękami splecionymi na piersi.

- Nie potrzebujemy przewodnika — wtrąciła.

- No cóż - wtrącił Richard. - Ja uważam, że potrzebujemy. Markiza nigdzie nie ma.

Wiemy, że czeka nas niebezpieczna wyprawa. Musimy dostarczyć aniołowi... zdobycz. A potem on opowie Drzwi o jej rodzinie, a mnie -jak mam wrócić do domu.

Łamią spojrzała radośnie na Łowczynię.

- A tobie da rozum - dodała - a mnie serce.

Drzwi zabrała palcami resztkę curry z pojemnika i oblizwała je.

-Poradzimy sobie we trójkę, Richardzie. Nie stać nas na przewodnika.

Łamią opanowała się natychmiast.

- Zapłatę odbiorę od niego, nie od was.

- A jakiej to zapłaty żądają tacy jak ty? - spytała Łowczyni.

- To - odparła Łamią ze słodkim uśmiechem -już moja sprawa i jego. Sam się przekona.

Drzwi potrząsnęła głową.

- Nie sądzę, aby był to dobry pomysł.

- Nie podoba ci się, bo tym razem ja wszystko zorganizowałem - prychnął Richard - zamiast iść ślepo za tobą tam, gdzie mi każesz.

- To nie tak.

Odwrócił się do Łowczyni.

- Znasz drogę do Islingtona? Łowczyni potrząsnęła głową. Drzwi westchnęła.

- Powinniśmy już ruszać. Down Street, mówisz? Łamią uśmiechnęła się śliwkowymi ustami.

- Tak, pani.

Gdy markiz dotarł na targ, już ich tam nie było.

ROZDZIAŁ 15

Zeszli z okrętu na brzeg, pokonali krótkie schody, przeszli długim tunelem i znów pomaszerowali w górę. Łamią podążała na przedzie pewnym krokiem. Wyprowadziła ich na małą brukowaną alejkę. Na ścianach płonęły syczące gazowe latarnie.

- Trzecie drzwi - oznajmiła.

Przystanęli na progu. Na drzwiach wisiała mosiężna tabliczka z napisem:

KRÓLEWSKIE TOWARZYSTWO OCHRONY DOMÓW

A pod tym, mniejszymi literami:

DOWN STREET. PROSZĘ PUKAĆ

- Przejście na ulicę prowadzi przez dom? - spytał Richard.

- Nie - odparła Łamią. - Ulica mieści się wewnątrz domu.

Richard zapukał. Nic się nie stało. Czekali, drżąc z zimna. Zastukał ponownie. W końcu nacisnął dzwonek.

Drzwi otworzył zaspany lokaj w upudrowanej peruce i szkarłatnej liberii. Zmierzył grupkę na progu spojrzeniem świadczącym wyraźnie, iż uważa, że nie są warci trudu wstawania z łóżka.

- Tak? - spytał. Richard słyszał już rady, by się odpieprzył, mówione bardziej przyjaznym tonem.

- Down Street - powiedziała władczo Łamią.

- Tędy - westchnął lokaj. - Proszę wytrzeć nogi.

Przeszli przez imponującą sień. Potem zaczekali, podczas gdy lokaj zapalał kolejno świece w kandelabrze z rodzaju tych, jakie zazwyczaj ogląda się na okładkach popularnych powieści, tradycyjnie trzymane w dłoniach przez młode damy w powiewnych koszulach nocnych, uciekające z wiejskiego dworu, całkowicie pogrążonego w ciemności, z wyjątkiem jednego, jedyne światelka na strychu.

Następnie zeszli w dół imponujących, wykładanych grubym dywanem schodów. Później pokonali kolejny bieg mniej imponujących stopni; tu dywan był już wyraźnie uboższy.

Zeszli po całkowicie nieimponujących schodach, pokrytych przetartą szarą jutą.

Potem po krzywych drewnianych stopniach, pozbawionych jakiegokolwiek okrycia.

U dołu tych ostatnich schodów znajdowała się starożytna służbowa winda z wiszącą na drzwiach tabliczką. Tabliczka głosiła:

ZEPSUTA

Mimo to lokaj z metalicznym szczękiem otworzył siatkowe zewnętrzne drzwi. Łamią

podziękowała mu uprzejmie i weszła do środka. Pozostali podążyli za nią.

Lokaj odwrócił się do nich plecami. Richard obserwował go przez metalową siatkę. Patrzył, jak ściskając w dłoni kandelabr, wspina się po drewnianych stopniach.

Na ścianie windy znajdował się krótki rząd przycisków. Łamią nacisnęła najniższy. Rozkładana metalowa kratka zasunęła się automatycznie. Silnik ożył i winda zaczęła powoli, chwiejnie zjeżdżać w dół.

Stali ściśnięci w ciasnym wnętrzu. Richard uświadomił sobie, że czuje zapach każdej z towarzyszących mu kobiet. Drzwi pachniała głównie curry, Łowczyni świeżym, całkiem przyjemnym potem; jej woń skojarzyła mu się z wielkimi kotami zamkniętymi z klatkach w zoo; natomiast Łamię spowijał oszałamiający zapach powoju, konwalii i piżma.

Winda wciąż jechała w dół. Richard zorientował się, że się poci, oblewa go lepki, zimny pot, i że nieświadomie wbija paznokcie głęboko w dłonie. Najłżejszym tonem, na jaki było go stać, zagadnął:

- To chyba nie najlepsza pora na odkrycie, że cierpię na klau-strofobię?

- Tak - odparła Drzwi.

- Zatem nie odkryję - mruknął Richard.

Zjeżdżali w dół. Nagle z szarpnięciem, zgrzytem i chrupnięciem winda się zatrzymała. Łowczyni odciągnęła kratę, zawahała się przez moment i wyszła na wąską półkę.

Richard wyjrzał przez otwarte drzwi windy. Wisieli w powietrzu na szczycie czegoś, co skojarzyło mu się z oglądanym kiedyś obrazem wieży Babel, czy raczej z tym, jak wyglądałaby wieża Babel, gdyby wycinować ją na lewą stronę. Widział przed sobą niewiarygodnie długą, misterną, spiralną ścieżkę wyciętą w skale, okrążającą głęboką studnię. I właśnie na szczycie owej studni, parę tysięcy metrów nad ziemią, wisiała winda. Kołysała się lekko.

Richard odetchnął głęboko i wyszedł na drewnianą platformę. A potem, choć wiedział, że to kiepski pomysł, spojrział w dół. Od skalnego podłoża tysiące metrów w dole nie oddzielało go nic poza drewnianą platformą.

Półkę, na której się znaleźli, i szczyt kamiennej ścieżki trzy metry dalej łączyła długa kładka.

- I przypuszczam - powiedział znacznie mniej lekko, niż zamierzał — że to nie najlepsza pora, by przypomnieć, że kiepsko sobie radzę na wysokościach.

- Tu jest bezpiecznie - wtrąciła Łamią. — A przynajmniej było, gdy ostatnio tędy przechodziłam. Patrz.

Przeszła po kładce do wtóru szelestu czarnego aksamitu. Mogłaby ułożyć sobie na głowie tuzin książek i nie zgubiłaby ani jednej. Gdy dotarła na kamienną ścieżkę, przystanęła, odwróciła się i posłała im zachęcający uśmiech.

Łowczyni podążyła za nią. Potem odwróciła się, czekając na skalnej półce obok przewodniczki.

- Widzisz? - mruknęła Drzwi. Wyciągnęła rękę i uścisnęła ramię Richarda. - To łatwe.

Richard przytaknął przelękając ślinę. Łatwe.

Drzwi przeszła na drugą stronę. Nie wyglądało na to, by dobrze się bawiła, ale mimo wszystko przeszła.

Trzy kobiety czekały na Richarda, który stał bez ruchu. Po chwili zauważył, że nie może jakoś ruszyć z miejsca i wstąpić na drewnianą kładkę, mimo poleceń „ruszajcie” wysyłanych do nóg.

Gdzieś w górze nad nimi naciśnięto przycisk.

Richard usłyszał chrupnięcie i odległy zgrzyt starego elektrycznego silnika. Drzwi windy zatrzasnęły się, pozostawiając go stojącego chwiejnie na wąskiej drewnianej platformie, nie szerszej niż kładka.

- Chodź, Richardzie! - krzyknęła Drzwi.

Winda zaczęła wjeżdżać w górę. Richard zszedł z rozkołysanej platformy na drewnianą kładkę. Poczuł, jak jego nogi zamieniają się w galaretę, a potem stał już na czworakach, z całych sił trzymając się deski. Małeńka racjonalna część jego umysłu zastanawiała się, co się stało z windą, kto ją wezwał i po co. Reszta umysłu Richarda była jednak pochłonięta wyłącznie powtarzaniem wszystkim kończyń, by mocno się trzymały kładki, i ogłuszającym myślowym wrzaskiem „Nie chcę umierać!”. Zaciśnął powieki, pewien, że jeśli otworzy oczy i ujrzy, w dole skalną studnię, po prostu wypuści deskę i będzie spadać, spadać, spadać...

- Nie boję się upadku - przekonywał sam siebie. - Tak naprawdę boję się chwili, gdy przestanę upadać i zacznę być martwy. - Ale wiedział, że się okłamuje. Bo to upadku się lękał, bezwładnego wirowania w powietrzu, lotu, świadomości, że nic nie może zrobić, że nie ocali go żaden cud...

Powoli zorientował się, że ktoś do niego mówi.

- Pełnij wzdłuż kładki, Richardzie - powtarzał ów ktoś.

- Ja... nie mogę - szepnął.

- Przeszedłeś przez gorsze rzeczy, żeby zdobyć klucz — przypomniał ów ktoś. To była Drzwi.

- Naprawdę źle znoszę wysokości - odparł z uporem, przyciskając twarz do deski. A potem dodał: — Chcę wrócić do domu. Czuł drewno napierające na policzek. I wtedy kładka się zakołysała.

- Nie jestem pewna, jak duży ciężar wytrzyma ta deska - odezwała się Łowczyni. — Wy dwie stańcie tutaj.

Kładka wibrowała, gdy ktoś wędrował nią powoli w jego stronę. Richard przywierał do deski, zaciskając oczy. A potem Łowczyni powiedziała cicho, spokojnie, prosto mu w ucho:

- Richardzie?

- Mmmm?

- Pełnij do przodu, Richardzie. Po kawałeczku. No, dalej...

- Jej karmelowe palce pogładziły zbielałą dłoń Richarda, ściskającą krawędź deski. — Chodź! Odetchnął głęboko i przesunął się lekko. Potem znów zamarł.

- Świetnie! — zachęcała Łowczyni. - Znakomicie. Dalej.

I tak, cal po calu, kawałek po kawałeczku, przeprowadziła Richarda przez kładkę. A gdy dotarł do końca, po prostu go uniosła, chwytając pod pachy, i postawiła na twardym gruncie.

- Dziękuję — rzekł. Nie potrafił wymyślić nic innego, co zdołałoby lepiej określić jego ogromną wdzięczność. Powtórzył zatem: - Dziękuję. - A potem do wszystkich powiedział:

- Przepraszam.

Drzwi spojrzała na niego.

- Wszystko w porządku. Teraz jesteś już bezpieczny.

Richard spojrzał na krętą, spiralną drogę pod światem, opadającą w dół i w dół. Potem

uniósł wzrok na Łowczynię, Drzwi i Łamię, i zaczął się śmiać, aż do oczu napłynęły mu łzy.

- Co cię tak śmieszy? - spytała w końcu dziewczyna.

- Bezpieczny - rzucił.

Drzwi popatrzyła na niego. Potem i ona się uśmiechnęła.

- Dokąd teraz? - spytał Richard.

- W dół - oznajmiła Łamią. Zaczęli schodzić Down Street. Łowczyni szła pierwsza, Drzwi obok niej. Richard maszerował u boku Lamii, wciągając w płuca jej konwaliowo-powojowy zapach i ciesząc się z towarzystwa.

- Jestem naprawdę wdzięczny, że z nami poszłaś - zagadnął.

- Że zgodziłaś się być naszą przewodniczką. Mam nadzieję, że nie przyniesie ci to pecha ani nic takiego.

Przygwoździła go spojrzeniem oczu barwy naparstnicy.

- Czemu miałyby przynieść mi pecha?

- Wiesz, kim są szcukromówcy?

- Oczywiście.

- Jedna z nich, imieniem Anestezja... Ona... No cóż, zaczęliśmy się zaprzyjaźniać i dokądś mnie prowadziła, a potem została porwana. Na Moście Nocy. Wciąż zastanawiam się, co się z nią stało.

Łamią uśmiechnęła się współczująco.

- Wśród moich ludzi krążą o tym opowieści. Część z nich może nawet być prawdziwa.

- Będziesz musiała mi je powtórzyć - rzekł. Było bardzo zimno. Jego oddech parował w mroźnym powietrzu.

- Któregoś dnia - odparła. Jej oddech nie parował. - To bardzo miłe z waszej strony, że mnie ze sobą zabraliście.

- Przynajmniej tyle mogliśmy zrobić.

Drzwi i Łowczyni pokonały zakręt i zniknęły im z oczu.

- Wiesz - zauważył Richard - nasze przyjaciółki trochę nas wyprzedziły. Powinniśmy się pospieszyć.

- Niech sobie idą — odparła łagodnie. - Dogonimy je.

Cała sytuacja, pomyślał nagle Richard, osobliwie przypominała wyprawę do kina z dziewczyną, kiedy jest się nastolatkiem, a raczej powrót do domu: przystanki pod wiatami, przy ścianach, po to by skraść całusa; pospieszny kontakt skóry ze skórą, języka z językiem. A potem bieg, by doścignąć swoich kumpli i jej przyjaciółki...

Łamią musnęła zimnym palcem jego policzek.

- Jesteś taki ciepły - rzekła z podziwem. — Musi być cudownie mieć w sobie tyle ciepła.

Spróbował przybrać skromną minę.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem - przyznał. Daleko w górze usłyszał metaliczny szcęk drzwi windy. Łamią spojrziała na niego, słodko, błagalnie.

- Zechciałbyś mi oddać trochę twojego ciepła, Richardzie? — spytała. - Tak mi zimno.

Richard zastanawiał się, czy powinien ją pocałować.

- Co? Ja...

Sprawiała wrażenie zawiedzionej.

- Nie lubisz mnie?

Miał rozpaczliwą nadzieję, że nie uraził jej uczuć.

- Oczywiście, że cię lubię - usłyszał własny głos. - Jesteś bardzo miła.
- I nie zużywasz swojego całego ciepła — zauważyła rozsądnie.
- Chyba nie...
- No i mówiłeś, że zapłacisz mi, jeśli zostanę waszą przewodniczką. A tego właśnie chcę jako zapłaty. Ciepła. Mogę trochę dostać?
Pragnął dać jej wszystko, czego zechce. Wszystko. Otoczył go zapach powoju i konwalii. Widział jedynie bladą twarz Lamii, ciemne śliwkowe usta i kruczoczarne włosy. Skinął głową.
Gdzieś wewnątrz jego umysłu ktoś krzyczał, ale ktokolwiek __, to był, mógł poczekać.
Uniosła ręce do jego twarzy i przyciągnęła go łagodnie ku sobie. A potem go pocałowała, mocno, przeciągle. Przeżył krótki wstrząs, czując zimno bijące z jej warg, chłód języka, ale potem uległ temu pocałunkowi.
Po jakimś czasie odsunęła się od niego.
Czuł lód na swych wargach. Zachwiał się i oparł o skalną ścianę. Próbował mrugnąć, lecz jego oczy sprawiały wrażenie zamrożonych.
Łamią uśmiechnęła się radośnie. Policzki miała rumiane, wargi szkarłatne. Jej oddech parował w mroźnym powietrzu. Oblizwała czerwone usta ciepłym różowym językiem. Świat Richarda zaczął ciemnieć. Wydało mu się, że kątem oka dostrzega czarną postać.
- Jeszcze — powiedziała Łamią i sięgnęła ku niemu.

Patrzył, jak Aksamitna przyciąga do siebie Richarda w pierwszym pocałunku. Widział, jak skórę mężczyzny pokrywa szron i lód. Patrzył, jak jego towarzyszka cofa się szczęśliwa. A potem podszedł, stanął tuż za nią i gdy postąpiła naprzód, aby skończyć to, co zaczęła, wyciągnął ręce, chwycił ją mocno za szyję i podniósł w powietrze.
- Oddaj! - wychrypiął jej do ucha. — Oddaj mu jego życie.
Aksamitna zareagowała jak kociak wrzucony do wanny. Wiła się, syczała, pluła i drapała. Bez skutku. Mocne ręce trzymały ją za gardło.
- Nie możesz mnie zmusić - powiedziała zdecydowanie nieprzyjemnym tonem. Zwiększył nacisk.
- Zwróć mu życie - zażądał - albo skreć ci kark.
Skrzywiła się. Pchnął ją w stronę Richarda.
Odetchnęła Richardowi prosto w twarz. Z jej ust wypłynęła para i zniknęła między jego wargami. Lód na jego skórze zaczął topnieć. Biel szronu we włosach zniknęła powoli.
Ponownie ścisnął jej szyję.
- Całe życie, Lamio.
Syknęła i ogromną niechęcią raz jeszcze otworzyła usta. Wypłynął z nich ostatni obłoczek pary i zniknął w ustach Richarda.
- Co ty ze mną zrobiłaś? — spytał Richard, mrugając niepewnie.
- Wypijała z ciebie życie — wyjaśnił markiz de Carabas ochryplym szeptem. - Odbierała ci ciepło. Zamieniała cię w zimną istotę, podobną do niej...
Łamią wykrzywiła się niczym dziecko pozbawione ulubionej zabawki. Jej fioletowe oczy rozbliły.
- Potrzebuję ciepła bardziej niż on - jęknęła.

- Sądziłem, że mnie lubisz - rzekł tępo Richard. Markiz podniósł Łamię jedną ręką i przysunął jej twarz do swojej.

- Jeśli jeszcze raz zbliżysz się do niego, ty albo którekolwiek z Aksamitnych Dzieci, przyjdę do waszej jaskini za dnia, kiedy śpicie, i spalę ją do gołej ziemi. Zrozumiałaś? Przytaknęła.

Wypuścił ją. Upadła na ziemię, ale zaraz wyprostowała się na całą swą, niezbyt imponującą wysokość, odrzuciła głowę i splunęła Carabasowi w twarz. Potem zebrała przód swej czarnej aksamitnej sukni, pobiegła w górę ścieżką i zniknęła.

Czarna, lodowata ślina spłynęła markizowi po policzku. Otarł ją ręką.

- Zamierzała mnie zabić - powiedział Richard.

- Nie natychmiast - odparł Carabas. - W końcu jednak byś umarł, kiedy skończyłaby pochłaniać twoje życie.

Richard przyglądał się markizowi. Nie wyglądał najlepiej. Był bosy i bez płaszcza; za okrycie służył mu stary koc złożony jak poncho, z czymś - Richard nie potrafił powiedzieć czym - przypiętym pod spodem. Całą szyję spowijał mu kawał odbarwionej tkaniny. Richard uznał to za dziwny ukłon w stronę mody.

- Szukaliśmy cię - rzekł.

- A teraz mnie znalazłeś - wychrypiał sucho markiz.

- Spodziewaliśmy się spotkać cię na targu.

- Tak. No cóż. Pewni ludzie sądzą, że nie żyję. Wolałem nie rzucać się w oczy.

- Czemu.... czemu pewni ludzie myśleli, że nie żyjesz? Markiz spojrzał na Richarda oczami, które widziały zbyt wiele i dotarły za daleko.

- Bo mnie zabili - odparł. - Chodź. Drzwi i Łowczyni nie mogą być daleko.

Richard zerknął na bok na drugą stronę studni. Ujrzał je obie jeden poziom niżej. Rozglądały się wokół — założył, że szukały jego. Zaczął krzyczeć i machać rękami, lecz dźwięk nie niósł się w powietrzu.

Markiz położył dłoń na jego ramieniu.

- Spójrz - rzekł wskazując poziom pod kobietami. Coś się tam poruszyło. Richard zmrużył oczy. Dostrzegł dwie postaci wśród cieni.

- Croup i Vandemar - oznajmił markiz. — To pułapka.

- Co zrobimy?

- Biegnij! Ostrzeż je. Ja nie mogę biec... Prędszej, do diabła!

I Richard pobiegł. Biegł najszybciej jak mógł, z wszystkich sił, pochyłą kamienną ścieżką pod światem. Poczuł nagle ukłucie bólu w piersi. Kolka. Nie zatrzymał się jednak. Biegł dalej. Skręcił i ujrzał obie kobiety.

- Łowczyni! Drzwi! - wydyszał bez tchu. — Stójcie! Uważajcie!

Drzwi odwróciła się ku niemu.

Pan Croup i pan Vandemar wyszli zza kolumny. Pan Vandemar chwycił ręce dziewczyny, wykręcił je i związał nylonowym paskiem. Wszystko to uczynił jednym szybkim ruchem.

Pan Croup trzymał w dłoni coś długiego, cienkiego i owiniętego brązowym materiałem. Przypominało to futerał, w którym ojciec Richarda nosił kiedyś wędki.

Łowczyni z otwartymi ustami stała bez ruchu.

- Łowczyni, szybko!

Odwróciła się gwałtownie i kopnęła płynnym, niemal tanecznym ruchem.

Stopa trafiła Richarda prosto w brzuch. Zwalił się na ziemię, zasapany, zdyszany i

obolały.

- Łowczyni? - wykrztusił.

- Niestety tak - odparła.

Pan Croup i pan Vandemar całkowicie zignorowali ją i Richarda. Pan Vandemar starannie krępował ręce Drzwi. Pan Croup stał i patrzył.

- Proszę nie myśleć o nas jak o mordercach i podrzynaczach gardeł, panienko - mówił właśnie lekko. - Jesteśmy raczej agencją towarzyską.

- Tyle że bez biustów - uzupełnił pan Vandemar. Pan Croup odwrócił się do niego.

- Towarzyską w sensie towarzystwa, panie Vandemar. Mamy dopilnować, by nasza piękna panna bezpiecznie dotarła do celu. Nie porównuję pana do królowej nocy ani do pospolitej ulicznej dziewczki.

Pan Vandemar nie dał się przekonać.

- Mówiłeś, że jesteśmy agencją towarzyską - mruknął. - Wiem, co to znaczy.

- Skreślmy to z protokołu, panie Vandemar. Źle się wyraziłem. Od tej pory bądźmy jej przyzwoitkami, osobistymi strażnikami, kompanami.

Pan Vandemar podrapał się po nosie pierścieniem z kruczą czaszką.

- W porządku - rzekł.

Pan Croup z powrotem odwrócił się do Drzwi, demonstrując liczne zęby.

- Widzisz, droga pani, jesteśmy tu, abyś bezpiecznie dotarła tam, dokąd zmierzasz. Drzwi nie dostrzegają go.

- Łowczyni! — zawołała. - Co się dzieje? Pan Croup uśmiechnął się z dumą.

- Nim Łowczyni zgodziła się pracować dla ciebie, zgodziła się pracować dla naszego przełożonego. Miała się tobą opiekować.

- Mówiliśmy! — zapiał tryumfalnie pan Vandemar. - Mówiliśmy, że jedno z was jest zdrajcą! - Odrzucił głowę do tyłu i zawył niczym wilk.

- Sądziłam, że macie na myśli markiza — odparła Drzwi. Pan Croup teatralnym gestem podrapał się po głowie.

- A skoro już mowa o markizie, ciekaw jestem, gdzie się podziewa. Spóźnia się, nieprawdaż, panie Vandemar?

- I to bardzo, panie Croup. Tak bardzo, jak to tylko możliwe.

- Zatem od tej chwili będziemy musieli zwać go eksmarki-zem de Carabas. Lękam się, że jest odrobinę...

- Martwy — dokończył pan Vandemar. Wijący się na ziemi i rozpaczliwie chwytający powietrze Richard zdołał wciągnąć go w płuca dosyć, by wykrztusić:

- Ty zdradziecka suko! Łowczyni zerknęła ku niemu.

- Bez urazy - mruknęła.

- Klucz, który otrzymaliście od Czarnych Mnichów - powiedział pan Croup do Drzwi. - Kto go ma?

- Ja -jęknął Richard. - Jeśli chcecie, możecie mnie przeszukać.

Pogrzebał w spodniach — natrafiając przy okazji na coś twardego i obcego w tylnej kieszeni; nie miał jednak czasu, by sprawdzać, co to jest - i wyciągnął klucz do drzwi frontowych swego starego mieszkania. Powoli dźwignął się na nogi i potykając się podszedł do pana Croupa i pana Vandemara.

- Proszę.

Pan Croup wziął od niego mosiężny klucz.

- O niebiosa! - wykrzyknął, w ogóle nań nie patrząc. - Całkowicie dałem się zwieść temu przebiegłemu podstępowi. - Podał klucz panu Vandemarowi, który ujął go między kciuk i palec wskazujący i zmiażdżył niczym kawał metalowej folii.

- Znów daliśmy się nabrać, panie Croup - rzekł.

- Proszę go skrzywdzić, panie Vandemar - polecił pan Croup.

- Z przyjemnością, panie Croup - odparł pan Vandemar i kopnął Richarda w kolano.

Richard w potwornym bólu runął na ziemię, ściskając oburącz nogę. Z daleka dobiegał go głos pana Vandemara. Zabójca pouczał cierpliwie:

- Ludzie myślą, że ból zależy od siły kopniaka. Ale sekret nie w tym, jak mocno kopniesz, lecz gdzie. Na przykład to jest bardzo lekki kopniak...

Coś rąbnęło Richarda w lewe ramię. Ręka mu zdrętwiała. W ramieniu zakwitły kwiaty bólu. Zaczął jęczeć. Miał wrażenie, jakby jego ciało płonęło i zamarzło, jakby ktoś wbił w nie głęboko elektryczny paralizator i maksymalnie podkręcił prąd. Tymczasem pan Vandemar mówił:

- ...lecz boli tak samo jak ten, znacznie mocniejszy...

Jego but uderzył jak z armaty w bok Richarda, który usłyszał własny krzyk i płacz. Pożałował, że nie potrafi uciszyć swego głosu.

- Ja mam klucz - dobiegł go głos Drzwi.

- Gdybyś miał przy sobie scyzoryk — powiedział przyjaźnie pan Vandemar — pokazałbym ci, co można zrobić z każdym ostrzem, nawet z otwieraczem do butelek i przyrządem do wyciągania kamieni z końskich kopyt.

- Zostaw go, panie Vandemar. Później będziemy mieli dość czasu na scyzoryki. Czy ona ma fant?

Pan Croup pogrzebał w kieszeniach Drzwi i wyciągnął rzeźbioną obsydianową figurkę, maleńką Bestię.

- A co ze mną? - głos Łowczyni, niski, donośny. - Gdzie moja zapłata?

Pan Croup pociągnął nosem. Cisnął jej futerał na wędki. Chwyliła go jedną ręką.

- Pomyślnych łowów — rzekł. Potem wraz z panem Vande-marem odwrócili się i odeszli w dół spiralnej Down Street, prowadząc między sobą dziewczynę.

Łowczyni uklękła na ziemi i zaczęła rozpinać paski futerału. Jej szeroko otwarte oczy lśniły.

Richard wciąż leżał na ziemi.

- Co to jest? - spytał. - Trzydzieści srebrników?

Powoli wyciągnęła swą zapłatę spod sukna. Pieściła ją palcami, gładziła, wielbiła.

- Włócznia - odparła.

Broń wykuto z metalu barwy brązu. Ostrze było długie i zakrzywione jak krysztaf, gładko naostrzone z jednej strony, ząbkowane z drugiej. W pokrytym zielonym nalotem drzewcu wyrzeźbiono ludzkie twarze. Ozdobiono je też dziwnymi wzorami i osobliwymi zawijasami. Cała włócznia miała półtora metra długości od czubka grota po koniec drzewca. Łowczyni dotknęła jej niemal z lękiem, jakby była to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziała.

- Sprzedałaś Drzwi za włócznię - mruknął Richard.

Nie odpowiedziała. Polizła palec różowym językiem, po czym łagodnie przesunęła nim po grocie, sprawdzając ostrze. Wyraźnie zadowolilo ją to, co poczuła.

- Zamierzasz mnie zabić? - spytał.

Wówczas odwróciła głowę i spojrzała na niego. Wyglądała teraz na bardziej żywą niż kiedykolwiek przedtem. Bardziej piękną i niebezpieczną.

- A jakimż wyzwaniem byłyby łowy na twoją osobę, Richardzie Mayhew? Mam na oku większego zwierza.

- To włócznia, którą chcesz upolować Wielką Bestię Londynu, prawda?

Spojrzała na broń w sposób, w jaki żadna kobieta nie patrzyła nigdy na Richarda.

- Powiadają, że nic nie jest w stanie przed nią się obronić.

- Ale Drzwi ci ufała. Ja ci ufałem.

- Wystarczy.

Ból powoli ustawał, przechodząc w tępe pulsowanie w ramieniu, kolanie i boku.

- Dla kogo zatem pracujesz? Dokąd ją zabierają? Kto za tym wszystkim stoi?

- Powiedz mu, Łowczyni - wychrypiął markiz de Carabas. W rękach trzymał kuszę wycelowaną w kobietę. Bosymi stopami twardo stał na ziemi. Twarz miał nieprzeniknioną.

- Zastanawiałam się, czy jesteś tak martwy, jak twierdzili Croup i Vandemar - powiedziała Łowczyni. - Wydałeś mi się człowiekiem, którego trudno zabić.

Skinął głową w ironicznym ukłonie.

- Ty sprawiasz podobne wrażenie, moja pani. Lecz belt przebijający gardło i upadek z tysiąca metrów mogą dowieść, że się myłę. Odłóż włócznię i cofnij się.

Położyła broń na ziemi, czule, łagodnie. Potem wstała i cofnęła się o krok.

- Równie dobrze możesz mu powiedzieć - rzekł markiz. - Ja wiem i drogo za to zapłaciłem. Powiedz mu, kto za tym stoi.

- Islington — oznajmiła.

Richard potrząsnął głową, jakby próbował odpędzić natrętną muchę,

- Niemożliwe - rzekł. - Przecież poznałem Islingtona. To anioł. - A potem niemal z rozpaczą spytał: — Dlaczego?

Markiz nie spuszczał wzroku z Łowczyni. Jego kusza nawet nie drgnęła.

- Sam chciałbym to wiedzieć. Ale Islington tkwi u korzeni Down Street i u korzeni tego wszystkiego, a między nami i Islingtonem jest labirynt oraz Bestia. Richardzie, weź włócznię. Łowczyni, naprzód proszę.

Richard posłusznie podniósł broń, a potem niezręcznie opierając się na niej, dźwignął się na nogi.

- Chcesz, żeby z nami poszła? - spytał zdumiony.

- Wolalbyś, by podążała naszym śladem? - spytał cierpko markiz.

Richard potrząsnął głową. Ruszyli w dół.

ROZDZIAŁ 16

Godzinami wędrowali w milczeniu, podążając w dół krętą kamienną drogą. Richarda dręczyło dziwne znużenie psychiczne i cielesne. W głowie kłębiły mu się myśli: poczucie klęski i zdrady, które w połączeniu z chwilową utratą skradzionego przez Łamię życia, obrażeniami po kopniakach pana Vandemara i przeżyciami na platformie, sprawiły, że czuł się koszmarnie. Co gorsza, był pewien, że wszystkie wypadki ostatniego dnia błędą i stają się małe i nieważne w porównaniu z tym, czego doświadczył markiz. Toteż milczał. Markiz także się nie odzywał, bo każde słowo raniło mu gardło. Skupił uwagę na

Łowczyni. Wiedział, że jeśli zdekoncentruje się nawet na sekundę, kobieta natychmiast ucieknie albo zwróci się przeciw nim. Toteż milczał.

Łowczyni szła nieco z przodu. Ona także milczała.

Po pewnym czasie dotarli na dół Down Street. Ulica kończyła się cyklopową bramą wzniesioną z gigantycznych, ledwo ociosanych kamiennych bloków.

Olbrzymi zbudowali tę bramę, pomyślał Richard, choć nie miał pojęcia, skąd o tym wie.

Wierzeje już dawno spróchniały na proch. Kawałki metalu zwiisały bezużytecznie z przerdzewiałego zawiasu z boku bramy. Sam zawias był wyższy od Richarda.

Markiz gestem nakazał Łowczyni, by się zatrzymała. Obliznął wargi.

- Ta brama - rzekł — oznacza koniec Down Street i początek labiryntu. Za labiryntem czeka anioł Islington, a w labiryncie kryje się Bestia.

- Wciąż nie rozumiem - wtrącił Richard. - Islington. Ja go poznałem. To... to anioł. Znaczący... prawdziwy anioł. Markiz uśmiechnął się bez cienia rozbawienia.

- Kiedy anioły stają się złe, Richardzie, są gorsze niż ktokolwiek. Pamiętaj, że Lucyfer także był kiedyś aniołem. Łowczyni patrzyła na niego orzechowymi oczami.

- Miejsce, które odwiedziłaś, to cytadela Islingtona i jego więzienie.

Markiz popatrzył na nią.

- Zakładam, że labirynt i Bestia mają dodatkowo zniechęcać gości?

Kobieta skłoniła głowę.

- Ja także tak myślę.

Richard odwrócił się do markiza, wylewając na niego całą swą wściekłość, bezradność i frustrację w jednym gniewnym wybuchu.

- Czemu w ogóle z nią rozmawiasz? Czemu ona wciąż z nami jest? To zdrajczyń! W dodatku próbowała nas przekonać, że to ty zdradziłaś.

- I uratowałam ci życie, Richardzie Mayhew — przypomniała cicho Łowczyni. - Wiele razy. Na moście. Przy krawędzi. Tam w górze, na platformie.

Spojrzała mu prosto w oczy i tym razem to Richard odwrócił wzrok.

Jakiś warkot, ryk odbił się echem w tunelach. Richardowi zjeżyły się włosy na karku. Dźwięk dobiegał z daleka, lecz tylko ten fakt można było uznać za pocieszający. Richard znał ten ryk. Słyszał go w snach. Nie przypominał głosu byka ani dzika, lecz lwa, smoka.

- Labirynt to jedno z najstarszych miejsc Londynu Pod — oznajmił markiz. - Zanim król Lud założył wioskę na moczarach Tamizy, labirynt już tu był.

- Ale nie Bestia - wtrącił Richard.

- Nie wtedy.

Richard zawahał się. Odległy ryk zabrzmiał ponownie.

- Ja... mam wrażenie, że śniłem o Bestii. Markiz uniósł brwi.

- Jakże to były sny?

- Złe - odparł Richard.

Markiz zastanawiał się przez chwilę. Oczy mu błyszczały.

- Posłuchaj, Richardzie - rzekł w końcu - zabieram ze sobą Łowczynię. Ale jeśli chcesz tu zaczekać, nikt nie oskarży cię o tchórzostwo.

Richard potrząsnął głową. Czasami nic się nie da zrobić.

- Nie zawrócę. Nie teraz. Oni mają Drzwi.

- Zgadza się - powiedział markiz. - Zatem co? Ruszamy? Idealne karmelowe usta Łowczyni wykrzywił pogardliwy grymas.

- Musielibyście oszaleć, żeby tam wejść — rzekła. — Bez znaku anioła nigdy nie znajdziecie drogi. Nigdy nie przejdziecie obok dzika.

Markiz sięgnął ręką pod swoje poncho i wyciągnął małą ob-sydianową figurkę, którą zabrał z gabinetu ojca dziewczyny.

- Chodzi ci o to? - rzekł.

Po zastanowieniu uznał, że wyraz twarzy Łowczyni wynagrodził mu większość przeżyć ostatniego tygodnia. Przeszli przez bramę i zagłębili się w labiryncie.

Drzwi miała ręce związane na plecach. Pan Vandemar opierał potężną dłoń na jej ramieniu i popychał ją naprzód. Pan Croup przemykał przodem, wysoko unosząc odebrany jej obsydiano-wy talizman i rozglądając się nerwowo z boku na bok, niczym łasica wybierająca się na wycieczkę do kurnika.

Sam labirynt był czystym szaleństwem. Zbudowano go z zagubionych fragmentów Londynu Nad: alejek, dróg, korytarzy i kanałów, które w ciągu tysiącleci zniknęły w szczelinach i pojawiły się w świecie rzeczy zapomnianych i zgubionych.

Szli po bruku, błocie i odchodach (końskich i innych), a także po próchniejących drewnianych deskach. Ich otoczenie stale się zmieniało. Każda ścieżka rozdwajała się, zakręcała i deptała sobie po ogonie.

Pan Croup czuł przyciąganie talizmanu i pozwalał się prowadzić, gdzie tamten zechciał.

Maszerowali wąską uliczką, stanowiącą niegdyś część wiktoriańskiej dzielnicy nędzy (slumsu pełnego złodziei i ginu, dwu-pensowej biedy i trzypensowego seksu), gdy usłyszeli Bestię, węszącą i parskającą gdzieś w pobliżu. Potem ryknęła.

Pan Croup się zawahał. Na końcu alejki przystanął i rozejrzał się, mrużąc oczy. Dopiero potem sprowadził ich po kilku schodkach do długiego kamiennego tunelu, biegnącego kiedyś, w czasach templariuszy, przez bagna Fleet.

- Boisz się, prawda? - spytała Drzwi. Spojrzał na nią gniewnie.

- Milcz!

Uśmiechnęła się, choć wcale nie miała na to ochoty.

- Lękasz się, że talizman nie zdoła przeprowadzić nas obok Bestii. Co teraz zamierzacie? Porwać Islingtona? Sprzedać nas oboje temu, kto zaproponuje najwyższą cenę?

- Cisza! - rzucił pan Vandemar.

Lecz pan Croup jedynie zachichotał i wtedy Drzwi zorientowała się, że anioł Islington nie jest jej przyjacielem. Zaczęła krzyczeć:

- Hej, Bestio, jesteśmy tutaj! Ju-hu, panie Bestio! Pan Vandemar trzepnął ją w głowę i pchnął na ścianę.

- Powiedziałem „cisza” - rzekł łagodnie.

Poczuła w ustach smak krwi. Splunęła czerwienią w błoto. Potem otworzyła usta, by znów zacząć krzyczeć. Pan Vandemar przewidział to i wcisnął jej w usta chusteczkę. Drzwi próbowała ugryźć go w palec, nie wywarła jednak na nim żadnego wrażenia.

- Teraz będziesz cicho - powiedział.

Pan Vandemar był bardzo dumny ze swojej chusteczki, pokrytej zielonymi, brązowymi i czarnymi plamami i należącej pierwotnie do tłustego handlarza tabaką w latach tysiąc osiemset dwudziestych, który zmarł na apopleksję i został pogrzebany z chusteczką w kieszeni. Pan Vandemar nadal od czasu do czasu znajdował w niej fragmenty handlarza tabaką. Mimo wszystko jednak uważał, że to świetna chusteczka.

Szli dalej w milczeniu.

W kamiennej sali na końcu labiryntu, będącej jego cytadelą i więzieniem, anioł Islington robił coś, czego nie czynił od wielu tysięcy lat.

Oto co robił:

Śpiewał.

Miał piękny głos, słodki i melodyjny. I podobnie jak wszystkie anioły - doskonały słuch. Islington śpiewał piosenkę Irvinga Berlina. A śpiewając tańczył, wykonując wolne, pełne gracji ruchy i kroki w Wielkiej Sali rozjaśnionej płomykami świec.

Niebo - śpiewał anioł. - Jestem w niebie, Serce bije mi radośnie, słów mi brak, Odnalazłem swoje szczęście, właśnie tak, Kiedy tańczę tutaj z tobą twarzą w twarz. Niebo, jestem w niebie, Troski, które uczyniły ze mnie wrak, Dziś znikają i na nowy wkraczam szlak...

Przestał tańczyć, dotarłszy do czarnych drzwi, drzwi z krzemienia i poczerńiałego srebra. Przesunął powoli palcami po ich powierzchni, przycisnął policzek do zimnego kamienia.

Nieco ciszej podjął piosenkę:

Niebo...

Jestem w niebie...

Jestem w niebie...

A potem uśmiechnął się słodko, łagodnie, i z tym uśmiechem twarz anioła Islingtona wyglądała doprawdy straszliwie. Wolno powtórzył słowa piosenki. Sylaby zawisły w rozproszonym blaskiem świec ciemności jego komnat.

- Jestem w niebie - rzekł.

Richard sporządził kolejny zapis w myślowym dzienniku. Drogi Dzienniku, dziś przeżyłem przejście przez kładkę, pocałunek śmierci i wykład z ćwiczeniami praktycznymi dotyczący kopniaków.

W tej chwili wędruję po labiryncie z szalonym sukinsynem, który powrócił z martwych, i strażniczką, która okazała się... przeciwieństwem strażniczki. Jestem tak zagubiony, że... Zabrakło mu porównań.

Brodzili wąskim pasem zimnego błota pomiędzy ciemnymi kamiennymi ścianami.

Markiz z posążkiem i kuszą w rękach maszerował dziesięć kroków za Łowczynią.

Richard niósł włóczni? Łowczyni i żółtą flarę oświetlającą kamienne mury i błoto. Szedł spory kawałek przed kobietą. Moczary cuchnęły. Wielkie komary zaczęły ciąć go po rękach, nogach i twarzy. Zaczynał powoli podejrzewać, że zabłądzili.

Jego nastrój dodatkowo pogarszał fakt, że w bagnie od czasu do czasu natrafiali na martwych ludzi: skórzaste, zmumifikowane zwłoki, szkielety i blade trupy. Zastanawiał się, od jak dawna tam tkwią i czy zabiła je Bestia, czy raczej komary.

Odczekał kolejnych pięć minut i jedenaście ukąszeń komarów, i w końcu zawołał:

- Chyba się zgubiliśmy! Już tedy szliśmy. Markiz uniósł figurkę.

- Nie. Dobrze idziemy. Talizman prowadzi nas wprost do celu. Sprytna rzecz.

- Tak - rzekł Richard, bynajmniej nie przekonany. - Bardzo sprytna.

I właśnie w tym momencie markiz nadepnął bosą stopą na strzaskaną klatkę piersiową na wpół pogrzebanego w ziemi trupa. Kość przebiła mu piętę. Potknął się, upuścił mały czarny posążek w bagno. Natychmiast się wyprostował i wycelował kuszę w plecy

Łowczyni. W pięcie prawej stopy czuł ból i ciepło. Miał nadzieję, że nie skaleczył się zbyt głęboko. Nie dysponował już zbyt wielkimi zapasami krwi.

- Richardzie! - zawołał. - Upuściłem go. Możesz tu przyjść? Richard zawrócił, unosząc wysoko flarę z nadzieją, że dostrzeże błysk obsydianu. Widział jednak tylko mokre błoto.

- Schył się i poszukaj - poleciał markiz.

Richard jęknął.

- Śniłeś o Bestii, Richardzie - rzekł Carabas. - Naprawdę chcesz się z nią spotkać?

Richard nie zastanawiał się długo. Położył włócznię z brązu na bagnie, zatknął flarę w ziemię i opuścił się na kolana, szukając statuetki.

Przesuwał dłońmi po powierzchni moczarów z nadzieją, że nie natknie się na żadne martwe twarze ani ręce.

- To beznadziejne. Może być wszędzie.

- Szukaj dalej! - odkrzyknął markiz.

- Widzę ją! - wrzasnął Richard.

Rzucił się ku figurce. Mała szklista Bestia tkwiła w kałuży ciemnej wody. Może gwałtowne ruchy Richarda wzburzyły błoto, podejrzewał jednak, że zawiniła tu czysta złośliwość fizycznego świata. W każdym razie był już zaledwie o metr od posążka, gdy bagno wydało z siebie odgłos przypominający donośne burczenie w brzuchu. Wielki bąbel gazu wypłynął z wnętrza ziemi i pękł z obscenicznym smrodem tuż obok talizmanu, który zniknął pod wodą.

Richard dotarł na miejsce, gdzie leżała figurka, i wepchnął ręce głęboko w błoto. Na próżno. Talizman zniknął.

- Co zrobimy teraz? - spytał Richard. Markiz westchnął.

- Wracaj tutaj. Coś wymyślimy.

- Za późno - odparł cicho Richard.

Zbliżała się ku nim, wolno, ociężale. Tak przynajmniej wydało mu się najpierw. A potem ujrzał, jak wielką pokonuje odległość, i uświadomił sobie, że bardzo się pomylił. Dziesięć metrów przed nimi Bestia zwolniła i przystanęła. Jej boki parowały. Ryknęła tryumfalnie, jakby rzucała im wyzwanie.

Z jej ciała sterczały połamane włócznie, potraskane miecze i zardzewiałe ostrza noży.

Blask złotej flary odbijał się w czerwonych oczach, załamywał na szablach i rogach.

Zniżyła masywną głowę. Czy to dzik? - zastanawiał się Richard. A potem pojął, że to niemożliwe. Żaden dzik nie jest tak wielki. Bestia przewyższała byka, słonia, sen. Patrzyła na nich. Zamarła na sto lat, które minęły po dziesięciu uderzeniach serca.

Łowczyni uklękła i podniosła z błota włócznię. Potem głosem, w którym dźwięczała czysta radość, rzekła:

- Tak! Nareszcie!

Zapomniała o wszystkim; o Richardzie kłęczącym w błocie, markizie i jego głupiej kuszy, o całym świecie. Była zachwycona. Nie posiadała się z radości. Znalazła się w idealnym miejscu, w świecie, dla którego żyła. Jej świat mieścił w sobie dwie istoty - Łowczynię i Bestię.

Bestia także o tym wiedziała. Oto idealna para - myśliwy i zwierzyzna. Tylko czas mógł ukazać, kto jest kim. Czas i taniec.

Bestia zaatakowała.

Łowczyni odczekała, póki nie dojrzała śliny zasychającej wokół paszczy zwierzęcia, i gdy

Bestia była tuż-tuż, pchnęła ją włócznią. Już jednak w momencie, gdy ostrze zagłębiło się w ciało, wiedziała, że spóźniła się o ułamek sekundy. Drzewce włóczni wyleciało z jej odrętwiałych rąk, a kiel, ostrzejszy niż najostrzejsza brzytwa, przeszył bok.

Gdy runęła na ziemię, poczuła, jak kopyta miażdżą jej ramię, biodro i zebra. A potem Bestia zniknęła. Pochłonęła ją ciemność i taniec dobiegł końca.

Byli już prawie u celu, co pan Croup przyjął z większą ulgą, niż gotów był przyznać. Wraz z panem Vandemarem bezpiecznie przebyli labirynt. Podobnie ich ofiara.

Przed nimi widniała skalna ściana, osadzone w niej dębowe drzwi i tkwiące w nich owakie lustro.

Pan Croup dotknął lustra brudną ręką.

Powierzchnia zwierciadła zamglila się pod jego dotykiem. Patrzył na nich anioł Islington.

Pan Croup odchrząknął.

- Dzień dobry. To my. Mamy ze sobą młodą damę, po którą nas pan posłał.

- A klucz? — Łagodny głos anioła zdawał się dobiegać zewsząd.

- Wisi na jej łabędziej szyi - odparł tonem zadowolenia pan Croup.

— Wejdźcie - rzekł anioł.

Drzwi otwały się powoli i weszli do środka.

Wszystko zdarzyło się tak szybko. Bestia wypadła z ciemności. Łowczyni chwyciła włócznię. Zwierz zaatakował ją i ponownie zniknął w mroku.

Richard wyteżał słuch, próbując zlokalizować potwora. Nie słyszał jednak niczego oprócz dobiegającego z dala kapania wody i przenikliwego brzęczenia komarów.

Łowczyni leżała na plecach. Jedną rękę miała wygiętą pod dziwnym kątem. Podpełził ku niej przez błoto.

- Łowczyni? - szepnął. - Słyszysz mnie? Chwila ciszy. A potem szept tak słaby, że przez moment wydało mu się, iż tylko go sobie wyobraził:

-Tak.

Markiz stał kilka metrów dalej oparty o ścianę.

- Richardzie! - zawołał. — Zostań tam, gdzie jesteś. To stworzenie czeka na właściwą chwilę. Wróci tutaj.

Richard nie słuchał. Całą uwagę skupiał na Łowczyni.

- Czy ty... - Urwał. Co za głupie pytanie, pomyślał. - Czy ty wyzdrowiejesz?

Roześmiała się, wykrzywiając zakrwawione wargi, i potrząsnęła przecząco głową.

- Macie tu jakichś medyków? - spytał markiza.

- Hm. Nie w sensie, o jaki ci chodzi. Mamy uzdrowiaczy, trochę pijawek i znachorów...

W tym momencie Łowczyni zakasłała i skrzywiła się. Z kącika jej ust pociekła jaskrawoczerwona krew.

Markiz zbliżył się nieco.

- Przechowujesz gdzieś swoje życie?

- Jestem łowczynią - szepnęła wzgardliwie. - My nie stosujemy takich sztuczek. - Z trudem wciągnęła w płuca powietrze, jakby prosta czynność oddychania stawała się dla niej zbyt trudna. - Richardzie, czy kiedykolwiek posługiwałeś się włócznią?

-Nie.

- Weź ją - szepnęła.

-Ale...

- Zrób to - w jej cichym głosie dźwięczało napięcie. - Podnieś ją. Trzymaj z tej strony.
Richard podniósł włócznię. Trzymał ją z tej strony.

- Tyle wiedziałem — rzekł.

Na jej twarzy zatańczył cień uśmiechu.

- Tak, wiem.

- Posłuchaj. - Richard nie po raz pierwszy czuł się jak jedyny rozsądny człowiek w domu wariatów. - Zachowajmy spokój. Może Bestia sobie pójdzie. Spróbujemy sprowadzić ci pomoc.

I także nie po raz pierwszy osoba, do której przemawiał, całkowicie go zignorowała.

- Zrobiłam coś złego, Richardzie Mayhew - szepnęła ze smutkiem Łowczyni. - Coś bardzo złego, ponieważ chciałam być tą, która zabije Bestię. Bo potrzebowałam włóczni.

A potem zdarzyło się coś niewiarygodnego. Zaczęła podnosić się z ziemi. Do tej pory Richard nie zdawał sobie sprawy, jak ciężkie odniosła rany. Nie wyobrażał sobie, jak bardzo musi cierpieć. Widział jej prawą rękę zwisającą bezwładnie. Z rozdartej skóry sterczał upiornie biały odłamek kości. Z rany w boku spływała krew. Klatka piersiowa Łowczyni wyglądała nie tak, jak powinna.

- Przestań! - syknął. Na próżno. - Połóż się! Lewą ręką wyciągnęła zza pasa nóż. Włożyła go w prawą dłoń i zacisnęła palce wokół rękojeści.

- Zrobiłam coś złego - powtórzyła. — Teraz to naprawię.

Zaczęła nucić, wysoko i nisko, póki nie znalazła nuty, która sprawiła, że ściany, rury i całe pomieszczenie zaczęły wibrować, i nuciła dalej. Cały labirynt zdawał się odbijać jej głos. Wtedy, wsysając powietrze między strzaskane żebra, wykrzyknęła:

- Hej! Malutka, gdzie jesteś?

Cisza. Odpowiedziało jej tylko ciche kapanie wody. Nawet komary umilkły.

- Może ona... odeszła? - podsunął Richard, ściskając włócznię tak mocno, że rozboleły go ręce.

- Wątpię - mrukną! markiz.

- No dalej, draniu! - krzyknęła Łowczyni. - Boisz się?

Tuż przed nimi rozległ się cichy ryk i Bestia znów zaatakowała.

Tym razem nie było wątpliwości. Taniec, pomyślała Łowczyni. Taniec jeszcze się nie skończył.

I gdy Bestia zbliżyła się z opuszczonymi rogami, kobieta krzyknęła.

- Teraz, Richardzie! Pchnij z dołu w górę. Teraz! - W chwili, gdy potwór uderzył, jej słowa przeszły w nieartykułowany krzyk.

Richard widział, jak Bestia wyłania się z ciemności w światło flary. Wszystko działo się bardzo wolno. To było jak sen.

Jak wszystkie jego sny.

Bestia była tak blisko, że czuł jej zwierzęcy smród, krew, odchody. Tak blisko, iż wyczuwał jej ciepło.

Pchnął włócznią z całych sił w górę, do środka.

Rozległ się ryk, wrzask pełen bólu, nienawiści i cierpienia. Potem zapadła cisza.

Słyszał własne serce. Tłukło mu się w uszach. Słyszał kapanie wody. Komary znów zaczęły brzęczeć. Zorientował się, że nadal ścisną drzewce włóczni, choć jej ostrze tkwi głęboko w ciele Bestii. Wypuścił broń.

Zaczął szukać Łowczyni. Jej ciało tkwiło pod Bestią. Z całych sił pchnął martwe zwierzę.

Przypominało to nieco próbę odepchnięcia czołgu. W końcu jednak mu się udało. Kobieta leżała na plecach, patrząc w górę, w mrok. Oczy miała otwarte, skądś jednak wiedział, że niczego już nie widzi.

- Łowczyni? - spytał.

- Wciąż tu jestem, Richardzie Mayhew. - Jej głos brzmiał niemal obojętnie. Nie próbowała nawet na niego spojrzeć. Nie próbowała się skupić. - Czy ona nie żyje?

- Chyba tak. Nie rusza się.

I wtedy wybuchnęła śmiechem. Był to dziwny śmiech - jakby właśnie usłyszała najzabawniejszy dowcip, jaki świat mógł opowiedzieć łowcy, a ona podzieliła się nim z nimi, wstrząsana spazmami śmiechu i kaszlu.

- Zabiłeś Bestię - rzekła. - Teraz ty jesteś największym myśliwym Londynu Pod, wojownikiem... - Nagle przestała się śmiać. - Nie czuję rąk. Weź moją prawą dłoń.

Richard pogrzebał pod trupem Bestii i chwycił rękę Łowczyni.

- Czy wciąż trzymam w niej nóż? - szepnęła.

- Tak. - Czuł go pod palcem. Zimne, lepkie ostrze.

- Weź go. Teraz należy do ciebie.

- Nie chcę.

-Weź.

Wyjął rękojęść z jej odrętwiałej dłoni.

- Teraz jest twój - szepnęła Łowczyni. Nie poruszała niczym oprócz warg. Jej oczy zasnuwała mgła. - Zawsze się mną opiekował. Zetrzyj z niego moją krew... Nie można dopuścić, by ostrze zardzewiało... Łowca dba o swoją broń. - Gwałtownie chwyciła powietrze. - A teraz... dotknij krwią Bestii do oczu i języka.

Richard nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

- Co?

Nie zauważył, kiedy zbliżył się markiz i powiedział mu wprost do ucha:

-Zrób to, Richardzie. Ona ma rację. To przeprowadzi cię przez labirynt. Zrób to.

Richard sięgnął w stronę włóczni, przesunął ręką wzdłuż drzewca, aż poczuł ciepłą, lepką krew Bestii. Czując się nieco głupio, przytknął dłoń do języka, potem do oczu.

- Zrobione - rzekł.

- To dobrze - szepnęła Łowczyni. Nie powiedziała nic więcej.

Markiz de Carabas zamknął jej oczy. Richard otarł nóż Łowczyni o rąbek koszuli. Kazała mu to zrobić. Nie musiał o niczym myśleć.

- Chodźmy — rzekł markiz wstając.

- Nie możemy jej tu zostawić.

- Możemy. Później wrócimy po ciało. Richard z całych sił polerował ostrze.

- A jeśli nie będzie żadnego później?

- Wówczas pozostaje nam tylko nadzieja, że ktoś zadba o szczątki nas wszystkich, łącznie z panią Drzwi, którą musi już męczyć czekanie.

Richard spuścił wzrok. Dokładnie oczyścił ostrze z krwi Łowczyni i wsunął je za pasek. Potem skinął głową.

— Idź pierwszy - polecił Carabas. - Ja pójdę za tobą, najszybciej jak mogę.

Richard zawahał się, ale pobiegł, zbierając resztki sił.

Może dokonała tego krew Bestii. Nie miał innego wytłumaczenia. Nieważne, co to sprawiło, ale przebiegł przez labirynt, który nie miał już przed nim tajemnic. Czuł, że zna każdy zakręt, każdą ścieżkę, każdą alejkę, uliczkę i tunel.

Biegł przez labirynt, kompletnie wyczerpany. Krew tętniła mu w skroniach. W myślach powtarzał stary wierszyk, do wtóru tupotu stóp. Usłyszał go kiedyś jako dziecko.

Nocą tą, nocą tą,

Nocą dziwną tą,

W ogień, blask i świeczek moc

Oddasz duszę swą.

Słowa dźwięczały monotonnie niczym pieśń pogrzebowa. Ogień, blask i świeczek moc...

Na końcu labiryntu wznosiła się pionowa granitowa ściana. Pośrodku niej tkwiły wysokie, podwójne drewniane wrota. Na jednym ze skrzydeł wisiało owalne lustro.

Drzwi były zamknięte. Uniósł rękę i wrota otwarły się bezszelestnie pod jego dotykiem.

ROZDZIAŁ 17

Richard podążał śladem płonących świec, które przeprowadziły go przez kryptę do Wielkiej Sali. Rozpoznał ją-Tu właśnie pili wino anioła: ustawione w ośmiokąt żelazne kolumny, olbrzymie czarne wrota, stół, świece.

Drzwi stała między dwiema kolumnami obok krzemienno-srebrnych drzwi. Miała rozłożone ręce. Patrzyła na niego. W jej szeroko otwartych różnobarwnych oczach krył się strach.

Anioł Islington, stojący obok dziewczyny, odwrócił się i uśmiechnął do Richarda. To było najbardziej przerażające - łagodne współczucie, słodycz owego uśmiechu.

- Wejdz, Richardzie Mayhew. Wejdz - rzekł anioł. - Do licha, kiepsko wyglądasz. - W jego głosie dźwięczała troska-Richard się zawahał.

- Proszę. - Anioł skinął zachęcająco ręką. Kiwnął palcami. - Chyba nie muszę nikogo przedstawiać. Oczywiście znasz panią Drzwi i moich współpracowników, pana Croupa, pana Vandemarea.

Richard odwrócił się i odkrył, że obaj stoją obok niego. Pan Vandemar uśmiechnął się. Pan Croup nie.

- Miałem nadzieję, że się tu zjawisz - powiedział anioł. Prze-krzywił głowę i spytał: - A przy okazji, gdzie jest Łowczyni?

- Nie żyje - odparł Richard.

Usłyszał, jak dziewczyna gwałtownie wciąga powietrze-

- Biedactwo - westchnął Islington. Potrząsnął głową, wyraźnie żalując bezsensownej utraty ludzkiego życia, kruchości wszystkich śmiertelników.

- Z drugiej strony - wtrącił pan Croup - nie można usmażyć omletu nie zabijając kilku osób.

Richard puścił te uwagi mimo uszu.

- Drzwi, nic ci nie jest?

- Chyba nie. Na razie.

Dolną wargę miała spuchniętą, na policzku ciemniał siniec.

- Lękałem się - wtrącił Islington - że panna Drzwi okazała się niezbyt chętna do

współpracy. Właśnie zastanawiałem się, czy pan Croup i pan Vandemar nie powinni... - Urwał. Najwyraźniej wspomnienie o pewnych rzeczach budziło w nim niesmak.

- Jej torturować - podsunął pogodnie pan Vandemar.

- Ostatecznie - dodał pan Croup - wśród całego stworzenia słyniemy z naszego kunsztu w sztuce zadawania bólu.

- Potrafimy robić ludziom krzywdę - wyjaśnił pan Vandemar.

Anioj ciągnął dalej, jakby nie usłyszał ani słowa.

- Ale też panna Drzwi nie sprawia wrażenia osoby, która łatwo zmienia zdanie.

- Daj nam dość czasu - rzekł Pan Croup. - Wkrótce pęknie.

- Na malutkie kawałeczki - uzupełnił pan Vandemar. Islington potrząsnął głową i uśmiechnął się pobłaźliwie w obliczu podobnego entuzjazmu.

- Zbyt mało czasu - rzekł do Richarda. - Zbyt mało. Jednakże sprawiał też wrażenie kogoś, kto zrobi wszystko, by położyć kres cierpieniom przyjaciela, innego śmiertelnika, takiego jak ty, Richardzie...

W tym momencie pan Croup rąbnął Richarda w brzuch. Był to paskudny cios.

Richard zgiął się w pół. Poczul na kraku palce pana Vandemara, ciągnące go do góry.

- Ale to byłoby złe! - zaprotestowała Drzwi. Islington się zamyślił.

— Złe — powtórzył, jakby próbował przypomnieć sobie znaczenie tege słowa.

Pan Croup odwrócił się Richarda.

- Islington tak dalece wykroczył poza granice dobra i zła, że nie dostrzegłby ich nawet przez teleskop w pogodną, jasną noc - rzekł — Panie Vandemar, zechce pan czynić honory domu?

Pan Vandemar ujął lewą dłoń Richarda, znalazł mały palec i jednym szybkim ruchem odgiął go tak daleko, że kość pękła z trzaskiem.

Richard krzyknął.

Anioł odwrócił się powoli. Wyglądał na zaskoczzonego. Zamrugał ciemnymi oczami.

— Tam jest ktoś jeszcze. Panie Croup? Mignęło coś ciemnego. Pan Croup zniknął.

Markiz de Carabas przywarł do granitowej ściany, nie spuszczać wzroku z dębowych drzwi wiodących do siedziby Islingtona.

W jego głowie wirowały plany i podstępny. Wcześniej sądził, że gdy tutaj dotrze, będzie wiedział, co ma robić. Teraz odkrywał z niesmakiem, że nie ma najlepszego pojęcia. Nie mógł przywołać żadnych przysług, pociągnąć za sznurki, przycisnąć w stosownych miejscach.

Toteż patrzył na drzwi. Może coś przyjdzie mu do głowy? Dobrze przynajmniej, że nikt go się tutaj nie spodziewa.

I wtedy poczul na gardle dotknięcie noża, a w uchu usłyszał obrzydliwy głos pana Croupa.

— Już raz cię dziś zabiłem. Czego trzeba, by niektórzy ludzie zrozumieli, co jest grane?

Gdy pan Croup wrócił, ostrzem noża popychając przed sobą markiza de Carabas, Richard tkwił już w łańcuchach pomiędzy dwiema żelaznymi kolumnami.

Anioł spojrział na markiza i lekko potrząsnął piękną głową.

— Mówiliście, że jest martwy — rzekł.

— Bo jest — odparł pan Vandemar.

— Był — poprawił pan Croup.

Twarz anioła stała się odrobinę mniej łagodna, mniej wyrozumiała.

— Nikt nie będzie mnie okłamywał — rzekł.

— My nie kłamiemy - powiedział z urazą pan Croup.

- Owszem, tak - zaprotestował pan Vandemar. Pan Croup, wyraźnie sfrustrowany, przeczesał brudną dłońią tłuste włosy.

- Rzeczywiście. Ale nie tym razem.

- Jak możesz się tak zachowywać? — spytał Richard gniewnie. Ból w jego ręce wcale nie chciał słabnąć. — Jesteś przecież aniołem.

- Co ci mówiłem, Richardzie? — wtrącił cierpko markiz. Richard zastanowił się przez moment.

- Mówiłeś, że Lucyfer też był aniołem. Islington wybuchnął śmiechem.

- Lucyfer? Lucyfer był idiotą. Skończył jako pan i władca niczego.

Markiz uśmiechnął się szeroko.

- A ty skończyłeś jako pan i władca dwóch bandziorów i sali pełnej świec.

Anioł obliznął wargi.

- Powiedzieli, że to kara za Atlantyde. Mówiłem, że nic więcej nie mogłem zrobić. Cała ta sprawa była... - Urwał, szukając właściwego słowa. — Zwykłym pechem.

- Ale zginęły miliony ludzi - wtrąciła Drzwi. Islington złożył ręce jak do modlitwy. Wyglądał, jakby pozował do kartki świątecznej.

- Takie rzeczy się zdarzają - wyjaśnił spokojnie. — Codziennie toną jakieś miasta.

- A ty nie miałaś z tym nic wspólnego? - spytał łagodnie markiz.

W owej chwili pełnej koszmarów ten był najbardziej przerażający. Pogodne piękno zniknęło z anielskiej twarzy. Islington wrzasnął oszalały z wściekłości:

- Zasłużyli sobie na to!

Zupełnie jakby ktoś zdjął pokrywkę, odsłaniając coś ciemnego i wijącego się - obłąd, degenerację, najczystsze zło.

Na moment zapadła cisza. Potem anioł skłonił głowę i uniósł ją znowu.

- Tak to już bywa — rzekł ze smutkiem i dodał, wskazując markiza. - Skujcie go!

Croup i Vandemar zatrzasnęli kajdany wokół przegubów markiza i przymocowali łańcuchy do kolumn obok Richarda. Anioł z powrotem skoncentrował uwagę na dziewczynie. Podszedł, wziął Drzwi pod brodę i spojrział jej prosto w oczy.

- Twoja rodzina — rzekł łagodnie. - Pochodzisz z naprawdę wyjątkowej rodziny. Wyjątkowej.

— Dlaczego więc kazałeś nas zabić?

— Nie wszystkich — odparł. Z początku Richard sądził, że ma na myśli Drzwi. Potem jednak Islington dodał: - Zawsze istniała możliwość, że nie spełnisz moich oczekiwań.

Puścił podbródek dziewczyny i pogłodził jej policzek długimi białymi palcami.

- Twoja rodzina potrafi otwierać drzwi. Umie tworzyć drzwi w miejscach, gdzie ich nie ma, uruchamiać zamknięte zamki, otwierać drzwi, których nigdy nie powinno się otworzyć.

Łagodnie musnął palcami jej szyję jak w pieszczocie i zacisnął dłoń wokół klucza.

— Gdy zamknęli drzwi mego więzienia, zabrali klucz do owych drzwi i umieścili go tutaj, na dole. Wyrafinowana forma tortury.

Łagodnie wyciągnął łańcuch spod okrywających Drzwi warstw jedwabiu, bawełny i koronki. Potem pogłaskał srebrny klucz, jakby badał nowe, nieznanie terytorium.

I wtedy Richard zrozumiał.

- Czarni Mnisi chronili go przed tobą - rzekł. Islington wypuścił klucz. Podszedł do drzwi z krzemienia i srebra i położył na nich dłoń, białą na czarnym tle kamienia.

- Przede mną - zgodził się. - Klucz. Drzwi. Otwierający drzwi. Potrzebna jest cała trójka... taki perfidny żart. Chodziło o to, że gdy uznają, że zasłużyłem sobie na przebaczenie i wolność, przyślą mi klucz i tego, kto otworzy drzwi. Postanowiłem jednak wziąć sprawę we własne ręce i odejść stąd nieco wcześniej.

Z powrotem odwrócił się do Drzwi. Jeszcze raz popieścił klucz. Potem ujął go mocno i szarpnął. Łańcuch pękł. Drzwi skrzywiła się lekko.

— Najpierw rozmawiałem z twoim ojcem - ciągnął anioł. - Martwił się o losy podziemia. Chciał zjednoczyć Londyn Pod połączyć baronie i lenna, może nawet zawrzeć jakiś układ z Londynem Nad. Obiecałem, że mu pomogę, jeśli on pomoże mnie. A potem powiedziałem, jakiej pomocy potrzebuje, a on mnie wyśmiał. — Powoli powtórzył te słowa, jakby wciąż nie potrafił w nie uwierzyć: - On. Mnie. Wyśmiał. Drzwi potrząsnęła głową.

- Zabiłeś go, bo ci odmówił?

- Nie zabiłem go - poprawił łagodnie Islington. - Kazałem go zabić.

-Ale przecież powiedział, że mogę ci ufać. Kazał mi tu przyjść. W dzienniku. Pan Group zachichotał.

- Nieprawda - rzekł. - Nie zrobił tego. To nasze dzieło. Co powiedział naprawdę, panie Vandemar?

- Nie ufaj Islingtonowi - odparł pan Vandemar głosem jej ojca. Mówił idealnie tak samo.

- Islington kryje się za tym wszystkim. Jest niebezpieczny, Drzwi. Trzymaj się od niego z daleka.

Islington pogładził kluczem jej policzek.

- Uznałem, że moja wersja szybciej cię tu sprowadzi.

- Zabraliśmy dziennik - wyjaśnił pan Croup. - Poprawiliśmy go i zwróciliśmy.

- Dokąd prowadzą te drzwi? - zapytał Richard.

- Do domu - odparł anioł.

- Do nieba?

Islington nie odpowiedział. Uśmiechnął się jednak niczym kot, który nie tylko wypił śmietankę i pożarł kanarka, ale zjadł także kurczaka, który miał być na obiad, i przeznaczony na deser creme bruloe.

-I uważasz, że nie dostrzegą twojego powrotu? - rzucił drwiąco markiz. - Powiedzą tylko: „Patrzcie, jeszcze jeden anioł. Masz, łap harfę i zacznij śpiewać hosanny”?

Oczy Islingtona lśniły.

- Nie dla mnie wzniosłe męki czci, hymnów i aureoli, i samolubnych modlitw - rzekł. - Mam... inne plany.

- No cóż, dostałeś klucz - powiedziała Drzwi.

-I ciebie - dodał anioł. - Otwierającą. Bez ciebie klucz jest bezużyteczny. Otwórz dla mnie drzwi.

- Wymordowałeś jej rodzinę - przypomniał Richard - kazałeś ścigać ją po całym Londynie Pod, a teraz ma otworzyć drzwi, abyś mógł dokonać najazdu na niebo? Nie potrafisz zbyt dobrze oceniać ludzi, prawda? Ona nigdy tego nie zrobi.

I wtedy anioł spojrział na niego oczami starszymi niż Droga Mleczna.

- Do licha - westchnął i odwrócił się, jakby nie był gotów do oglądania nieprzyjemnych scen, które zaraz mają nastąpić.

- Panie Vandemar, zrób mu krzywdę - polecił pan Croup. -Obetnij mu ucho.

Pan Vandemar uniósł dłoń. Była pusta. Niemal niedostrzegalnie poruszył ręką i nagle trzymał w niej nóż.

- Mówiłem, że kiedyś się przekonasz, jak smakuje twoja własna wątroba - rzekł. — Dziś jest twój szczęśliwy dzień.

Delikatnie wsunął ostrze tuż pod ucho Richarda. Richard nie czuł bólu - może zbyt wiele wycierpiał już tego dnia, a może ostrze było zbyt ostre, by sprawiać ból. Poczł jednak ciepłą, mokrą krew ściekającą po szyi.

Drzwi patrzyła na niego. Jej elfia twarz i wielkie różnobarwne oczy wypełniły cały jego świat. Próbował przesłać jej myślami wiadomość: Trzymaj się, nie pozwól, by cię do tego zmusili. Nic mi nie będzie.

Wtedy pan Vandemar nacisnął nóż i Richard zaczął krzyczeć.

- Powstrzymaj ich! - rzuciła dziewczyna. - Otworze twoje drzwi.

Islington wykonał lekki gest. Pan Vandemar westchnął żałośnie i odsunął nóż. Ciepła krew wciąż ściekała Richardowi po szyi, zbierała się w zagłębieniu obojczyka.

Pan Croup otworzył kajdany na jej prawej ręce. Przez chwilę stała bez ruchu, obramowana kolumnami, rozcierając przegub. Wciąż była przykuta z lewej strony, teraz jednak dysponowała ograniczoną swobodą ruchu. Wyciągnęła rękę po klucz.

- Pamiętaj - rzekł Islington. - Mam twoich przyjaciół. Drzwi spojrziała na niego z bezbrzeżną pogardą. W każdym calu była najstarszą córką pana Portyka.

- Daj mi klucz — poleciła. Anioł podał jej srebrny klucz.

— Drzwi! - krzyknął Richard. - Nie rób tego. Nie uwalniaj go. My się nie liczymy.

— Prawdę mówiąc - wtrącił markiz - ja sam bardzo się liczę, ale muszę się zgodzić. Nie rób tego.

Dziewczyna powiodła wzrokiem od Richarda do markiza. Jej oczy zatrzymały się na moment na ich skutych dłoniach, grubych łańcuchach przymocowanych do czarnych żelaznych kolumn. W tym momencie sprawiała wrażenie całkowicie bezbronnej. Potem odwróciła się i ruszyła naprzód, wlokąc za sobą własny łańcuch. Stała przed czarnymi drzwiami z krzemienia i pociemniałego srebra.

Drzwi nie miały dziurki na klucz. Przyłożyła do nich prawą dłoń i zamknęła oczy. Gdy opuściła rękę, w miejscu, którego dotknęła, ział otwór. Tryskała z niego wiązka białego światła, rozjaśniając złocisty półmrok sali.

Dziewczyna wsunęła w dziurkę srebrny klucz. Na chwilę zastygła w bezruchu, po czym przekreśliła go w zamku. Coś szcęknęło. Rozległ się wysoki, przejmujący dźwięk i nagle drzwi otoczyła wąska linia światła.

— Kiedy odejdę - rzekł anioł, zwracając się do panów Crou-pa i Vandemara z troską i współczuciem - zabijcie ich, jak wam się spodoba.

Z powrotem odwrócił się do drzwi, które otwierała dziewczyna. Uchyłały się powoli, jakby stawiały ogromny opór. Twarz Drzwi była mokra od potu.

- A zatem wasz pracodawca odchodzi - powiedział markiz do pana Croupa. - Mam nadzieję, że zapłacił wam pełną stawkę. Croup zerknął na markiza.

- Co?

— No cóż - wtrącił Richard, pojmując, o co chodzi - nie przypuszczasz chyba, że jeszcze go zobaczycie. Pan Vandemar zamrugnął powoli.

- Co? - powtórzył.

Pan Croup podrapał się po brodzie.

- Przyszłe trupy mają chyba rację - rzekł do pana Vandemara. Podszedł do anioła, który stał ze splecionymi na piersi rękami, dokładnie naprzeciw drzwi. - Panie, zanim rozpoczniesz następny etap podróży, dobrze by było, gdybyś uregulował wszystkie należności.

Anioł odwrócił głowę i popatrzył na niego z góry, jakby miał do czynienia z nieistotnym pyłkiem. Potem spojrział w dal. Richard zastanawiał się, o czym rozmyśla.

- Teraz to nie ma znaczenia - rzekł Islington. - Wkrótce otrzymacie wszystko, o czym zamierzają wasze odrażające mózdzki. Gdy tylko zdobędę swój tron.

- Dżem jutro, co? - wtrącił Richard.

- Nie lubię dżemu — rzekł pan Vandemar. - Zawsze mi się odbija.

- On chce nas wykiwać - powiedział pan Croup. - Nikt nie wykiwa pana Croupa i pana Vandemara, chłopcze. Zawsze odbieramy nasze długi.

Pan Vandemar podszedł do niego.

- W pełni — rzekł.

- Pamiętając o procentach! - warknął pan Croup.

- I hakach - dodał pan Vandemar.

- Z nieba?! - zawołał zza ich pleców Richard. Pan Croup i pan Vandemar podeszli do pogrążonego w rozmyślaniach anioła.

- Hej tam! - rzucił pan Croup.

Drzwi uchylły się odrobinę, lecz były już otwarte. Przez szczelinę do sali wpadł snop światła. Anioł postąpił krok naprzód, zupełnie jakby śnił z otwartymi oczami. Światło ze szczeliny zalało mu twarz, a on chłonał je niczym najlepsze wino.

- Nie lękajcie się - rzekł. - Kiedy bowiem do mnie należeć będzie ogrom stworzenia i wszyscy zgromadzą się wokół mego tronu, by śpiewać na mą cześć hosanny, wynagrodzę tych, którzy są mi wierni, i cisnę w otchłań tych, których nie mogę ścierpieć.

A potem mruknął coś jeszcze pod nosem. Richard nigdy nie był do końca pewien, co usłyszał, choć, jak potem twierdził, brzmiało to zupełnie jak „Przede wszystkim pieprzonego Gabriela”.

Drzwi ostatnim wysiłkiem szeroko otwarła czarne wrota.

Roztaczający się za nimi widok porażał swą wyrazistością: wirujące prądy barw i światła. Richard zmrużył oczy i odwrócił głowę. Czy tak wygląda niebo? Bardziej przypomina piekło.

I wtedy poczuł wiatr.

Obok jego głowy przeleciała świeca i zniknęła za drzwiami. Za nią kolejna. Powietrze wypełniło się świecami, wirującymi w locie, zmierzającymi w stronę światła, zupełnie jakby coś wsysało za próg całą zawartość sali. Było to jednak coś więcej niż zwykły wiatr. Richard natychmiast to pojął. Poczul ból w miejscach, gdzie kajdany opasywały jego przeguby; zupełnie jakby dwukrotnie przybrał na wadze. A potem jego perspektywa

uległa zmianie. Okazało się, że patrzy w dół. To nie wiatr ściągał wszystko ku wejściu, lecz grawitacja. Powietrze w sali ulatywało na drugą stronę. Zastanawiał się, co leży za drzwiami - powierzchnia gwiazdy, horyzont zdarzeń czarnej dziury czy coś, czego nawet nie potrafił sobie wyobrazić.

Islington chwycił się najbliższej kolumny i przywarł do niej rozpaczliwie.

- To nie jest niebo! - krzyknął. - Ty szalona wiedzmo, coś ty zrobiła?

Drzwi z całych sił zaciskała palce na swych łańcuchach. Nie odpowiedziała, lecz jej oczy błyszczały tryumfalnie.

Pan Vandemar chwycił nogę od stołu, pan Croup natomiast złapał pana Vandemara.

- To nie był prawdziwy klucz! - zawołała zwycięsko Drzwi, przekrzykując ryk wiatru. — Tylko kopia, którą kazałam zrobić kowalowi na targu!

- Ale przecież otworzył drzwi! - wrzasnął anioł.

- Nie - odparła dziewczyna o różnobarwnych oczach. — Ja otworzyłam drzwi. Otworzyłam je najdalej i najmocniej, jak umiałam.

Z twarzy anioła zniknęły wszelkie ślady współczucia. Pozostała tylko nienawiść; czysta, otwarta, lodowata.

- Zabije cię - rzekł.

- Tak jak zabiłeś moich bliskich? Nie sądzę, byś mógł jeszcze kogokolwiek pozbawić życia.

Anioł z całych sił ścisnął bladymi dłońmi kolumnę, jego ciało jednak wisiało pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i niemal całe znajdowało się za drzwiami. Wyglądał jednocześnie upiornie i komicznie. Obliznął wargi.

- Powstrzymaj to! - rzucił błagalnie. - Zamknij drzwi. Powiem ci, gdzie jest twoja siostra... Ona wciąż żyje.

Drzwi wzdrygnęła się.

I wtedy Islington został wessany za próg. Małeńka wirująca postać malą z każdą sekundą, znikając w oślepiającej otchłani.

Przyciąganie stawało się coraz silniejsze. Richard modlił się, by jego łańcuchy i kajdany wytrzymały. Czuł, jak otwór go wsysa. Kątem oka dostrzegł markiza dyndającego między kolumnami niczym marionetka wciągana przez odkurzacza.

Stół, którego nogę ścisnął pan Vandemar, wzleciał w powietrze i utkwiał w otwartym wejściu. Pan Croup i pan Vandemar wisieli po drugiej stronie drzwi. Croup, dosłownie uwieszony poły marynarki Vandemara, odetchnął głęboko i zaczął powoli, ręka za ręką, wspinać się po jego plecach.

Stół zatrzeszczał.

Pan Croup spojrział na Drzwi i uśmiechnął się niczym lis na kwasie.

- To ja zabiłem twoją rodzinę - rzekł. - Nie on. A teraz... wreszcie... dokończę...

W tym momencie materiał pękł. Pan Croup z krzykiem runął w otchłań, ściskając w dłoniach długi pas czarnej tkaniny od-darty z garnituru.

Pan Vandemar spojrział z góry na wymachującego rękami towarzysza, oddalającego się z każdą sekundą. On także zerknął na Drzwi, lecz w jego spojrzeniu nie było groźby. Wzruszył ramionami - jeśli w ogóle można wzruszyć ramionami, z całych sił trzymając się stołowej nogi.

- Pa, pa - powiedział łagodnie i zwolnił uchwyt.

W ciszy runął w dół, w światło, zmierzając wprost ku małej postaci pana Croupa.

Wkrótce obaj zamienili się w czarny punkcik na tle szalonego światła. Potem i on zniknął.

To ma sens, pomyślał Richard. Ostatecznie byli zespołem.

Z każdą chwilą oddychało mu się coraz trudniej. Poczuł, jak kręci mu się w głowie.

Stół w drzwiach pękł i został wessany zza drzwi.

Jeden z łańcuchów otwarł się z trzaskiem i Richard miał uwolnioną prawą rękę. Natychmiast pochwycił ją drugi łańcuch, zaciskając dłoń, wdzięczny, że nie w niej złamano mu palec. Wzdłuż lewej ręki czuł czerwone i niebieskie błyskawice bólu. Słyszał własny krzyk.

Nie mógł oddychać. Gdzieś w głębi czaszki eksplodowało białe światło.

Czuł, że łańcuch zaczyna pękać...

Nagle świat wypełnił trzask czarnych drzwi.

Richard runął gwałtownie na kolumnę i osunął się na ziemię. Zapadła cisza, cisza i nieprzenikniona ciemność w Wielkiej Sali pod ziemią.

- Gdzie ich wysłałaś? - spytał markiz.

A potem Richard usłyszał głos dziewczyny. Wiedział, że należy do Drzwi, ale brzmiał niczym głos małego dziecka szykującego się do snu.

- Nie wiem. Bardzo daleko. Jestem... zmęczona. Ja...

- Drzwi — przerwał jej markiz — otrząśnij się z tego.

Dobrze, że to powiedział, pomyślał Richard. Ktoś musiał, a Richard nie pamiętał, jak się mówi.

W ciemności rozległ się szcęk. Dźwięk otwieranych kajdan, a po nim brzęk łańcucha o metalową kolumnę. Potem trzask zapalanej zapalki... Zapłonęła świeca. Jej promień migotał słabo w rozrzedzonym powietrzu.

Ogień, blask i świeczek moc, pomyślał Richard. Nie pamiętał dlaczego.

Drzwi podeszła chwiejnie do markiza, trzymając w dłoni świecę. Wyciągnęła rękę, dotknęła łańcuchów i jego kajdany otwarły się. Roztarł przeguby.

Richarda także uwolniła z kajdan. Westchnęła i usiadła na ziemi. Richard objął ją, przytulił do siebie. Zaczaj kołysać ją wolno w przód i w tył, nucąc pozbawioną słów kołysankę.

W pustej sali anioła było zimno, tak bardzo zimno. Wkrótce jednak ciepło nieświadomości ogarnęło ich oboje.

Markiz de Carabas patrzył na śpiące dzieci. Sama idea snu — nawet krótkotrwałego powrotu do stanu upiornie bliskiego śmierci — przerażała go bardziej, niż sam mógł uwierzyć. W końcu jednak także i on opuścił głowę i zamknął oczy. A potem nie było już nikogo.

ROZDZIAŁ 18

Serpentyna, druga po Olimpij najstarsza z Siedmiu Sióstr, wędrowała przez labirynt. Jej białe wysokie buty z wilgotnym mlaskaniem zanurzały się w błocie. Od ponad stu lat nie oddaliła się tak bardzo od swego domu. Z przodu niosła dużą powozową latarnię chuda gospodyni, od stóp do głów odziana w czarną skórę. Inne kobiety, podobnie ubrane, podążały w tyle, utrzymując pełen szacunku dystans.

Serpentyna szła, wlokąc koronkowy tren sukni po błocie. Przed sobą ujrzała coś

migoczącego w blasku lampy, a obok niego wielką ciemną plamę.

- Jest - powiedziała.

Dwie idące za nią służące pospieszyły naprzód przez bagno, a gdy zbliżyła się kobieta z lampą, niewyraźne plamy nabrały kształtów. Światło objęło się od długiej włóczni z brązu. Zmasakrowana Łowczyni leżała na plecach, na wpół ukryta pod trupem olbrzymiego zwierzęcia. Oczy miała zamknięte. Kobiety wywlokły zwłoki spod Bestii i złożyły je w błocie.

Serpentyna uklękła. Przesunęła palcem po zimnym policzku Łowczyni. Gdy palec dotarł do poczerwiałych od krwi ust, zatrzymał się na moment. Potem wstała.

- Weźcie włócznię - poleciała.

Jedna z kobiet podniosła ciało Łowczyni. Inna wyciągnęła włócznię z truchła Bestii i zarzuciła sobie na ramię. A potem cztery postaci zawróciły i podążyły tam, skąd przyszły; milcząca procesja głęboko pod światem.

W migotliwym blasku lampy twarz Serpentyzny nie wyrażała żadnych emocji.

ROZDZIAŁ 19

Przez chwile nie miał pojęcia, kim jest. Było to niezwykle wyzwalające uczucie. Mógł stać się tym, kim zapragnął, kimkolwiek zechciał; przymierzyć nową osobowość, stać się kobietą bądź mężczyzną, szcurem lub ptakiem. Potworem albo Bogiem.

A potem coś zaszeleściło i ocknął się do końca. Był Richardem Mayhew. Ktokolwiek to jest, cokolwiek to znaczy.

Był Richardem Mayhew i nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Leżał twarzą na wykrochmalonym płótnie. Całe ciało go bolało, w niektórych miejscach - na przykład małym palcu lewej ręki - bardziej niż w innych.

Ktoś był w pobliżu. Słyszał jego oddech.

Uniósł głowę i natychmiast odkrył kolejne bolące miejsca. W niektórych ból był wyjątkowo silny.

Gdzieś w dali - wiele pomieszczeń dalej - śpiewali ludzie. Pieśń była tak cicha i odległa, iż wiedział, że przestanie ją słyszeć, gdy otworzy oczy. Głęboki melodyjny zaśpiew...

Uniósł powieki. Pomieszczenie było małe, panował w nim półmrok. Leżał na niskim łóżku. Szelest, który usłyszał wcześniej, powodowała zakapturzona postać w czarnej szacie, zwrócona plecami do Richarda. Odkurzała pokój niestosownie jaskrawą miotełką z piór.

- Gdzie ja jestem? - spytał Richard.

Postać odwróciła się, ukazując zdenerwowaną, wąską ciemnobrązową twarz.

- Chciałbyś napić się wody? - spytał nieznajomy tonem kogoś, kogo poinstruowano, że jeśli pacjent się obudzi, należy go spytać, czy chciałby napić się wody, i kto powtarzał to raz po raz przez ostatnich dwadzieścia minut, by upewnić się, że nie zapomni.

-Ja... - W tym momencie Richard poczuł przejmujące pragnienie. Usiadł na łóżku. - Tak, chętnie. Bardzo dziękuję.

Mnich podniósł metalowy dzbanek i nalał wody do poobijanego metalowego kubka. Podał go Richardowi, który powoli wypił zawartość, powstrzymując odruch nakazujący wychylić ją duszkiem. Woda była zimna i krystalicznie czysta.

Spojrzał w dół. Jego ubranie zniknęło. Miał na sobie długą szatę, przypominającą habit

Czarnych Mnichów, tyle że szarą. Złamany palec został nastawiony i starannie okrecony bandażem.

Uniósł rękę do ucha. Okrywał je plaster; pod nim wyczuwał coś, co przypominało szwy.

- Jesteś jednym z Czarnych Mnichów - rzekł.

- Tak, panie.

- Jak się tu znalazłem? Gdzie są moi przyjaciele?

Niespokojny mnich bez słowa wskazał ręką korytarz.

Richard wstał z łóżka. Zajrzał pod szarą szatę. Był nagi. Jego tors i nogi pokrywał urozmaicony zestaw ciemnofioletowych sińców, które wyglądały, jakby wysmarowano je maścią, pachnącą niczym syrop na kaszel i nasmarowana masłem grzanka. Kolano miał zabandażowane. Zastanawiał się, gdzie się podziało jego ubranie. Obok łóżka stały sandały. Włożył je i wyszedł na korytarz.

Opat zbliżał się ku niemu. Jego ślepe oczy jaśniały niczym perły w cieniu kaptura. Jedną rękę wspierał na ramieniu brata Sadzy.

- A więc ocknąłeś się, Richardzie Mayhew - rzekł. - Jak się czujesz?

Richard się skrzywił.

- Moja ręka...

- Nastawiliśmy ci palec. Był złamany. Opatrzyliśmy stłuczenia i skaleczenia. Potrzebowałeś też odpoczynku, który ci zapewniliśmy.

- Gdzie Drzwi? I markiz? Jak tu trafiliśmy?

- Kazałem was tu przynieść — wyjaśnił opat.

Dwaj mnisi ruszyli naprzód. Richard dreptał obok nich.

- Łowczyni - rzekł. - Zabraliście też jej ciało? Opat potrząsnął głową.

- Nie było ciała. Tylko Bestia.

- A moje ubranie...

Stanęli na progu celi podobnej do tej, w której obudził się Richard. Drzwi siedziała na brzeżku łóżka, pogrążona w lekturze „Mansfield Parku”. Richard był pewien, że mnisi jeszcze niedawno nie wiedzieli nawet, iż mają u siebie tę książkę. Dziewczyna także była ubrana w szarą szatę, niemal komicznie za dużą. Kiedy weszli, uniosła wzrok.

- Cześć - powiedziała. - Spałeś całe wieki. Jak się czujesz?

- Chyba dobrze. A ty?

Uśmiechnęła się. Nie był to specjalnie przekonujący uśmiech.

- Jestem nieco wstrząśnięta - rzekła.

Na korytarzu rozległ się hałas. Richard odwrócił głowę i ujrzał markiza de Carabasa na rozklekotanym krześle kąpielowym. Krzesło popychał rosły Czarny Mnich. Zdumiewające, pomyślał Richard, lecz markizowi udało się sprawić, iż jazda na krześle kąpielowym w jego wykonaniu wyglądała romantycznie i porywająco.

Carabas zaszczyił ich oślepiającym uśmiechem.

- Dobry wieczór wszystkim - rzekł.

- Świetnie - powiedział opat. — Jesteście już w komplecie. Musimy porozmawiać.

Poprowadził ich do wielkiej komnaty, ogrzanej ryczącym ogniem podsycanym drobnymi kawałkami drzewa. Stanęli wokół stołu. Opat gestem zachęcił ich do zajęcia miejsc, pomacał w poszukiwaniu krzesła i usiadł. Potem odesłał z komnaty braci Sadzę i Ciemną Jutrzniew (który popychał fotel markiza).

- A zatem - rzekł - do rzeczy. Gdzie jest Islington? Drzwi wzruszyła ramionami.

- Tak daleko, jak mogłam go odesłać. Po drugiej stronie czasoprzestrzeni.

- Rozumiem - rzekł opat, po czym dodał: — I dobrze.

- Czemu nas przed nim nie ostrzegłeś? - spytał Richard.

- To nie należało do naszych obowiązków.

- I co? - spytał Richard. - Co teraz? Opat milczał.

- W jakim sensie? — spytała Drzwi.

- No cóż. Chciałaś pomścić śmierć swojej rodziny. I zrobiłaś to. Wysłałaś wszystkich winowajców w odległy koniec nicości. Nikt chyba nie będzie już więcej próbował cię zabić, prawda?

- Nie w tej chwili - odparła z powagą.

- A ty? - Richard odwrócił się do markiza. - Dostałeś to, czego chciałeś?

Markiz przytaknął.

- Chyba tak. Spłaciłem dług wobec pana Portyka, a pani Drzwi jest mi winna sporą przysługę.

Richard spojrział na dziewczynę. Przytaknęła.

- A co ze mną? - spytał.

- Cóż - odparła - nigdy nie dokonaliśmy tego bez ciebie.

- Nie to miałem na myśli. Co z moim powrotem do domu? Markiz uniósł brwi.

- Za kogo ją uważasz? Za czarnoksiężnika z krainy Oz? Nie możemy odesłać cię do domu. To jest twój dom.

- Próbowałam wcześniej cię uprzedzić, Richardzie - dodała Drzwi.

- Musi istnieć jakiś sposób. - Richard rąbnął w stół lewą ręką, podkreślając wagę swych słów, a potem dodał: - Auu! - ponieważ rąbnięcie ręką dla podkreślenia wagi słów nie jest najrozsądniejsze, kiedy ma się złamany palec.

- Dorośnij wreszcie - rzucił markiz.

Richard potarł dłoń. Opuściła go cała chęć walki.

- Gdzie jest klucz? - spytał opat. Richard gestem wskazał dziewczynę.

- Drzwi - rzekł. Potrząsnęła głową.

- Nie ja - wyjaśniła. — Po ostatnim targu wsadziłam ci go do kieszeni, Richard otworzył usta i zamknął je. Potem otworzył je znowu.

- Chcesz powiedzieć, że kiedy oznajmiłem Croupowi i Van-demarowi, że go mam i że mogą mnie przeszukać... naprawdę go miałem?

Skinęła głową. Przypomniał sobie twardy przedmiot w tylnej kieszeni, znaleziony na Down Street. Wspomnił, jak na pokładzie okrętu uścisnęła go, gdy wrócił z curry.

- A niech to! - westchnął.

Opat pomarszczoną brązową dłonią potrząsnął dzwonkiem, wzywając brata Sadzę.

- Przynieś mi spodnie wojownika - polecił. Sadza przytaknęła i opuścił pokój.

- Nie jestem wojownikiem - zaprotestował Richard. Opat uśmiechnął się łagodnie.

- Zabiłeś Bestię. Jesteś wojownikiem. Richard zdesperowany splótł ręce na piersi.

- Czyli po tym wszystkim wciąż nie mogę wrócić do domu, lecz w ramach nagrody pocieszenia trafiłem na archaiczną listę bohaterów podziemia?

Markiz spojrział na niego bez cienia współczucia.

- Nie możesz wrócić do Londynu Nad. Kilku osobom udało się prowadzić życie w połowie drogi — poznałeś Iliastra i Leara - ale to najlepsze, na co możesz liczyć. Drzwi dotknęła ramienia Richarda.

- Tak mi przykro - rzekła. - Ale pomyśl o wszystkim, czego dokonałeś. Zdobyłeś dla nas klucz.

- I co z tego? — spytał. - I tak kazałaś wykuć nowy...

W tym momencie zjawił się brat Sadza, niosąc w rękach spodnie Richarda. Pokrywało je błoto i zaschnięta krew. Cuchnęły. Mnich dał spodnie opatowi, który zaczął przeszukiwać kieszenie.

Drzwi uśmiechnęła się.

- Nie mogłam poprosić kowala o zrobienie kopii, nie mając oryginału.

Stary opat odchrząknął.

- Wszyscy jesteście niezmiernie głupi - powiedział łagodnie - i w ogóle o niczym nie wiecie.

Uniósł srebrny klucz, który zabłysnął w blasku kominka.

- Richard przeszedł Torturę Klucza. Jest jego panem, póki znów nie powierzy go naszej opiece. Klucz ma ogromną moc.

- To klucz do nieba - wtrącił Richard niepewny, do czego zmierza opat.

Głos starca był głęboki i dźwięczny.

- To klucz do wszystkich możliwych rzeczywistości. Jeśli Richard pragnie powrócić do Londynu Nad, klucz zabierze go tam.

- To takie proste? - spytał Richard.

Starzec skinął ślepa głową skrytą w cieniu kaptura.

- Kiedy możemy to zrobić? - spytał Richard.

- Gdy tylko będziesz gotów - odparł opat.

Mnisi uprali i wyreperowali jego ubranie. Brat Sadza poprowadził go przez opactwo. Pokonali serię budzących zawroty głowy drabin i stopni, i wspięli się na dzwonnice. Na jej szczycie znajdowała się kłapa. Gdy ją pchnęli, ujrzeli wąski tunel z metalowymi szczeblami w jednej ze ścian. Wdrapali się po nich i dotarli na pogrążoną w mroku stację metra. Stary napis na ścianie głosił:

NIGHTINGALE LANE

Brat Sadza życzył Richardowi powodzenia. Poinformował, że ktoś po niego wyjdzie. Richard dwadzieścia minut czekał na peronie, zastanawiając się, czemu markiz się z nim nie pożegnał.

Gdy spytał Drzwi, wyjaśniła, że nie wie, ale może pożegnania, obok pocieszania ludzi, stanowiły dziedzinę, w której markiz nie czuł się najpewniej.

Potem dodała, że wpadło jej coś do oka, podała mu kartkę z instrukcjami i odeszła.

Coś zajaśniało w ciemności, coś białego. Była to chustka na patyku.

- Halo! - zawołał Richard.

Z mroku wynurzył się spowity w pióra Stary Bailey. Sprawiał wrażenie skrupowanego i niespokojnego. Wymachiwał chusteczką Richarda.

- To moja mała flaga - rzekł.

- Cieszę się, że ci się przydała.

Stary Bailey uśmiechnął się niepewnie.

- Jasne. Chciałem tylko powiedzieć, że mam coś dla ciebie. Proszę.

Wsunął dłoń w kieszeń płaszcza i wyciągnął długie czarne piórko, połyskujące błękitem, fioletem i zielenią. Wokół dutki owinięto czerwoną nić.

- Hmm. Cóż, dziękuję - odparł Richard niepewny, co powinien zrobić.

- To pióro - wyjaśnił Stary Bailey. — I to dobre. Pamiątka. Memento. Souvenir. Zupełnie za darmo. To dar ode mnie dla ciebie. Podziękowanie.

- Tak. Rozumiem. To bardzo miłe z twojej strony.

Schował pióro do kieszeni.

W tunelu powiał ciepły wiatr. Nadjeżdżał pociąg.

-To twój pociąg - oznajmił Stary Bailey. - Ja nimi nie jeżdżę. Stanowczo wolę dachy.

Uściskał dłoń Richarda i umknął w mrok.

Pociąg zatrzymał się na stacji. Wszystkie wagony były ciemne. Nie otwarły się żadne drzwi. Richard zapukał do tych przed sobą z nadzieją, że wybrał właściwe. Drzwi rozsunęły się i opuszczoną stację zalało ciepłe żółte światło. Z wagonu wysiadło dwóch starszych panów trzymających w dłoniach długie trąby. Richard poznał ich: Dagvard i Harvard z Hrabiego Dworu, choć nie pamiętał już, który był który. Obaj unieśli trąby do ust i odegrali fałszywą, lecz pełną uczucia fanfarę.

Wsiadł do pociągu. Trębacze zrobili to samo.

Hrabia siedział w końcu wagonu, głaszcząc wilczarza. Tref-niś - Tooley, przypomniał sobie Richard, tak się nazywał - stał obok niego. Oprócz nich i dwóch rycerzy w wagonie nie było nikogo.

- Kto to? - spytał hrabia.

-To on, panie - odparł błazen. - Richard Mayhew. Ten, który zabił Bestię.

- Wojownik? - Hrabia podrapał się po siwiejącej rudej brodzie. - Przyrowadź go tutaj.

Richard podszedł do tronu hrabiego. Olbrzymi mężczyzna zmierzył go melancholijnym spojrzeniem. Nic nie wskazywało na to, że spotkał go już wcześniej.

- Sądziłem, że będziesz wyższy - powiedział w końcu.

- Przykro mi.

- Cóż, lepiej przejdźmy do rzeczy. - Wstał i zwrócił się do pustego wagonu. - Dobry wieczór. Przybyliśmy tu, aby uczcić młodego Maybury. Jak to ujął bard - a potem wyrecytował rytmicznie grzmącym głosem: - Szkarłatne strugi z żył, pobity pada wróg, obrońca okrył się chwałą, mężny młodzieńcze mój... Tak naprawdę już nie młodzieniec, prawda, Tooley?

- Raczej nie, wasza miłość. Hrabia wyciągnął rękę.

- Daj mi swój miecz, młodzieńcze. Richard wyciągnął zza pasa nóż Łowczyni.

- Czy to się nada? - spytał.

- Tak, tak - odparł hrabia, odbierając mu nóż.

- Uklęknij - polecił scenicznym szeptem Tooley, wskazując podłogę.

Richard ukląkł na jedno kolano.

Hrabia dotknął lekko nożem obu jego ramion.

- Powstań, sir Richardzie z Maybury! - ryknął. - Nożem tym obdarzam cię swobodą ruchów po całym podziemiu. Obyś mógł wędrować po nim, bez żadnych przeszkód... i tak dalej, i tak dalej... et cetera, bla, bla, bla. - Urwał.

- Dzięki - odparł Richard. - Tak naprawdę nazywam się May-hew.

Lecz pociąg się już zatrzymywał.

- Tutaj wysiadasz - oznajmił hrabia. Poklepał Richarda po plecach i oddał mu nóż.

Miejsce, w którym znalazł się Richard, nie było stacją metra: znajdowało się nad ziemią. Przypominało nieco dworzec St Pan-crass - w architekturze było coś podobnie przesadnego i sztucznie gotyckiego. Wyczuwał też jednak we wszystkim fałszywą nutę stanowiącą nieomylny znak rozpoznawczy Londynu Pod.

Światło miało osobliwą szarą barwę, którą widzi się tuż przed świtem i po zachodzie słońca, gdy w pozbawionym kolorów świetle nie da się właściwie ocenić odległości.

Nieopodal na ławce siedział mężczyzna. Patrzył na niego. Richard zbliżył się ostrożnie, nie potrafiąc rozpoznać go w szarym świetle. Wciąż trzymał w dłoni nóż Łowczym - swój nóż. Teraz dla pewności zacisnął mocniej palce na rękojeści.

Mężczyzna uniósł wzrok i zerwał się na równe nogi. To był Mości Szczuromówca. Dramatycznym gestem odgarnął spadający na czoło lok. Dotąd Richard oglądał podobne gesty jedynie w telewizyjnych adaptacjach klasyki literatury.

- No, no. Tak, tak - rzekł nerwowo Mości Szczuromówca. -Chciałem tylko powiedzieć... ta dziewczyna, Anestezja. Nie żywimy urazy. Szczury wciąż są twoimi przyjaciółmi, a także, szczuromówcy. Jeśli przyjdiesz do nas, zawsze ci pomożemy.

-Dzięki - odparł Richard. Poślijmy Anastazje, pomyślał. Jest nieważna.

Mości Szczuromówca sięgnął za ławkę i wręczył Richardowi czarną, zapinaną na zamek błyskawiczny torbę. Wyglądała niezwykle znajomo.

- Wszystko tu jest. Wszystko. Sam spojrzysz.

Richard otworzył torbę. W środku znalazł cały swój majątek, łącznie ze spoczywającym na starannie złożonych dzinsach portfelem. Zaciągnął zamek, zarzucił torbę na ramię i odszedł, nie oglądając się za siebie.

Opuścił stację i zszedł po schodach. Wokół panowała cisza i pustka. Wiatr gnał przed sobą suche jesienne liście; skrawki żółci, ochry i brązu. Richard przeszedł przez podjazd i znalazł się w przejściu podziemnym. W półmroku coś się poruszyło.

Odwrócił się czujnie. W korytarzu za jego plecami było ich dziesięć, może więcej. Płynęły ku niemu niemal bezszelestnie, jedynie do wtóru szmeru ciężkiego aksamitu. Tu i tam dostrzegął błysk srebrnej biżuterii, ujawniający ich obecność.

Obserwowały go głodnymi oczami.

Wówczas poczuł lęk. Owszem, miał jeszcze nóż, ale nie potrafiłby nim walczyć, tak jak nie umiałby przeskoczyć Tamizy. Miał nadzieję, że zdoła je jakoś odstraszyć.

W powietrzu czuł woń powoju, konwalii i piżma.

Łamię wystąpiła przed inne Aksamitne.

Richard uniósł nóż, wspominając chłód jej uścisku.

Uśmiechnęła się do niego i wdzięcznie skłoniła głowę. A potem mrugnęła, ucałowała czubki palców i posłała mu pocałunek.

Zadrżał.

Coś zatrzepotało w ciemności przejścia. Gdy znów uniósł wzrok, nie dostrzegł niczego prócz cieni.

Po drugiej stronie przejścia wspiał się na schody i stanął na szczycie małego, porośniętego trawą pagórka, tuż przed świtem. Światło było słabe i niezwykle, dostrzegł jednak szczegóły otoczenia: rosły dęby, jesiony i buki. Szeroka rzeka wiała się łagodnie wśród zieleni. Gdy uniósł wzrok, pojął, że stoi na jakiejś wyspie - dwie mniejsze rzeki wpadały do większej, odcinając go od stałego lądu.

I wtedy, sam nie wiedząc dlaczego, pojął z całkowitą pewnością, że jest w Londynie - lecz

w Londynie sprzed trzech tysięcy lat, nim jeszcze położono w nim pierwszy kamień na kamieniu.

Rozpiął torbę i schował nóż, kładąc go obok portfela. Następnie starannie zasunął zamek.

Niebo zaczynało już jaśnieć, lecz światło wciąż było dziwne. Zdawało się młodsze niż to, do którego przywykł. Na wschodzie zapłonęło pomarańczowoczerwone słońce. Kiedyś znajdują się tam Doki, a dalej Greenwich, Kent i morze.

- Cześć - powiedziała Drzwi. Nie dostrzegł jej przybycia. Pod wysłużoną brązową kurtką miała na sobie inny zestaw ubrań; odmienne, lecz równie podarte i połatane warstwy tafty, koronki, jedwabiu i brokatu.

- Cześć - odparł Richard.

Stała obok niego i wsunęła drobne palce w jego prawą dłoń, dzierżącą torbę.

- Gdzie jesteśmy? - spytał.

- Na pięknej i straszliwej wyspie Westminster - odparła Brzmiało to jak cytat, ale nie sądził, by słyszał go kiedykolwiek wcześniej.

Ruszyli naprzód poprzez wysoką trawę, mokrą od topniejącego szronu. Ich stopy pozostawiały po sobie wyraźne, ciemno-zielone ślady.

- Posłuchaj - rzekła Drzwi. - Po odejściu anioła w Londynie Pod pozostało do załatwienia mnóstwo spraw. Tylko ja mogę to zrobić. Mój ojciec pragnął zjednoczyć Londyn Pod... Chyba powinnam spróbować dokończyć to, co zaczął.

Szli na północ, oddalając się od Tamizy. Nad ich głowami krążyły rozkrzyczane białe mewy.

- Słyszałeś też, co mówił Islington o mojej siostrze, o tym, że na wszelki wypadek zachował ją przy życiu. Może ocalał jeszcze ktoś z mojej rodziny. No i uratowałaś mi życie - urwała, po czym dodała szybko: - Byłeś prawdziwym przyjacielem, Richardzie, i polubiłam twoje towarzystwo. Proszę, nie odchodź.

Richard zabandażowaną lewą ręką niezgrabnie poklepał jej dłoń.

- No... - rzekł. - Ja także polubiłem twoje towarzystwo, ale nie należę do twojego świata. W moim Londynie... najniebezpieczniejszą rzeczą jest złapanie taksówki w godzinach szczytu. Ja także cię lubię, bardzo cię lubię, ale chcę wrócić do domu.

Patrzyła na niego różnobarwnymi oczami.

- A więc nie zobaczymy się już nigdy — rzekła.

- Chyba nie.

- Dziękuję za wszystko, co zrobiłaś - powiedziała. Potem zarzuciła mu ręce na szyję i objęła tak mocno, że zaboląły go wszystkie sińce. Odpowiedział równie mocnym uściskiem, nie dbając o ból.

- Cóż - rzekł po długiej chwili. - Miło było cię poznać. Dziewczyna mocno mrugała. Może znów powie, że coś wpadło jej do oka? Zamiast tego jednak rzekła:

- Jesteś gotów? Przytaknął.

- Masz klucz?

Odstawił torbę i zdrową ręką pogrzebał w tylnej kieszeni. Podał jej klucz, a ona uniosła go przed sobą, jakby wtykała do niewidocznych drzwi.

- W porządku - powiedziała. - Idź. Nie oglądaj się za siebie.

Ruszył w dół niskiego pagórka. Tuż nad jego głową przemknęła mewa.

U stóp wzgórza obejrzał się. Dziewczyna wciąż stała na szczycie, oblewana blaskiem wschodzącego słońca. Jej policzki błyszczały.

Klucz zabłysnął w pomarańczowych promieniach. Drzwi przekreśliła go jednym stanowczym gestem.

Świat pociemniał. Richard usłyszał niski ryk, szalejący warkot tysiąca rozwścieczonych bestii.

ROZDZIAŁ 20

Świat pociemniał. Richard usłyszał niski ryk, szaleńczy warkot tysiąca rozwścieczonych bestii.

Zamrugał w ciemności, tuląc do siebie torbę. Przelotnie zastanowił się, czy słusznie zrobił, chowając nóż.

Jacyś ludzie przepychali się obok niego. Odskokzył na bok.

Przed sobą ujrzał schody. Ruszył w górę i w tym momencie świat wokół zaczął się przejaśniać, nabierać kształtów. Ryk okazał się szumem samochodowych silników: Richard wyszedł właśnie z przejścia pod Trafalgar Square.

Był późny ranek ciepłego październikowego dnia. Richard stał na placu, przyciskając do siebie torbę i mrużąc oślepienie słońcem oczy. Obok niego z łoskotem przejeżdżały auta i czerwone autobusy, a turyści rzucali garściami ziarno legionom spasionych gołębi i robili sobie zdjęcia pod kolumną Nelsona, pomiędzy dwoma wielkimi landseerowskimi lwami. Niebo miało barwę nieskazitelnego, idealnego błękitu ekranu telewizora, nastrojonego na nieistniejący kanał.

Richard poszedł przed siebie, zastanawiając się, czy jest prawdziwy. Japońscy turyści ignorowali go kompletnie. Próbował zagadnąć ładną dziewczynę, jednak roześmiała się tylko i odpowiedziała coś w języku, który Richard uznał za włoski, a który w rzeczywistości był fińskim.

Dostrzegł dziecko nieokreślonej płci, zapatrzone w gołębie i z obsceniczną zachłannością pochłaniające czekoladowy bato-nik. Przykucnął obok niego.

— Cześć — powiedział.

Dziecko w skupieniu ssało batona, nie zdradzając żadnych oznak zainteresowania, jakby nie dostrzegało w Richardzie drugiego człowieka.

-Hej! — w głosie Richarda zabrzmiała nutka desperacji. — Widzisz mnie? Dzieciaku? Hej!

Z wysmarowanej czekoladą buzi spojrzęło na niego dwoje gniewnych oczu. Nagle dziecko umknęło i z całej siły pochwyciło nogi najbliższej dorosłej kobiety.

- Maaaamo! Ten pan mnie zaczepia. On mnie zaczepia, mammo. Matka dziecka odwróciła się gwałtownie.

- Co pan sobie myśli? Czemu zaczepia pan Leslie? Takich ludzi powinno się zamykać, ot co!

Richard uśmiechnął się szeroko, radośnie. Nawet cios cegłą w czaszkę nie spędziłby z jego twarzy tego uśmiechu.

- Naprawdę bardzo przepraszam - rzekł, szczerząc zęby niczym kot z Cheshire.

A potem, ściskając torbę, pobiegł przez Trafalgar Square wśród tumanów spłoszonych, wzlatujących gwałtownie gołębi.

Wyjął z portfela kartę i wsunął do bankomatu.

Maszyna rozpoznała czterocyfrowy PIN, poradziła, by zachował go dla siebie i nie ujawniał nikomu, i zapytała, czego sobie życzy.

Richard zażyczył sobie gotówki i otrzymał ją w dużej ilości. Zachwycony, machnął ręką i zawstydzony się, udał, że próbuje złapać taksówkę.

Wóz zatrzymał się przed nim - zatrzymał się! przed nim! -i Richard z radosnym uśmiechem usadowił się na tylnym siedzeniu. Podał kierowcy adres biura, a gdy tamten zauważył, że szybciej byłoby pójść tam na piechotę, Richard uśmiechnął się jeszcze szerzej i poprosił — prawie błagał — kierowcę, by zechciał zapoznać go ze swymi poglądami na temat Problemów Ruchu W Centrum, Sposobów Radzenia Sobie z Przestępcami i Drażliwych Aktualnych Zagadnień Politycznych.

Taksówkarz uznał, że pasażer „dał sobie w gardło”, i milczał nadąsany przez całe pięć minut jazdy StranDEM. Richarda to wcale nie zniechęciło. I tak dał kierowcy idiotycznie wysoki napiwek.

A potem ruszył do biura.

Kiedy wszedł do budynku, poczuł, jak uśmiech znika z jego twarzy. Z każdym krokiem czuł coraz większy niepokój i zdenerwowanie. A jeśli nadal nie miał pracy? Jeśli widziały go umorusane czekoladą dzieci i taksówkarze, lecz dla kolegów z biura pozostał niewidzialny? Jeśli...

Strażnik, pan Figgis, uniósł wzrok znad pisma „Niegrzeczne Nastoletnie Nimfetki”, które ukrył wewnątrz „Sun”, i pociągnął głośno nosem.

- Dzień dobry, panie Mayhew. - Nie było to ciepłe „dzień dobry”, lecz „dzień dobry” sugerujące, że mówiącego nie interesuje, czy witany będzie żył, czy umrze ani czy w ogóle jest jakiś dzień.

- Figgis! - wykrzyknął zachwycony Richard. - Ja też pana witam, panie Figgis, najlepszy ze strażników!

Nikt nigdy nie powitał tak pana Figgisa, nawet nagie kobiety z jego wyobraźni. Strażnik odprowadził Richarda podejrzliwym wzrokiem aż do windy, po czym wrócił do swych niegrzecznych nastoletnich nimfetek, które, jak powoli zaczynał podejrzewać, mimo lizaków i kokard wszystkie już dawno przekroczyły trzydziestkę.

Richard wysiadł z windy i z lekkim wahaniem ruszył w głąb korytarza.

Wszystko będzie dobrze, powtarzał w myślach, jeśli tylko znajdę na miejscu moje biurko. Jeśli biurko tam będzie, wszystko pójdzie świetnie.

Wmaszerował do wielkiego, otwartego biura, w którym przepracował ostatnie trzy lata. Ludzie pochylali się nad papierami, rozmawiali przez telefon, grzebali w szafkach, pili kiepską herbatę i jeszcze gorszą kawę. To było jego biuro.

A w tym miejscu pod oknem stało kiedyś jego biurko. Teraz zajmował je blok szarych szafek na akta i juka.

Miał właśnie odwrócić się i uciec, gdy ktoś podał mu styropianowy kubek z herbatą.

- Powrót syna marnotrawnego, co? - spytał Garry. - Proszę.

- Cześć, Garry. Gdzie moje biurko?

- Chodź tędy. Jak było na Majorce?

- Majorce?

- Przecież zawsze jeździsz na Majorkę! - zdziwił się Garry. Szli po schodach prowadzących na czwarte piętro.

- Nie tym razem - wyjaśnił Richard.

- Właśnie miałem powiedzieć, że coś się nie opaliłeś.

- Nie - zgodził się Richard. - Cóż. No wiesz. Potrzebowałem odmiany.

Garry przytaknął. Wskazał ręką drzwi, które odkąd Richard pamiętał, prowadziły zawsze do pomieszczenia z zapasami biurowymi i aktami.

- Odmiany? To niewątpliwie odmiana jak się patrzy. Pozwolisz, że pogratuluję ci jako pierwszy? Tabliczka na drzwiach głosiła:

R.B. MAYHEW

MŁODSZY WSPÓLNIK

- Gratuluję - powtórzył Garry.

To rzekłszy, zostawił go, a Richard wszedł do swego gabinetu.

Stało tam jego biurko. Trolle leżały starannie poukładane w jednej z szuflad; wyjął je i rozstawił po całym pokoju. Miał własne okno z ładnym widokiem na rzekę i South Bank. W kącie stała nawet duża zielona roślina o wielkich, błyszczących liściach, które wyglądały na sztuczne, choć wcale takie nie były. Stary kremowy komputer zniknął, zastąpiony znacznie zgrabniejszym czarnym terminalem zajmującym mniejszą część blatu.

Richard wyglądał przez okno, sącząc herbatę.

- Wszystko w porządku? — usłyszał.

Unióś wzrok. W drzwiach stała energiczna, supersprawną Sylvia, osobista asystentka dyrektora. Uśmiechnęła się.

- Hmm. Tak. Posłuchaj, muszę załatwić parę spraw w domu. Myślisz, że mógłbym wziąć wolne na resztę dnia i...

- Ależ proszę. I tak miałeś wrócić dopiero jutro.

- Naprawdę? Jasne. Sylvia zmarszczyła brwi.

- Co ci się stało w palec?

- Złamałem go.

Popatrzyła z troską na jego rękę.

- Nie brałeś chyba udziału w bójce?

-Ja?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Żartowałam. Pewnie przytrzasnąłeś go sobie drzwiami. Coś takiego przydarzyło się mojej siostrze.

- Nie — wypalił Richard. — To była bój... - Sylvia uniosła brwi - ...drzwi - dokończył niezręcznie.

Taksówką pojechał do domu. Nie miał odwagi wsiąść do metra. Jeszcze nie teraz.

Ponieważ nie miał klucza, zadzwonił i przeżył gwałtowny zawód, gdy drzwi otwarła kobieta, którą Richard spotkał kiedyś, czy raczej której nie spotkał, w swej łazience.

Przedstawił się jako poprzedni lokator i ustalił, że

a) on, Richard, już tu nie mieszka i

b) kobieta nie ma pojęcia, co stało się z jego rzeczami. Zapisał coś w notesie, pożegnał się bardzo uprzejmie i kolejną taksówką pojechał do mężczyzny w płaszczu z wielbłądziej wełny.

Mężczyzna w płaszczu z wielbłądziej wełny tym razem nie miał na sobie płaszcza i był znacznie mniej ugrzeczniejszy niż wtedy, gdy Richard zetknął się z nim poprzednio.

Siedzieli w jego biurze. Pośrednik wynajmu mieszkań słuchał wyrzutów Richarda z miną człowieka, który przypadkiem połknął żywego pająka i właśnie poczuł, jak coś rusza mu się w gardle.

- No tak - przyznał, przejrzawszy papiery. - Istotnie, wygląda na to, że nastąpiło pewne nieporozumienie. Nie mam pojęcia, jak do tego doszło.

- Nieważne, jak do tego doszło - odparł rozsądnie Richard. - Fakty są takie, że kiedy wyjechałem na kilka tygodni, pan wynajął moje mieszkanie państwu... - zajrzał do notatek - George'owi i Adeli Buchanan. Którzy nie mają zamiaru się wyprowadzić.

Pośrednik zatrasnął teczkę.

- No cóż - rzekł. - Pomyłki się zdarzają. Błądzić jest rzeczą ludzką. Obawiam się, że nic nie możemy zrobić.

Richard doskonale wiedział, że dawny Richard, ten, który mieszkał w obecnym gniazdku Buchananów, w tym momencie

304

ugiąłby się, złamał, przeprosił, że zawraca głowę swojemu rozmówcy, i wyszedł. On jednak rzekł:

- Naprawdę? Nic nie możecie zrobić? Oddaliście komuś innemu lokal, który legalnie wynająłem od waszej firmy, po drodze zgubiliście wszystkie moje rzeczy i nic nie możecie zrobić? Cóż, osobiście uważam, a mój adwokat z pewnością się ze mną zgodzi, że możecie zrobić bardzo dużo.

Mężczyzna bez płaszcza z wielbłądziej wełny wzdrygnął się. Wyglądał, jakby połknięty wcześniej pająk rozpoczął wspinaczkę w górę jego przełyku.

- Ale w kamienicy nie ma już wolnych mieszkań o standardzie zbliżonym do pańskiego — zaprotestował. — Został tylko apartament na górze.

- To - odparł zimno Richard - wystarczy... Mężczyzna odetchnął.

- ...jeśli chodzi o mieszkanie. A teraz pomówmy o rekompensacie za moje zagubione rzeczy.

Nowe mieszkanie było znacznie ładniejsze od starego. Miało więcej okien, balkon, przestronny salon i prawdziwą zapasową sypialnię. Richard krążył po nim, niezadowolony.

Mężczyzna bez płaszcza z wielbłądziej wełny z ogromną niechęcią zorganizował mu meble: łóżko, kanapę, kilka krzeseł i telewizor.

Richard położył na kominku nóż Łowczyńni.

W hinduskiej restauracji po drugiej stronie ulicy kupił curry na wynos i zjadł je, siedząc na wykładzinie w nowym mieszkaniu. Podczas posiłku zastanawiał się, czy naprawdę jadł podobne curry późną nocą na targu, na pokładzie okrętu wojennego cumującego przy moście Tower. Prawdę mówiąc, nie wydawało się to zbyt prawdopodobne.

Zadzwieczał dzwonek. Richard wstał i otworzył drzwi.

- Znaleźliśmy większość pańskich rzeczy, panie Mayhew -oznajmił pośrednik, znów odziany w płaszcz z wielbłądziej wełny. - Okazało się, że oddano je na przechowanie. Dawajcie je, chłopcy.

Dwóch osiłków wtaszczyło do środka kilka wielkich skrzyń po herbacie, kryjących w sobie majątek Richarda.

- Dzięki - rzekł Richard.

Sięgnął do pierwszej skrzyni i wyjął pierwszy przedmiot, który okazał się oprawionym w ramki zdjęciem Jessiki. Przyglądał mu się dłuższą chwilę, po czym odłożył z powrotem. Po jakimś czasie znalazł skrzynię z ubraniami i wypakował je, resztę jednak pozostawił na środku salonu. Mijały dni i Richard z rosnącym poczuciem winy patrzył na nie rozpakowane skrzynie. Nie tknął ich jednak.

Siedział przy biurku w swoim gabinecie, wyglądając przez okno, kiedy zadzwonił interkom.

- Richard? - To była Sylvia. - Dyrektor chce cię widzieć u siebie za dwadzieścia minut. Macie omówić raport Wands-wortha.

- Będę - odparł Richard.

A potem, ponieważ nie miał chwilowo nic lepszego do roboty, podniósł pomarańczowego trolla i groźnie uniósł go nad nieco mniejszym zielonowłosym stworkiem.

- Jestem największym wojownikiem w całym Londynie Pod. Gotuj się na śmierć! - warknął złowrogim troiłowym głosem, kiwając pomarańczową figurką. Następnie chwycił zielonowłosego trolla. - Aha! Ale najpierw wypijesz filiżankę dobrej, mocnej herbaty...

Ktoś zapukał i Richard, zawstydzony, błyskawicznie odstawił maskotki.

- Proszę!

Na progu stała Jessica. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

- Cześć, Richardzie - powiedziała.

- Cześć, Jess - odparł Richard i poprawił się natychmiast: -przepraszam; Jessico.

Uśmiechnęła się, odrzucając w tył włosy.

- Może być Jess -rzekła i zdawało się niemal, że mówi szczerze. - Jess. Od wieków nikt mnie tak nie nazywał. Nawet za tym tęsknię.

- A zatem — zaczął Richard — co cię tu... czemu zawdzięczam ten zaszczyt...?

- Po prostu chciałam cię zobaczyć. Nie wiedział, co powiedzieć.

- To miłe.

Jessica zamknęła drzwi gabinetu i postąpiła kilka kroków.

- Wiesz, co jest najdziwniejsze, Richardzie? Pamiętam, że zerwałam zaręczyny. Ale zupełnie nie pamiętam, o co nam poszło.

-Nie?

- To jednak nieważne. Prawda? - Rozejrzała się po pokoju. -Dostałeś awans.

-Tak.

- Cieszę się. - Sięgnęła do kieszeni płaszcza. Wyjęła małe brązowe pudełeczko i położyła na biurku. Richard otworzył je, choć wiedział, co jest w środku.

- To nasz pierścionek zaręczynowy. Pomyślałam... no cóż, że oddam go tobie, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, może pewnego dnia ty oddasz go mnie.

Pierścionek rozbłysnął w słońcu. Najkosztowniejszy zakup w życiu Richarda.

Zamknął pudełko i podał jej.

- Zatrzymaj go, Jessico - rzekł i dodał: - Przykro mi. Przygryzła wargę.

- Poznałeś kogoś innego?

Zawahał się. Pomyślał o Lamii, Łowczyni i Anestezji, nawet o dziewczynie imieniem Drzwi, ale żadna z nich nie była kimś w sensie, o który chodziło Jessice.

- Nie, nikogo - powiedział i w chwili, gdy wymawiał następne słowa, pojął, że to prawda.

- Po prostu się zmieniłem, to wszystko.

Zabrzączał interkom.

- Richardzie? Czekamy na ciebie. Nacisnął guzik.

- Już idę, Sylvio. — Spojrzał na Jessicę.

Nie powiedziała ani słowa. Może nie ufała własnemu głosowi, a może po prostu nie miała nic do powiedzenia. Odeszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Richard jedną ręką zebrał potrzebne papiery. Drugą przesunął po twarzy, jakby ścierał z niej smutek, łzy, czy może przeszłość.

Znow zaczął jeździć metrem do i z pracy. Przestał jednak kupować gazety na drogę. Zamiast tego przypatrywał się twarzom ludzi w pociągu, zastanawiając się, czy wszyscy pochodzą z Londynu Nad. Co kryły w sobie ich oczy?

Kilka dni po spotkaniu z Jessicą w czasie wieczornego szczytu wydało mu się, że po drugiej stronie wagonika dostrzeża Łamię. Stała tyłem, z wysoko upiętymi ciemnymi włosami, ubrana w długą czarną suknię. Serce zabiło mu mocniej w piersi.

Zaczął przepychać się ku niej zatłoczonym przejściem. Gdy dotarł już blisko, pociąg zatrzymał się na stacji i kobieta wysiadła. Zawiedziony pojął, że to nie Łamią, lecz najwyklesza miłośniczka gotyckiego rocka, wybierająca się na nocne szaleństwa.

W środę zobaczył dużego brązowego szczura siedzącego na pokrywie kubła ze śmieciami na tyłach Newton Mansions. Gryzoń wyglądał, jakby był panem całego świata.

Gdy Richard zbliżył się ostrożnie, szczur zeskoczył na chodnik i przycupnął w cieniu, obserwując go czarnymi oczami.

Richard przykucnął.

- Witaj - powiedział łagodnie. - Czy my się znamy? Szczur milczał, ale nie uciekał.

- Nazywam się Richard - ciągnął cicho Richard. - Tak naprawdę nie jestem szczuromówcą, ale, no... znam kilka szczurów. Zastanawiałem się, czy spotkałeś może panią Drzwi...

Usłyszał za sobą stuknięcie obcasa i odwróciwszy się ujrzał Buchananów, przyglądających mu się z dziwnymi minami.

- Zgubił pan coś? - spytała pani Buchanan. Richard dosłyszał, lecz puścił mimo ucha rzuconą szorstkim szeptem uwagę jej męża: „Tylko piątą klepkę”.

- Nie - odparł szczerze. - Ja... witałem się właśnie z... Szczur umknął w cień.

- Czy to był szczur? - warknął George Buchanan. - Złożę skargę do rady dzielnicy. Skandal, doprawdy. Ale cóż, taki jest Londyn, prawda?

Owszem, zgodził się Richard. Taki jest Londyn.

Wciąż nie rozpakowywał skrzyń po herbacie stojących pośrodku salonu.

Nie włączał telewizora. Wracał wieczorem do domu, zjadał kolację, a potem patrzył z okien na Londyn, na samochody, dachy i światła, podczas gdy zmierzch przechodził w ciemność i w całym mieście rozbłyskiwały lampy. W końcu niechętnie rozbierał się, kładł do łóżka i zasypiał.

W piątkowe popołudnie w jego gabinecie zjawiała się Sylvia. Otwierał właśnie listy, rozcinając koperty swym nożem - nożem Łowczyni.

- Richardzie - zagadnęła. - Tak się zastanawiam... Ostatnio chyba nieczęsto wychodzisz z domu? Skinął głową.

- No cóż, razem z grupką znajomych wybieramy się dziś do miasta. Miałbyś ochotę iść z

nami?

- Hmm. Jasne - odparł. - Będzie mi bardzo miło.

Było okropnie.

Wyruszyli w ósemkę: Sylvia, jej chłopak, który miał coś wspólnego z zabytkowymi samochodami, Garry z działu projektów, który niedawno zerwał ze swoją dziewczyną z powodu niezgodności charakterów (charakter nie pozwolił jej zgodzić się na to, by Garry sypiał z jej najlepszą przyjaciółką), parę innych miłych osób i przyjaciół miłych osób, a także nowa dziewczyna z działu obsługi komputerowej.

Najpierw obejrżeli film w Odeonie na Leicester Square. Pozytywny bohater zwyciężył, po drodze unikając licznych wybuchów i latających przedmiotów.

Kolację — kuskus i egzotyczne przekąski - zjedli w La Roche na Old Compton Street. Potem poszli do pubu na Berwick Street, wypili kilka drinków i pograżyli się w rozmowie.

W miarę upływu czasu nowa dziewczyna z działu obsługi komputerowej coraz częściej uśmiechała się do Richarda, on jednak nie miał jej nic do powiedzenia. Kupił następną kolejkę, a dziewczyna z działu obsługi komputerowej pomogła mu zanieść szklanki do stolika.

Garry skoczył do toalety i dziewczyna z działu obsługi komputerowej usiadła na jego miejscu tuż obok Richarda.

Brzęczały szklanki, ryczała szafa grająca, pachniało piwem, rozlanym bacardi i dymem papierosowym. Richard próbował słuchać toczonej przy stoliku rozmowy, odkrył jednak, że nie potrafi skupić się na tym, co mówią ludzie, a zasłyszane urywki kompletnie go nie interesują.

I wówczas ujrzał przed sobą przyszłość, jasno i wyraźnie niczym obraz na ekranie Odeonu na Leicester Square: tego wieczoru wróci do domu z dziewczyną z działu obsługi komputerowej, będą się kochać, a ponieważ jutro jest sobota, spędzą w łóżku cały ranek. Potem wstaną i razem wypakują jego rzeczy ze skrzyń po herbacie. Przed upływem roku poślubi dziewczynę z działu obsługi komputerowej. Dostanie kolejny awans, będą mieli dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, i przeprowadzą się na przedmieścia, do Harrow, Croydon albo Hampstead, albo nawet do odległego Reading.

I nie będzie to złe życie. To także wiedział. Czasami nic się nie da zrobić.

Kiedy Garry wrócił z toalety, rozejrzał się zaskoczony. Wszyscy byli na miejscu, z jednym wyjątkiem...

- Richard? - spytał.

Dziewczyna z działu obsługi komputerowej wzruszyła ramionami.

Garry wyszedł na dwór, na Berwick Street. Chłód nocy uderzył go w twarz niczym chluśnięcie wody. Czulo się w nim nadchodzącą zimą.

- Dick? Hej, Richard!

- Tutaj.

Richard stał w cieniu, oparty o ścianę.

- Chciałem odetchnąć świeżym powietrzem.

- Nic ci nie jest?

- Nie - odparł Richard. - Tak. Nie wiem.

- To już wszystkie możliwości. Chcesz pogadać? Richard spojrzał na niego z powagą.

- Będziesz się ze mnie śmiał.

-I tak będę.

Richard patrzył na niego bez słowa. Wreszcie się uśmiechnął, i Garry z ulgą zrozumiał, że nadal są przyjaciółmi. Obejrzał się w stronę pubu. Potem wsunął ręce do kieszeni.

- Chodź - powiedział. - Przejdźmy się. Wyrzuć to z siebie. Potem się z siebie pośmieję.

- Drań - rzucił Richard. W tym momencie bardziej niż kiedykolwiek ostatnio przypominał dawnego Richarda, tego sprzed kilku ostatnich tygodni.

- Po to są przyjaciele.

Ruszyli spacerkiem naprzód, mijając kolejne latarnie.

- Posłuchaj, Garry - zaczął Richard. - Nigdy się nie zastanawiałeś, czy istnieje coś poza tym wszystkim?

- Czyli czym?

Richard machnął ręką w geście obejmującym cały świat.

- Pracą. Domem. Pubami. Spotykaniem się z dziewczynami. Mieszkaniem w mieście. Życiem. Czy to już wszystko?

- Myślę, że tak. Czemu? Richard westchnął.

- Cóż - rzekł - po pierwsze, nie byłem na Majorce. To znaczy, naprawdę nie byłem na Majorce.

Richard opowiadał. Krążyli po labiryncie ulic między Regent Street i Charing Cross Road, a on mówił i mówił, zaczynając od tego, jak na chodniku znalazł krwawiącą dziewczynę i spróbował pomóc, bo nie mógł jej tak po prostu zostawić. A kiedy zrobiło się za zimno na spacer, przysiedli w obskurnej całodobowej knajpce, dokładnie takiej, jak trzeba: wszystko smażono tu na starym tłuszczu i serwowano mocną herbatę w wielkich białych obtłuczonych kubkach, błyszczących od smalcu.

Usiedli. Richard mówił, a Garry słuchał. Potem zamówili sadzone jajka, grzanki i fasolkę, i zaczęli jeść. Richard wciąż mówił, a Garry nadal słuchał. Zebrali grzankami resztki żółtka z talerzy. Zamówili kolejną herbatę, aż wreszcie Richard rzekł:

- ...i wtedy Drzwi zrobiła coś z kluczem i wróciłem. Do Londynu Nad. To znaczy, do prawdziwego Londynu. Resztę już znasz.

Zapadła cisza.

- To wszystko - dodał Richard, opróżniając kubek. Garry podrapał się po głowie.

- Słuchaj — powiedział po dłuższej chwili - mówiłeś poważnie? To nie jest jakiś paskudny żart? Nikt nie wyskoczy zaraz zza grilla ani czegoś takiego i nie oznajmi, że jestem w „Ukrytej kamerze”?

- Mam szczerą nadzieję, że nie. I co? Wierzysz mi? Garry zerknął na leżący na stole rachunek, odliczył monety i położył je na fornirowym blacie.

- Wierzę, że... no cóż, coś z pewnością cię spotkało... Ważniejsze jest, czy ty w to wierzysz? Richard uniósł wzrok. Pod jego oczami widniały czarne kręgi.

- Czy wierzę? Sam już nie wiem. Ale wierzyłem. Byłem tam. Wiesz, że w pewnym momencie ty także się tam pojawiłeś?

- Nie wspomniałeś o tym.

- To było okropne. Powiedziałeś mi, że zwariowałem i włączę się po Londynie dręczony halucynacjami.

Wyszli z knajpki i skierowali się na południe, w stronę Piccadilly.

- No... - mruknął Garry - musisz przyznać, że brzmi to znacznie prawdopodobniej niż twój bajkowy podziemny Londyn, gdzie żyją ludzie, którzy wpadli w szczeliny świata. Często widywałem ludzi, którzy w nie wpadli; śpią na progach sklepów wzdłuż całego Strandu. Nie odchodzą do innego Londynu. W zimowe noce zamierzają na śmierć.

Richard milczał.

- Może uderzyłeś się w głowę? — ciągnął Garry. - Albo przeżyłeś wstrząs po tym, jak rzuciła cię Jessica. Na jakiś czas oszalałeś. Potem ci się polepszyło.

Richard zadrżał.

- Wiesz, co mnie przeraża? To, że możesz mieć rację.

- A więc życie nie jest podniecające? - podjął Garry. - Doskonale. Niech żyje nuda. Przynajmniej wiem, gdzie dziś wieczór zjem kolację i dokąd pójdę. W poniedziałek wciąż będę miał pracę. Czy nie tak?

Richard przytaknął z wahaniem. Garry zerknął na zegarek.

- Niech to szlag! - wykrzyknął. — Jest już po drugiej! Miejmy nadzieję, że znajdziemy gdzieś taksówkę.

Skręcili w Brewer Street. Garry wciąż drażył temat taksówek. Nie mówił nic oryginalnego ani nawet ciekawego; wczuwał się jedynie w tradycyjną rolę narzekającego na taksówkarzy londyńczyka.

- ...kogut mu się świecił i w ogóle. Powiedziałem, gdzie chcę jechać, a on na to: Przykro mi, zjeżdżam już do domu. Spytałem więc: Gdzie w ogóle wy, taksówkarze, mieszkacie, i czemu żaden z was nie mieszka w mojej okolicy? Cała sztuka polega na tym, żeby najpierw wsiąść do środka, a potem dopiero powiedzieć, że mieszkasz na południe od rzeki. Czego właściwie chciał? Można by sądzić, że Battersea leży gdzieś w Katmandu...

Richard całkowicie się wyłączył. Oglądał wystawę antykwariatu pełną portretów zapomnianych gwiazd filmowych, plakatów, komiksów i kolorowych magazynów. Zupełnie jakby otwarło się przed nim okno na inny świat, świat przygody i fantazji.

Tyle że nie był prawdziwy. Richard powtórzył to w myślach.

-I co ty na to? - spytał Garry.

Richard gwałtownie powrócił do teraźniejszości.

- Na co?

Garry natychmiast pojął, że przyjaciel nie usłyszał ani słowa z tego, co do niego mówił.

- Jeśli nie złapiemy taksówki - powtórzył - możemy pojechać nocnym autobusem.

- Jasne — odparł Richard. — Świetnie. Wspaniale. Garry się skrzywił.

- Martwię się o ciebie.

- Przepraszam.

Szli Windmill Street w stronę Piccadilly.

Richard wsunął ręce głęboko do kieszeni. Nagle uniósł brwi i wyciągnął zmiętoszone wronie piórko z czerwoną nitką zawiązaną wokół dutki.

- Co to? - spytał Garry.

- To... To tylko piórko. Śmieć.

Wrzucił piórko do najbliższego kosza i odszedł, nie oglądając się za siebie. Garry zawahał

się chwilę, po czym rzekł, starannie dobierając słowa:

- Czy nie pomyślałeś, żeby pójść do specjalisty?
- Pójść do specjalisty? Garry, ja nie zwariowałem.
- Jesteś pewien?

Zza rogu wyjechała taksówka i zbliżała się ku nim z żółto płonącym napisem.

- Nie - odparł szczerze Richard. - Jest taksówka. Jedź. Ja” złapię następną.
- Dzięki. - Garry machnął na taksówkę i wgramolił się do środka, przezornie nie uprzedzając kierowcy, że jego celem jest Battersea. Otworzył okno i gdy wóz ruszył, powiedział: — Ri-chardzie, to jest rzeczywistość. Lepiej do niej przywyknij, bo nie ma niczego innego. Do zobaczenia w poniedziałek.

Richard pomachał mu na pożegnanie i odprowadził wzrokiem odjeżdżający samochód. A potem zawrócił i odszedł z powrotem ku Brewer Street, zostawiając za sobą światła Picadilly.

Przystanął obok starej kobiety, śpiącej smacznie na sklepowym progu. Okrywał ją podarty koc, a jej skromny majątek -dwa kartonowe pudła pełne śmieci i brudna, niegdyś biała parasolka - leżał tuż obok, oplatany sznurkiem. Drugi koniec sznurka przywiązała sobie do przegubu, by uchronić swoje rzeczy przed kradzieżą. Na głowie miała nieokreślonej barwy włóczkową czapkę z pomponem.

Wyciągnął portfel, znalazł w nim dziesięciofuntowy banknot i schylił się, by wsunąć pieniądze kobiecie do ręki.

Uniosła powieki; błyskawicznie ocknęła się ze snu. Zamrugła starymi oczami, oglądając zwinięty banknot.

- Co to? - spytała sennie, wyraźnie niezadowolona z nagłej pobudki.
- Zatrzymaj go - powiedział Richard.

Rozłożyła dziesięciofuntówkę i wsunęła w głąb rękawa.

- Czego pan chcesz?
- Niczego. Naprawdę niczego nie chcę. Zupełnie niczego. -I nagle pojął, jak prawdziwe są jego słowa, i jakie to przerażające. - Czy dostałaś kiedyś wszystko, czego pragnęłaś? I wtedy zrozumiałaś, że nie o to ci chodziło?

- Raczej nie — odparła, wyskubując paprochy z kącików oczu.

- Myślałem, że chce tego wszystkiego - oznajmił Richard. -Sądziłem, że pragnę zwykłego, normalnego życia. Może faktycznie zwariowałem. Może. Ale jeśli to już wszystko, to nie chcę być normalny. Rozumiesz?

Potrząsnęła głową.

Sięgnął do kieszeni.

- Widzisz? - Uniósł nóż. — Łowczyni dała mi go tuż przed śmiercią.
- Nie rób mi krzywdy -jęknęła staruszka. - Nic złego ci nie zrobiłam.
- Otarłem jej krew z klingi. - W jego głosie dźwięczało niezwykle napięcie. - Łowca dba o swoją broń. Hrabia pasował mnie nim na rycerza i obdarzył swobodą ruchów w całym podziemiu.

-Nie wiem, o czym gadasz. Proszę, odłóż to. No już. Grzeczny chłopiec.

Zważył nóż w dłoni. A potem śmignął nim ku ceglanej ścianie obok sklepu, na progu którego spała kobieta. Ostrze cięło trzykrotnie, raz poziomo, dwa razy pionowo.

- Co ty wyprawiasz? - spytała czujnie staruszka.
- Robię drzwi - odrzekł. Siąknęła nosem.

- Lepiej to schowaj. Zamkną cię za posiadanie niebezpiecznego narzędzia.
Spojrzał na wydrapany w murze zarys drzwi. Schował nóż do kieszeni i zaczął tłuc w ścianę pięściami.
- Hej! Jest tam kto? Słyszycie mnie? To ja, Richard. Drzwi? Ktokolwiek?
Bolały go ręce, ale nie przestawał walić w cegły. A potem szaleństwo go opuściło.
- Przepraszani - powiedział do staruszki.
Nie odpowiedziała. Albo z powrotem zasnęła, albo, co bardziej prawdopodobne, udawała, że śpi. Ze sklepowego wejścia dobiegało starcze pochrapywanie, prawdziwe bądź udawane.
Richard usiadł na chodniku. Zastanawiał się, jak ktoś mógł zrujnować sobie życie tak, jak on zrujnował własne.
W końcu obejrzał się na wydrapane w ścianie drzwi.
W miejscu, gdzie je narysował, ział prostokątny otwór w murze. Stał tam człowiek w teatralnej pozie, z rękami splecionymi na piersi. Gdy upewnił się, że Richard go widzi, ziewnął szeroko, zasłaniając usta ciemną ręką.
Markiz de Carabas uniósł brwi.
-I co? - spytał z irytacją. — Idziesz?
Richard patrzył na niego przez sekundę.
A potem skinął głową, nie ufając własnemu głosowi. Wstał. I odeszli razem przez dziurę w ścianie, w ciemność, nie zostawiając za sobą niczego, nawet drzwi.

PODZIĘKOWANIA

Książka ta, jak większość książek, została napisana przez jednego człowieka, mozolnie bazgrzącego kolejne słowa, od pierwszego do ostatniego.
Ponieważ jednak ta szczególna książka powstała nietypowo i można by rzec, w okolicznościach postawionych na głowie, pewnej grupie ludzi muszę podziękować.
Przede wszystkim i po pierwsze, Lenny'emu Henry, człowiekowi rozrywki, aktorowi i fanowi komiksów, za to, że ponad pięć lat temu zadzwonił do mnie i spytał, czy chciałbym napisać scenariusz współczesnego telewizyjnego serialu fantasy. Historia ta wykuła się podczas spacerów w jego ogrodzie i przytrzymywania jego suki Delilah, gdy Lenny zmieniał jej opatrunki. Jego entuzjazm zachęcił mnie do pisania, podtrzymywał na duchu i wspierał w najgorszych chwilach.
Janet Street-Porter była dla mnie prawdziwą podporą w pierwszej fazie procesu twórczego. Clive Brill dopieszczał całą opowieść, a potem wyprodukował serial telewizyjny. „Nigdziebądź” nie byłoby tym, czym jest, bez Clive'a. W ciągu ostatnich czterech lat często się spieraliśmy, a w naszych sporach oczywiście to ja zawsze miałem rację, a Clive nieodmiennie się mylił; zdumiewające jednak, jak wiele jego sugestii stało się integralną częścią struktury opowieści i jak wiele wprowadzonych przez niego zmian ją ulepszyło.
Dewi Humpreys reżyserował serial. Jako reżyser obdarzył go własną wizją. Bezwstydnie podkradałem jego pomysły, jak również idee twórcy koncepcji graficznej i scenografa Jamesa Dillo-na. Wielkie dzięki im obu.
Niezmierznie wiele zawdzięczam mojemu drugiemu ja. Nie ja, lecz on przez ostatnich pięć lat stale od nowa szukał odpowiedzi na najgorsze pytanie pisarza: „Co się stanie dalej?”.

Ponieważ to on wszystko ustalił, mnie pozostało opowiedzenie całej historii.

Miałem ogromny zaszczyt być na planie podczas kręcenia serialu i włączyć wszystkim w drogę. Jestem za to niezmiernie wdzięczny; nieczęsto zdarza się, że możemy odwiedzić krajobraz z naszych marzeń.

Dziękuję bardzo aktorom, którzy wcielili w życie moje słowa. Na potrzeby książki ukradłem wiele z ich ról i jestem im za to niezmiernie wdzięczny.

Dziękuję też ekipie (NigdzieGrzej, NigdzieCzyść, Nigdzie-Mów, NigdzieDwaRazyZRzędu), która chętnie odpowiadała na moje pytania i cierpliwie znosiła moją obecność, nie przerywając pracy (NigdyWięcej).

Kelli Bickman przepisała kilka pierwszych rozdziałów z mych pospiesznych notatek z planu. To znacznie bardziej imponujące osiągnięcie, niż mogłoby się zdawać („Co to za słowo?”, „Hm, nie wiem”).

Dwie osoby, bez których książka ta by nie powstała, to Poily McDonald, niezwykła szefowa Crucial, i Beverly Gibson, kierująca wszystkim. Wiele musiały znieść.

Sheila Ableman z BBC Books od początku popierała „Nigdzie-bądź” i z niewyczerpanym entuzjazmem zdobywała finanse na popchnięcie całej sprawy. Ta książka istnieje, bo ona tego chciała.

Merrilee Heifetz, Carole Blake i Conrad Williams odprawili czary voodoo, z którym tak dobrze sobie radzą.

Tori Amos zaoferowała mi dom, w którym mogłem napisać całą część o Czarnych Mnichach. Steve Jones znosił mą obecność od Hrabiego Dworu po Muzeum Brytyjskie.

I wreszcie moja rodzina i domownicy - żona, dzieci, asystentka i koty - wykazali się niezwykłą wyrozumiałością, gdy na długi czas znikalem w Londynie Pod. Może oprócz kotów, z których dwa odeszły z niesmakiem w czasie przedostatniej wyprawy i nigdy już ich nie widziałem.

Neil Gaiman 30 maja 1996